

H A N N A  
GREŃ

ZABÓJCZA TERAPIA



GDY ZEMSTA OŚLEPIA,  
ZŁO ZBIERA ŻNIWA



# ZABÓJCZA TERAPIA

H A N N A  
**GRÉŃ**  
ZABÓJCZA TERAPIA

 CZW  
ARTA  
STR  
ONA

Copyright © Hanna Greń, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska

Marketing i promocja: Karolina Guzik

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Jeziorna-Kramarz, Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Daniel Rusiłowicz

Fotografia na okładce: © fotoduets, Kamil | Adobe Stock

Fotografia autorki na skrzydełku: Mateusz Sosna | Ogniskova.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67616-97-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

## Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział 1: W złą godzinę](#)

[Rozdział 2: Kobieta w wirówce](#)

[Rozdział 3: Jedyna, której zależy](#)

[Rozdział 4: Pierwsza randka](#)

[Rozdział 5: Przesłuchania](#)

[Rozdział 6: Czarownica](#)

[Rozdział 7: Sprzymierzeni](#)

[Rozdział 8: Rozbłysk](#)

[Rozdział 9: Konfliktowa pacjentka](#)

[Rozdział 10: Sala ćwiczeń](#)

[Rozdział 11: Kobieta w klatce](#)

[Rozdział 12: W ciemnościach](#)

[Rozdział 13: Pierwszy trop](#)

[Rozdział 14: Typ zaczepno-obronny](#)

[Rozdział 15: Pies w obręczy](#)

[Rozdział 16: Kobieta na hurze](#)

[Rozdział 17: Ramos i jego żona](#)

[Rozdział 18: Pożar](#)

[Rozdział 19: Zatarłe ślady](#)

[Rozdział 20: Echo przeszłości](#)

[Rozdział 21: To moja wina!](#)

[Rozdział 22: Przewiązka](#)

[Rozdział 23: Mściciele](#)

[Rozdział 24: Zapłata](#)

[Rozdział 25: Cała prawda o Wanatach](#)

[Epilog](#)

## Prolog

5 września 2020

– Mówię ci po raz setny, że to jest ona!

Młoda kobieta w akcie desperacji wbiła palce we włosy, burząc kunsztowną, z trudem wypracowaną fryzurę. Miała ochotę zdzielić go czymś ciężkim w głowę, żeby wreszcie zrozumiał, że jej pewność nie jest efektem przywidzenia czy pobożnych życzeń.

Mężczyzna nadal nie wyglądał na przekonanego.

– No nie wiem... – mruknął. – Ma inne nazwisko.

Przewróciła oczami na ten oczywisty brak elementarnej logiki, a gdy nie zareagował tak, jak się spodziewała, wykrzyknęła ze złością:

– Chryste, daj mi cierpliwość! Nie przyszło ci do głowy, że mogła wyjść za mąż?

– Nawet gdyby, to co z tego? Ta babka nie jest do niej podobna.

Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Kochała go, ale jego brak wyobraźni i jakaś taka życiowa nieporadność niejednokrotnie doprowadzały ją do szału.

– A ja jestem podobna? – Szarpnęła kosmyk ciemnych włosów, wśród których lśniły niebieskie pasemka. – Ty też nie jesteś. Minęło dwadzieścia lat, a ty chcesz, żeby ciągle wyglądała tak jak wtedy? Wszyscy się zmieniliśmy.

Mężczyzna na jakiś czas pogrążył się w myślach. Nie popędzała go. Należał do tych, którzy przed podjęciem każdej decyzji muszą wszystko dokładnie przeanalizować. Nie lubił być zaskakiwany i nie znosił niespodzianek, nawet takich niewinnych jak prezent na urodziny.

– Powiemy jej? – spytał w końcu.

Wzruszyła ramionami.

– Po co?

– Jestem ciekawy, jak zareaguje.

– Taa – rzuciła przeciągle i dodała z gryzącym sarkazmem: – Na pewno stwierdzi, że czuje się winna, przeprosi i będzie błagać o wybaczenie.

– Myślisz, że się wyprze?

– Nie myślę. Ja to wiem. Jestem pewna, że nawet nas nie pamięta, bo tacy jak ona mają innych za nic.

Znów się zamyślił, skorzystała więc z okazji i poszła do przedpokojku, gdzie na wąskiej szafce stał czajnik elektryczny. Gdy go włączała, znów zatrzęsł nią gniew. Tacy jak tamta nie musieli się gnieździć w małym pomieszczeniu z dostępem do wspólnej kuchni i łazienki, ich było stać na mieszkanie w apartamentowcu, nowe audi, coroczne wyjazdy do SPA i prywatne leczenie. Uważają się za lepszych i są przekonani, że najgorsze świństwo ujdzie im bezkarnie.

– No to się, kurwa, zdziwi – warknęła i tak gwałtownie przechyliła czajnik, że wrzątek przelał się przez brzeg kubka i spłynął po szafce na podłogę.

Nie poświęciła temu żadnej uwagi. Jeśli pomysł, który właśnie się skryształizował, zostanie zaakceptowany, to miejsce i ta kobieta będą tylko pierwszym etapem, więc i tak trzeba będzie się wyprowadzić. A jeśli nie? Uśmiechnęła się drapieżnie. Z nich dwojga silniejsza psychicznie była ona. Bardziej odporna na stres, umiejacą daleko lepiej maskować miotające ją uczucia. I przede wszystkim, w sztuce manipulowania innymi nie miała sobie równych. Mężczyzna nawet nie będzie wiedział, że ktoś nim steruje. Jak zawsze.

– Kto się zdziwi i dlaczego? – spytał, gdy weszła z kubkami herbaty w dłoniach.

– Ona. Ta kurwa, która myśli, że za pieniądze może kupić wszystko. Ale nic z tego. Przebaczenie to cholernie deficytowy towar i nie mam zamiaru rozdawać go w gratisie. Darmowe próbki właśnie mi się

skończyły, a nowej dostawy w najbliższym czasie nie przewiduje. Będzie musiała zapłacić.

Zdecydowanie w głosie kobiety sprawiło, że zgodnie z jej przewidywaniem mężczyzna przytaknął. Taki już był, przyznawał rację temu, kto umiał z większą pewnością siebie przedstawić swoje zdanie. Słabeusz – pomyślała z mieszaniną czułości i pogardy, z przewagą tej pierwszej, bo to był jej słabeusz; jedyny, który jej pozostał.

– No dobra – powiedział po chwili. – Ale w jaki sposób ma zapłacić? Ułożyłaś jakiś plan działania?

– Jeszcze nie, przecież dopiero zaczęłam się zastanawiać.

Lata praktyki w mówieniu kłamstw sprawiły, że doszła w tej materii do perfekcji i nie spotkała jeszcze nikogo, kto nie dałby się nabrać na niewinną minkę i szczere spojrzenie niebieskich oczu. On nie był tu żadnym wyjątkiem.

– Moim zdaniem powinna przynajmniej przeprosić – stwierdził, co wywołało u niej uśmiech politowania.

– Tylko przeprosić? Po tym, co nam zrobiła? Chyba cię cycki bołą!

– Pewnie masz rację. – Objął ją ciepłym spojrzeniem. – Zróbmy coś takiego, żeby poczuła, jak to jest być całkiem bezradnym. Żeby też cierpiała.

Czułym gestem potarmościła mu włosy i pocałowała go w nieogolony, drapiący trzydniowym zarostem policzek. Może nie odznaczał się zbytnim intelektem, przez co nie stanowił dla niej wielkiego wsparcia, ale go kochała.

– Co konkretnie miałyby to być?

– Nie wiem... Może ogłosić publicznie, co zrobiła?

Powiedział to z poważną miną, choć miał ochotę roześmiać się w głos, gdy wspomniał, jak owo publiczne ogłoszenie wyglądało w innych przypadkach. Ona jednak jak zwykle nie wychwyciła ironii i skrzywieniem ust dała znać, co myśli o tej propozycji.

– To żadna zapłata – wyjaśniła na widok pytania w jego wzroku. – Nikt jej tu nie zna, więc raczej się nie przejmie opinią innych. W dodatku gotowa się wyprzeć i będzie słowo przeciwko słowu. Nie, to bez sensu. Ją musi zboleć tak, jak nas bołało.

Wzdrygnął się, gdy napłynęły przywołane jej wypowiedzi wspomnienia. Aż zadygotał z gniewu i nienawiści do tych, którzy tak potwornie ich skrzywdzili, i jak zwykle, gdy wracały sceny z przeszłości, ogarnęła go bezsilna wściekłość z powodu własnej niemocy. Ale czy naprawdę musiała być bezsilna?

Mężczyzna zacisnął dłonie w pięści. Podjęcie decyzji przyszło mu z zadziwiającą łatwością.

– Nawet największy ból nie wyrówna rachunków – oznajmił stanowczo. – Ona musi umrzeć. Ale nie za prędko – dodał z pełnym radosnego oczekiwania uśmiechem. – Powinna wiedzieć, dlaczego umiera, i błagać o śmierć. Tak jak on. Wtedy się nam wymknie, ale tym razem nie uda jej się uciec. Zapłaci.

## Rozdział 1

### W złą godzinę

7 września 2020

– Nie wytrzymam tu. Prędzej zwariuję.

Usiadła na łóżku i zapatrzyła się tępo w pomalowaną na biało ścianę. Podczas poprzedniego pobytu w szpitalu zdążyła serdecznie znienawidzić ten kolor, tutaj także jej go nie oszczędzono. Białe łóżko i stojąca obok niego szafka, biała szafa, stół i dwa krzesła, nawet kosz na śmieci atakował oczy przeraźliwą bielą.

– Wytrzymasz. Wygrałaś ze śmiercią, a teraz chcesz się poddać? *No way!*

Młody mężczyzna rzucił na podłogę wypchaną torbę podróżną, przysunął sobie jedno z krzesel i spojrzał surowo na kobietę, w której próżno usiłował odnaleźć swoją energiczną, nigdy niepoddającą się przyjaciółkę.

– Mam dość, Ratio – wyznała cicho. – Niedługo miną trzy miesiące, a ja co? Nawet z podtarciami sobie zadka mam problem, a o strzelaniu nawet nie może być mowy.

Medard Ratier natychmiast zwietrzył okazję do pokonania przeciwniczki jej własną bronią. Podejrzywał, że ona nie zmarnowałaby takiej sposobności nawet wtedy, gdyby wydawał ostatnie tchnienie, dlaczego więc miałyby być gorszy?

– Czemu nie może być mowy o strzelaniu? – spytał z niewinną miną. – Dłoń przecież masz sprawną, lewą rękę też. Łapiasz za broń, pociągasz za spust... No, chyba że chcesz w coś trafić, ale o tym nie mówiłaś. – Zauważył, że kąciki jej ust uniosły się w zapowiedzi uśmiechu, i odetchnął z ulgą. – Przestań się zamartwiać. Będzie dobrze, zobaczysz.

Podniosła na niego smutne oczy, a nikły uśmiech zmienił się w pełen goryczy grymas.

– Jak się mam nie martwić? Niesprawna ręka i ciągła zadyszka to mało? Są chwile, kiedy żałuję, że mnie nie dostrzeżlił.

Ratier przypomniał sobie uczucie dojmującej pustki, które objęło go we władanie, kiedy błędnie odczytał gest chirurga i był pewien, że przyjaciółka nie przeżyła operacji. Miał ochotę wrzasnąć, żeby przestała kusić los podobnymi uwagami, i sam siebie zadziwił, gdy zdołał się opanować i odpowiedział całkiem spokojnie.

– Nie mówię, że jest fajnie, ale chyba trochę przesadzasz. Dionka, przecież to cud, że w ogóle żyjesz! Według operującego cię lekarza powinnaś była nie doczekać nawet przyjazdu karetki, a ty nie dość, że się wywinęłaś śmierci, to nawet ostatnio zdążasz już do kibla.

Ostatnia uwaga wreszcie wywołała oczekiwaną tak długo reakcję i Dioniza roześmiała się serdecznie.

– Okej, wygrałeś. Możesz w nagrodę poukładać w szafie moje rzeczy, a potem zrobić mi herbatę.

Ratio wymownym gestem postukał się zgiętym palcem w czoło.

– Chyba śnisz. Zapomniałaś o przykazaniach lekarza? Masz robić wszystko samodzielnie i prosić o pomoc wyłącznie w sytuacjach kryzysowych. – Zauważył jej minę i złośliwie, nie pozwalając sobie przerwać, dopowiedział: – Nie trzeba było mnie błagać, żebym cię zabrał do domu. Przy mamusi miałybyś jak w raj, pełna obsługa i zdmuchiwanie pyłków sprzed stóp, żebyś się przypadkiem nie potknęła.

Po drugiej nieudanej próbie wejścia Ratierowi w słowo wysłuchała go z ponurą miną. Potem wstała, ukucnęła obok torby i w milczeniu zaczęła ją wypakowywać. Spoglądał na to z niepokojem, tak bardzo zachowanie Remańskiej odstawało od jej zwykłego sposobu bycia, nawet tego z ostatnich dwunastu tygodni.

– Dionka...? – zagaił niepewnie. Nie odpowiedziała, powtórzył więc, a tym razem w jego głosie dał się słyszeć lęk. – Diona? Czemu się nie odzywasz?



Uniosła głowę, odrzucając przy tym opadające na twarz ciemnobrązowe włosy. Wtedy zobaczył w jej oczach przekorne iskierki, tak dawno niewidziane, a goszczące tam często, zanim dwie kule wystrzelone z policyjnego pistoletu przeistoczyły Dionizę w cichą, wycofaną kobietę.

Starannie skrywał swoje uczucia, lecz w głębi serca był przerażony tą przemianą, mijały bowiem tygodnie, a ani jego starania, ani zabiegi narzeczonego Diony nie przynosiły żadnych efektów. Czyżby przyjaciółka miała już na zawsze taka pozostać? Zdawał sobie sprawę, że tylko cudem wymknęła się śmierci, i oczywiście wolał, by była uległa i obojętna na wszystko, ale żywa, mimo to nie mógł się pogodzić ze zmianą jej osobowości.

Chciał odzyskać dawną Dionę, a ujrzenie w jej oczach iskry dały mu nadzieję, że ta chwila jednak nadejdzie. Musiał tylko uzbroić się w cierpliwość.

– Ty mnie lepiej nie wkurzaj – odezwała się groźnym tonem, stojącym w jawnej sprzeczności z roześmianymi oczami. – Dobrze wiesz, że gdybym musiała znosić opiekę mamy choćby dzień dłużej, to albo bym ją zamordowała, albo przegryzłabym sobie żyły.

Nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Marta Imielska, matka Dionizy, była pielęgniarką z długoletnim stażem. Kompetentna, empatyczna wobec pacjentów, a jednocześnie stanowcza, w każdej sytuacji umiała zachować spokój i jasność myśli, przez co lekarze bardzo ją cenili. Owo opanowanie nie dotyczyło jednak przypadków, gdy chodziło o jej najbliższych. Marta tak bardzo się o nich troszczyła, że gotowa była zagłaskać ich na śmierć. Nie było więc nic zaskakującego w fakcie, że po dwóch tygodniach Dioniza miała dość; Bogiem a prawdą Medard nie mógł się nadziwić, że wytrzymała tak długo.

– Chyba to wyczuła i dlatego pozwoliła ci wyjechać – odparł, choć dobrze wiedział, że Imielska nie poddałaby się tak łatwo, gdyby nie jej mąż. Grzegorz Imielski pomógł pasierbicy wywalczyć sobie niezależność bez uciekania się do ostrych słów, a tym niechybnie skończyłaby się cała afera, gdyby nie jego wstawiennictwo.

– Na pewno nie dlatego. Mama pod tym względem jest niereformowalna, nie docierają do niej żadne logiczne argumenty. Dobrze wiem, że gdyby nie tatek... – Zauważyła zdumioną minę Rattia i parsknęła śmiechem. – Przecież to moja matka. Przez te wszystkie lata zdążyłam dobrze poznać jej reakcje, a jak na razie nie mam problemów z logicznym myśleniem. Wyobraź sobie, że strzaskany obojczyk i rozwalone bebechy nie mają wpływu na pracę mózgu.

– Obojczyk nie – zgodził się natychmiast. – Co innego bebechy. Jeżeli ktoś ma mózg w dupie, mogą wystąpić problemy.

Remańska szykowała się do ciętej riposty, gdy rozległ się soundtrack filmu *Vabank*. Rattier zerknął na wyświetlacz i zaklął cicho, potem schował telefon do kieszeni. Diona obserwowała go spod oka.

– Ustawiłeś sobie nową melodyjkę – zauważyła, licząc na jakiś komentarz, a gdy nie odpowiedział, spytała wprost: – Czemu nie odebrałeś? Nie chcesz przy mnie rozmawiać?

Żachnął się niecierpliwie.

– Nie musisz od mnie posądzać, że wróciłem do dawnego życia. Umówiłem się na podpisanie umowy. Facet wydzwania i pisze do mnie na Messie, jakbym był jednym z tych zakręconych informatyków z memów, co nie pamiętają o jedzeniu i zapominają własne imię. A ty zaraz podejrzewasz najgorsze!

Rozżalenie słyszane w jego głosie wyraźnie świadczyło, że przesadziła, zresztą doszła do tego wniosku już w chwili, gdy wyartykułowała swoje wątpliwości.

– Sorry. – Spojrzała ze skruchą. – Wszystko przez to, że się o ciebie martwię. Wiem, że przeginam, ale to jest silniejsze ode mnie. Nie patrz tak, Rattio. Przedtem też się zamartwiałam, tylko umiałam to ukryć, a teraz... – Urwała, po czym dokończyła cicho: – To ten czas spędzony pomiędzy mnie odmienił.

– O czym ty mówisz? Pomiędzy czym?

Miał tak zdumioną minę, że nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Pomiędzy życiem i śmiercią. A ty co myślałeś? Że pomiędzy miejscem i czasem jak jeźdźcy smoków Anne McCaffrey?

– Ja wcale nie... – zaczął.

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Nieważne. Chodziło mi o to, że stałam się bardziej miękka, podatna na emocje i przez to nie umiem się maskować tak dobrze jak przedtem.

– Gówno prawda – rzucił Medard porywczo. – Zmieniłaś się już wcześniej, tylko tego nie zauważyłaś, bo byłaś zajęta śledztwem i Ogim. Moim zdaniem fakt, że byłaś ciężko ranna, nie ma z tym nic wspólnego. To wina miłości...

Tym razem w dokończeniu wypowiedzi przerwał mu kolejny dzwonek telefonu. Ratier popatrzył na wyświetlacz i puścił barwną wiązanekę.

– Za chwilę dostanę pierdolca. Umówiłem się z tym gościem na dziewiątą, a facet już piąty raz mi o tym przypomina. Pewnie myśli, że nie znam się na zegarku albo...

– Medard! – przerwała mu ponownie. Jej ton oscylował pomiędzy śmiechem a przerażeniem. – Chyba naprawdę się nie znasz. Jest dziewiąta dwadzieścia.

Otworzył usta, by odwzajemnić się jakimś żartem, gdy uświadomił sobie, że Remańska mówi poważnie. Zerknął na zegarek i pokręcił głową, lecz nagły impuls kazał mu się upewnić, spojrzawszy więc ponownie na ekran komórki.

– Ja pierdołę, chyba mi stanął! Sorry, Dionka, muszę lecieć. Kurwa, oni mnie zabiją!

Głasnął w przelocie włosy Dionizy i gwałtownie pchnął drzwi. Zaraz potem rozległ się głośny okrzyk, łomot upadającego ciała i stukot toczących się po podłodze przedmiotów.

Przerażony chłopak stanął nad siedzącą na podłodze postacią w białym fartuchu, wokół której rozsypały się różnych wielkości i kształtów pigułki, tworząc na szarej posadzce kolorową mozaikę. Między nimi wały się plastikowe pojemniki na lekarstwa, przypominające małe kubeczki, pod ścianą leżała taca z naklejonymi karteczkami. Ratier dojrzał na nich nazwiska i aż jęknął, gdy uświadomił sobie skutki własnej nieuwagi.

– Bardzo panią przepraszam. Spieszyłem się i nie pomyślałem, że ktoś może akurat przechodzić za drzwiami. Dołożyłem pani pracy...

Odgarnęła przesłaniającą twarz czarne włosy ozdobione niebieskimi pasemkami w odcieniu niemal identycznym z barwą tęczy. Obmacała czoło, gdzie zdążył już wyrosnąć całkiem spory guz, i skrzywiła usta w bolesnym grymasie.

– „Nie pomyślałem!” – powtórzyła z gniewem. – Nie chodzi o mnie, o leki też nie, chociaż to dla nas duża strata.

– Zapłacę za te pigułki – zadeklarował natychmiast, ale dziewczyna tylko machnęła niecierpliwie ręką.

– Mam gdzieś pana pieniądze! Pan w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby na moim miejscu był jakiś pacjent? Baran!

Podparła się i wstała, zignorowawszy wyciągniętą ku sobie pomocną dłoń. Jeszcze raz obrzuciła go spojrzeniem pełnym wrogości i pogardy, w następnej zaś chwili, zanim zdążył zdobyć się na jakąś reakcję, zniknęła za drzwiami damskiej toalety. Ratio z cichym westchnieniem oparł się o ścianę, zdecydowany poczekać na jej powrót, przeszkodził mu jednak kolejny sygnał telefonu.

– Niech to szlag!

Rozdarty między koniecznością przebywania w dwóch miejscach równocześnie, zastanawiał się gorączkowo, co powinien wybrać. Stracił kilkanaście cennych sekund, nim zdecydował, że przeprosiny będą musiały poczekać. Podpisanie umowy gwarantującej bezpieczną finansowo przyszłość było ważniejsze. Zbyt dobrze pamiętała lata spędzone w skrajnej nędzy, ciągły głód i chodzenie w łachmanach, by zlekceważyć tę szansę.

Jeszcze raz rzucił okiem na drzwi oznaczone wizerunkiem damskiej sylwetki, odgradzające go od młodej pielęgniarki, i pobiegł w stronę schodów.

\*

Diona wolno wypakowywała zawartość torby. Starła się posługiwać również prawą ręką, choć ta uparcie stawiała opór, nie chcąc wykonywać poleceń mózgu, co z kolei wywoływało nieustającą frustrację.

– Nie wytrzymam tego dłużej! – wrzasnęła, gdy znów musiała podnieść z podłogi jakiś łaszek upuszczony przez niewładną rękę.

Kopnęła z wściekłością prawie pustą torbę i rzuciła się na łóżko, po czym dla stłumienia szlochu wcisnęła twarz w jaśka. Niepełnosprawność doprowadzała ją do furii; nie umiała pogodzić się z faktem, że ona, zawsze aktywna fizycznie, samowystarczalna, radząca sobie ze wszystkim, naraz stała się

nieporadna, wymagająca pomocy nawet przy elementarnych czynnościach. Swój obecny stan odbierała jako ponizający, co wywoływało nieustanne rozdrażnienie.

– Dzień dobry.

Męski głos przerwał jej uzalanie się nad sobą. Dioniza gwałtownie poderwała się z łóżka i aż syknęła, gdy przez brzuch przebiegła fala bólu. Znowu zapomniała, że została zraniona nie tylko w pierś, a takie nagłe skręty ciała ciągle jeszcze są niezbyt wskazane. Szybko otarła wierzchem dłoni mokre policzki w nadziei, że przybysz niczego nie zauważył. Okazywanie słabości postrzegała jako równie upokarzające co konieczność proszenia o pomoc.

– Co pan tu robi? – spytała ostro, mrugając powiekami, by pozbyć się łez i odzyskać ostrość widzenia.

Nie próbowała zachować pozorów uprzejmości, wściekła za to wtargnięcie bez pukania do pokoju, w którym powinna czuć się swobodnie i bezpiecznie. Jakim prawem ten palant wszedł tutaj jak do siebie? I po jaką cholere tak się wyelegantował? Na randkę przylazł czy jak?

Jeszcze raz zerknęła na mężczyznę i dopiero teraz, gdy zniknęła przesłaniająca widoczność wilgotna mgła, zauważyła, że to, co wzięła za białą marynarkę założoną na szarą koszulę, było lekarskim kitem. Pod nim znajdował się ciemnozielony T-shirt, opinający muskularny tors.

Zagryzła wargi, na policzkach poczuła ciepło rumieńca zawstydzenia. Znowu przez swoją impulsywność zrobiła z siebie idiotkę!

– Przepraszam – bąknęła ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nie miała odwagi spojrzeć mu w twarz. – Myślałam, że to jakiś pacjent.

Nie odniósł się w żaden sposób do jej wyjaśnienia, tylko zaraz przeszedł do konkretów.

– Nazywam się Krzysztof Baumgardt i jestem pani lekarzem prowadzącym. Proszę opowiedzieć o swoich dolegliwościach.

Nadal nie podniosła oczu, widziała więc jedynie nogi w ciemnoniebieskich dżinsach i stopy obute w szpitalne chodaki, zmierzające w stronę stolika. Szurnęło odsuwane krzesło i dopiero ten odgłos wyrwał kobietę ze stanu graniczącego z paralizem. Oderwała się od kontemplacji obuwia lekarza i spojrzała prosto w skrzące się rozbawieniem oczy.

– Czuję się całkiem dobrze. – Bezwiednie użyła słów, którymi miała w zwyczaju zbywać pytania o samopoczucie. Potem uprzytomniła sobie bezsens swojego zachowania i czym prędzej rozwinęła wypowiedź: – Chodzi mi o to, że odczuwam ból tylko przy gwałtownych ruchach, ale z każdym dniem jest lepiej. Ostatnio zrezygnowałam nawet z tabletek przeciwbólowych. Gdyby nie ręka, byłoby całkiem nieźle. – Poruszyła prawym ramieniem, odchylając je od tułowia pod kątem jakichś trzydziestu stopni. – Wyżej się nie da.

– Boli? – spytał bez większego zainteresowania.

– Nawet nie to – odburknęła, urażona jego lekceważącym podejściem do problemu. – Po prostu nie mogę podnieść tej ręki. Sięgnąć za plecy albo do lewego boku też nie, bo w ogóle mnie nie chce słuchać.

Obojętność lekarza zastąpiło ożywienie i Dioniza doszła do wniosku, że chyba czuł się znudzony powtarzającymi się przypadkami. *Za to teraz będziesz miał trochę urozmaicenia* – skonkludowała mściwie.

Nieświadomy jej myśli Baumgardt wstał, złapał oporną kończynę i zaczął ją wyginać w różnych kierunkach. Przez cały czas zadawał to samo pytanie, toteż przy kolejnym „czy to boli?” Diona z trudem się powstrzymała, by nie palnąć go w głowę. Na szczęście mężczyzna najwyraźniej poczuł się wreszcie usatysfakcjonowany, bo zwolnił uścisk i wrócił do stolika. Zanotował kilka słów, po czym przeniósł wzrok z kartki na pacjentkę.

– Jak doszło do unieruchomienia stawu?

Odpowiedziała jednym słowem, jej zdaniem wyjaśniającym wszystko:

– Postrzał.

W oczach lekarza błysnęło niedowierzanie.

– Nigdy nie słyszałam, żeby zwykły postrzał skutkował tak wysokim stopniem utraty ruchomości. Musiała pani odnieść jakiś uraz.

Dioniza dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że użyty przez nią termin, zamiast zwięźle wyłuszczyć przyczyny jej stanu, wprowadził jedynie niepotrzebny zamęt.

– Chodziło mi o postrzał z broni palnej.

Baumgardtowi prawdopodobnie na jakiś czas odjęło mowę, gdyż pomimo że otworzył usta, nie wydobył z nich żadnego dźwięku. Dopiero po dość długim czasie odzyskał jasność myśli na tyle, by

zapytać:

– W jakich okolicznościach została pani zraniona i jakie odniosła pani obrażenia?

Bezradnie rozłożyła ręce.

– Panie doktorze, mogłabym oczywiście odpowiedzieć, ale obawiam się, że objaśnienia nie byłyby zbyt dokładne. Nie znam znaczenia tych wszystkich medycznych terminów, którymi naszpikowano wypis.

Zanotował coś i zadał następne pytanie:

– Ma pani go przy sobie?

Tymi słowami naprawdę ją zdenerwował, bo ile razy można? Zjadają te papiery czy jak?

– Dołączyłam całą dokumentację medyczną do skierowania, a dodatkowo dzisiaj dałam kserówkę pielęgniarce.

Powiedziała to spokojnie, starając się powściągnąć irytację, chyba jednak nie uzyskała na tym polu oszałamiającego sukcesu, gdyż mężczyzna znów na nią spojrzął, tym razem przepraszająco, a gdy się odezwał, ton głosu znamionował zmieszanie.

– Dopiero co wróciłem z urlopu. Nie miałem czasu zapoznać się z pani dokumentami, ale też nie wydawało mi się to najpilniejsze. Wolę najpierw wysłuchać pacjenta, bo on najlepiej wie, co mu dolega. Dopiero później konfrontuję jego spostrzeżenia z wynikami badań oraz diagnozą. Proszę dać mi chwilę.

Przewertował zawartość skoroszytu, wydobył stosowny dokument i pochylił się nad nim, czytając uważnie. W tym czasie Dioniza podniosła torbę i wypakowała resztę przywiezionego z sobą dobytku, stwierdzając ze zdziwieniem, że teraz poszło jej to dużo sprawniej, jakby sama obecność lekarza wpłynęła korzystnie na mobilność chorej ręki. Ta myśl do tego stopnia ją rozśmieszyła, że zachichotała, na szczęście Baumgardt tak się wczytał w jej szpitalny wypis, że nie zwrócił na to uwagi. W przeciwnym wypadku z pewnością by stwierdził, iż bardziej przydałby jej się pobyt na Olszówce, jak skrótowno określano bielski szpital psychiatryczny.

– Muszę stwierdzić, że jest pani swego rodzaju anomalią – odezwał się naraz, jakby zmuszony do reakcji jej myślami. – Według mojej wiedzy medycznej nie powinna była pani przeżyć. To naprawdę cud boski, że jest pani wśród nas.

– Gdy weźmie się pod uwagę fakt, że jestem ateistką, cud boski nie wydaje się prawdopodobny – skontrowała Diona. – Stawiałabym raczej na wiedzę i zaangażowanie operujących mnie lekarzy, a nie na interwencję sił nadprzyrodzonych.

Nie próbował polemizować z jej opinią, uśmiechnął się tylko i przeszedł do analizowania treści dokumentu:

– Najpierw postrzał w brzuch... Hmm... Krwotok wewnętrzny, poważne uszkodzenie jelit skutkujące zapaleniem otrzewnej. Samo to wystarczyłoby do wysłania rannego na tamten świat, a jednak po usunięciu całkiem sporego kawałka jelita udało się zahamować zakażenie. Musi mieć pani niebywale silny organizm. Jak wygląda obecnie kwestia przyjmowania pożywienia? Nadal tylko płyny i papki?

– Dwa tygodnie temu zaczęłam przechodzić na pokarm stały. Oczywiście na razie w grę wchodzi tylko potrawy lekkostrawne, ale jestem dobrej myśli, bo zmiana przebiegła całkowicie bezkolizyjnie. Żadnych bólei, wzdęć czy zaparć.

– To świetnie. Proszę zsunąć spodnie, chcę to zobaczyć.

Nie bardzo wiedziała, dlaczego chciał go obejrzeć; została skierowana na oddział rehabilitacji z innego powodu i wgąpanie się w przecięty blizną brzuch wydało jej się zbędne. Ale to Baumgardt był lekarzem, toteż bez sarkania spełniła jego polecenie.

Przyjrzał się uważnie długiej szramie z widocznymi jeszcze śladami po szwach, obmacał ciało po obu jej stronach i z satysfakcją pokiwał głową.

– Bardzo ładnie się zagoiło. Nie ma zrostów ani wklęśnięć. Odczuwa pani tutaj jakiś ból?

– Zewnętrznie nie, tylko czasami w środku, gdy za szybko wstaję z łóżka lub gwałtownie się wyprostuję.

Znowu pokiwał głową.

– Włączę pani dodatkowe ćwiczenia dla wzmocnienia mięśni brzucha.

Co prawda Diona już od półtora miesiąca wykonywała takie ćwiczenia, doszła jednak do wniosku, że nadzór fizjoterapeuty na pewno nie zaszkodzi.

– Dziękuję bardzo.

Skwitował jej słowa lekkim uśmiechem i wrócił do omawiania karty wypisowej.

– Wbrew pozorom druga rana wywołała większe komplikacje.

Zawiesił głos, zatem Dioniza postanowiła podjąć temat, choć mogła jedynie powtórzyć słowa lekarza prowadzącego z poprzedniego szpitala.

– Nie wydaje mi się. Kula trafiła w obojczyk i zrykoszetowała, ale ominęła żebra, płuca oraz ważniejsze arterie...

– Tak to wygląda z punktu widzenia lekarza wykonującego operację – przerwał jej Baumgardt. – Ja oceniam pod kątem powrotu do całkowitej sprawności. Pocisk spowodował wieloodłamowe złamanie obojczyka, dodatkowo w ranie znalazły się włókna z ubrania. Jestem pełen podziwu dla kunsztu moich kolegów po fachu, że udało im się poskładać ten obojczyk do kupy i jeszcze zapobiec zakażeniu. Długo leżała pani na oddziale?

– Niespełna miesiąc. Potem chodziłam na kontrolę, najpierw co tydzień, później rzadziej.

Odnotował ten fakt i wrócił do zadawania pytań.

– Widzę, że bardzo szybko włączono pani rehabilitację. Jakie to były ćwiczenia? Może pani pokazać?

Zademonstrowała to, co określała swoim osobistym zestawem tortur, a co mimo tej nazwy robiła systematycznie, choć niejedną raz miała ochotę rzucić ćwiczenia w diabły, nie mogąc dopatrzeć się żadnego postępu. Gdyby nie Szymon i Ratio, pewnie już dawno by się poddała, nie chciała jednak sprawić im zawodu. Tak bardzo w nią wierzyli, że nie mogła odpuścić.

– Chodziłam też na fizykoterapię. Pole magnetyczne, laser, krioterapia ... – wymieniała przepisane jej zabiegi. – Słyszałam, że prądy TENS dają doskonałe efekty, ale lekarz mi ich nie zlecił. Może tutaj...?

– Wykluczone! – Baumgardt pokręcił głową. – Obojczyk zespolono za pomocą metalowej płytki, która jeszcze nie została usunięta, wobec czego TENS-y nie mogą być brane pod uwagę. Zamiast tego proponuję basen. Hydroterapia przynosi jeszcze lepsze...

Głośny sygnał telefonu przerwał mu w połowie wypowiedzi. Lekarz odebrał, słuchał przez jakiś czas, a gdy się rozłączył, spojrział przepraszająco na Dionę.

– Niestety muszę panią teraz opuścić, ale proszę się nie niepokoić. Postaram się jeszcze dzisiaj wrócić i dokończyć wywiad, a w najgorszym razie zrobię to jutro przed śniadaniem. Życzę miłego pobytu i udanej rehabilitacji.

Wyszedł, a nowo przyjęta pacjentka zagapiła się na drzwi, za którymi zniknął. Potem wyjęła z szuflady paczkę papierosów, wraz z zapalniczką schowała do kieszeni bluzy i również opuściła pokój, doszła bowiem do wniosku, że rehabilitant nie pojawi się tak szybko. Najpierw będzie musiał skonsultować się z lekarzem, a to dawało jej czas na małego dymka.

Przekreśliła klucz w zamku i z czystym sumieniem skierowała się w stronę schodów.

Przed budynkiem stało kilka ławek, ale Diona minęła je i poszła dalej, bo wśród drzew zobaczyła następne. Usiadła na jednej z nich, z błogą miną wciągnęła dym w płuca i dopiero wtedy rozejrzała się po otoczeniu. Obiekt był piękny. Zadbany, zachwycał wielobarwnymi rabatami oraz zielenią licznych drzew i krzewów rosnących bez modnej ostatnio symetrii. Całość tchnęła takim spokojem, że wydała się kobiecie niemal nierealna.

– Tu na pewno sobie odpocznę od huku strzelnicy – mruknęła pod nosem. Potem doszła do wniosku, że przy jej charakterze pewnie już po tygodniu zacznie wariować z nudów. – Ale może trafi się jakiś trup lub inna atrakcja?

Parsknęła śmiechem, gdy dotarł do niej sens własnych słów, lecz zaraz spoważniała. *Obym nie powiedziała tego w złą godzinę* – pomyślała, gdy niepodziewanie przeszedł ją dobrze znany dreszcz. Zwiastował nadchodzące zagrożenie.

## Rozdział 2

### Kobieta w wirówce

8 września 2020

Poprzedniego dnia lekarz już nie wrócił, czym Diona niespecjalnie się przejęła, zwłaszcza że fizjoterapeuta nie dał jej czasu na rozmyślanie. Pojawił się wkrótce po jej powrocie ze spaceru, zaprowadził do sali i zagnał do ćwiczeń tak intensywnych, że wkrótce myślała tylko o tym, by wytrwać do końca i nie rozplakać się przy tym jak małe dziecko.

W pokoju padła na łóżko tak jak stała – w przepoconym dresie i tenisówkach, których nie miała siły zrzucić, i leżała pogrążona nie tyle we śnie, ile w czymś, czego nie umiała nazwać. Zachowała jasność myśli, zmysły rejestrowały dźwięki, zapachy i widok sylwetek przesuwających się za matową szybą w drzwiach, jednak nie stać jej było na żadną reakcję. Do życia przywróciło ją dopiero pojawienie się w pokoju na oko trzydziestopięcioletniej kobiety o sympatycznej twarzy i ciemnych włosach, wśród których przebłyskiwały niebieskie pasemka.

Nowo przybyła okazała się współlokatorką Dionizy, przebywającą w Klonowicach niewiele dłużej od Remańskiej. Gadatliwa z natury, łatwo nawiązująca kontakty Violetta Sablik zdążyła już poznać reguły rządzące szpitalem. Chętnie podzieliła się swoimi spostrzeżeniami, dzięki czemu Diona nie musiała o wszystko dopytywać pielęgniarek czy fizjoterapeutów.

Baumgardt przyszedł we wtorek rano, tuż przed śniadaniem, i natychmiast nawiązał do kwestii poruszanej tuż przed swoim nagłym wyjściem, jakby od ich rozmowy minęło zaledwie kilkadziesiąt sekund, nie godzin.

– Ma pani strój kąpielowy?

Diona spojrzała ze zdumieniem, zaraz jednak przypomniała sobie jego niedokończone zdanie o hydroterapii i ucieszyła się, że wrócił do tego tematu. Uwielbiała pływać, wiedziała też, że hydroterapia jest naprawdę bardzo skutecznym zabiegiem, nie miała natomiast pojęcia, że szpital w Klonowicach dysponuje basenem. Inna sprawa, że nie wczytywała się zbyt w informacje przedstawione na stronie internetowej, założyła bowiem, że wszystkiego dowie się na miejscu. Szczęściem od domu dzieliło ją raptem sześćdziesiąt kilka kilometrów, a Szymon na pewno zechce dzisiaj przyjechać i sprawdzić, czy już się zaadaptowała do nowych warunków i czy aby nie dzieje jej się krzywda.

– Nie mam stroju, ale mogę go mieć nawet dzisiaj.

– Najwcześniej będzie pani potrzebny dopiero jutro, bo zajęcia w basenie będzie pani miała w dni nieparzyste. – Lekarz włożył zapisaną maczką kartkę do skoroszytu i wstał. – Z mojej strony to wszystko. Po śniadaniu przyjdzie Nazar Kołojenko i przedstawi dokładny plan zajęć, bo wczorajsze były tylko rozpoznaniem. To wyznaczony na pani opiekuna fizjoterapeuta – wyjaśnił na widok jej zdezorientowania. – Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani jego ukraińska narodowość? Jest naprawdę świetnym fachowcem.

– Może sobie nawet być samojedem, byleby mi pomógł odzyskać sprawność – odburknęła, odebrawszy jego słowa jako posądzenie o nacjonalizm.

Baumgardt tylko się uśmiechnął.

– W razie jakichś problemów czy pytań proszę zgłaszać się do niego, pielęgniarek lub bezpośrednio do mnie. Życzę miłego pobytu.

– Dziękuję, panie doktorze.

Zmierzający w stronę drzwi mężczyzna przystanął i wykrzywił wargi w nieco kąpiącym grymasie.

– Wszyscy to mówią, po czym bardzo szybko zmieniają zdanie i życzą mi nagłej śmierci. Ciekawe dlaczego?

– Naprawdę? – Udała zdziwienie. – Co innego, gdyby życzyli śmierci rehabilitantowi. Ale panu? To niesprawiedliwe.

– Fizjoterapeutom też życzą rychłego zgonu, tyle że im w męczarniach. A jedna z pacjentek na pytanie, gdzie pracuje, popatrzyła znacząco i odpowiedziała, że w masarni przy rozbiórce półtuszy. – Zrobił przerażoną minę. – Aż nie śmiem spytać o pani miejsce pracy.

Uśmiech Diony mógł z powodzeniem stanowić wzór niewinności.

– Jestem instruktorem strzelectwa, ale bez obaw, rozwalam tylko tarcze i systemy nerwowe kursantów.

Lekarz nagle spowaźniał.

– Historia pani choroby dowodzi, że ktoś nie zrozumiał intencji i posunął się dalej. Bo na dziewczynę mafii pani nie wygląda.

– To komplement czy obelga? – prychnęła, wbrew sobie nieco poirytowana jego opinią.

Wiedziała doskonale, że nie powała urodą, ale czy doprawdy musiał mówić jej o tym wprost? Tym bardziej że nie była żadną paskudą, tylko całkiem zwyczajną kobietą. Ani piękną, ani brzydką, lecz przeciętną jak tysiące innych.

– Niech się pan nie obawia, że przywlokłam ze sobą kłopoty. Zaręczam, że jedyne, co może grozić moim towarzyszom niedoli, to obrzęk mózgu wywołany przedawkowaniem głupawych seriali i TVP Info.

Po zapewnieniu, że tylko żartował, lekarz wyszedł, a Dioniza podeszła do okna i wsłuchiwała się w bulgotanie strumyka przepływającego wzdłuż murów szpitala.

## 10 września 2020

Diona z cichym jękiem ułożyła się na kozetce i przyciągnęła obręcz pola magnetycznego, ustawiając ją w odpowiedniej pozycji. Na włączenie urządzenia musiała poczekać, to mogła zrobić tylko fizjoterapeutka.

Głośne burczenie w brzuchu zasygnalizowało zbliżanie się pory posiłku, wywołując leciutki uśmiech na twarzy Remańskiej. Jak szybko człowiek popada w rutynę! W domu jadała obiad o różnych porach, jednak nigdy przed czternastą, dlatego na wieść, że w szpitalu w Klonowicach główny posiłek podawany jest o dwunastej trzydzięci, pomyślała, że o tak wczesnej porze nie będzie w stanie przełknąć ani kęsa.

Jakże się myliła! Jeszcze tego samego dnia po pierwszych ćwiczeniach poczuła taki głód, że błyskawicznie rozprawiła się z zupą i zwolniła dopiero przy drugim daniu. Wtedy złożyła to na karb porannej głodówki (zgodnie z zaleceniem do przyjęcia na oddział stawiała się na czczo), ale następnego dnia historia się powtórzyła, w środę zaś, po półgodzinie spędzonej na ćwiczeniach w basenie, Diona była tak głodna, że aż kręciło jej się w głowie.

Dzisiaj jednak wypadła dzień parzysty i hydroterapia ograniczała się do wirówki, w dodatku ten zabieg miał się odbyć dopiero po obiedzie. Zatem jedynym wytłumaczeniem ssania w żołądku mogło być świeżo nabyte przyzwyczajenie. Oby tylko obsługująca urządzenia do fizykoterapii pani Renata szybko się pojawiła i włączyła pole, inaczej burczenie gotowe postawić w stan alarmu cały gabinet, symulując jakąś awarię.

Na szczęście energiczna, korpulentna fizjoterapeutka nie kazała na siebie długo czekać, dzięki czemu Diona wróciła do pokoju równo z wózkiem służącym do rozwożenia posiłków. Na stoliku stały już dwa talerze zupy jarzynowej, co stwierdziła z zadowoleniem po szybkim rzuceniu okiem na ich zawartość.

– Djakuju – zwróciła się do Oksany, nakładającej właśnie drugie danie.

– Proszu bardzo – odpowiedziała z uśmiechem Ukrainka.

Były w tym samym wieku, obie też miały za sobą trudny rozwód i być może dlatego od pierwszej chwili zapałyły do siebie sympatią. Często rozmawiały, przy czym Oksana starała się mówić po polsku, by doskonalić umiejętność posługiwania się tym językiem, Diona zaś próbowała nauczyć się ukraińskiego. Był przydatny, gdyż coraz więcej obywateli Ukrainy pracowało obecnie w Polsce, a możliwość porozumiewania się w ich ojczystym języku znacznie ułatwiała rozmowę. Remańska często mówiła też po rosyjsku, stwierdziwszy, że jest to doskonała okazja do przypomnienia sobie języka, który od czasów szkolnych poszedł niemal całkowicie w niepamięć, a którym Oksana posługiwała się dość poprawnie.

– Jak ręka? – spytała Ukrainka z żywym zainteresowaniem.

– Ręka – poprawiła ją Diona. – *Bolyt* – skrzywiła się lekko. – Ale to dlatego, że odzwyczaiłam się od wysiłku – wyjaśniła po rosyjsku, a Oksana skinęła głową i powtórzyła zdanie w swoim języku, wyraźnie wymawiając słowa.

Do pokoju weszła wspierająca się na kulach Viola i Ukrainka wróciła do swoich zajęć, uświadomiwszy sobie, że nie skończyła rozwozić obiadu.

Violetta z zapałem zabrała się do jedzenia. Została przyjęta na oddział rehabilitacji ogólnoustrojowej na krótko przed Remańską i początkowo również nie umiała się przestawić, ale jak wyznała Dionizie, wystarczyły zaledwie dwa dni, by zdążyła przywyknąć do nietypowej pory posiłków. Przez kilka minut słychać było tylko ciche podzwanianie łyżek o talerze, przerywane co jakiś czas głośniejszym siorbnięciem.

Naraz Diona odłożyła łyżkę.

– Masz jakieś plany na popołudnie?

Starsza o kilka lat współlokatorka również przerwała konsumpcję i skierowała na nią zaciekawione spojrzenie ciemnoniebieskich oczu.

– Pewnie, że mam. Łóżko, książka, kawa i rybki.

Na dźwięk ostatniego słowa Remańska się uśmiechnęła. Zdążyła już poznać Violetkę na tyle, by wiedzieć, że koleżanka pała nieokiełznaną wręcz miłością do małych krakersików, nie wiadomo dlaczego nazywanych przez nią rybkami, choć kształt żadnego z nich w najmniejszym nawet stopniu nie przypominał ryby. Skoro jednak Viola twierdziła, że są to rybki, ona absolutnie nie zamierzała z tym polemizować. W końcu nie była ichtiologiem.

– Czemu pytasz? – zainteresowała się Violetta. – Masz zamiar namówić mnie na wycieczkę albo tańce?

Jej wzrok znacząco powędrował w stronę opartych o ścianę kuli, na co Dioniza postukała się zgiętym palcem w czoło.

– Wariatka – stwierdziła z głębokim przekonaniem. – Dowiedziałam się, że w każdy czwartek w pomieszczeniu byłej stołówki odbywa się jakiś event. Za tydzień ma być odczyt pisarza na temat historii Klonowic, za to na dzisiejsze popołudnie zaplanowano karaoke. Może być śmiesznie. Poszłabym, ale samej mi się nie chce.

– No nie wiem. – Viola przełknęła kilka łyżek zupy. – W sumie mogę pójść, tylko że kompletnie nie mam słuchu i nie śpiewam nawet po pijaku. To się nazywa drugi stopień umuzykalnienia. – Na widok zagubienia Remańskiej wyjaśniła: – Pierwszy jest wtedy, gdy się rozpoznaje, czy śpiewają, czy nie. Przy drugim wiesz, czy robią to głośno, czy cicho.

– Przecież nikt nie każe ci śpiewać. Ale jak chcesz.

Wobec braku entuzjazmu Violetty Diona poniechała tematu i poświęciła całą uwagę posiłkowi, potem zabrała puste talerze i wyniosła na korytarz. Odstawiła je na stolik, sprawdziła poziom wody w ogólnodostępnym czajniku i wróciła po kubki, do których w tym czasie Viola zdążyła już wsypać stosowne porcje kawy. Pomyślała tęsknie o pozostawionym w domu ekspresie, lecz zaraz skierowała uwagę na inne tory. Nie powinna zaprzętać sobie głowy czymś, co w obecnej sytuacji było całkowicie nieosiągalne.

Violetta uśmiechnęła się z wdzięcznością, gdy Dioniza postawiła przed nią pełny kubek.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Piłabyś kawę na korytarzu albo poprosiłabyś któregoś z panów o pomoc – odparła Remańska i zawróciła, by przynieść drugi.

– Aż mi głupio, że tak cię wykorzystuję – kontynuowała Viola po jej powrocie. – Przeze mnie musisz chodzić dwa razy.

– Nie masz większych problemów? – prychnęła Remańska. – Niedługo zaczniesz śmigać na trzech nogach zamiast na czterech, a wtedy ty będziesz mnie obsługiwać. Ciesz się z tego, co jest, bo mogło być gorzej.

I rzeczywiście mogło. Podczas malowania sufitu Violetta spadła z drabiny i uszkodziła sobie biodro na tyle poważnie, że musiano wstawić jej endoprotezę. Uderzyła też głową o podłogę tak mocno, że doznała wstrząśnienia mózgu, a lekarze nie mogli wyjść z podziwu, że nie doszło do pęknięcia czaszki.

Diona pomyślała, że w jej przypadku także mogło być gorzej. Gdyby nie Ratio, pewnie zginęłaby z ręki zdesperowanego stalkera, pragnącego za wszelką cenę zachować w tajemnicy swoją tożsamość. A gdyby osaczony przez nią zabójca miał celniejsze oko albo trafił ją w głowę lub w szyję zamiast w obojczyk?



Wzdrygnęła się na tę myśl i jednocześnie poczuła złość na siebie, że okazała się tak beztroska. Mogła przecież przewidzieć, że on nie cofnie się przed niczym, nie miał wszak już nic do stracenia.

– Co się stało? – Głos Violki przywołał ją do rzeczywistości. – Masz taką minę, jakbyś zobaczyła ducha.

Dioniza sięgnęła po kubek z kawą, by nie musieć odpowiadać, i w tym momencie jej wzrok zahaczył o leżący na stole zegarek. Zerwała się w panice, złapała kartę zabiegową i pospieszyła do drzwi.

– Zapomniałam o wirówce – rzuciła przez ramię, wybiegając na korytarz.

\*

Niepotrzebnie tak się spieszyła. Przed nią z tej formy hydroterapii korzystał pacjent z poważną dysfunkcją ruchową, przez co jego zabieg trwał nieco dłużej. Zanim udało mu się wyjść z kąpeli, Remańska dotarła już na parter i musiała nawet trochę poczekać.

Po zdezynfekowaniu wanny terapeutka odkręciła kurki i zaprosiła Dionę do zajęcia miejsca, a potem ku jej miłemu zaskoczeniu oprócz funkcji masażu wirowego włączyła także program kąpeli perełkowej oraz automatyczny hydromasaż, chociaż tych zabiegów lekarz wcale pacjentce nie zlecił.

– Pewnie zapomniał, że to urządzenie może obsługiwać wszystkie programy jednocześnie – wyjaśniła fizjoterapeutka z przyjaznym uśmiechem, chowając pod zielony czepek z flizeliny niesforny kosmyk ciemnych włosów, wśród których jaśniało niebieskie pasemko. – A przecież wanna i tak jest zajęta, więc grzechem by było marnować taką okazję. Jak woda? Nie za ciepła?

– Idealna, pani Judyto. – Dioniza z błogim westchnieniem przymknęła powieki. – Jak w raj. Ten masaż jest naprawdę boski.

– Prawda? – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Kupię sobie taką wannę do domu, tylko najpierw muszę wygrać w totolotka.

Remańska odwzajemniła uśmiech, na moment otwierając oczy. Już miała zamiar zamknąć je ponownie, gdy dotarł do niej sens wypowiedzianych przez terapeutkę słów.

– Nie wiedziałam, że tego typu urządzenia są w powszechnej sprzedaży – zauważyła nie bez zdziwienia.

– W Castoramie czy Leroy Merlin pewnie ich nie ma, ale widziałam je w ofercie sklepów internetowych handlujących urządzeniami medycznymi. Tylko że taka wanna kosztuje trzydzieści pięć tysięcy. – Dziewczyna westchnęła z żalem. – Mniej dałam za samochód, a wanną trudno by było dojeżdżać do pracy.

Rozmawiały jeszcze przez kilka minut o zaletach hydroterapii, po czym terapeutka wróciła do swoich obowiązków, a Dioniza znowu oddała się we władanie błogiemu relaksowi. Sama nie wiedziała, kiedy opadły jej powieki, a umysł odpłynął daleko od rzeczywistości, dając się pochłoniąć sennym marzeniom.

Z lekkiej drzemki wybudziła ją pani Judyta, która przyszła sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, co miała zwyczaj robić mniej więcej w połowie zabiegu, czasem nawet częściej – i tak zdarzyło się również tym razem, gdy tylko bowiem Diona po raz kolejny zaczęła odpływać, ponownie usłyszała szelest rozsuwanej zasłony. Z trudem zmusiła się do otworzenia oczu, pewna, że to już koniec zabiegu, lecz zobaczyła tylko kobietą postać w zielonym fartuchu z flizeliny i wystający spod czepek ciemny kucyk z niebiskim refleksem.

Z zadowoleniem przyjęła fakt, że nie musi jeszcze opuszczać wanny, i znów zapadła w półsen, w czym wydatnie pomogły jej jednostajne buczenie urządzeń i dochodzące zewsząd bulgotanie wody. W pewnej chwili wydało jej się, że chlupot stał się głośniejszy, usłyszała też poirytowany kobiecy głos, lecz treść wypowiedzianych słów nie zdołała się przebić przez kokon otulający zamroczony drzemką umysł.

– Pobudka!

Remańska niechętnie wróciła do rzeczywistości i popatrzyła z wyrzutem na uśmiechniętą dziewczynę.

– To jest nieludzkie, budzić człowieka w takiej chwili. Akurat mi się śniło, że przyszedł do mnie mój facet. Rękę już miałam całkiem sprawną...

– Nie wiem, czy chcę słyszeć, co było dalej – parsknęła Judyta.

Diona wyszła z wanny i stanęła na dostawionych schodkach.

– Niestety nie mam co opowiadać, bo dalszego ciągu nie było. Wszystko przez tę bestialską pobudkę. Tak się ludziom nie robi, to naprawdę było niehumanitarne – powiedziała z udawaną pretensją i wolno ruszyła w dół.

Terapeutka znów się uśmiechnęła, nie odrywając od niej uważnego wzroku. Najwyraźniej sprawdzała, czy pacjentka poradzi sobie sama, bo po kilku sekundach poniechała obserwacji i odwróciła się, by opuścić pomieszczenie.

– Proszę mnie zawołać, gdyby coś się działo.

Zniknęła za zasłoną, a Remańska podjęła walkę z opornym strojem kąpielowym, uparcie czepiającym się ciała. Pozbyła się go z wielkim trudem i właśnie zaczęła się wycierać, gdy dobiegł ją pełen troski głos Judyty:

– Pani Igo?! Co się stało? Źle się pani czuje? – Po chwili troska zmieniła się w przerażenie: – O mój Boże!

Dioniza rzuciła ręcznik w kałużę wody u swoich stóp, złapała szlafrok i wbiła ręce w rękawy, po czym ruszyła w stronę źródła dźwięku, łapiąc po drodze powiewające poły. Założyła je jedna na drugą i ściągnęła się paskiem, by nie tracić czasu na zapinanie guzików. Później doprowadzi garderobę do porządku.

Stanowisko zabiegowe, znajdujące się na samym końcu, po prawej stronie długiego pomieszczenia do hydroterapii, jako jedyne miało odsuniętą zasłonę i oczom Dionizy od razu ukazała się Judyta, która właśnie uniosła głowę siedzącej w krótkiej wannie pacjentki, odsłaniając zanurzoną dotychczas twarz, z której spoglądały szeroko otwarte, niewidzące oczy. Terapeutka jakby tego nie zauważyła i podjęła próbę jej ocucenia. Niepotrzebnie. Remańskiej wystarczyło jedno spojrzenie na ociekające wodą oblicze i na malujący się na nim wyraz przerażenia, by wiedzieć, że na jakiegokolwiek działania resuscytacyjne jest już za późno.

Weszła do środka, odsunęła na bok terapeutkę i przyjrzała się uważnie martwej kobiecie, potem z westchnieniem rezygnacji pomyślała, że oto los znów z niej zakpił. Obiecała przecież Szymonowi, że na jakiś czas będzie trzymała się z dala od kryminalnych historii. Naprawdę miała zamiar dotrzymać przyrzeczenia, widocznie jednak przeznaczenie zaplanowało dla niej inny scenariusz i postawiło na jej drodze zwłoki, by broń Boże nie zapomniała, że była policjantką, a obecnie nosi w torebce licencję prywatnego detektywa.

*Na szczęście to nie moja sprawa, bo nikt mnie nie wynajął* – uświadomiła sobie w porę. Zwróciła się w stronę Judyty i od razu zauważyła, że dziewczyna pod wpływem szoku całkowicie utraciła zwykłą energię i tępym wzrokiem wpatruje się w martwą kobietę. Z chwilą, gdy zaprzestała niemogącej przynieść żadnego efektu resuscytacji i zaniechała podtrzymywania głowy pacjentki, ciało natychmiast wróciło do poprzedniej pozycji. Głowa opadła między kolana, a twarz denatki ponownie zanurzyła się w wodzie.

– Pani Judyto, ma pani telefon?

Terapeutka nie odpowiedziała. Nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku poza jednostajnym cichym zawodzeniem i trzeba było dopiero krzyku, by wróciła jej jakaś taka zdolność myślenia. Nadal milczała, ale jej ręka jakby bez udziału woli właścicielki sięgnęła pod flizelinową osłonę i wydobyła komórkę z tylnej kieszeni džinsów.

– Niech pani zadzwoni do lekarza dyżurnego, a potem po kogoś, kto mógłby pani pomóc. – Na widok braku zrozumienia malującego się w dalszym ciągu na twarzy dziewczyny Dioniza dodała ostro: – Ma pani pacjentów, którymi trzeba się zająć. Wyłączyć te wszystkie urządzenia, a potem poprosić, żeby dla dobra śledztwa nikt nie opuszczał terenu szpitala. Ale to ostatnie raczej powinien zrobić lekarz dyżurny.

Judyta nie ruszyła się z miejsca. Stała jak wmurowana, nie odrywając pełnego grozy spojrzenia od martwej pacjentki, i tylko co jakiś czas mrugała nerwowo, jakby chciała się przekonać, czy wzrok jej nie myli. Nie zareagowała w żaden sposób na słowa Dionizy i dopiero krzyk skierowany prosto w odsłonięte ucho wyrwał ją z transu.

Terapeutka wzdrygnęła się i popatrzyła z niedowierzaniem na Remańską.

– Ona naprawdę nie żyje?

Diona początkowo zachowała spokój, choć najchętniej potrząsnęłaby Judytą, zmuszając ją tym samym do szybszego działania. Od tak radykalnej reakcji powstrzymywała ją jedynie świadomość, że nie dla każdego natykanie się na zwłoki stanowi chleb powszedni, a większość ludzi nie natrafia na nie przez całe życie.

– Naprawdę nie żyje. Proszę powiadomić lekarza dyżurnego. Natychmiast! – rzuciła ostro, gdy terapeutka nawet nie drgnęła.

Kategoryczny ton i podniesiony głos wreszcie przebiły się do świadomości dziewczyny, pokonując otepienie. Judyta drżącymi palcami wyszukała w kontaktach odpowiedni numer i przekazała informację o wypadku. Dioniza zachnęła się na to określenie sugerujące brak udziału osób trzecich, ale zdołała przełknąć słowa cisnące się na usta. Dyskusowanie z przerażoną i zszokowaną terapeutką miało się z celem.

Po niespełna trzech minutach do pomieszczenia weszła ładna kobieta w lekarskim kitlu, z sięgającymi ramion ciemnymi włosami. Remańska zastanawiała się przez jakiś czas nad nazwiskiem nowo przybyłej, nim przypomniała sobie usłyszane od którejś z pacjentek personalia. To była ordynatorka, Bernadetta Leśniak-Malinowska.

Lekarka bez zbędnych pytań pochyliła się nad wanną, by zbadać pacjentkę, w następnej zaś chwili spojrzała na Remańską, dającą jej dyskretne znaki, by popatrzyła na ramiona martwej kobiety. Zerknęła więc na obnażone ciało, osłonięte jedynie ramiączkami stroju kąpielowego, i lekko skinęła głową na potwierdzenie przypuszczenia.

– Wydaje mi się pani osobą kompetentną w zakresie postępowania przy tak nietypowym zdarzeniu – zauważyła ostrożnie, a gdy odnotowała wyrażone gestem przytaknięcie, spytała już otwarcie: – Co powinnam zrobić? Jest jakaś ustalona kolejność?

Oprócz stosownej do sytuacji powagi w jej głosie pojawiła się ciekawość, co wywołało lekki uśmiech Dionizy. Zachowanie lekarki było całkiem naturalne.

– Proszę zadbać, żeby nikt nie opuścił szpitala, dopóki policja na to nie zezwoli. Podejrzewam, że będą chcieli przesłuchać wszystkich...

– Wszystkich?! – wykrzyknęła Leśniak-Malinowska ze zgrozą. – Wie pani, ilu mamy pacjentów? Na samej ogólnoustrojowej jest obecnie...

– Miałam na myśli personel oraz tych pacjentów, którzy akurat mieli wątpliwe szczęście tutaj przebywać – weszła jej w słowo Diona. – Pacjenci raczej szpitala nie opuszczą, nie przypuszczam też, że sprawcą jest ktoś poruszający się na wózku lub o kulach. Ale mogli zauważyć coś nietypowego. Albo usłyszeć, choć to jest raczej nieprawdopodobne.

Lekarka nie traciła czasu na zbędne pytania.

– Zaraz się tym zajmę.

Natychmiast wprowadziła słowa w czyn, ruszając energicznie do wyjścia z telefonem przy uchu. Remańska przez kilka sekund przysłuchiwała się poleceniom wydawanym nawykłym do rozkazywania głosem. Gdy ten przycichł, przeniosła uwagę na fizjoterapeutkę, nadal tkwiącą bez ruchu, jakby zespaną ze ścianką kabiny. Już chciała ją poprosić, by zadzwoniła pod numer alarmowy i powiadomiła o śmierci pacjentki, lecz zrezygnowała, ujrawszy nadal całkiem puste oczy dziewczyny. Wyjęła komórkę z bezwładnej, niestawiającej żadnego oporu dłoni i wybrała numer sto dwanaście.

## Rozdział 3

### Jedyna, której zależy

10 września 2020

– Powiedziała pani do telefonu, że zgłasza zabójstwo, a to przecież nieprawda. Pani Pokrzywy nikt nie zabił, na pewno umarła na zawał.

Dioniza drgnęła na dźwięk pełnych gniewu słów i spojrzała w stronę źródła głosu. Najwyraźniej terapeutka zdołała wreszcie przezwyciężyć otępienie wywołane szokiem i przekuła je w złość, patrzyła bowiem z taką pretensją, jakby to właśnie stojąca przed nią kobieta była winna zaistniałej tragedii. Remańska nie poczuła z tego powodu urazy, zaskoczona także nie była. Niejednokrotnie spotykała się z podobną reakcją podczas powiadamiania rodziny o zgonie bliskiej osoby, wiedziała więc, że tym, co zostali, łatwiej jest przyswoić informację o nieszczęściu, gdy mogą kogoś o nie obwinić. Czyli najczęściej osobę przynoszącą złe wieści.

– Nawet gdyby tak było, musi pani zająć się innymi pacjentami, zanim całkiem rozpuszczą się w wodzie – odpowiedziała, nie tracąc spokoju. – O, proszę posłuchać – dodała, gdyż istotnie z kilku boksów dochodziły zniecierpliwione okrzyki.

Judyta zagryzła wargi i niepewnie zrobiła krok naprzód.

– Wezwać kogoś do pomocy, wypuścić pacjentów i dopilnować, żeby nikt tutaj nie wszedł – wymamrotała i wreszcie opuściła kabinę.

Pozostawiona sam na sam z denatką Diona skorzystała z okazji, że w pomieszczeniu do hydroterapii jeszcze panuje spokój, i również wyszła z boks. Rozejrzała się za jakimś krzesłem, niczego takiego jednak nie zauważyła, a nie chciała ruszać tego, które stało w kabinie, przysiadła więc na parapecie znajdującym się tuż obok miejsca zbrodni. Wiedziała, że w razie próby wtargnięcia zdąży zareagować i jej zapobiec.

Wkrótce miała okazję się przekonać, że zajęcie strategicznego miejsca było ze wszech miar słuszne. Wraz z powracającą Judytą do pomieszczenia weszły dwie inne kobiety. Nie wykazały najmniejszego zainteresowania coraz bardziej podenerwowanymi pacjentami, za to koniecznie chciały zajrzeć do boks, gdzie znajdowały się zwłoki Igi Pokrzywy.

– Myślałam, że po osobach związanych z ochroną zdrowia można oczekiwać większego rozsądku – warczała Dioniza, własną pierś broniąca im dostępu. – To jest miejsce zbrodni, nie wolno go zanieczyścić. Kurwa mać, przestańcie! – wrzasnęła, gdy któraś z terapeutek popchnęła ją w desperackiej próbie przedostania się do środka. – Każdy, kto tam wejdzie, z automatu stanie się podejrzany i policja na pewno go zatrzyma do wyjaśnienia.

Wymyślone na poczekaniu kłamstwo wreszcie podziało i kobiety zajęły się poirytowanymi pacjentami. Powtórzyły im też prośbę Remańskiej, by udali się do swoich pokojów i nie opuszczali budynku szpitala do czasu przyjazdu policji, a później ze złośliwym uśmiechem słuchały utyskiwań, gęsto okraszanych przekleństwami, pretensje bowiem adresowane były głównie do autorki tego poronionego, ich zdaniem, pomysłu.

Diona ze spokojem przyjmowała niepoehlebne opinie na temat swoich władz umysłowych, uwagi o naruszaniu swobód obywatelskich, a nawet groźby pozwania jej z powodu bezprawnego pozbawienia wolności. Terapeutki niemal słowo w słowo powtórzyły to, co powiedziała Judycie, toteż w ich wypowiedziach ani razu nie znalazło się sformułowanie świadczące o przymusie. Nie jej wina, że pacjenci zrozumieli je inaczej, interpretując w sposób dający pretekst do zrobienia awantury oraz do pochwalenia się znajomością prawa.

Czas mijał, a ekipa śledcza się nie pojawiała. Zaintrygowani słowami terapeutki pacjenci, poirytowani niemożnością natychmiastowego zaspokojenia ciekawości, przedłużali w nieskończoność pobyt w kabinach, celebując przebieranie się, i dyskutowali głośno przez cienkie ścianki kabin, nakręcając się

wzajemnie. Remańska zdawała sobie sprawę z tego, że w każdej chwili któryś z nich może uznać, iż dosyć już tego posłuszeństwa, i złamać narzucony przez nią reżim niezbliżania się do ostatniego boksu, a wtedy nie zdoła powstrzymać innych przed pójściem w jego ślady. Jak to się nazywa? Odwaga grupowa czy jakoś tak...

– Dosyć tego! – wrzasnęła pacjentka z którejsz ze środkowych kabin po lewej stronie. – Nie będą nas trzymać z dala od informacji. Żyjemy w wolnym kraju i mamy prawo wiedzieć, co się dzieje. Mam w dupie wszystkie zakazy!

Zahurgotały karniszowe kółka pociągniętej gwałtownie zasłony, zza której wyjrzała przyodziana w purpurowy szlafrok pacjentka. Postąpiła krok naprzód i rozejrzała się wokół z gniewną miną. Zrobiła kolejny krok, ale na widok groźnych błysków w oczach Diony zawahała się i przystanęła niepewnie. Remańska natychmiast to wykorzystała i odezwała się półgłosem do kobiet w fartuchach z zielonej flizeliny:

– Każcie im wracać do pokojów, chyba że chcecie tłumaczyć się przed policją.

– Dlaczego muszą wracać? I czemu my mamy im to powiedzieć? Pani nie może? – pytały jedna przez drugą. Ich sympatia wyraźnie stała po stronie pacjentów, to z nimi się identyfikowały, traktując ich jako towarzyszy niedoli.

– Bo ja tu nie mam żadnej władzy, dlatego mogą zlekceważyć moje słowa. Za to was muszą posłuchać – warknęła Dioniza.

Bezmyślność i brak wyobraźni terapeutek doprowadzały ją do szału, tym bardziej że jeszcze nie skończyła mówić, a już zauważyła pełne satysfakcji miny dwóch kobiet. Z łatwością się domyśliła, co zaraz usłyszy, nim jeszcze otworzyły usta.

– Sama słyszałaś, Juta – odezwała się starsza z nich. – Niepotrzebnie wykonujesz jej rozkazy, ona nie ma prawa niczego nam kazać.

Niespodziewanie Judyta opowiedziała się po stronie Diony.

– To jest miejsce zbrodni i nie wolno go zanieczyścić – powtórzyła niemal słowo w słowo jej wypowiedź.

Rozgorzała gwałtowna kłótnia, do której włączyła się kobieta w purpurowym szlafroku, a po niej inni pacjenci. Ze słów Judyty wywnioskowali, że w ostatnim boksie znajdują się zwłoki, i świadomość tego podzieliła ich na dwie frakcje. Jedna poparła ciekawskich, druga przyznała rację Dionizie i uważała, że powinni opuścić pomieszczenie.

Spokój przywróciło dopiero pojawienie się Bernadetty Leśniak-Malinowskiej. Ordynatorka ogarnęła wzrokiem rozsierzdzone towarzystwo i kilkoma ostrymi słowami przywróciła porządek, nakazując pacjentom natychmiastowe opuszczenie sali. Usłuchali bez sprzeciwu i nie minęła nawet minuta, a w pomieszczeniu zostały tylko Remańska i cztery pracujące w szpitalu kobiety. Lekarka wolno przenosiła wzrok z jednej na drugą, z dezaprobatą kręcąc głową.

– Wasze zachowanie było poniżej wszelkiej krytyki – oznajmiła w końcu. – Wrzaski i wyzwiska, jeszcze trochę, a doszłoby do rękoczynów, a wszystko po to, żeby zobaczyć martwą pacjentkę. Wstyd mi za was. Nie dziwię się chorym, ale wy?

– Pani doktor, to jej wina. – Najstarsza z kobiet wskazała Dionizę. – Jestem przełożoną fizjoterapeutów i powinnam wiedzieć o wszystkim, a ta pani chciała mi to uniemożliwić, chociaż nie miała do tego prawa.

– Anka ma rację – poparła ją koleżanka. – Całą tę awanturę sprowokowała ta pacjentka. Chyba jej się wydaje...

– Dosyć – przerwała jej Leśniak-Malinowska. – Pani Marzeno, lepiej niech pani nic nie mówi, bo każde słowo coraz bardziej was pogrąża. Co w ogóle robicie na hydroterapii? No, słucham, pani Ziębińska. Jako przełożona powinna pani wiedzieć, że opuszczanie swojego stanowiska na tak długo jest niedopuszczalne.

Anna Ziębińska spojrzała na nią wyzywająco.

– Judyta nas wezwała, żebyśmy jej pomogły ogarnąć pacjentów.

– A konkretnie?

– Noo... Pomóc im opuścić urządzenia i poinformować czekających, że zaplanowane na dzisiaj zabiegi się nie odbędą.

Zaczęła głośno, lecz pod wpływem ironicznego wzroku lekarki głos cichnął, stawał się coraz mniej pewny.

– Dlaczego zatem na korytarzu czekała grupa pacjentów i dopiero ja musiałam im powiedzieć, że zabiegi zostały przełożone? – spytała Leśniak-Malinowska lodowatym głosem. – To też wina pani Remańskiej?

Ziębińska aż poczerwieniała z gniewu.

– Nie jestem pani podwładną i nie ma pani prawa tak mnie traktować. Nie życzę sobie, żeby ktoś podważał mój autorytet, opieprzając mnie w obecności podległych mi pracowników. Poszukajcie sobie innej naiwniaczki, która będzie harować za te marne grosze. Ja mam dość. – Posłała lekarce nienawistne spojrzenie i popatrzyła pytająco na koleżankę. – Marzena, idziesz ze mną? W „Rehabicie” przyjmą nas z pocałowaniem ręki.

Marzena starannie unikała jej wzroku i nawet nie drgnęła, gdy Ziębińska ponowiła wezwanie. Ordynatorka uśmiechnęła się drwiąco.

– Pani Florczak chyba jednak ma wątpliwości co do tego całowania w rękę. A może pani Wahlewicz ma ochotę?

Popatrzyła na ładną, młodziutką fizjoterapeutkę, jedyną, która zachowała kompletne milczenie. Teraz także się nie odezwała, ale raczej nie z braku chęci. Ziębińska nie dopuściła jej do głosu i sama odpowiedziała lekarce:

– Karina już się zadeklarowała, że przejdzie razem ze mną. Prawda, Kari, że też odchodzisz, zamiast pozwalać sobą pomiatać?

Zagadnięta uśmiechnęła się krzywo.

– Nie przypominam sobie, żebyś składała jakieś deklaracje, chyba że do skarbowego – oświadczyła z mocą. Zignorowała gniewne syknięcie Ziębińskiej i mówiła dalej, a w jej głosie brzmiała niekłamana satysfakcja, gdy otwarcie kwestionowała prawdomówność przełożonej. – Jedyną osobą, która mną tutaj pomiatała, jesteś ty. Nie dalej jak rano nazwałeś mnie niedoukiem, a teraz oczekujesz, że rzucę dobrą pracę, bo chcesz zrobić komuś na złość? Sorry, Anka, ale z tobą nie przesłabym nawet za dychę miesięcznie.

Ziębińska poczerwieniała z wściekłości. Nie mogąc inaczej się wyładować, zrobiła zamaszty zwrot, chcąc odejść, zatrzymały ją jednak słowa lekarki:

– Nie radzę teraz wychodzić. To i tak nic nie da, bo drzwi są zamknięte.

– To już są, kurwa, szczyty!

Naraz wspomniane drzwi otworzyły się na całą szerokość i do pomieszczenia wkroczyli dwaj mężczyźni w granatowych mundurach, poprzedzający dwóch innych, dla odmiany przyodzianych w cywilne ubrania.

– Która z pań to Dioniza Remańska?

Diona zeskoczyła z parapetu i podeszła do pytającego, który oparł się o futrynę i lustrował wzrokiem pomieszczenie. Po pacjentach zaglądających ciekawie przez uchylone drzwi tylko się prześlizgnął, podobnie zresztą jak po czterech kobietach, w których musiał domyślić się personelu medycznego, ale Dioniza była całkiem pewna, że jego czujnie spoglądającym szarym oczom nie umknął najmniejszy szczegół.

– To ja.

– Zgłosiła pani zabójstwo. Gdzie są zwłoki?

– W ostatniej kabinie po prawej.

Wyminął Dionizę i poszedł we wskazane miejsce, a za nim podążył drugi cywil z charakterystyczną walizką w dłoni. Mundurowi natomiast pozostali na miejscu. Stanęli przy drzwiach z dłońmi na kaburach pistoletów, co tak ją rozbawiło, że z trudem powstrzymała się od śmiechu. Czyżby naprawdę żywili obawę, że któraś z kobiet się na nich rzuci? A może myśleli, że boksy nadal są zajęte, i bali się ataku ze strony niedomagających pacjentów, w dodatku w większości gołych pod szlafrokami?

Mimo to Diona odetchnęła z ulgą na widok ich zdecydowanych działań i pomyślała, że podobnie musieli się czuć mieszkańcy obleganej twierdzy, gdy wreszcie przybyła odsiecz. Ucieszona przejęciem odpowiedzialności za miejsce zbrodni przez powołane do tego służby, ruszyła śladem cywili, lekceważąc słowa mundurowego, każące jej pozostać na miejscu. Chciała jak najszybciej mieć za sobą pierwszą rozmowę, by móc wrócić do pokoju i wreszcie zrzucić z siebie tę wilgotną szmatę, bardziej teraz chłodzącą niż dającą poczucie ciepła i przytulności. Ubrać się jak człowiek i rozmawiać bez skrępowania wywołanego świadomością, że pod cienkim, częściowo mokrym szlafrokiem jest zupełnie naga.

Umundurowany policjant z winklami na pagonach dopadł ją w chwili, gdy stanęła przy rozsuniętej szeroko zasłonie wspomnianej wcześniej kabiny, i chwycił za ramię. Pech chciał, że za prawe i że właśnie w tym momencie Remańska zrobiła krok naprzód. Nagłe szarpnięcie sprawiło, że aż zawyla z bólu. Na ten odgłos jeden z funkcjonariuszy ubranych po cywilnemu odwrócił się gwałtownie i spojrzął gniewnie na sierżanta.

– Zgłupiałeś, Węgrzyn? Co ty wyprawiasz?

– Ale ja tylko chciałem ją powstrzymać. Naprawdę nic takiego nie zrobiłem... – tłumaczył się nieporadnie.

Pod wpływem oskarżającego wzroku cywila mówił coraz ciszej, aż słowa przeszły w niezrozumiałe mamrotanie. Dionie zrobiło się go szkoda.

– Nic się nie stało. Sierżant nie mógł wiedzieć, że boli mnie bark, w końcu nie mam schorzenia wypisanego na czole.

Mężczyzna porzucił świdrowanie podwładnego oczami i przeniósł je na kobietę, a sierżantowi dał znać gestem, że powinien ich zostawić i wrócić do wyznaczonych zajęć.

– Zaczniź zbierać podstawowe informacje od obecnych tutaj pań – polecił sierżantowi. – Nazwisko i imię na razie wystarczą, bo to chyba wszystko są pielęgniarki?

Pytanie skierował do Diony. Pokręciła głową.

– Akurat pielęgniarek tutaj nie ma. Panie w zielonych fartuchach to fizjoterapeutki, a pani w białym jest lekarką – wyjaśniła, lecz funkcjonariusz nadal nie odchodził.

– Mam sprawdzić ich dokumenty?

– Ochu...! – Cywil urwał, zerknął na Remańską i szybko się poprawił: – Zgłupiałeś? Myślisz, że noszą dowody w fartuchach? Uprzedź, że później będę chciał z nimi rozmawiać, a teraz tylko zbierz nazwiska i rozpuść to towarzystwo, bo własnych myśli nie słyszę w tym jazgocie. Aha, zadzwoń do Karpa i upewnij się, że szpital jest zamknięty i nikt się nie wydostanie na zewnątrz. To na razie wszystko.

Dioniza pomyślała, że jeśli się wydostawać, to raczej nie do wewnątrz, ale nie skomentowała wypowiedzi nieznanego ani z nazwiska, ani ze stopnia policjanta, którego mina i zachowanie świadczyły o braku poczucia humoru. Przez cały czas czuła na sobie jego ciężki, pełen podejrzliwości wzrok, dlatego wolała się nie wychylać.

Sierżant odszedł, a wtedy uwaga mężczyzny przeniosła się na stojącą przed nim kobietę. Zlustrował ją od stóp obutych w kąpielowe klapki aż do skołtunionych włosów spiętych w nieporządny kucyk. Całości niezbyt pięknego obrazu dopełniał intensywnie fioletowy szlafrok, wiszący na niej niczym na wieszaku.

– Pani Remańska... dobrze zapamiętałem nazwisko? Mam kilka pytań, ale to za chwilę. Zadzwoń do dyżurnego – zwrócił się do kolegi pochylonego nad denatką – i spytaj, kiedy przyjedzie jakiś lekarz. I prokurator – dorzucił, wychodząc z boksu. Podszedł do parapetu i rozłożył na nim notatnik. – Pani jest pacjentką? Dlaczego w takim razie akurat pani zadzwoniła pod sto dwanaście? To pani znalazła zwłoki?

– Czy nie powinien się pan najpierw przedstawić? Bo jakoś tak głupio mi rozmawiać, kiedy nie znam ani nazwiska, ani stopnia.

Powiedziała to z uśmiechem, by nie pomyślał, że go poucza.

– Ma pani rację. Komisarz Jakub Zapata. Tak lepiej?

– Zdecydowanie. – Skinęła głową z aprobatą. – Wracając do pana pytań, to owszem, jestem pacjentką, a dlatego to właśnie ja zadzwoniłam, bo terapeutka całkiem straciła głowę, gdy się zorientowała, że pacjentka nie żyje.

Zapata odnotował informację i przez kilka sekund wpatrywał się w Dionę nieruchomym spojrzeniem, jakby oceniał jej prawdziwość.

– Ale pani nie straciła głowy.

Nie było to pytanie, dlatego kobieta zachowała milczenie. Komisarz zachnął się lekko, lecz w żaden sposób nie odniósł się do jej zachowania, przeszedł natomiast do następnej kwestii:

– Pani jest lekarzem?

– Nie jestem, ale umiem rozpoznać, że ktoś nie żyje. Poza tym to nie ja stwierdziłam zgon, tylko zrobiła to doktor Leśniak-Malinowska.

Skinął głową, przyjmując informację do wiadomości, potem zapisał coś w notatniku, zerkając przy tym ukradkiem na Dionę.

– Dlaczego zgłosiła pani zabójstwo, a nie na przykład nagłe zasłabnięcie, wypadek czy śmierć samobójczą?

Spoglądał podejrzliwie spod zmrużonych powiek. Dioniza zmełła przekleństwo i sięgnęła do głęboko ukrytych pokładów cierpliwości.

– Nie sądzę, by można było w taki sposób skutecznie targnąć się na własne życie – odpowiedziała spokojnie. – Widział pan, w jakiej pozycji znajduje się denatka? Żeby się utopić, musiałaby zrobić głęboki skłon, wcisnąć głowę między kolana i zanurzyć twarz w wodzie. Niby jest to wykonalne, ale trzeba by jeszcze wytrwać w tej pozycji i pozwolić, by woda dostała się do płuc. Nie jestem specjalistką, ale wydaje mi się, że zadziałałby odruch bezwarunkowy nakazujący uniesienie głowy. Poza tym... – Urwała nagle.

Nie wiedziała, czy powinna wspominać o tym, co z pewnością sam zdążył zauważyć. Nie znosiła ludzi z miną odkrywcy wygłaszających prawdy oczywiste i obawiała się, że Zapata gotów zaliczyć ją do ich grona. Policjant jednak nie dał jej wyboru, gdyż natychmiast zaczął się domagać, by dokończyła zdanie.

– Poza tym co?

Powtórzył to już drugi raz i nie widziała innego wyjścia, jak odpowiedzieć.

– Przy zasłabnięciu czy samobójstwie nie miałyby podbiegnąć krwawych na ramionach i karku. – Zauważyła jego zdziwienie i wyjaśniła, jak się okazało, całkiem niepotrzebnie: – Miałam na myśli sińce i ślady po paznokciach.

– Wiem, co to są podbiegnięcia krwawe – burknął. – W jaki sposób według pani miałyby świadczyć o zabójstwie?

– Jeżu kolczasty! – Nie zdołała opanować zniecierpliwienia. – Pan na pewno jest policjantem? Przecież to oczywiste, że sama sobie tego nie zrobiła, przypadkowo też takie sińce na pewno nie powstały.

– Co w związku z nimi?

Wprawdzie komisarz zapunktował, gdy pominął jej niezbyt dyplomatyczną uwagę, jednak przez ostatnie pytanie znowu stracił to, co przed chwilą zyskał, i Diona miała ochotę demonstracyjnie wznieść oczy do nieba.

– Takie obrażenia mogły powstać tylko dlatego, że ktoś ją do tej wody wepchnął. Nie rozumie pan? Chwył za kark i włożył jej głowę pod wodę, a potem przytrzymał za ramiona, żeby nie mogła się uwolnić.

Mężczyzna obrzucił ją nieodgadnionym spojrzeniem.

– Uznała mnie pani za idiotę – stwierdził z wyrzutem. – A ja zadałem te wszystkie pytania dlatego, że bardzo mnie ciekawi, skąd pani ma taką wiedzę. Podobno nie ma pani nic wspólnego z medycyną. To może z policją?

Dioniza się zawahała, niepewna, co powinna odpowiedzieć, żeby nie skłamać, a jednocześnie nie zdradzić o sobie zbyt wiele. Nie miała ochoty po raz kolejny wyjaśniać, dlaczego zrezygnowała, a z pewnością musiałaby to zrobić, gdyby komisarz się dowiedział, że była policjantką. Na szczęście użył czasu terażniejszego, zatem zaprzeczenie nie będzie kłamstwem. Poza tym nie zeznawała do protokołu.

– Z policją także nie mam nic wspólnego.

Odniosła wrażenie, że jej nie uwierzył. *Pewnie zauważył moment zawahania* – stwierdziła w myślach ze skierowaną ku sobie złością, że przez głupie niezdecydowanie musi powiedzieć więcej, niż zamierzała.

– Chyba że znajomi policjanci też się liczą do tego wspólnego – wybrnęła gładko.

Okraśliła wypowiedź jednym z bogatej kolekcji uśmiechów przygotowanych na niemal każdą okazję. Ten użyty teraz miał oznaczać, że jest nie tylko lekko zdziwiona, ale również mile zaskoczona okazanym zainteresowaniem, zdecydowanie wykraczającym poza wymuszoną sytuacją dociekliwość. Nieśmiały, a jednocześnie pełen nadziei, powinien zniechęcić komisarza do zadawania pytań o sprawy osobiste, wzbudzić obawę, że w przeciwnym razie gotowa jest spodziewać się po ich przypadkowej znajomości zbyt wiele.

Uśmiech najwyraźniej prawidłowo odegrał swoją rolę, gdyż Zapata porzucił nieistotne dla śledztwa kwestie i przeszedł do właściwego tematu.

– Kto jako pierwszy wszedł do tego pomieszczenia? Pani?

– Nie miałam powodu, by tam zaglądać, zresztą wychodziłam dopiero z wanny.

Wyjaśniła zwięźle, na czym polegał zabieg, i opowiedziała, dlaczego znalazła się w boksie zajmowanym przez Ięgę Pokrzywę.

– Ta Judyta ma jakieś nazwisko?



Uśmiechnęła się na tak sformułowane pytanie.

– Jakież ma na pewno, ale ja go nie znam. Niech pan tak nie patrzy! Po co miałabym kłamać? To cud, że w ogóle ją rozpoznaje, bo jestem tu dopiero czwarty dzień, a tych wszystkich ludzi nigdy wcześniej nie spotkałam.

– Rozumiem – mruknął ze zniechęconą miną. Po krótkim zastanowieniu spróbował inaczej: – A może rzuciło się pani w oczy coś nietypowego? Na przykład zobaczyła pani kogoś, kogo nie powinno tu być? Proszę się zastanowić. To naprawdę bardzo ważne.

– W ogóle nikogo nie widziałam. – Na widok niedowierzania w oczach policjanta dodała: – Zabójca musiał pojawić się wtedy, gdy leżałam w wannie. Zasłona jest wtedy zaciągnięta, a jak sam może pan zauważyć, jest kompletnie nieprzezroczysta i sięga do samej podłogi. Nawet gdybym patrzyła w tamtym kierunku, nie miałabym prawa nic dojrzeć, a ja miałam zamknięte oczy. Niczego też nie słyszałam, bo wszystko zagłuszały odgłosy pracujących urządzeń wspomagane przez bulgotanie wody.

– Szkoda. – Zapata znów coś zanotował. – Na razie to wszystko, może pani wrócić na salę. Będzie pani musiała przyjechać na komisariat, żeby złożyć oficjalne zeznanie, ale to nie dzisiaj. Zadzwoń... O co znowu chodzi? – spytał, gdy Dioniza energicznie pokręciła głową, przerywając tym gestem jego wypowiedź.

Z trudem się powstrzymała, by nie powiedzieć mu do słuchu. Jakub Zapata swoim zachowaniem niewymownie ją irytował. Jego pytania, zadawane jakby od niechcenia, wydały jej się powierzchowne, niedotykające sedna sprawy, przy tym obojętny ton mężczyzny nie świadczył o zbyt dużym zaangażowaniu w śledztwo.

Wszystko wskazywało, że policjant jedynie odbębnia stosowne czynności, a ich wynik nie ma dla niego większego znaczenia. Pozostawało mieć nadzieję, że przynajmniej prokurator przyłoży się do wyjaśnienia zagadki nagłej śmierci Igi Pokrzywy, lecz doświadczenie mówiło Remańskiej, że tak się nie stanie. Przy tej liczbie spraw na biegu, jaką mieli prokuratorzy, niemożliwe było osobiste zaangażowanie się w śledztwa. Siłą rzeczy musieli zdawać się na ustalenia policjantów, a gdy trafiali na kogoś takiego jak Zapata...

Zniecierpliwione syknięcie przywołało Dionę do rzeczywistości. Spojrzała na poirytowanego komisarza i wzruszyła ramionami.

– Jestem w szpitalu. Uprzedzono mnie, że ze względu na zagrożenie epidemiczne wstrzymano wszystkie przepustki, a każde wyjście poza teren obiektu będzie traktowane jak samowolne oddalenie się i spowoduje karne wydalenie.

Policjant wymamrotał pod nosem niezrozumiałe słowa, wnioskując z tonu, niezbyt parlamentarne, po czym zaproponował:

– Proszę wyjaśnić lekarzowi, że to ważne. To chyba oczywiste, że muszę mieć pani zeznania na piśmie. Niech pani poprosi...

Uniosła brwi w wyrazie wystudiowanego zdziwienia.

– Ja mam prosić? Pan wybaczy, ale to nie mnie powinno na tym zależeć. Poza tym jak pan to sobie wyobraża? Że będę dymać na nogach przez całe Klonowice, kiedy ledwie mam siłę dowiec się do ławki stojącej góra pięćdziesiąt metrów od wyjścia?

Wyglądał na nieprzyjemnie zaskoczonego.

– Nie sprawia pani wrażenia tak poważnie chorej – mruknął znowu pod nosem, czym doprowadził ją do wrzenia. Nie znosiła, gdy musiała analizować wypowiedzi, by móc stwierdzić, czy były kierowane do niej. – Nie ma pani samochodu?

– Mam. I co z tego? Jak niby miałabym zmieniać biegi? – wycodziła przez zęby i znacząco dotknęła prawej ręki.

Przyjrzał się beużytecznej kończynie tak uważnie, jakby chciał przeświecić ją wzrokiem, potem cmoknął z nieskrywanym niezadowoleniem. Dioniza oczekiwała mniej lub bardziej zgryźliwego komentarza, ten jednak nie nastąpił, gdyż zza zasłony wyłoniła się rozczochrana głowa policyjnego technika.

– Ej, Diego, chodź na słowo.

Zapata nawet na niego nie spojrział.

– Za chwilę. Nie widzisz, że rozmawiam?

Komisarz ewidentnie cierpiał na jakąś dysfunkcję wpływającą negatywnie na jego relacje interpersonalne, skoro nawet w stosunku do współpracownika nie umiał się zdobyć na odrobinę

uprzejmości.

– Jak chcesz. – Technik wzruszył ramionami. – Ja mam czas, mogę tu siedzieć nawet do nocy. Tylko tak sobie pomyślałam, że wzywanie lekarza do oficjalnego stwierdzenia zgonu jest bez sensu, przecież jesteście w szpitalu.

– Kur... – Zapata zreflektował się w porę i nie dokończył przekleństwa. – Masz rację. Odwołaj lekarza. Zaraz przyjdę, tylko tu dokończę. – Westchnął głośno i ponownie zwrócił się do Diony: – Poddaję się. Przyjadę jutro lub pojutrze i przesłucham panią na miejscu – oznajmił z taką rezygnacją, jakby robił to pod przymusem, a złożona propozycja stanowiła dla niego Bóg wie jakie wyrzeczenie. – Na razie jest pani wolna.

Skinęła mu głową i powlokła się do windy. W hallu minął ją wysoki mężczyzna z ponurą twarzą, kojarzącą jej się zawsze z nagrobkiem przyozdobionym napisem „Spoczywaj w spokoju”. Prokurator Remigiusz Mrok. *W takim razie niechaj niebiosy mają w opiece panią Pokrzywę i zadbają o sprawiedliwość dla niej, bo na ludzi nie ma co liczyć* – pomyślała z żalem i odwróciła się szybko, by Mrok jej nie zobaczył. Nie miała ochoty witać się z mężczyzną, który nie dość, że był mizoginem, to jeszcze jego wiedza prawnicza pozostawiała wiele do życzenia.

– To niesprawiedliwe, że spośród tylu ludzi pani Iga musiała trafić akurat na nich. Na policjanta, który ma wszystko w dupie, i na prokuratora, który nic nie wie – wymruczała, gdy drzwi windy zasunęły się z cichym szmerem.

Właśnie tam, w metalowej klatce krążącej między piętrami, doszła do wniosku, że jest jedynym człowiekiem, któremu zależy na poznaniu prawdy, i powzięła postanowienie, że znajdzie zabójcę nieszczęsnej pacjentki.

\*

W pokoju zastała Oksanę. Ukrainka była wyraźnie nie w humorze; właśnie z furią zaatakowała mopem podłogę, nie zważając na mokre zacieki świadczące, że przed chwilą musiała już ją umyć. Mamrotała przy tym gniewnie jakieś inwektywy, co można było wywnioskować ze słów „prydurok”, „słota” i „chuj”. Diona już miała się roześmiać, gdy zauważyła łzy spływające po policzkach dziewczyny.

– Dobroho dnia, Oksana. Szczo trapyłos?

Nie miała pewności, czy użyła prawidłowych słów, ale reakcja Ukrainki pomogła pozbyć się wątpliwości. Oksana najpierw wybuchnęła głośnym płaczem, potem zarzuciła Dionizę lawiną słów. Wynikało z nich, że źródłem kłopotów jest jej były mąż.

– Dima powiedział, że muszę mu się odwdziaczyć, bo gdyby nie on, nie byłoby mnie w Polsce – mówiła po rosyjsku, żeby polska koleżanka dobrze ją zrozumiała. – Że muszę coś dla niego załatwić, inaczej mnie zabije. A ja nie mogę... nie chcę tego zrobić i mu o tym powiedziałam. Bardzo był zły, mówił, że pożałuję i że gdybyśmy nie byli w szpitalu, już bym nie żyła. Boję się, bo to jest straszny człowiek.

Diona nie potrzebowała dużo czasu do zastanowienia. Widziała byłego męża Oksany tylko raz, ale to w zupełności wystarczyło. Mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna mógłby uchodzić za przystojnego, o ile komuś podobałyby się nadmiernie rozwinięte mięśnie ramion i szeroki kark. I twarz, której całkiem przyjemne rysy kontrastowały ostro z wyrazem okrucieństwa. Nic dziwnego, że Oksana się go bała.

– Przyjdź do mnie, jak skończysz to piętro, dobrze? Muszę zadzwonić w kilka miejsc.

Oksana popatrzyła na nią z takim zdziwieniem, że Diona zaczęła wątpić, czy cokolwiek rozumiała z jej przemowy. Zanim zdążyła się upewnić, Ukrainka zabrała wiadro wraz z mopem i opuściła pokój.

Remańska wzruszyła ramionami. Najwyżej wytłumaczy wszystko później, teraz miała do załatwienia pilniejsze sprawy. Wzięła do ręki telefon i wybrała numer matki, doszła bowiem do wniosku, że ta rozmowa ma kluczowe znaczenie dla całej zaplanowanej błyskawicznie akcji. Wszystko zależało od tego, czy Imielska wyrazi zgodę. Diona nie miała wprawdzie co do tego żadnych wątpliwości, niemniej wypadało zapytać.

Po godzinie rozmów z ośmioma osobami miała całkiem wyschnięte gardło, ale usta wyginały się w uśmiechu satysfakcji i dumy. Nikt z tej ósemki nie odmówił pomocy. Nie żeby oczekiwała innej reakcji, jednak zawsze to miło wiedzieć, że w dalszym ciągu można liczyć na bliskich.

Wkrótce potem wróciła Oksana i Dioniza przedstawiła jej swój plan.

– Kończysz pracę o osiemnastej, prawda? Nie wychodź ze szpitala. Przyjedzie po ciebie mój... – Potknęła się na słowie „narzeczony”. Nie wiedziała, jak brzmi ono po rosyjsku, na szczęście przypomniała sobie rady lektora na kursie angielskiego i słusznie założyła, że można je stosować do każdego języka. Synonimy i omówienia? Proszę bardzo, z tym nie powinna mieć problemów. – ...mój przyszły mąż. Zawiezie cię do domu i poczeka, aż się spakujesz, a potem pojedziecie do moich rodziców. Tam będziesz bezpieczna.

– Nie mogę – zaproponowała Oksana. – Muszę pracować. Mam dziecko... i boję się, że on skrzywdzi twoją rodzinę.

Protest nie zdał się na nic, bo Dioniza najzwyczajniej w świecie kazała jej się zamknąć, później zaś opowiedziała o swoim planie. Do pracy miał Oksanę wozić ojczym Remańskiej, z braku znalezienia właściwego słowa nazwany po prostu ojcem, gdyby zaś coś mu wypadło, zastąpi go Robert Gredtke lub inny kolega Imielskiego. Wszyscy są policjantami, czy to w czynnej służbie, czy już na emeryturze, w każdym razie nie warto z nimi zadzierać. A dziecko? Córka Oksany miała tylko cztery lata, odpadł więc kłopot ze szkołą. W ciągu dnia Olha będzie u dziadków Dionizy, a po południu odbierze ją matka lub ojciec.

– Nie becz, Oksi! – Diona objęła Ukrainkę i mocno przytuliła. – Wszystko będzie dobrze.

## Rozdział 4

### Pierwsza randka

25 czerwca 2000

– Dlaczego?!

W tym jednym wykrzyczanym na całe gardło słowie Iga zawarła wszystkie swoje emocje. Rozżalenie, uraza i gniew aż z niej kipiły, na ojcu jednak nie zrobiły żadnego wrażenia. Nawet na nią nie spojrzął.

– Nie mam zamiaru w kółko powtarzać tego samego. Koniec dyskusji. Powiedziałem „nie”, i już.

Nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Jak ojciec mógł być tak okrutny? W dodatku najzwyczajniej w świecie sobie poszedł i jak wynioskowała z dobiegających z sąsiedniego pokoju odgłosów, zaczął oglądać mecz. Euro 2000? Co ją mogły obchodzić jakieś głupie ćwierćfinały? Przecież polska drużyna nie grała, odpadła w eliminacjach. A zresztą nawet gdyby Polacy walczyli o tytuł mistrza, nie miałyby to dla Igi żadnego znaczenia. Musiała pójść na to spotkanie.

Wytarła policzki wierzchem dłoni, rozmazując przy tym czarne ścieżki łez zmieszanych z tuszem do rzęs, i w przystępie rozpaczyci rzuciła się ze szlochom na łóżko. Zaraz jednak wstała i zaciśniętymi w wąską kreskę wargami stanęła przed toaletką, by poprawić makijaż. Jeszcze rok temu używała wodoodpornej maskary od Diora i nie musiała ciągle sprawdzać, czy przypadkiem nie wygląda jak panda.

Mama w przeciwieństwie do ojca nie traktowała jej jak gówniary. Pokazała córce, jak należy się malować, by nie wyglądać nienaturalnie czy wyzywająco, wpoila jej też zasadę, że należy używać kosmetyków wysokiej jakości. „Lepiej mieć mniej dobrego niż pełno byle badžewia” – mawiała, a Iga chłonęła te nauki jak gąbka.

Barbara Ort nie tylko była piękną kobietą; miała również klasę, nie zawsze chadzającą w parze z wielką urodą, stanowiła więc dla córki niedościgniony wzór. Pulchna dziewczynka o zbyt szerokiej buzi i wiecznie przetłuszczonych włosach marzyła skrycie, że kiedyś stanie się cud i Pulpet (tak nazywano ją w podstawówce) upodobni się wyglądem do swojej ślicznej matki. Wielkiej nadziei jednak na to nie miała, kontrast między nimi był zbyt wielki.

Mimo to cud się ziścił. Wkrótce po ukończeniu czternastu lat dziewczynka wystrzeliła w górę, a w miarę jak przybywało jej wzrostu, zniknął dziecięcy tłuszcz. Twarz także stopniowo się wyszczupliła, dzięki czemu oczy Igi, dotychczas przypominające wąskie szparki, nagle stały się ogromne, a ich niespotykany kolor przyciągał wzrok i budził zazdrość koleżanek. Podobnie jak włosy, gęste i grube, błyszczące antracytową czernią. „Mówiłam ci, że tak będzie” – oświadczyła z uśmiechem mama, gdy dziewczyna wreszcie uwierzyła, że czas, gdy była brzydkim kaczątkiem, przeminął jak zły sen. Ale potem... Nie, nie będzie teraz o tym myśleć!

Iga znów zacisnęła wargi i zmyła tanim płynem do demakijażu rozmazane po policzkach ciemne ślady łez. Potem wzięła do ręki kupiony w kiosku Ruchu tusz i poprawiła rzęsy. Skrzywiła się na widok pozostawionych przez szczoteczkę grudek i ponownie sięgnęła po buteleczkę z płynem. Przez kilka sekund trzymała ją w dłoni, niepewna, czy poprzez pokazanie Mariuszowi nieumalowanej twarzy nie zamknie sobie na zawsze drogi do jego serca. Wreszcie podjęła decyzję. Zdecydowanym ruchem wyjęła z woreczka następny wacik, nasączyła go obficie, przyłożyła do oka, a wtedy tuż za nią skrzypnęły drzwi.

– Co robisz?

Nawet się nie odwróciła.

– Nie widzisz, że zmywam makijaż? Wszystko jedno, jak wyglądam, i tak nie zwracasz na mnie uwagi. Chyba że akurat sobie przypomnisz o moim istnieniu i zabronisz mi wyjść z domu. Bo czemu ja miałabym być szczęśliwa, jeśli ty nie jesteś? – Iga podniosła głos do krzyku. – No, na co czekasz? Zabroń mi jeszcze czegoś albo mnie opierdol! Od razu poczujesz się lepiej. Jak prawdziwy ojciec, którym nigdy nie byłęś!

Mężczyzna aż się wzdrygnął, tyle było jadu w jej głosie. Otworzył usta, by coś odpowiedzieć, lecz zrezygnował i tylko bezradnie potrząsnął głową. Po jego twarzy przebiegł skurcz bólu, lecz odwrócona tyłem dziewczyna nie mogła tego widzieć. Cicho wyszedł z pokoju, a gdy tylko znalazł się w sąsiednim pomieszczeniu, jeszcze bardziej pogłośnił telewizor w nadziei, że okrzyki radości kibiców Oranje zagłuszą brzęczące mu ciągle w uszach słowa córki. Ale nawet gdyby włączył jeszcze z dziesięć telewizorów, nadal by je słyszał.

Nie przywiązywałyby do nich wagi, gdyby nie ostatnie zdanie. Trafiło go prosto w serce, bo w przeciwieństwie do poprzednich było prawdziwe. W rankingu na ojca roku plasował się daleko poniżej pierwszej dziesiątki, a nawet setki. Do tytułu męża roku też nie pretendował, nic więc dziwnego, że Basia go porzuciła. Gdyby nie postawił pracy ponad rodzinę, wszystko na pewno ułożyłoby się inaczej, tylko że on okazał się idiotą nieumiejącym docenić tego, co miał.

– I teraz masz gówna – mruknął.

Przyjął bez żadnych emocji pierwszego gola strzelonego przez Holendrów, mimo że kibicował „pomarańczowym” już od dawna. Mecz przestał go interesować. Żona odeszła, a córka traktowała go jak obcego, a nawet gorzej. Jak wroga. Czy w obliczu tych faktów wynik zmagania na boisku mógł mieć jakieś znaczenie?

Edward Ort westchnął i niewidzącym wzrokiem wpatrzył się w ekran. Wiedział, że należało porozmawiać z Igą, wyjaśnić wszystkie nieporozumienia narosłe przez ostatni rok. Nie była już dzieckiem, któremu można zamydląć oczy byle wymówką. Powinien był zrobić to rok temu, zaraz po zniknięciu Basi, ale wtedy nie czuł się na siłach, by tłumaczyć piętnastolatce zawiłe sprawy dorosłych. Teraz jednak nie widział innego wyjścia. Musiał to zrobić, inaczej jego jedyne dziecko wpadnie w kłopoty.

Wziął głęboki wdech i zdecydował, że zrobi to jutro.

\*

Musiała spotkać się z Mariuszem. Po prostu musiała. Był przecież najprzystojniejszym i najbardziej rozchwytywanym chłopakiem w klasie i większość dziewczyn wprost wychodziła ze skóry, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Iga należała do nielicznego grona obojętnych na jego sztuczki, a przynajmniej starała się za taką uchodzić, cały czas bowiem pamiętała o słowach matki, że mężczyzna niezależnie od swojego wieku woli być myśliwym niż zwierzyną, a otwarte okazywanie mu zainteresowania nie sprawi, że odwzajemni się tym samym. „Oczywiście na pewien czas przyciągniesz jego uwagę, ale chyba nie chcesz być dziewczyną na jedną noc?”

Iga nie chciała. To, co przeżywała, było jej pierwszym, nieśmiałym jeszcze uczuciem, niemającym nic wspólnego z pożądaniem. Marzyła o wspólnych spacerach z trzymaniem się za ręce, o znalezieniu się w objęciach ukochanego, o czułych pocałunkach... i to by było na tyle. Nie chciała więcej i nawet trochę się martwiła, czy wszystko z nią w porządku, jednak nie aż tak, by miało jej to spędzać sen z powiek. Ale wiedziała jedno: na pewno nie posunie się dalej, choćby miało to oznaczać, że jej pierwsza randka z Mariuszem będzie zarazem ostatnią.

Randka! Omal nie przegapiła momentu, gdy należało wyjść z domu. Czym prędzej złapała torebkę, w ostatniej chwili porwała bluzę z oparcia krzesła i otworzywszy okno, zeskoczyła na trawnik, odłamując przy tej okazji gałązkę rosnącego tuż przy murze różanego krzewu. Zakłęła pod nosem, gdy ostry kolec rozorał jej rękę, a krople krwi spłynęły wprost na biały materiał trampka. Przyłożyła do rany chusteczkę higieniczną i pochyłona, przemknęła przez ogród w stronę furtki, rozmyślając o ewentualnych skutkach swojej niesubordynacji. Jeśli będzie miała szczęście, ojciec nie odkryje jej nieobecności. A jeśli zauważy, to trudno, ona i tak nie zrezygnuje i nawet wizja rocznego szlabanu jej nie powstrzyma.

– Nie pozwolę, żeby zagroził mi drogę do szczęścia – szepnęła z emfazą, napawając się rolą uciemiężonej.

Pchnęła furtkę i niemal pofrunęła na drugi koniec wioski, gnana niepokojem, czy znudzony czekaniem Mariusz się nie zniechęcił. Umówili się na małym skwerku naprzeciwko cmentarza – miejscu, gdzie od niepamiętnych czasów spotykały się zakochane pary. Dlatego w Jaworowie utarło się, że jeśli chłopak proponował randkę przy cmentarzu, dziewczyna mogła być pewna, że jest dla niego kimś więcej niż tylko przelotną przygodą. Iga jednak wcale tej pewności nie miała. W jednej chwili czuła taką euforię, że aż się dziwiła, iż jeszcze nie wzbiła się w powietrze, a już w następnej, gdy tylko dopuściła do głosu rozszadek,

ten podpowiadał jej, że nie powinna zbyt się ekscytować, bo coś tu jest nie tak. Dlatego podświadomie zwolniła, gdy zza zakrętu wyłoniły się brzozy rosnące przy skwerku.

Pod jedną z nich siedział na ławce wysoki blondyn w czarnej koszulce. Z tej odległości nie mogła rozpoznać, kogo przedstawia wytłoczone na jej przodzie zdjęcie, mimo to gotowa była założyć się o roczną tygodniówkę, że to wizerunek zespołu Slayer, którego Mariusz był wielkim fanem. Pod tym względem mocno się różnili, gdyż Iga nie znosiła thrash metalu, wołała delikatniejsze brzmienia. Najbardziej lubiła piosenki zespołu The Cranberries, a ich wokalistkę Dolores O'Riordan uważała za największą gwiazdę współczesnego rocka.

Na widok zbliżającej się dziewczyny Mariusz wstał i ruszył w jej kierunku. Spotkali się w pół drogi, nagle skrepowani i niepewni. Chłopak pierwszy przerwał trwające zbyt długo, nabrzmiałe emocjami milczenie.

– Bałem się, że nie przyjdiesz.

Odebrała to jako wyrzut i zaczęła się tłumaczyć:

– Tata nie chciał mnie puścić. Zabronił mi wyjść i nawet nie raczył wyjaśnić dlaczego. Nie, bo nie, czaisz?

Uśmiechnął się krzywo.

– Czaję. Naprawdę nie wiesz, czemu ci zabronił? Nie mógł przecież dopuścić do tego, żebyś się ze mną spotkała. Córka policjanta i syn kryminalisty? *No way!*

– Nie mów tak! Przecież nie możesz odpowiadać za to, co zrobił twój ojciec! – wykrzyknęła, zanim zdążyła pomyśleć, co implikują jej słowa. Dopiero odpowiedź Mariusza uzmysłowiła jej ich podtekst.

– Po co się ze mną umówiłaś? – W jego ostrym głosie nie brzmiała ani jedna cieplejsza nutka. – Przecież ty też uważasz, że mój tata zrobił coś twojej mamie. Chciałaś ode mnie wyciągnąć jakieś informacje? W takim razie możesz od razu wracać do domu, bo tata jest niewinny. Rozumiesz?! Nie-winny! – wyskandował, łypiąc gniewnie oczami.

Poczuła dławienie w gardle. Przełknęła głośno ślinę i zamrugła, by pozbyć się spod powiek niechcianej wilgoci.

– Wcale tak nie myślę. – Głos jej drżał, lecz Iga dzielnie brnęła dalej, chcąc raz na zawsze wyjaśnić sprawę, pozbyć się dzielącej ich bariery. – Wiem, że jest niewinny, i mój tata też to wie. Policja podejrzewała pana Wanata, bo mama się z nim spotykała, ale byliście na weselu, kiedy zniknęła... – Zamilkła na kilka sekund, a gdy znów się odezwała, mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał: – Prawda jest taka, że mama nas zostawiła. Klócili się z ojcem od dawna i pewnie doszła do wniosku, że ma go dość. I mnie też – zakończyła jeszcze ciszej.

Spoglądał na nią z pełnym skupieniem wahaniami, jakby ważył coś w myślach, w końcu potrząsnął głową w geście przeczenia skierowanym do niewidzialnego adwersarza. Tak przynajmniej odebrała to Iga i już miała zapytać, co się dzieje, gdy chłopak wziął ją za rękę. Po uprzednim niezdecydowaniu nie został już nawet ślad.

– Chodźmy, pokażę ci coś fajnego.

Miał ciepłą, trochę szorstką dłoń naznaczoną zgrubieniami odcisków. Iga wiedziała, że Mariusz pomaga ojcu w polu i obejściu; dwa lata temu pani Wanatowa zmarła po długiej chorobie i przez cały ten czas chłopak nie tylko zajmował się młodszym rodzeństwem, ale także wyręczał ojca, który kołił swój ból za pomocą butelki.

Zegar na kościelnej wieży przesunął wskazówkę, oznajmiając, że minęła dziewiętnasta. W połowie czerwca o tej porze trwa na wsi normalny dzień pracy i choć wielu tak ustawiło sobie plan zajęć, że mogli zasiąść przed telewizorem i oglądać mecz, inni, zwłaszcza kobiety, dalej krzatali się w obejściach. Widok defilującej główną drogą pary będącej dziećmiakami zaprzysięgłych wrogów musiał wzbudzić nie lada sensację. Iga czuła na sobie ciekawskie, żądne skandalu spojrzenia i pomyślała, że tak właśnie musiała czuć się Julia podczas schadzki z Romeem, choć tamtych młodych nie miano okazji śledzić wzrokiem.

– Gdzie idziemy? – spytała w pewnej chwili.

Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Chciała jedynie przerwać ciszę, która zapadła, gdy wyczerpali temat różnic w gustach muzycznych.

– Niespodzianka. – Mariusz się wyszczerzył. – Zaufaj mi.

Gładko zmienił temat, przechodząc do lektur szkolnych, których serdecznie nienawidził. Z jego wypowiedzi dziewczyna wywnioskowała, że w ogóle nie lubił czytać, a to sprawiło, że euforia trochę

opadła. Jak można żyć bez książek? Zaraz jednak zaczęła go w myślach usprawiedliwiać. Ile mógł mieć lat, gdy pani Wanatowa zachorowała? Dwanaście, może trzynaście, bo chyba jeden rok zimował w tej samej klasie. Najpierw tylko pomagał matce, później prawdopodobnie całkiem przejął prace domowe i opiekę nad rodzeństwem, wszak całe Jaworowo wiedziało, że na Adama Wanata nie ma co liczyć. Od niepamiętnych czasów, jeśli akurat nie siedział w więzieniu, to pomieszkiwał u aktualnej kochanki, a jeżeli zdarzyło mu się być w domu, praca nie stanowiła przedmiotu jego zainteresowania. Butelka bardziej.

Zatem Mariusz z pewnością nie miał czasu ani siły, by czytać. Po obrządzeniu gospodarstwa i doglądnięciu dzieci musiał być tak zmęczony, że padał na twarz, a ona chciała mu wyjechać z tekstem, że czytanie jest *cool*. Co za idiotka!

– Jak tam bliźnięta? – spytała spontanicznie. – Bardzo ci dają popalić? Ile one już mają?

– Siedem lat – odpowiedział na ostatnie pytanie, pominąwszy poprzednie, później znowu zamilkł.

Rozmowa szła jak po grudzie i Iga poczuła, że ma dość. Nie tak to sobie wyobrażała. Miały być pocałunki i czułe słówka, a nie kulejąca rozmowa i wędrówka w niewiadomym kierunku i celu. Mariusz zachowywał się, jakby znosił jej towarzystwo za karę, sam z kolei stracił w jej oczach bardzo wiele ze swojego uroku. Najchętniej wróciłyby już do domu.

– Nogi mnie boją. – Udała, że lekko kuleje. – Może chodźmy z powrotem?

– Obiecałem ci niespodziankę – zaprotestował. – To już niedaleko, o tam.

Jakiś czas temu minęli ostatni dom, za którym skręcili w leśną ścieżkę prowadzącą do dość głębokiego wąwozu. Na jego dnie płynął strumyk, a w sezonie grzybowym zbocza zółciły się od kurek. Iga знаła go jak własną kieszeń i nie bardzo wiedziała, co w nim mogłoby stanowić dla niej niespodziankę. Spojrzała we wskazanym kierunku i pokręciła głową z niedowierzaniem, potem przeniosła wzrok na chłopaka.

– Jaja sobie robisz? To jakiś zakład czy co?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– O to, że mnie wkręcasz – warknęła, wściekła, że tak dała się nabrać. – Co ty myślisz, że nigdy nie byłam w tym wąwozie? Tam nic nie ma i dobrze o tym wiesz.

– Nie miałem na myśli wąwozu – odparł chłopak z uśmiechem, którego nie umiała zdefiniować. – Chodź, zaraz będziemy na miejscu.

Poprowadził ją zarośniętą wysokimi paprociami leśną dróżką trawersującą wzdłuż brzegu wąwozu aż na jego dno, potem brzegiem strumyka w stronę skalnego osypiska. To też już widziała i nie dostrzegając w kamiennym rumowisku niczego nadzwyczajnego, jednak błyszczące ekscytacją oczy chłopaka powiedziały jej, że ma on zupełnie inne zdanie. Zwinnie przecisnął się między dwoma blokami skalnymi, gestem zachęcając dziewczynę, by poszła w jego ślady. Gdy ruszyła się niechętnie, rozgarnął na boki giętkie gałązki młodego buka i oczom Igi ukazały się toporne, zbite z nieheblowanych desek drzwi.

Z wrażenia aż się potknęła i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał.

– Co to jest? Jakaś jaskinia?

Przesunął skobel i nie wypuszczając ręki dziewczyny z uścisku, wszedł do środka. Przez kilka sekund Iga miała wrażenie, że ktoś zawiązał jej oczy, tak wielki był kontrast między wąwozem skąpanym w promieniach zachodzącego słońca a pogrążoną w ciemnościach grota. Wyteżyła wzrok, z wolna adaptujący się do nowych warunków, i wkrótce odkryła, że mrok wcale nie jest tak gęsty, jak uznała w pierwszej chwili. Przez szpary w zbitych luźno drzwiach przenikało dość światła, by mogła stwierdzić, iż znajdują się w pieczarze o powierzchni mniej więcej dziesięciu metrów kwadratowych, przechodzącej w wąski korytarz. Ginał za załomem skalnym, nie wiedziała więc, jak jest długi i dokąd prowadzi.

– Gdy byłem mały, prababcia opowiadała mi, że po wojnie w okolicach Klonowic ukrywali się żołnierze „Bartka”. Podobno pradziadek również do nich należał i ona nieraz przynosiła im jedzenie i czyste ubrania. Mówiła, że chronili się w jaskini.

Słuchała tego z zafascynowaniem, jednak pieczara była zbyt ciasna jak na miejsce kwaterunku całego oddziału, a to sugerowało, że korytarz prowadzi do właściwego punktu. Ukryta grota w połączeniu z wyjaśnieniami Mariusza podziałała na wyobraźnię do tego stopnia, że przed oczami stanęli jej mężczyźni w obszarpanych mundurach z orłem w koronie na czapkach, zarośnięci i poczerniali na twarzach od trudu i głodu, z oczami płonącymi determinacją. Szli gęsiego w głąb korytarza i jeden po drugim znikali za zakrętem niepozwalającym zobaczyć dojścia do właściwej kryjówki.

Wizję przerwały dalsze słowa.

– Nigdy nie chciała zdradzić położenia tej grotty, ale ja się zaparłem i szukałem tak długo, aż w końcu ją znalazłem. Szkoda, że nie mogę jej o tym powiedzieć i zobaczyć, jaką robi minę. Na pewno byłaby wściekła.

W jego głosie brzmiał gniew. Chłopak zachowywał się tak, jakby obwiniął prababcie o to, że ośmieliła się umrzeć, a Iga nie umiała tego pojąć. Wszak wszyscy wiedzieli, że Anastazja Wanatowa, która mimo ukończenia siedemdziesięciu dziewięciu lat zachowała sprawność ciała i umysłu, była jedyną dorosłą osobą pomagającą mu w opiece nad rodzeństwem. A przecież miała prawo czuć się zmęczona, gdyż wedle słów sąsiadów to właśnie Anastazja zajęła się osieroconym, trzyletnim wówczas Adamem, gdy jego rodzice zmarli we Wrocławiu na ospę. Wychowała wnuka, a później bez zbędnych słów i narzekania wzięła na siebie obowiązek zajęcia się prawnukami, choć z pewnością nie było to dla niej łatwe.

Iga lubiła energiczną kobietę i nieraz ją odwiedzała, zwłaszcza że po przeprowadzce do Jaworowa czuła się wyobcowana. Anastazja zawsze miała dla niej dobre słowo, a jej rady okazywały się skuteczne. Była też dyskretna, dzięki czemu dziewczyna mogła jej się zwierzyć ze spraw, o których nie chciała mówić matce. Między rodzicami od dawna nie układało się najlepiej i Iga się obawiała, że mama gotowa wykorzystała w kłótniach z ojcem jej problemy z zaadaptowaniem się do nowego otoczenia.

Później, gdy Barbara zniknęła, a Adam Wanat stał się podejrzanym o jej uprowadzenie, nie mogło już być mowy o odwiedzaniu starego drewnianego domku na skraju wsi. Ojciec wpadłby w szał na wieść, że córka utrzymuje przyjazne stosunki z kobietą, której wnuk odebrał jej matkę, a Anastazja pewnie pogoniłaby ją kijem, cały czas bowiem powtarzała, że Adam jest niewinny. Te wydarzenia nie wpłynęły jednak na nastawienie Igi do prababci Mariusza.

Dziewczyna lubiła ją nadal, a wkrótce sympatia zamieniła się w podziw, bo kto chciałby w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat wziąć dobrowolnie na siebie obowiązek opieki nad zbuntowanym siedemnastolatkiem i sześcioletnimi bliźniętami? Po tym bowiem, gdy Adam Wanat zaczął topić smutki w alkoholu do tego stopnia, że stał się ludzkim wrakiem i groziło mu odebranie dzieci, prócz prababci nie było nikogo zdolnego o nich zadbać. Rodzice Adama nie żyli od trzydziestu pięciu lat, dalsi zaś krewni już dawno temu wyprowadzili się na drugi koniec Polski i ani myśleli rezygnować z ustalonego trybu życia dla dzieci, których nigdy nie mieli okazji poznać. Dlaczego więc Mariusz mówił o nieżyjącej od czterech miesięcy kobiecie z taką złością?

– Bliźnięta pewnie bardzo za nią tęsknią – zaryzykowała ostrożnie.

Mariusz przystanął tak nagle, że się zachwiała, i posłał jej wrogie spojrzenie.

– Naprawdę nic nie wiesz czy tylko udajesz?

– Niby skąd miałabym coś wiedzieć? Przecież nikt ze mną nie rozmawia.

Nie miała pojęcia, o czym on mówi. Od czasu aresztowania Adama Wanata mieszkańcy Jaworowa traktowali ją jak trędowatą. Wanatowie mieszkali tutaj od pokoleń i to wystarczyło, by sympatia mieszkańców była po stronie rolnika. Cóż z tego, że po trzech miesiącach odzyskał wolność? Nie zmieniło to ich nastawienia, podobnie jak fakt, że sprawą zaginięcia Barbary zajmowała się komenda miejska, nie zaś gminny komisariat, gdzie ojciec Igi zajmował stanowisko komendanta. W ich oczach za aresztowaniem Wanata stał Edward Ort. Był obcy we wsi i służył w policji, i to wystarczyło, by opowiedzieli się przeciwko niemu, czego mężczyzna nawet nie zauważył, jak zwykle pochłonięty pracą.

Niestety ostracyzm objął również jego córkę. Z dnia na dzień Iga stała się dla wioskowej społeczności jakby niewidzialna. Na jej pozdrowienia nikt nie odpowiadał, a gdy się zbliżała, ludzie nagle milkli, ucinając rozmowy w pół słowa. Jak więc miała zdobyć wiedzę o aktualnych wydarzeniach czy poznać lokalne plotki?

Chłopak znowu coś mówił i Iga z trudem oderwała się od ponurych rozważań, by skupić się na jego słowach.

– Trzy miesiące temu Kasię i Łukasza zabrała opieka społeczna, a tacie odebrano prawa rodzicielskie. Podobno w domu dziecka będzie im lepiej.

– O Boże! – wykrzyknęła ze zgrozą. – Tak mi przykro... Mariusz, ja naprawdę nie miałam o tym pojęcia.

Chyba to zrozumiał, bo nagle jego wzrok złagodniał.

– Nie kłóćmy się. Chodźmy dalej, chcę ci coś pokazać.

Usłuchała, choć jeszcze kilka minut temu miała ochotę zawrócić. Ale zauroczenie Mariuszem już minęło i teraz wiodła ją jedynie ciekawość, czy w grocie znajdują się jeszcze jakieś ślady bytności



partyzanckiego oddziału.

Skalny korytarz nagle się skończył i stanęli przed następnymi drzwiami. Te nie zostały sklecone byle jak, lecz zbite tak solidnie, że nadal musiały stanowić przeszkodę nie do pokonania. Iga zauważyła zwisającą na pałaku wielką kłódkę, ta na szczęście okazała się niezamknięta i wystarczyło ją zdjąć. Pchnięte zdecydowanym ruchem drzwi otworzyły się z cichym skrzyknięciem, w nozdrza uderzył ich stęchły zapach dawno niewietrzonego pomieszczenia. Panowała w nim zupełna ciemność.

Iga zatrzymała się niepewnie w progu, lecz Mariusz delikatnie ją popchnął, zmuszając do postąpienia naprzód.

– Wejdz do środka, zaraz zapalę latarkę. Nie pożałujesz, kiedy zobaczysz, co tu jest. Mówię ci, to prawdziwe...

– Cii! – przerwała mu syknięciem. – Tam ktoś jest.

– Co ty, Iga? Masz bojka? Chyba nie wierzysz w duchy? Buu!

Zawył tuż przy jej uchu, lecz błaznowanie chłopaka wcale jej nie rozbawiło.

– Tam naprawdę ktoś jest – upierała się, poirytowana jego sceptycyzmem. – Słyszałam kroki. Co z tym światłem?

– Moment. To kurewstwo czasem szwankuje. Nie bój się, nikogo tu nie ma. To tylko wyobraźnia.

Głos uwiązał jej w gardle, gdy znów doszedł ją szmer cichego stąpania, tylko że teraz znacznie się przybliżył. Ten, kto czaił się w mroku, był tuż obok niej. Iga nigdy dotąd nie bała się ciemności, ale też wcześniej ani razu nie miała uczucia, że stała się zwierzyną łowną. Ogarnięta paniką rzuciła się do ucieczki, byle dalej od tej przerażającej jaskini i jej niewidzialnych lokatorów. Po kilku susach uprzytomniła sobie, że wyjście ma za plecami, i już miała zawrócić, gdy usłyszała szmer rozmowy, zagłuszany łomotem tętniącej w żyłach krwi.

– Mariusz?

Odpowiedziała jej cisza. Potem znów rozległy się kroki, tym razem głośnie, jakby skradającemu się przestało zależeć na zachowaniu ciszy. Co gorsza, dochodziły zewsząd, jakby ów ktoś nagle się zmultiplikował. Przerażona do szaleństwa Iga wrzasnęła i odskoczyła, gdy dotknęły jej czyjeś lodowate dłonie, lecz zaraz zastygła w bezruchu, bo i tam ktoś stał. Oczy przywykły już do ciemności, mogła więc dojrzeć szczupłą, niewysoką sylwetkę z jaśniejszą plamą w miejscu, gdzie powinna znajdować się twarz.

– Kim jesteś!?

Nie przyszło jej do głowy, że tożsamość napastnika nie ma w jej sytuacji najmniejszego znaczenia, i bezwiednie powieliła odwieczny schemat.

Jedyną odpowiedzią był chichot i to doprowadziło Igę do takiej furii, że zapomniała o strachu. Niespodziewanie skoczyła i dopadła czarnej postaci, uderzyła w nią ciałem i zacisnęła ręce na czymś długim, przypominającym w dotyku jedwabne nici. *Włosy!* – przemknęło jej przez myśl. – *To jakaś dziewczyna.*

Tamta jęknęła, gdy Iga z wściekłością szarpnęła wąskie pasmo, potem zawyła, bo ostre paznokcie rozorały jej policzek.

– Pomóżcie mi!

*Miałam rację* – pomyślała Iga. – *Jest ich więcej. A Mariusz...*

Myśl się urwała, gdy na głowę dziewczyny spadło mocne uderzenie i w ciemnościach nastąpiła nowa ciemność.

## Rozdział 5

### Przesłuchania

10 września 2020

W gabinecie ordynatorki czasowo zamienionym w pokój przesłuchań komisarz Zapata z ponurą miną spoglądała na kartkę wręczoną mu przez sierżanta Węgierskiego zwanego przez kolegów Węgrzynem, to na siedzącą naprzeciwko lekarce. Jej zeznania zgadzały się z informacjami zawartymi w notatce jedynie w części, zastanawiał się więc, kto skłamał.

– Uściślijmy, bo chyba się pogubiłem. Proszę powtórzyć, którzy z rehabilitantów byli dzisiaj obecni w pracy.

Ordynatorka skrzywiła się lekko.

– Powinni być wszyscy ujęci w grafiku. Pracują na zmiany, więc na pewno nie ma tych, którzy będą jutro, nie ma też przebywającego na urlopie Nazara Kołojenki...

Zapata pokiwał głową i przerwał jej z wyraźną satysfakcją.

– Właśnie mi się wydawało, że tak miało to wyglądać zgodnie z tym, co mówiła pani wcześniej. Dlaczego w takim razie zgodnie ze słowami niejakiej Anny Ziębińskiej Marzena Florczak jest dzisiaj w pracy, chociaż miała wziąć wolne za święto wypadające w sobotę, nie ma natomiast Tomasza Jasielskiego?

Lekarka znów się skrzywiła, potem wzruszyła ramionami.

– Podejrzewam, że się zamienili. To się czasem zdarza. U was nigdy nikt się nie zamienia dyżurami?

– Zamienia się – przyznał komisarz. – Ale nie robi się tego bez poinformowania bezpośredniego przełożonego.

Nie dodał nic więcej, lecz wymowne spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości co do jego opinii o kompetencjach Leśniak-Malinowskiej jako szefowej. Ona jednak nie wyglądała na oburzoną czy chociażby przejętą.

– Tutaj też się tego nie praktykuje. Powiedział pan, że o zamianie poinformowała pana Anna Ziębińska, więc sam pan widzi, że wszystko jest w porządku. – Na widok zaskoczonej miny policjanta tym razem ona uśmiechnęła się z satysfakcją. – Nie odrobił pan lekcji. Fizjoterapeuci podlegają bezpośrednio swojemu kierownikowi, w tym konkretnym przypadku Annie Ziębińskiej, a kierownik bezpośrednio dyrektorowi szpitala.

Zirytowała go niekompetencja młodego policjanta, który nie zadał sobie trudu stwierdzenia stanu faktycznego w kwestii podległości służbowej, tylko uznał swoje wyobrażenie o sytuacji za prawdę. Zapata nie dał jednak po sobie nic poznać. To były wewnętrzne sprawy policji i nikt z zewnątrz nie powinien o nich wiedzieć. Podziękował lekarce i poprosił, by przekazała Marzenie Florczak polecenie stawienia się na rozmowę. Postanowił zacząć od Florczak, ciekawiło go bowiem, czy propozycja zamiany wyszła od niej, a jeśli tak, jaka była przyczyna tej roszady.

\*

Na pytanie o denatkę fizjoterapeutka wzruszyła tylko ramionami i dopiero ponaglenie policjanta zmusiło ją do zwerbalizowania odpowiedzi.

– Znałam oczywiście panią Pokrzywę, ale tylko o tyle, o ile. Przychodziła do mnie na krio, solux i pole magnetyczne, i to wszystko. Lubiłam ją, bo zawsze była grzeczna i uśmiechnięta, nie stroiła fochów i nie udawała wielkiej pani. Była dzisiaj rano na zabiegach, a potem już jej nie widziałam.

– Krioterapia, solux i pole magnetyczne? – upewnił się Zapata. – Mało tych zabiegów jak na szpital rehabilitacyjny.

– Mówię o tych, które miała u mnie, na fizykoterapii. Potem pewnie poszła na salę ćwiczeń, ale ja nie miałam czasu tam zajrzeć, więc nie mogę tego potwierdzić.

Chociaż spokojna i wyważona, odpowiedź nie zrobiła na komisarzu dobrego wrażenia, wydawała się za mało spontaniczna, jakby kobieta wyuczyła się jej na pamięć. Dlatego postanowił zablokować.

– Jak w takim razie wytłumaczy pani fakt, że widziano panią poza pomieszczeniami fizjoterapii? – zapytał w nadziei, że nie omylił się w przypuszczeniach.

Dopisało mu szczęście i trafił w sam środek tarczy, o czym poinformował go rumieniec na policzkach Florczak. W następnej chwili kobieta cichym głosem przyznała się do kłamstwa, po czym zamilkła, licząc zapewne, że policjantowi to wystarczy. Zapata jednak ani myślał na tym poprzestać.

– Gdzie konkretnie pani wtedy była?

Wbiła w niego zdumiony wzrok.

– Przecież pan wie. Sam pan przed chwilą powiedział...

– Wiem, co powiedziałem – przerwał jej burkliwie. – Ale muszę to usłyszeć od pani i zaprotokołować.

– Robota głupiego – mruknęła pod nosem, następnie kontynuowała wypowiedź już dużo głośniej i z wyraźną złością. Prócz niej wychwycił też rozżalenie, co dało mu do myślenia. – Zajmujecie się niepotrzebną biurokracją, a szantażyści, mordercy i złodzieje czują się bezkarni i śmieją wam się w twarz.

Najwyraźniej stała się kiedyś ofiarą któregoś z wymienionych przestępców, a jej gniew sugerował, że sprawca nie poniósł żadnej kary. Z oczywistych powodów Zapata wykluczył morderstwo, a po krótkim namyśle również kradzież. Florczak mieszkała w Rudawie, podlegającej terytorialnie pod komisariat w Klonowicach, gdyby zatem zgłosiła zawiadomienie o kradzieży, musiałby o tym wiedzieć. Pozostawał więc tylko szantaż, który ma to do siebie, że jego ofiary rzadko kiedy decydują się na zawiadomienie organów ścigania, i komisarz postanowił zaryzykować po raz drugi, licząc, że szczęśliwa passa nie minęła.

– Czego od pani zażądano? Pieniądzy czy przysługi?

– Pie... – Urwała i znów się zaczerwieniła, ale teraz bardziej z gniewu niż zawstydenia. – Nie wiem, o czym pan mówi. Nikt ode mnie niczego nie żądał.

Zapata gotów był postawić swoją roczną pensję na to, że kobieta kłamie, ale nie zamierzał ciągnąć tematu. Skoro nie przeszkadzało jej być ofiarą szantażu, to trudno. Skinął głową i powtórzył wcześniejsze pytanie:

– Pani opinia o policji mnie nie interesuje. Proszę odpowiedzieć, gdzie pani była, inaczej uznam, że ma pani coś wspólnego z zabójstwem.

Rehabilitantka zbladła, palce zacisnęły się nerwowo na rąbku bluzki.

– Ja naprawdę nie... W ogóle nie wchodziłam na hydroterapię, dopiero jak nas wezwano... – Opuściła głowę na piersi i wymamrotała w stronę swoich butów: – Byłam z Filipem Ślicznym w pomieszczeniu gospodarczym.

– Po co? – spytał, choć zachowanie kobiety kazało domyślić się celu.

– Porozmawiać chcieliśmy – wymruczała jeszcze ciszej.

Ku jej wyraźnej uldze komisarz nie zażądał uściślenia, zażyczył sobie natomiast wskazania, gdzie znajduje się wzmiankowane pomieszczenie. Florczak zaprowadziła go do niedużego pokoju na wprost hydroterapii. Obejrzał je bez zainteresowania, jego uwagę natomiast przykuły drzwi z dużą szybą, przez którą wyraźnie widział spory fragment korytarza. Zaintrygowany wyszedł na zewnątrz, wcześniej nakazawszy chcącej podążyć za nim fizjoterapeutce, by pozostała w środku. Przymknął drzwi, spojrzął na matową szybę i skonstatował, że nie może przez nią niczego dojrzeć, pokiwał głową, zadowolony z potwierdzenia swojego domysłu.

Wrócił do składzika i bez wstępów zapytał:

– Kto przechodził korytarzem podczas pani schadzki z panem Ślicznym? – Zauważył oburzoną minę Florczak i dopowiedział ostro: – Nie interesuje mnie, co naprawdę tu robiliście. Nie prowadzę śledztwa w sprawie obrazy moralności, tylko o zabójstwo. Widziała pani kogoś czy może byliście zbyt zajęci...?

– My wcale nie... – zaczęła protestować, lecz na widok gniewnego grymasu Zapaty urwała, po czym dokończyła żarliwym zaprzeczeniem: – Nikogo nie widziałam. Naprawdę nikt obcy wtedy tędy nie przechodził.

– Obcy? – podchwycił policjant. – Ma pani na myśli odwiedzających?

Zamachała gwałtownie rękami.

– Odwiedzający tutaj nie mają wstępu – wyjaśniła, w zasadzie wyjaśniając niewiele, gdy wracali do gabinetu udostępnionego Zapacie przez ordynatorkę jako pokój przesłuchań. O nadmiernej skąpości tłumaczenia najwyraźniej powiedział jej wyraz twarzy komisarza, bo po krótkiej przerwie uzupełniła wypowiedź. – Tym korytarzem można dojść do drugiego wyjścia. W zasadzie jest ono wyłącznie służbowe, ale niektórzy z pacjentów się nim wymykają na papierosa, bo jest bliżej niż główne. Jednak wtedy nikogo z nich nie widziałam, mignęła mi tylko Krystyna.

– Czyli jednak ktoś przechodził, chyba że owa Krystyna nie zalicza się do ludzi.

Zajęli swoje poprzednie miejsca przy stole. Chwilę trwało, nim do sadowiącej się na niewygodnym krześle rehabilitantki dotarła ironia. Znowu poczerwieniała, w oczach zamigotały gniewne błyski.

– Przecież pytał pan tylko o obcych!

Nie przypominał sobie co prawda, by zawęził w ten sposób interesującą go grupę ludzi, ale postanowił machnąć ręką na nadinterpretację swoich słów. Dowiedzenie racji z pewnością nie wpłynęłoby na przebieg śledztwa.

– Co to za Krystyna?

Nie czekając na odpowiedź, zerknął na przygotowaną przez Węgrzyna rozpiskę, lecz zanim odszukał osobę o tym imieniu, odezwała się Florczak. Fakt, że zrobiła to bez ponaglenia, na moment wybił Zapatę z rytmu.

– Krystyna Strega – powtórzył, gdy już otrząsnął się ze zdumienia. – Kim ona jest? Rehabilitantką?

– Nie, to pielęgniarka – wyjaśniła kobieta krótko, po czym dodała sucho, jakby niechętnie: – Podobno bardzo dobra. Pacjenci ją lubią, ale według mnie z nią jest coś nie tak. Niech pan sam powie, czy dziewczyna, która jeździ na motorze i zadaje się z elementem, powinna zajmować się chorymi i mieć dostęp do lekarstw? Nie byłabym zdziwiona, gdyby nimi handlowała, bo wszyscy wiedzą, że te diabły na motorach ćpają na potęgę.

Komisarza korciło, by wdać się z fizjoterapeutką w dyskusję o motocyklistach, tak bardzo ubawiła go swoją kuriozalną oceną, doszedł jednak do wniosku, że byłaby to strata czasu. Mimo że zaledwie trzydziestoletnia, Florczak werbalizowała swoje poglądy z zaciekleścią fanatyczki, zatem nic ani nikt nie zdołałoby przekonać jej do zmiany zdania. Poleciał więc tylko, by wezwała następną osobę, i uprzedził, że będzie musiała zgłosić się na komisariat celem oficjalnego przesłuchania. Była już przy drzwiach, gdy uświadomił sobie, że nie zapytał o bardzo ważną sprawę.

– Jeszcze jedno. Według grafiku powinna pani mieć dzisiaj wolne, ale zamieniła się pani z Tomaszem Jasielskim. Czy propozycja zamiany wyszła od niego?

– Nie, panie komisarzu. To ja go o to poprosiłam, bo muszę mieć wolne w przyszłym tygodniu, a nie chciałam, żeby szefowa się dowiedziała.

Fizjoterapeutka zakończyła wypowiedź gniewnym zaciśnięciem warg, dając policjantowi do zrozumienia, że nie ma zamiaru obszerniej wyjaśniać powodów utrzymywania tej sprawy w tajemnicy przed Ziębińską. Komisarz jednak nie drażył tematu, co wyraźnie ją rozczarowało, dość długo bowiem stała w progu, nim z poirytowanym fuknięciem odrobinę zbyt głośno zamknęła za sobą drzwi.

Po kilku sekundach uszu Zapaty dobiegły słowa: „Lucek, idź teraz ty”, zerknął więc szybko na ściągę i przekonał się, że pod uwagę mógł być brany tylko jeden mężczyzna. Lucjan Chałka miał dwadzieścia siedem lat, był zatrudniony na stanowisku fizjoterapeuty i podobnie jak pozostali nie figurował w policyjnych kartotekach. Co z drugiej strony wcale nie znaczyło, że nigdy nie złamał prawa, a jedynie tyle, że jak dotąd go na tym nie przyłapano.

Chałka był całkiem przeciętny, taki jak większość mężczyzn. Ciemnoblonde włosy i piwne oczy oraz pociągła, niczym niewyróżniająca się twarz plasowały nowo przybyłego gdzieś pośrodku listy przedstawicieli płci męskiej uszeregowanych według urody, gdyby tylko komuś przyszło do głowy takową sporządzić.

Po krótkiej rozmowie Zapata musiał go również wykluczyć jako potencjalnego sprawcę. Opinia fizjoterapeuty o denatce była podobna do tej, którą komisarz usłyszał kilka minut wcześniej od jego koleżanki. Należało jeszcze sprawdzić, czy Chałka nie skłamał w kwestii alibi, ale policjant nie podejrzewał go o podobną bezmyślność. Sprawdzenie, czy w czasie zabójstwa rzeczywiście przebywał poza budynkiem, gdzie w towarzystwie niejakiej Kariny Wahlewicz palił papierosa, nie mogło nastąpić z żadnych problemów, zwłaszcza że rehabilitant podał również nazwisko drugiego świadka.

– Akurat miałem zamiar wracać, kiedy podeszła Krystyna i poprosiła mnie o papierosa. Uznałem, że nic się nie stanie, jeśli jeszcze trochę postoję z dziewczynami, więc zapaliłem następnego. Dopiero później wróciliśmy przez przewiązkę na oddział.

– Czemu przez przewiązkę? – zainteresował się Zapata.

– Żeby esesmanka się nie zorientowała – odpowiedział Chałka z porozumiewawczym uśmiechem i zaraz wyjaśnił: – Tak nazywamy Annę Ziębińską, naszą szefową. Rozmawiał pan już z nią? Chyba nie, inaczej od razu by pan wiedział, o kim mówię. Gdybyśmy z Kari wrócili normalnym wejściem, musielibyśmy przejść koło sali ćwiczeń i ta menda na pewno by nas zobaczyła. Droga przez przewiązkę jest bezpieczniejsza, zawsze można powiedzieć, że było się w kiblu, a jest to jedyne miejsce, nad którym nie ma kontroli.

Tym razem Zapata nie polecił wezwać następnej osoby, tylko osobiście się po nią pofatygował. Nie mógł dopuścić, by Chałka uzgodnił swoje alibi z Wahlewicz, choć nie zdołał oczywiście wykluczyć, że porozumieli się w tej kwestii już wcześniej. Na szczęście był drugi świadek, tym samym prawdopodobność fizjoterapeuty nie powinna podlegać dyskusji. Niemniej komisarz postanowił się zabezpieczyć na wypadek, gdyby Strega nie potwierdziła wersji Chałki.

Karina Wahlewicz, drobna dziewczyna o ciemnych włosach z niebieskimi pasemkami, będącymi wedle opinii Zapaty obowiązującym tutaj dekoracyjnym elementem, wywarła na komisarzu dużo lepsze wrażenie niż Marzena Florczak. Tę drugą postrzegał jako zarozumiałą i arogancką, Wahlewicz natomiast była cicha, spokojna i odrobinę wycofana, przez co rozmowa z nią nie stała się polem walki o wpływy, jak w przystępie czarnego humoru określił w myślach słowne potyczki z Florczak.

– Stałam z Luckiem, to znaczy z Lucjanem Chałką, za budynkiem neurologii – odpowiedziała na pytanie, gdzie znajdowała się we wskazanym przedziale czasowym. – Wychodzimy tam na papierosa, bo tego miejsca nie sposób zobaczyć przez okna naszych pomieszczeń. Lucek wypalił tylko jednego i chciał już wracać, bo miał pacjenta na podwieszakach, ale akurat wtedy podeszła do nas Krystyna Strega. To pielęgniarka na ogólnoustrojowej – wyjaśniła, po czym zerknęła niepewnie na policjanta. – Nie wiem, czy to ważne i czy w ogóle nie jest to tylko mój wymysł, ale wydaje mi się, że Lucek podbija do Krystyny. Zawsze tak za nią patrzy... W każdym razie naraz przestał się spieszyć, zapalił drugiego i wrócił razem z nami.

Poproszona o scharakteryzowanie denatki Karina Wahlewicz użyła wprawdzie nieco innych słów niż przedmówcy, ale sens pozostał ten sam. Za życia Iga Pokrzywa była chodzącą doskonałością i pozostawało się dziwić, że nie wzięto jej żywcem do nieba.

Wezwana w następnej kolejności Strega bez wahania przyznała, że w określonym czasie paliła papierosa w towarzystwie Wahlewicz i Chałki, później zaś weszła do budynku głównym wejściem, tamci zaś wrócili przez przewiązkę. Komisarz mógł więc wykreślić wszystkich troje z listy podejrzanych.

Poprosił jeszcze, by Strega opowiedziała o swoich kontaktach z Pokrzywą, a potem wysłuchał po raz czwarty w ciągu godziny peanów na cześć tragicznie zmarłej kobiety. Melancholijnie pokiwał głową, choć tak naprawdę miał ochotę kłąć. Nie wierzył w istnienie idealnych ludzi, wiedział za to z doświadczenia, że takie słodkie laurki najczęściej mają za zadanie zamaskować niezbyt pięknie pachnące sprawy. Tylko że tych chwalebnych Pokrzywę było stanowczo zbyt wielu. Wszystkim chyba nie zdążyła się narazić?

Nim pielęgniarka wyszła, polecił, by w następnej kolejności zgłosiła się Anna Ziębińska. Ciekawiła go przełożona fizjoterapeutów, ponieważ nadane jej przezwisko sugerowało, że jest zdolna do okrucieństwa. Przeżył lekki szok, gdy do pokoju weszła mniej więcej trzydziestoletnia kobieta o twarzy anioła. Lekko kręcone blond włosy miała upięte w kok podkreślający klasyczne rysy, szarozielone oczy spoglądały ze spokojem, a pięknie wysklepione łuki brwi wygięły się jeszcze bardziej, nadając obliczu wyraz zdziwienia, gdy policjant wyjaśnił Ziębińskiej powód wezwania jej na rozmowę.

– Znałam oczywiście panią Pokrzywę, ale niestety tylko z widzenia. Jej opiekunem był Tomasz Jasielski, więc to raczej z nim powinien pan rozmawiać. Dzisiaj co prawda go nie ma, ale jutro już będzie w pracy – odpowiedziała cichym, melodyjnym głosem, okraszając wypowiedź zniewalającym uśmiechem.

Jedyną oznaką podenerwowania rozmową z policjantem był ruch prawej dłoni co rusz kierującej się ku włosom, prawdopodobnie po to, by sprawdzić, czy kok nie doznał uszczerbku. Wskutek ciągłego poprawiania kłamry jedno pasmo wysunęło się z niej i miękko opadło na pierś, naprowadzając wzrok Zapaty na tę idealnie wyrzeźbioną część ciała. Ziębińska miała kształty bogini seksu i komisarz musiałby być eunuchem, by tego nie docenić. A jednak pozostał odporny na jej urok, w zachowaniu kobiety było

bowiem coś sztucznego, każącego mu przypuszczać, że każdy ruch i gest jest wystudiowany, obliczony na efekt. W jakim celu, tego jeszcze nie wiedział, ale przewidywał, iż dowie się w najbliższym czasie.

Tak też się stało, gdyż przełożona fizjoterapeutów po krótkiej przerwie podjęła wypowiedź. Zauważył, choć starała się to skrzętnie ukryć, że zirytował ją brak reakcji, opanowania jednak nie na długo wystarczyło. Gdy zapytał, co robiła między trzynastą trzydzieści a czternastą, prychnęła jak rozszłoszczona kotka.

– Gdybym chciała pozbyć się kogoś z pacjentów, na pewno nie byłaby nim pani Pokrzywa. Wolałabym wybrać jednego z tych, którym się wydaje, że przyjechali do spa, a nie na rehabilitację. – Zerknęła z ukosa na policjanta i na widok jego miny uśmiechnęła się złośliwie. – Zdziwiłby się pan, ilu ludzi przybywa tu w przeświadczeniu, że lekarz zaordynuje im tabletki o jakimś cudownym działaniu, podczas gdy oni będą całymi dniami leżeć, a personel wszystko im podetknie pod nos. Są przekonani, że od tego odzyskają sprawność, ale trafiają się i tacy, którym wcale nie zależy na poprawie stanu zdrowia, bo to przecież takie wygodne, kiedy inni koło ciebie skaczą.

Zapata aż się wzdrygnął, gdy pamięć podsunęła mu wspomnienie jego własnej drogi przez mękę, kiedy po usłyszeniu, że zawsze już będzie kulą, nie przyjął diagnozy do wiadomości i na przekór wszystkiemu rozpoczął morderczą walkę o odzyskanie pełnej władzy w zranionej nodze. Wygrał, choć nieraz dopadało go zwątpienie. Ale za każdym razem przeciwstawiał mu obraz siebie wspierającego się na kulach i to dawało wystarczającą motywację. Dlatego zachowanie, o którym wspomniała Ziębińska, nie mieściło mu się w głowie.

– Wnioskuje, że Iga Pokrzywa nie należała do grona leniwców – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Absolutnie nie. Była bardzo zaangażowana, twierdziła, że musi opuścić szpital bez wspomagania się kulami, i z tego, co widziałam, miała na to ogromne szanse. Szkoda...

Komisarz nie miał pewności, czy ostatnie słowo odnosi się do tragicznej śmierci pacjentki, czy do faktu, że Ziębińskiej nie dane będzie sprawdzić efektów rehabilitacji Pokrzywy. Obstawiał to drugie, gdyż fizjoterapeutka ewidentnie nie grzeszyła nadmiarem empatii i nie próbowała nawet udawać, że zabójstwo w ogóle ją obeszło.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie – przypomniał znieczeka.

Naraził się tym na nieprzychylnie spojrzenie, które natychmiast odwzajemnił. Wrogie nastawienie w najmniejszym stopniu go nie obeszło, niejednokrotnie miewał do czynienia z dużo gorszym zachowaniem.

Milczenie się przedłużało. Zapata postanowił zaczekać dwie minuty, a jeśli Ziębińska nie udzieli odpowiedzi, zatrzymać ją do wyjaśnienia.

Zostało jeszcze siedemnaście sekund, gdy przemówiła.

– Rozmawiałam z doktorem Baumgardtem o jednej z pacjentek. Chodziło o wdrożenie dodatkowych ćwiczeń.

– On oczywiście to potwierdzi? – rzucił pytającym tonem, choć nie podejrzewał, by skłamała. – Proszę podać nazwisko tej pacjentki.

– No wie pan?! Obowiązuje mnie tajemnica lekarska. I RODO...

– A mnie obowiązuje konieczność znalezienia zabójcy – skontrował ostro. – Nie pytam o stan zdrowia tej pani, tylko o jej nazwisko, bo muszę sprawdzić wiarygodność pani zeznań.

Ziębińska przestała zasłaniać się ochroną danych osobowych, ale jej mina świadczyła, że najchętniej posłałaby policjanta do diabła.

– Dioniza Remańska.

Niemal wypluła te słowa, a Zapata odniósł nieodparte wrażenie, iż z przyjemnością kazałaby owej pacjentce towarzyszyć mu w drodze do piekielnych czeluści.

– Nie lubi jej pani. Czy to jedna z tych, którzy myślą, że są w spa?

Takie zachowanie tłumaczyłoby niechęć rehabilitantki, kłóciło się jednak z opinią, jaką komisarz wyrobił sobie o Remańskiej. Tylko że on nie był nieomylny. Nikt zresztą nie jest.

– Absolutnie nie – zaprzeczyła żywo. – Ona przegina w drugą stronę, chciałaby natychmiastowych efektów, a to niemożliwe, zwłaszcza po takim urazie. Ciekawe, jak do niego doszło. Pytałam, ale nie raczyła...

Ziębińska urwała nagle, uświadomiwszy sobie prawdopodobnie, że mówi o tym, co jeszcze przed kilkoma minutami było według niej objęte tajemnicą lekarską. Zapata stłumił uśmiech, gdy pojał

przyczyny negatywnego stosunku do Remańskiej. Niemożność zaspokojenia ciekawości musiała fizjoterapeutkę niesamowicie frustrować.

– Na razie to wszystko. Proszę się zgłosić...

Minęła dobra minuta, zanim do Ziębińskiej dotarło, że rozmowa dobiegła końca. Wysła z wysoko uniesioną głową, nie zaszczyciwszy już policjanta nawet spojrzeniem, wskutek czego komisarz spędził następne chwile na zastanawianiu się, czemu tak oschła, zapatrzona w siebie kobieta wybrała zawód, w którym empatia gra ogromną rolę. Potem poprosił następną osobę.

Filip Śliczny wcale nie był tak przystojny, jak wskazywałoby jego nazwisko. Średniego wzrostu blondyn o niezbyt imponującej posturze prezentował dosyć przeciętne oblicze, jedne z tych, które niełatwo zapadają w pamięć. Jednak wyraz piwnych oczu, a także lekkie skrzywienie warg powieściły komisarzowi, że ego rehabilitanta jest niewspółmiernie wysokie w stosunku do wyglądu. Do poziomu inteligencji również, o czym policjant już po kilku minutach rozmowy miał okazję się przekonać.

– Rozmawiałem z Marzeną – odpowiedział krótko na zadane pytanie, a napomniany przez Zapatę, by wyrażał się precyzyjniej, dorzucił niechętnie: – Z Marzeną Florczak. Poszłem z nią do składzika, żeby... – Urwał na moment, po czym wyjaśnił bez cienia skrępowania: – Chciałem ją bzyknąć. Oboje lubimy ten sport, a bynajmniej ja lubię.

Wyszczerył się w pełnym samozadowolenia uśmiechu. Ponieważ potwierdził alibi Florczak, on także nie mógł być brany pod uwagę jako ewentualny sprawca, tym samym Zapata nie miał powodu, by dłużej się nim interesować. Pozwalając mu odejść, policjant ubolewał w duchu nad faktem, że używanie słowa „poszłem”, podobnie jak wstawianie „bynajmniej” w miejsce „przynajmniej”, nie zostało dotychczas spenalizowane. Śliczny wyjątkowo działał mu na nerwy tym aroganckim uśmiechem, aż proszącym się o to, by zetrzeć go pięścią.

Okazja trafiła się kilka sekund później. Rehabilitant zmierzał już do drzwi, gdy popełnił kardynalny błąd, będący kolejnym dowodem na to, że w tym konkretnym przypadku poziom ego po wielokroć przewyższył poziom IQ. Chcąc się precyzyjnie pomiędzy szafką a stojącym obok niej mężczyzną, potrącił komisarza, lecz zamiast przeprosić lub chociaż zmilczeć, mruknął pod nosem „pierdolona psiarnia”.

Zapata nie zawahał się ani przez chwilę, nie tracił też czasu na ostrzeżenia, tylko oszczędnym, niemal niezauważalnym ruchem władował Ślicznemu pięść w żołądek. Mężczyzna stęknął i zgął się wpół, zaraz jednak ponownie się wyprostował, gdy celne uderzenie w podbródek poderwało go do pionu.

– Pojebało cię?! – wycharczał. – Bandyta w mundurze! Złożę skargę...

Zabrakło mu tchu i reszta wypowiedzi uwięzła w gardle łypiącego wściekle fizjoterapeuty. Komisarz przybrał zdziwioną minę i rozejrzał się demonstracyjnie.

– Widzisz tu jakiś mundur? A co do skargi, to lepiej poprawię, żeby broń Boże nie uznano, że dostałeś za mało.

Zanim Śliczny zdążył pojąć sens tych słów, łokieć policjanta posłał go na ścianę między regałami.

– Zniszczę cię! Możesz pożegnać się z robotą! Wiesz, kim jest mój ojciec?!

– A co, mamusia sama nie wie i dlatego pytasz?

Złośliwy uśmiech do reszty wyprowadził Ślicznego z równowagi. Rehabilitant doskoczył do komisarza, lecz zamiast niego napotkał ścianę, a w następnej chwili uderzenie w bok odebrało mu oddech.

– Złamałeś mi zebro, debilu! – wystękał, gdy tylko odzyskał zdolność mówienia.

– Niczego ci nie złamałem, cieniasie. – Zapata popatrzył z pogardą na wykrzywioną z bólu twarz przeciwnika. – Potknąłeś się o własne nogi. Na drugi raz uważaj, bo cię oskarżę o napaść na funkcjonariusza. Nie wiem tylko, czy takie gówno jak ty powinno się przewozić radiowozem, czy lepiej od razu wezwać szambiarkę. No, na co czekasz? Wypierdalaaj, póki jeszcze możesz, ale najpierw... Co się mówi, jak się gość obrazi?

– Przepraszam – wymamrotał Śliczny.

Chyłkiem przesunął się ku drzwiom, a gdy został mu do nich niespełna metr, jednym susem dopadł klamki, później zaś wybiegł, jakby ścigało go stado wygłodniałych wilków. Komisarz spojrzął za nim i ryknął śmiechem.

Przesłuchanie Judyty Niezgody nie wniosło do sprawy nic nowego, podobnie jak rozmowa z drugą dyżurną pielęgniarką, Zuzanną Drohomirską. Obie miały alibi i żadna z nich nie zauważyła niczego niepokojącego. Sekretarka medyczna Ewa Górowicz i ordynatorka Bernadetta Leśniak-Malinowska również były poza wszelkim podejrzeniem. Pierwsza akurat wtedy wydawała karty wypisowe, poza tym

jej obecność w tej części budynku z pewnością zwróciłyby uwagę któregoś z rehabilitantów lub pacjentów oczekujących na zabieg. Z kolei druga rozmawiała przez telefon stacjonarny z dyrektorem szpitala i trudno było przypuszczać, że przywłokła ze sobą aparat, by zapewnić sobie alibi na czas zabójstwa.

Po przesłuchaniu salowych Zapata musiał się poddać. Wyszło na to, że Iga Pokrzywa sama wpełznąła sobie głowę pod wodę, a po wydaniu ostatniego tchnienia splukała się dokładnie, by nie pozostawić żadnych śladów. Alternatywnym wyjaśnieniem było, że ktoś z personelu posiadał zdolność bilokacji.

– Niech to jasny chuj strzeli – mruknął dochodzeniowiec, ruszając ku drzwiom.



## Rozdział 6

### Czarownica

11 września 2020

Ratier zaparkował forestera na jedynym wolnym miejscu przy Lewiatanie i sięgnął po wypchaną do granic możliwości dużą reklamówkę. Z przyzwyczajenia obrzucił wzrokiem otoczenie, dzięki czemu od razu zauważył, że nie on jeden zdecydował się na taki manewr. W sumie było to całkiem logiczne, niektórzy z odwiedzających wpadali do szpitala dosłownie na moment, wyłącznie po to, by dostarczyć pacjentom jakieś niezbędne rzeczy. Dlaczego więc mieli płacić za skorzystanie ze szpitalnego parkingu tyle samo co ci pozostający tam dłużej? Cztery złote to niby nie majątek, ale Ratio, choć obecnie nie musiał sobie niczego odmawiać, zbyt dobrze pamiętał spędzone w biedzie nastoletnie lata, by bezmyślnie wydawać pieniądze.

Reklamówka ważyła sporo, poszedł więc do pierwszych drzwi, by przejść do windy obok pomieszczeń do hydroterapii. Gdy mijał wejście do jednego z pokoi, ze zdumieniem zauważył tam umundurowanego policjanta, który z notatnikiem w ręce rozmawiał z kobietą w zielonym flizelinowym fartuchu. *Fizjoterapeutka*, skonstatował w myślach, wspomniawszy objaśnienia Diony w kwestii ubioru personelu szpitalnego. *Ciekawe, co takiego nawywijała. Zrobiła komuś hydromasaż nogi zamiast ręki?*

Rozbawiło go to przypuszczenie. Nacisnął guzik, by przywołać windę, a z szybu dobiegł go głośny szcęk. Odgłos świadczył, że pechowo natrafił na porę odwożenia brudnych naczyń, miał zatem alternatywę: albo czekać, albo skorzystać ze schodów. Po namyśle wybrał pierwszą możliwość, choć jednocześnie pojawiła się myśl, że ostatnio rusza się stanowczo zbyt mało i jeszcze trochę, a upodobni się wyglądem do Plague'a.

Szyba w drzwiach windy odbiła jego zwinną, wysportowaną sylwetkę, zaprzeczając czarnym prognozą, i kąciki ust Ratiera uniosły się w lekkim uśmiechu. Do przyjaciela Lisbeth Salander z serialu *Millennium* jeszcze sporo mu brakowało, mimo to, gdy odstawił ciężką reklamówkę i oparł się o ścianę, przyrzekł sobie wrócić do treningów, których od wydarzeń w Bystrzycy Wielkiej całkiem zaniechał. Ślęczenie nad klawiaturą nie oddziałuje dobrze na kondycję fizyczną, a tłumaczenie własnego lenistwa faktem, że Dioniza walczyła o życie, było kiepską wymówką. Wszak po dwóch tygodniach jej stan ustabilizował się na tyle, iż przeniesiono ją na ogólną salę, nic go więc nie usprawiedliwiało.

– Zostaw mnie!

Kobiocy okrzyk, w którym oprócz irytacji usłyszał także nutkę strachu, wyrwał Medarda z zamyślenia. Ratier bezwiednie spojrział w stronę źródła dźwięku i od razu rozpoznał pielęgniarkę, z którą miał okazję zawrzeć znajomość, gdy przywiózł Dionę do szpitala. Zapamiętał dziewczynę nie tylko z powodu niezbyt szczęśliwych okoliczności owego spotkania; dużo większe wrażenie wywarły na nim zgrabna figura i ogromne niebieskie oczy.

Dziewczyna chciała wyminąć mężczyznę zagrządzającego jej drogę, lecz ten najwyraźniej nie zamierzał na to pozwolić. Przytrzymał drzwi prowadzące z klatki schodowej na korytarz i oparł się o nie, uniemożliwiając jej wyjście.

– Ty, Kryśka, lepiej uważaj. Nie pogrywaj ze mną, bo tego nie lubię. Przyjdź do mnie po dyżurze, to pogadamy.

Pierwsze zdania wypowiedział ostro, z groźbą, ostatnie jednak zabrzmiało miękko, śpiewnie i jakby prosząco. Takie wrażenie odniósł Ratio, ale dziewczyna albo tego nie zauważyła, albo zmiana tonu nie miała dla niej żadnego znaczenia.

– Ty cholerny zboku! – wrzasnęła na całe gardło. – Odpieprz się wreszcie! Pójść to ja mogę do dyrektora na skargę, że mnie molestujesz.

– Nie radzę, chyba że chcesz, żebym opowiedział glinom, gdzie cię wczoraj widziałem – odparł mężczyzna, a Ratier znów wychwycił w jego głosie groźbę.

Pielegniarka ponownie zlekceważyła słowa rozmówcy.

– Spadaj, koleś, bo tracę cierpliwość. Nie umiesz wyrwać laski inaczej jak szantażem? To idź do psychologa, on ci pomoże.

– Ty cipo! Jeszcze będziesz błagać...

Ręce mężczyzny zacisnęły się na ramionach dziewczyny. Chwyty musiał sprawić jej ból, bo twarz wykrzywił grymas cierpienia, a z ust wydobył się głośny jęk. Ratio nie czekał dłużej. W kilku susach znalazł się przy drzwiach i szarpnął. Pozbawiony tak nieoczekiwanie oparcia napastnik puścił ramiona pielegniarki i gwałtownie zamachał rękami, usiłując odzyskać równowagę. Przypadkowo trącił przy tym pierś Medarda, ten zaś bezbłędnie wykorzystał pretekst i wyprowadził szybką kontrę.

Trafiony lewym sierpowym mężczyzna przeleciał przez korytarz aż do stojących pod ścianą zespolonych krzeseł, które podcięły mu nogi, powodując, że zwałił się na jedno z nich ciężko niczym rzucony worek kartofli. Poderwał się zaraz na nogi, miotając w stronę przeciwnika pełne nienawiści spojrzenie, lecz gdy napotkał jego zimny, niezachęcający do dyskusji wzrok, opadł z powrotem na twarde siedzisko.

Ratier poświęcił jeszcze kilka sekund na obserwowanie jego poczynąń. Przekonawszy się, że napastnik został skutecznie spacyfikowany, przeniósł uwagę na dziewczynę, śledząc w milczeniu przebieg wydarzeń. Nie sprawiała wrażenia przestraszonej, a co było jeszcze dziwniejsze, jeśli miałby ocenić jej kondycję psychiczną na podstawie wyglądu, prędzej musiałby uznać, że całe to zajście ją rozbawiło.

Zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli mężczyzna miał wobec niej groźniejsze zamiary niż tylko postraszanie, zabrakło mu czasu, by wprowadzić je w czyn. Mimo wszystko Ratier postanowił o to zapytać, bo dzięki temu zyskiwał świetny pretekst do nawiązania znajomości. Kobiety nie zwykły zbywać byle czym rycerzy na białym koniu.

– Nie zrobił pani krzywdy? – Przypomniał sobie umundurowanego funkcjonariusza i dodał: – Może zawołać policję?

Strzepnęła lekceważąco palcami i nawet nie spojrzała w stronę krzeseł, gdzie napastnik po chwili siedzenia bez ruchu właśnie zdecydował się wstać. Przytrzymując się ściany, wolno ruszył w kierunku wyjścia, mamrocząc coś pod nosem.

– Nie trzeba. To tylko zwyczajny palant. Ślicznemu się wydaje, że wystarczy kiwnąć palcem, a każda na niego poleci.

Tłumaczenie go nie przekonało, zwłaszcza że widział strach nadal czający się w jej oczach, a zachowanie mężczyzny absolutnie nie wskazywało na zwyczajny, chociaż chamski, podryw. Zdecydowanie kryło się tam coś więcej, ale mina dziewczyny nie zachęcała do drażnienia. Chcąc nie chcąc, Ratio musiał odpuścić.

– Jak pani uważa. W razie, gdyby jednak zmieniła pani zdanie, może powołać mnie pani na świadka. Nazywam się Medard Ratier i jestem...

– Drzwiowym terrorystą – weszła mu w słowo, po czym parsknęła śmiechem na widok jego zdumionej miny. – Atakujesz drzwiami – objaśniła, wciąż rozbawiona, gładko przechodząc na ty. – Od razu cię poznałam, w końcu nie codziennie facet zwala mnie z nóg przy pierwszym spotkaniu. Krystyna Strega.

Wyciągnęła dłoń do powitania, a potem patrzyła ze zdumieniem, jak Ratier zaśmiewa się do rozpuku. Wiedział, że prawdopodobnie tym zachowaniem pogrzebie nieodwołalnie swoje szanse, ale nie umiał się powstrzymać. Grymas irytacji, który pojawił się na jej twarzy, uprzedził o zamiarze podjęcia jakichś radykalnych działań, toteż Medard wcale się nie zdziwił, gdy obróciła się na pięcie, by odejść. Przytrzymał ją lekko za ramię.

– Sorry – wydusił, usiłując się opanować. – Nie śmieję się z ciebie. Wszystko dlatego, że od chwili, kiedy walnąłem cię drzwiami, nie mogłem wyrzucić cię z głowy. Przez to nazywałem cię w myślach czarownicą, która rzuciła na mnie urok, a *strega* to po włosku czarownica.

Ponownie zwróciła się ku niemu i mógł się przekonać, że irytację zastąpiło zaintrygowanie. Odetchnął z ulgą. Chyba nie wszystko było stracone.

– Znasz włoski? – spytała z zaciekawieniem, lecz nie zaczęła na odpowiedź, tylko mówiła dalej: – Nie miałam pojęcia, że moje nazwisko odzwierciedla mój charakter. Ale z tego, co pamiętam, przy naszym pierwszym spotkaniu rzuciłam mięsem, a nie urokiem, więc twoje oskarżenie jest bezpodstawne.

– Na pewno nie. Bo nie mogłem o tobie zapomnieć, a to oznacza, że musisz mieć konszachty z nieczystymi siłami.

Na jej policzki wypłynął delikatny rumieniec, z czego wywnioskował, że nie pozostała obojętna na jego wyznanie. Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy pominęła milczeniem jego wypowiedź i gładko zmieniła temat.

– Myślałam, że śmiesz się z mojego imienia, bo jest takie babciowate.

– Krystyna. – Wypowiedział to słowo wolno, wsłuchując się w jego brzmienie, potem pokręcił głową. – Wcale nie jest babciowate. Kojarzy mi się ze smukłą, wysoką sosną stojącą samotnie na szczycie wzgórza. I na pewno jest lepsze niż ten idiotyczny Medard. Dlatego mam prośbę. Mogłabyś mówić do mnie Ratio?

– Imię jak imię, ale jak tam chcesz. Niech będzie Ratio.

Wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że niewiele ją to obchodzi, i Ratier pojął, że przeświadczenie o odpuszczeniu mu przewin było mocno przedwcześnie.

– Jak mam się do ciebie zwracać? – spytał szybko, w obawie, że odejdzie. – Krysia, Kryśka czy jeszcze jakoś inaczej?

– Krystyna. – Jej głos stał się twardy, nieprzyjemny. – Moje imię toleruję wyłącznie w pełnym brzmieniu. – Zerknęła na Ratiera spod oka i nagle się uśmiechnęła. – Bliscy znajomi mówią do mnie Furia.

Omam znowu się nie roześmiał, pewny, że Krystyna go wkręca, na szczęście zdołał w porę się opanować. Nic przecież o niej nie wiedział. Nie znał jej, więc to, co w pierwszej chwili uznał za żart, równie dobrze mogło być prawdą.

Skinął głową na znak, że przyjął przezwisko do wiadomości, i teraz on zmienił temat, uprzytomniwszy sobie upływ czasu.

– Muszę lecieć – powiedział z żalem. – Przyjechałem tu w odwiedziny...

– Do Dionizy Remańskiej – dokończyła za niego. – Pani Diona jest ponoć najciekawszym przypadkiem w historii tego szpitala, ludzie zakładają się o to, w jaki sposób doszło do tego, że została ranna. Gorzej niż hieny. – Wzdrygnęła się, po czym popatrzyła z nieskrywaną ciekawością. – To twoja dziewczyna?

Pytanie wydało mu się tak absurdalne, że znów parsknął śmiechem. Potem przypomniał sobie podejrzenia Marcina Lipskiego i po raz pierwszy spojrzął na sprawę z dystansem, starając się zachować obiektywną ocenę.

Jeśli ktoś zadał sobie trud przyjrzenia jej się dokładniej zamiast polegać na pierwszym wrażeniu, musiał zauważyć, że Diona jest bardzo atrakcyjną kobietą. A gdy jeszcze do miłej powierzchowności dodało się nietuzinkową osobowość, przestawało dziwić, że uznawano ich za parę. Cóż znaczyło te osiem lat różnicy? To już nie te czasy, gdy kobieta musiała obowiązkowo być młodsza od mężczyzny, a wszelkie odstępstwa od tej normy uważano za aberrację i prognozowano rychły koniec związku.

Krystyna ciągle czekała na odpowiedź i Ratio doszedł do wniosku, że musi jej wyjaśnić sytuację, by nie dopuścić do powstania nieporozumień.

– Diona jest dla mnie jak starsza siostra, dlatego pomyśl, że mogłoby nas łączyć coś innego, wydał mi się niedorzeczny. Tym bardziej że znam jej narzeczonego i uważam, że jest dla niej idealny. Sorry, ale teraz naprawdę muszę już iść. Dasz mi numer komórki?

Przyjrzała mu się z uwagą, nim wyrecytowała ciąg cyfr. Ratio wpisał je do kontaktów, wysłał sygnał, by mogła zapisać jego numer, i rzuciwszy krótkie „na razie”, pobiegł w górę schodów. Dotarł już na półpiętro, gdy przypomniał sobie o pozostawionej przy windzie reklamówce. Pomyślał, że nazwisko Strega pasuje do Krystyny bardziej, niż podejrzewał, skoro wystarczyła krótka rozmowa, by zmienić mu mózg w sieczkę.

U Diony zabawił tylko parę minut. Przyjaciółka wydała mu się dziwnie rozkojarzona i już miał zapytać o powody, gdy do pokoju weszła jej współlokatorka. To skutecznie zamknęło mu usta, bo chociaż Dioniza nie miała do Violki żadnych zastrzeżeń, tkwiąca w Ratierze od lat nieufność wobec obcych nie pozwalała mu poruszać osobistych kwestii w obecności osób, których dobrze nie znał. Zamienił więc jedynie kilka niezobowiązujących słów, zapowiedział kolejny rychły przyjazd Szymona, pożegnał się i wyszedł.

Tym razem skierował się na schody, gdzie minął się z wchodzącym na oddział wysokim blondynem o zimnych szarych oczach. Nie poświęcił mu większej uwagi nawet wówczas, gdy zakręciwszy na półpiętrze, odkrył, że mężczyzna wchodzi do pokoju zajmowanego przez Remańską. *Pewnie przyszedł do pani Violetty* – skonstatował w myślach i natychmiast o nim zapomniał, zajęty ustalaniem strategii w nowej grze.

Jakub Zapata nienawidził szpitali. Jego była żona, zagadnięta o tę kwestię, odpowiedziała z pewnością, że to nic nowego, eksmałżonek bowiem nienawidzi właściwie wszystkiego, a różnica tkwi jedynie w mocy owego uczucia.

Na pierwszych pozycjach plasowały się właśnie szpitale, a także rozwydrzone dzieci oraz pozwalające im na wszystko matki, na następnych zaś muzyka disco polo, sąsiedzi i ich psy, z uporem godnym lepszej sprawy obsrywające przybłokowe trawniki. Nienawidził też pewnych słów. Nie potrafił pojąć, dlaczego suka koniecznie musi być „sunią”, twarz dorosłej osoby „buzią”, i czemu, do jasnej cholery, od pewnego czasu wszystko zaczęło być takie malutkie.

„Kubuś żyje na maksymalnym wkurwie, dlatego ma takie osiągi. Pewnie myśli, że to pomoże mu awansować”. Taką opinię na jego temat, okraszoną złośliwym uśmiechem, wygłosił ostatnio komendant do jednego ze swoich wiernych akolitów, przez resztę obsady komisariatu zwanych po prostu „przydupasami komedianta”.

Nie wiedział, że Zapata ma wszelkie awanse w głębokim poważaniu, tak jak nie miał pojęcia, że komisarz go słyszy. Ten zaś doszedł do wniosku, że do listy znienawidzonych rzeczy powinien dopisać tego spasionego buca wywindowanego na stanowisko na plecach partyjnych kolegów. Nie żeby Zapata uważał się za zwolennika poprzedniego rządu, pod tym względem nie miał niestety żadnych złudzeń. Uważał, że jedni byli warci drugich, a poprzednicy polityków będących obecnie u władzy tylko dlatego zachowywali pozory przyzwoitości, bo nie przyszło im do głowy, że można inaczej.

Po raz kolejny doszedł do wniosku, że w wojsku wszystko było prostsze. Po jednej stronie stał wróg, po drugiej oni, przez co nie musiał się zastanawiać, kto jest dobry, a kto zły. Gdy dochodziło do bezpośredniego starcia, również wszystko było proste – albo on, albo ja. Zero-jedynkowe uniwersum. Czern lub biel – i żadnych szarości pośrodku. Tak było łatwiej. Ale czy sprawiedliwiej?

Coraz częściej nasuwało mu się to pytanie, lecz ciągle nie znalazł zadowalającej odpowiedzi, co również go irytowało. Początkowo uplasował problem dość daleko na liście, obok głupoty przestępców i tumiwizmu kolegów, ostatnio jednak przeniósł go wyżej, stwierdziwszy, że od jego rozwiązania zależy, czy nadal będzie się identyfikować z tym Zapatą, jakim był wcześniej. A jeśli nie? Kim wówczas będzie? Jak zaczną postrzegać go inni, skoro on sam uzna, że jest nikim, jeszcze jednym nieudacznikiem bez przeszłości i bez przyszłości?

Pokonywał schody równym krokiem, choć przy ostatnich stopniach okaleczone odłamkiem udo zaprotestowało tępym ćmieniem. Zaciśnął zęby i zignorował niedwuznaczny sygnał, że nie powinien tak się forsować. Kiedyś przyrzekł sobie, że jeżeli zacznie przejmować się zdrowiem i oszczędzać zranioną nogę, równie dobrze może się od razu zastrzelić, bo będzie to ewidentną oznaką kapitulacji.

Wyminął młodego przystojniaka o pochmurnej urodzie buntownika i skierował się w stronę drzwi oznaczonych numerem trzysta pięć. Miał nadzieję, że Remańska nie poszła na spacer i wspinaczka po schodach nie okaże się daremna. Zapukał krótko, lecz mocno, i równo z okrzykiem „proszę” wszedł do pokoju.

Przy stole, tyłem do wejścia, wsparta na kulach kobieta usiłowała podnieść kubek; jeśli miał wnioskować ze snującej się z niego pary, naczynie zawierało jakiś gorący płyn. Podobnie jak Remańska była ciemnowłosa, jednak wśród czarnych pukli zauważył niebieskie pasemka, których ta pierwsza zdecydowanie nie miała. Na odgłos otwieranych drzwi odwróciła się, przez co kubek niebezpiecznie zachybotał. Komisarz szybko podszedł i przytrzymał niesforne naczynie.

– Gdzie mam go zanieść?

– Na szafkę. – Wskazała łóżko po lewej stronie. – Pan do Diony, prawda? Zaraz przyjdzie, poszła tylko po leki.

W pierwszej chwili poczuł złość. Mógł ten czas spożytkować inaczej zamiast czekać na świadka, który zapewne nie wniesie do śledztwa nic nowego. Potem uznał, że może skorzystać z okazji i dowiedzieć się czegoś o pacjentce wykazującej zaskakującą wiedzę na temat zabezpieczania miejsca zdarzenia.

Zastanawiało go też opanowanie, z jakim podchodziła do kwestii samego zabójstwa. Bądź co bądź niecodziennie spogląda się na ciało martwej kobiety, zwłaszcza spoczywające w wannie przeznaczony do zabiegów terapeutycznych. Tymczasem Remańska jako jedyna zachowała spokój, w dodatku tylko ona

dostrzegła oznaki świadczące o przemocy, podczas gdy inni, mimo wykształcenia medycznego, niczego nie zauważyli.

Postawił kubek na szafce koło łóżka, a podziękowanie kobiety potraktował jako pretekst do nawiązania rozmowy.

– Nazywam się Jakub Zapata. – Przywołał na twarz przyjazny uśmiech. – Mogę tu na nią zaczekać? Nie chciałbym przeszkadzać...

– Violetta Sablik. Proszę usiąść. – Wskazała na przystawione do stołu krzesła. – Za wygodne to one nie są, ale lepiej źle siedzieć niż dobrze stać. Tym bardziej że pewnie jakiś czas potrwa, zanim Diona wróci, bo przypomniałam sobie, że jeszcze mają jej robić EKG. A może napije się pan kawy albo herbaty?

Ucieszyła go tą propozycją. Od rana cały czas był w ruchu, miotając się pomiędzy Klonowicami a Bielskiem, i nie znalazł chwili, by w spokoju wypić kawę. Najpierw wizyta w prokuraturze, później będąca jedynie stratą czasu nasiadówka u komendanta, potem znowu wyjazd do Bielska-Białej, tym razem do prosektorium, by dzięki osobistemu uczestnictwu w sekcji zwłok poznać natychmiast jej ustalenia.

Zaledwie wrócił na komisariat, a już musiał ponownie jechać do prokuratury, gdyż Mrok zapomniał o złożeniu podpisu na nakazie przeszukania pokoju zajmowanego przez denatkę. O tym, że należałoby przeprosić za swoje niedopatrzenie, zapomniał również, co nie było w jego przypadku niczym niezwykłym – dla tego konkretnego prokuratora policjant nie był kimś, kim warto by się przejmować.

Do szpitala Zapata przyjechał prosto ze Szczyrku, gdzie Pokrzywa mieszkała wraz z mężem. Co prawda z mężczyzną rozmawiał już funkcjonariusz oddelegowany do powiadomienia go o zgonie żony, ale komisarz chciał zadać mu jeszcze kilka pytań i, przede wszystkim, poznać go osobiście. Rozmowa twarzą w twarz zawsze pomagała mu wyrobić sobie zdanie o rozmówcy, co znacznie ułatwiało ocenę wartości zeznań.

W żadnym z tych miejsc nikt nie pomyślał o tym, by zaproponować mu bodaj szklanekę kranówki, tym bardziej więc był wdzięczny, że Sablik o tym wspomniała.

– Bardzo chętnie. Mogę? – Wskazał na czajnik.

Na potakujące kiwnięcie sprawdził poziom wody. Może wystarczyłoby na jedną kawę, ale Zapata wolał nalać jej do pełna. Dzięki temu nie tylko znajdzie pretekst do przedłużenia wizyty, ale także spełni dobry uczynek.

– W czarnej puszcze jest kawa, a w niebieskiej herbata – poinstruowała go Violetta.

Wybrał kawę. Nasypał do kubka dwie czubate łyżeczki, zmierzył wzrokiem jego objętość i po krótkim namyśle dołożył trzecią. Nie znosił lurowatej kawy jeszcze bardziej niż nazywania tego napoju kawusią.

– Co właściwie dolega pani Remańskiej? – zagaiał, starając się sprawić wrażenie kogoś, kto chce luźną rozmową zabić czas oczekiwania. – To chyba nic poważnego, bo nie zauważyłem, żeby miała problemy z poruszaniem się.

Pani Violetta połknęła haczyk. Klapnęła na łóżko, odstawiła kule i obdarzyła policjanta pełnym wyższości spojrzeniem osoby wiedzącej.

– Ma problemy z barkiem, przez co kiepsko włada prawą ręką. To po postrzale. – Zerknęła na rozmówcę, wyraźnie zawiedziona brakiem spodziewanej reakcji, i dorzuciła: – Była poważnie ranna. Pierwsza kula strzaskała jej obojczyk, a druga trafiła w brzuch.

Komisarz zachował kamienną twarz, lecz na widok rozczarowania rozmówcy zmarszczył brwi w wyrazie zaskoczenia. Zresztą rzeczywiście je poczuł. Po wrywkowym sprawdzeniu Remańskiej wiedział, że kobieta pracuje na strzelnicy jako instruktorka, nie przypominał sobie jednak żadnego zdarzenia z użyciem broni palnej mającego miejsce na terenie powiatu żywieckiego, a o czymś takim z pewnością by słyszał.

– Jak to się mogło stać? I dlaczego? – spytał z żywym zaciekawieniem, którego nie musiał udawać.

Dioniza Remańska naprawdę go zaintrygowała i chętnie dowiedziała się o niej czegoś więcej, niestety jej współlokatorka pokręciła głową z nieskrywanym żalem.

– Nie mam pojęcia. O wszystkim dowiedziałam się przypadkiem, bo byłam w pokoju, kiedy doktor Kenig ją o to pytał. Zagadywałam później Dionę, bo byłam ciekawa, czemu ktoś do niej strzelał, ale stwierdziła, że nie chce o tym mówić, i zrobiła taką minę, że przeszła mi ochota do zadawania pytań.

– Ciekawe... – mruknął bardziej do siebie, kobieta jednak uznała to prawdopodobnie za zachętę do dalszego snucia opowieści, bo po pociągnięciu sporego łyku odstawiła energicznie kubek i podjęła watek:

– Niech pan nie myśli, że coś do niej mam. Jest fajna jako współlokatorka, ale czasem zachowuje się dziwnie. Na przykład te jej rozmowy z narzeczonym... Normalnie ludzie mówią sobie słodkie słówka, a oni rozmawiają o broni i strzelaniu...

– Remańska pracuje na strzelnicy, więc to chyba nic dziwnego – wszedł jej w słowo, podając logiczne wyjaśnienie, lecz Sablik znowu pokręciła głową.

– Ale na strzelnicy raczej nie zabija się ludzi, a ona mówiła o trupach – oznajmiła triumfalnie. – Ten jej kolega, który dopiero co stąd wyszedł, też jest jakiś dziwny. Traktuje ją jak matkę, chociaż na pewno jest już pełnoletni, a ona ma niespełna trzydzieści. Chwalił się, jak to wspaniale rzuca nożem, potem gadał o wrogach, których musi wyeliminować, i pytał ją, w jaki sposób mógłby wyprowadzić w pole policjantów. To chyba nie jest zwyczajne zachowanie?

Zapata musiał przyznać, że czuje się zaintrygowany. Rzeczywiście tematyka rozmowy była niecodzienna, chociaż nie chciało mu się wierzyć, by jakikolwiek przestępca mógł być tak głupi, by omawiać podobne sprawy w towarzystwie postronnych osób. Ale kto wie? Tytanami intelektu to oni jednak nie byli.

– Jak się nazywa ten kolega Remańskiej?

– Niestety nie wiem. Dionka ani razu nie wymieniła jego imienia, nazywała go tak dziwnie. Ratio czy coś podobnego. To pewnie przestępczy pseudonim, taki jak ten Masa czy Pershing. Może została ranna w jakichś bandyckich porachunkach?

W oczach Violetty rozgorzał płomień ekscytacji. Najwyraźniej myśli, że dzieli pokój z kobietą mającą bliskie kontakty z przestępcami, nie wywoływała w niej niepokoju, przeciwnie, stanowiła niespodziewany i ze wszech miar przyjemny bonus. Zapewne cieszyło ją, że po powrocie do domu będzie mogła opowiadać o dniach spędzonych w towarzystwie dziewczyny jakiegoś gangsterskiego bossa, stając się tym samym obiektem zainteresowania.

Miał zamiar zwrócić jej uwagę na fakt, że po pierwsze, czasy największych triumfów gangsterskiego półświatka już dawno minęły, a po drugie, nigdy dotąd nie słyszał o kimś noszącym przezwisko „Ratio”. A powinien był, jeśli ów człowiek zajmował znaczącą pozycję w przestępczej hierarchii. Nie zdążył jednak nawet otworzyć ust, gdyż przeszkodził mu w tym kobiecy głos dobiegający od drzwi.

– O jakich bandyckich porachunkach mówicie? Podejrzewacie, że pani Iga padła ich ofiarą? No nie wiem, mnie tam na kogoś związanego z takim środowiskiem to ona nie wyglądała.

\*

Mężczyzna znajdował się na granicy wybuchu. Ileż można słuchać bezsensownych pouczeń? Od kiedy Anka Ziębińska awansowała na szefową działu rehabilitacji, spoczęła na laurach i całkowicie zaniechała samokształcenia. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Przestała nadążać za nowinkami, a obsługa skomplikowanych urządzeń była jej całkiem obca. Jednym słowem: Ziębińska w zakresie fachowości coraz bardziej odstawała od swoich podwładnych. Do niej jednak to nie docierało; w dalszym ciągu miała się za najbardziej wykwalifikowaną fizjoterapeutkę i przemądrzałym tonem wydawała polecenia mające się nijak do najnowszych rozwiązań lub – jak przed chwilą – do możliwości sprzętowych.

– Rozciąganie na platformie służącej do stabilizacji postawy i ćwiczenia równowagi? Chyba ją powaliło! Idiotka!

Napotkał zaskoczony wzrok pacjentki, do której musiała dojść wypowiedziana głośno opinia, co znowu wywołało przyływ wściekłości. Że też człowiek nie może nawet zebrać w spokoju myśli, wiecznie ktoś musi być obok!

Zerknął na ścienny zegar i zaklął pod nosem, bo choć do końca zmiany zostało tylko piętnaście minut, akurat dzisiaj wypadał jego dyżur na odkażenie i schowanie do szaf drobnych sprzętów, aktualnie walających się po dużej sali. W ciągu dnia nie było czasu na wykonywanie prac porządkowych, dlatego robiono to dopiero po osiemnastej.

Tego dnia jak na złość wywleczono z szafek chyba całą ich zawartość. Piłki we wszystkich możliwych rozmiarach, wałki i półwałki, trójkąty i gumy, sprężyny o różnych długościach, obciążniki i zestawy do rehabilitacji palców dłoni oraz jeszcze wiele innych przedmiotów – cały ten majdan leżał bezładnie w najmniej niekiedy prawdopodobnych miejscach.

Mężczyzna zabrał się do niewdzięcznej pracy, a złość przydawała mu sił, zwiększając tempo. Mimo to, gdy skończył, na zewnątrz zaczęło się już ściemniać, w dodatku zimny, porywisty wiatr zwiastował nadejście deszczu.

– Nie mam ochoty na dokładkę zmoknąć. Wystarczy tych atrakcji na dziś – mruknął do siebie i sięgnął po telefon.

Po kilku minutach rozmowy odzyskał dobry humor. Kwestia transportu została załatwiona, a jutro ma wolne, więc nie będzie musiał wysłuchiwać idiotycznych uwag Anki. Doszedł do szlabanu odgradzającego teren szpitala od ulicy i skręcił w stronę stojącej tuż obok ławki. Była zajęta przez jakiegoś mięśniaka z komórką przy uchu, usiadł więc bokiem, by tamten nie pomyślał, że chce podsłuchać jego rozmowę.

Mięśniak w dresie mówił jednak na tyle głośno, że nie sposób było nie słyszeć jego słów:

– Jasne, szefie, że ja załatwił. Kiedy on usłyszał, ile dostanie, o mało się nie zesrał ze szczęścia. Jakby ja chciał, to on by mi czerwony dywan rozłożył.

Dresiarz zarechotał krótko, potem zamienił się w słuch.

– Się wie, szefie, że morda w kubeł. Ale ja myślę, że to za mało... Powinien pan zostawić jakiś znak... Już mówię. Coś w stylu „to jest twoja zapłata”, żeby inni wiedzieli, co się stanie, jeżeli nie przestaną pana cisnąć o kasę. Takie ostrzeżenie, kuma... rozumie pan?

Mężczyzna nie zdążył się dowiedzieć, czy szef tamtego zrozumiał, gdyż właśnie pojawił się jego transport. A wraz z nim myśli, że mógłby zaadaptować pomysł dresiarza do własnych planów.

## Rozdział 7

### Sprzymierzeni

11 września 2020

Violetta nie sprawiała wrażenia zachwyconej, gdy po przywitaniu Zapata zapytał Remańską, czy znajduje się na terenie szpitala jakiś ustronny kącik, gdzie mogliby spokojnie porozmawiać. Zaraz też zaprotestowała żywo.

– To bez sensu. Lekarz już do nas zaglądał, a pielęgniarka robi obchód dopiero późnym wieczorem, więc nikt nie będzie nam przeszkadzać.

Komisarz zauważył źle skrywane rozbawienie Dionizy i sam także musiał stłumić uśmiech. Zachowanie Sablik było aż nadto czytelne. Najwyraźniej kobieta postanowiła stworzyć sytuację, w której wykluczenie jej z rozmowy byłoby uznane za niegrzeczne, a nawet chamskie. Z pewnością stawiała na zwycięstwo poprawnego zachowania nad wymogami dyskrecji, nie przewidziała tylko, że natrafiła na osobnika niezważającego na dobre manierey.

– Nam? – zdziwił się ostantacyjnie. – To rozmowa poufna, osoby trzecie nie mogą w niej uczestniczyć, a nie chciałem pani wyrzucać z pokoju.

– Nie jestem żadną trzecią osobą – oburzyła się Violetta. – To ze mną pan najpierw rozmawiał, więc jeśli ktoś ma być trzeci, to raczej ona.

– Nie wygłupiaj się, Violka – włączyła się Diona pojednawczo. – Nie rób z siebie idiotki, bo to i tak nic nie da. Nawet gdybyś stanęła na głowie i zaczęła klaskać uszami, komisarz się nie zgodzi, więc daruj sobie to przedstawienie.

Sablik westchnęła głośno w uznaniu swojej porażki i sięgnęła po kule. Posłała przy tym w stronę policjanta porozumiewawcze spojrzenie.

– Musiałam spróbować, bo mogło się udać. Trudno, wygraliście. – Przeniosła wzrok na Remańską. – Poczekam u dziewczyn spod trzysta dziewięć. Zawołaj mnie, kiedy skończycie. Zamkniesz za mną?

Teraz wreszcie zostali sami, ale Zapata wcale się nie spieszył z zadawaniem pytań. Wyjął z kieszeni długopis, kilka razy nim pstryknął, jakby chciał sprawdzić działanie mechanizmu, później wyjął z kieszeni jakiś świstek i użył go do rozpisania wkładu. Dopiero potem przystąpił do przesłuchania, które zresztą nie wniosło do sprawy nic nowego. Kobieta opisała przebieg zdarzenia dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia i jedyną różnicą było, że użyła trochę innych określeń. Policjant zanotował skrzętnie jej odpowiedzi, potem podsunął jej protokół, by mogła zapoznać się treścią dokumentu, zanim go podpisze.

– Chciałbym z panią jeszcze porozmawiać, ale nieoficjalnie, poza protokołem – uprzedził, gdy pochyliła głowę nad kartką papieru. – Poświęci mi pani kilka minut? Najlepiej od razu, ale mogę przyjechać jutro, jak pani nie pasuje.

Uniosła brwi w wyrazie zdumienia, ale o nic nie zapytała, tylko skinęła lekko głową i rzuciwszy zwięzłe „może być od razu”, zajęła się leżącym przed nią dokumentem. Czytała uważnie, po czym oznajmiła, że nie wnosi zastrzeżeń, i sięgnąwszy po długopis, podpisała protokół, posługując się nieporadnie lewą ręką. Przez cały ten czas obserwował ją spod oka, usiłując wyrobić sobie zdanie na jej temat.

Zadanie okazało się niełatwe, gdyż z bliżej nieokreślonych przyczyn Remańska wymykała się wszelkim standardowym ocenom; Zapata w dalszym ciągu nie wiedział, do jakiej grupy powinien ją zakwalifikować. Z pewnością nie do pustych lalek, dla których głównym motywem wszelkich działań jest chęć zwrócenia na siebie uwagi. O tym zresztą wiedział już po wymianie kilku zaledwie uwag. Remańska była zbyt inteligentna, poza tym wypowiadała się oszczędnie i wyłącznie na temat zdarzenia, nie próbując ani razu kierować rozmowy na siebie. Odniósł nawet wrażenie, że najchętniej zataiłaby przed nim



wszelkie informacje o sobie, z danymi osobowymi włącznie, co definitywnie eliminowało ją z grona aspirujących do miana celebrytki.

Ukierunkowana wyłącznie na własny komfort zimna suka? Tak myślał o niej podczas pierwszego spotkania, obecnie jednak, po spokojnym przeanalizowaniu wczorajszej rozmowy, był pewny, że się pomylił. Gdyby tak było, nie wspomniałaby nawet słowem o śladach na ciele Pokrzywy i nie zgłaszałaby zabójstwa, lecz nieszczęśliwy wypadek, bo taka przyczyna zgonu gwarantowała, że nie zostanie wmieszana w śledztwo. I, przede wszystkim, po stwierdzeniu, że śmierć innej pacjentki w żaden sposób jej nie dotyczy, zignorowałaby ją i odeszła bez mieszania się do sprawy, bo ta w najmniejszym stopniu by jej nie interesowała.

W takim razie może cwaniara pragnąca poprzez udawanie przejętej i skorej do pomocy oddalić od siebie podejrzania? To miałyby sens tylko wówczas, gdyby nie znalazła się tak szybko przy zwłokach. Ale to właśnie ona jako jedyna zareagowała na krzyki przerażonej terapeutki. Pobiegła tam i natychmiast wzięła sprawy w swoje ręce, a następnie własną pierś broniła miejsca zbrodni przed zanieczyszczeniem, choć to ostatnie leżałoby w jej interesie, gdyby właśnie ona zabiła. A jak wcześniej skonstatował, była bardzo inteligentna, nie mogłaby więc nie zauważyć, że chroniąc miejsce zdarzenia, działa na swoją szkodę.

W swoich rozważaniach komisarz celowo pominął grono obojętnych, w którego skład wchodziło zawsze najwięcej ludzi. Znajdowali się wśród nich przeciętni obywatele, tacy jak pacjenci obecni w pomieszczeniu do hydroterapii w czasie zabójstwa lub terapeutki przybyłe tam już po fakcie. Umiarkowanie ciekawscy, woleli obserwować wszystko z bezpiecznej odległości. Robili zbolące miny i głośnymi okrzykami wyrażali swoje współczucie, przerażenie czy żal, ale niczego więcej nie należało się po nich spodziewać. Bezpośrednio się angażować nie zamierzali, daleko wygodniej było stać z boku i przyglądać się rozwojowi wypadków.

Pozostała zatem tylko jedna grupa ludzi, do której Zapata mógł zaliczyć Remańską. Określał ją mianem klubu domorosłych śledczych i wrzucał do niego wszelkich detektywów amatorów, począwszy od „wizjonerów”, czyli osobników wydzwanających na policję i podrzucających genialne ich zdaniem pomysły. Następni w kolejności to „geniusze”, przeświadczeni, że bez ich pomocy policjanci nie mają najmniejszych szans na wykrycie sprawcy, gdyż nie dysponują odpowiednio wysokim poziomem inteligencji.

Grupę zamykało najmniej liczne, za to najbardziej kłopotliwe grono „pokazywaczy”, którzy swoją nazwę zawdzięczali idei determinującej ich działania, zawierającej się w słowach „ja im (policji) pokażę, jak to się robi”. Pół biedy, gdy w sferze ich zainteresowania znajdował się przeciętny, nieskłonny do agresji obywatel, gdy jednak za cel obierali człowieka mającego problem z kontrolowaniem emocji albo kogoś z marginesu, robiło się nieciekawie. Niejednokrotnie tylko błyskawiczna interwencja stróżów prawa chroniła „pokazywaczy” przed pobiciem czy nawet utratą życia, najgorsze zaś było, że po wszystkim nie tylko nie okazywali wdzięczności, ale wręcz mieli pretensje do wybawców o pozbawienie ich zasłużonych laurów.

Niestety Dioniza Remańska nie pasowała również do tej grupy, i to nawet przy założeniu, że nie jest typową przedstawicielką, a jedynie znajduje się na jej obrzeżach. Kim więc, do cholery, właściwie była?

– Gdybym wiedziała, że nasza rozmowa ma polegać na wspólnym milczeniu, wzięłabym do szpitala jakąś robótkę.

Leżąc kpiący głos wyrwał komisarza z zamyślenia. Przez moment policjant poczuł się jak nastolatek przyłapan przez matkę na oglądaniu zakazanych stron zawierających treści pornograficzne, zdołał jednak zapanować nad emocjami i nie okazać zmieszania.

– Nie wygląda pani na amatorkę dziergania. Naprawdę lubi pani takie zajęcia?

– Szczerze? Nienawidzę. – Po krótkiej przerwie wyjaśniła obszerniej: – To znaczy tak mi się wydaje, bo nigdy nie próbowałam. Na samą myśl o siedzeniu bez ruchu i liczeniu oczek ciarki zaczynają mi chodzić po plecach. Nienawidzę beczynnego zabijania czasu.

Spojrzeni po sobie w nagłym porozumieniu, rozbawieni niespodziewanym odkryciem łączącej ich cechy. Zapata postanowił to wykorzystać i szybko zadał pytanie, licząc, że niespodziewająca się takiego obrotu sprawy kobieta da się zaskoczyć:

– Kto do pani strzelał?

Manewr się nie powiódł. Remańska co prawda odpowiedziała, ale zupełnie inaczej, niż tego oczekiwał.

– Rozczarował mnie pan, komisarzu. A już liczyłam, że moje pierwsze wrażenie było mylne.  
– A jakie było to pierwsze wrażenie, jeśli można spytać?  
– Że jest pan idiotą mającym głęboko w dupie to zabójstwo, jego sprawcę i związane z tym śledztwo. I miałam rację, skoro bardziej interesuje pana tania sensacja niż rozwiązanie sprawy – wyrębała mu prosto w oczy.

Zapata najpierw zaniemówił, potem ryknął śmiechem. Nie, Remańska zdecydowanie nie kwalifikowała się do żadnej z wcześniej wymienionych grup. Była jedyna w swoim rodzaju, co więcej, zyskał pewność, że nie będzie się bawiła w żadne gierki, a jej odpowiedzi, choć nie ocierały się nawet o dyplomację, z pewnością będą szczerze.

Zauważył, że swoją reakcją zbił ją z pantofelku, i postanowił to wykorzystać. Zdążył się już zorientować, że to śledztwo nie będzie łatwe. Co gorsza, wszystko wskazywało na to, że już teraz może zaliczyć je do najtrudniejszych w swojej policyjnej karierze, chociażby przez te wszystkie obostrzenia sanitarne, przez które tracił chwilami orientację i zaczynał wątpić, czy przesłuchiwana osoba jest rzeczywiście tą, za którą się podaje. Bardzo przydałaby mu się wtyczka na terenie szpitala, a Remańska ze swoją inteligencją i spostrzegawczością nadawała się do tej roli wręcz idealnie. Musiał jednak wiedzieć, czy może jej zaufać.

– Nie pytałem o to, żeby móc później opowiadać kumpłom przy wódce, że poznałem laskę, do której ktoś strzelał. Bo taki scenariusz chyba miała pani na myśli. Zapytałem wprost, bo to łatwiejsze od dowiadywania się prawdy innymi drogami.

Zdziwił się na widok jej zmieszania.

– Kurde, ta śpiączka chyba mi zaszkodziła na mózg. Jak mogłam zapomnieć, że w każdej chwili mógł pan to dokładnie sprawdzić?

Tymi słowami zaskoczyła go jeszcze bardziej i dopiero po dość długim czasie zrozumiał, skąd to przeświadczenie. Remańska nie miała pojęcia, że o przyczynach jej pobytu na rehabilitacji dowiedział się dopiero przed kilkunastu minutami. Zapewne podejrzewała, że informację o jej stanie zdrowia przekazał mu lekarz, stąd to zdumiewające stwierdzenie.

– Nie chciałem tracić czasu na sprawdzanie, bo i tak planowałem z panią porozmawiać – stwierdził, poruszając się po obrzeżach prawdy.

Przez pewien czas trwała w milczeniu, przyglądając mu się uważnie, jakby dokonywała oceny. Potem wolno skinęła głową. Właśnie chciał zapytać, czy opowie mu o tym zdarzeniu, gdy przerwała milczenie.

– Pracuję jako instruktorka strzelectwa, ale mam jeszcze dodatkowe zajęcie. Wraz z dwoma emerytowanymi policjantami prowadzę biuro detektywistyczne...

Z zaskoczenia odebrało mu mowę, co później uznał za ewidentną interwencję Anioła Stróża, ducha opiekuńczego czy kto tam jeszcze zajmuje się ochronieniem ludzi przed robieniem z siebie durniów. Bo gdyby nie to, z pewnością rzuciłby jakąś uwagę o pracy biurowej czy parzeniu kawy, a wówczas nie miałby żadnych szans nie tylko na współpracę, ale nawet na uzyskanie podstawowych informacji.

Na szczęście ów tajemniczy ktoś pozbawił go umiejętności wyartykułowania w miarę spójnej wypowiedzi na tyle długo, że Remańska zdążyła nadmienić o swojej siedmioletniej przygodzie z policją oraz opowiedzieć o przyczynie pobytu w tutejszym szpitalu. To utwierdziło komisarza w przekonaniu, że autor powiedzenia „milczenie jest złotem” miał całkowitą rację.

– Co się stało z policjantem, który do pani strzelał? – spytał, gdy zamilkła. – Przeżył? Mam nadzieję, że nie.

– Niestety tak. – Skrzywiła się wymownie. – Szkoda, że nadkomisarz Zemanek nie trafił w głowę. Albo mógł przynajmniej rozwalić mu tętnicę, jeśli już się uparł celować w rękę. A tak wszyscy będziemy płacić najpierw za badania psychiatryczne, a potem za utrzymywanie pojeba w więźniu albo w psychiatryku.

– Co prawda, to prawda. Gnój nie zabijał w afekcie, tylko decydował na zimno, kto powinien umrzeć, a takiemu nie pomoże żadna resocjalizacja, ma za bardzo zryte pod kopułą. Miała pani cholerne szczęście.

Aż poderwała się z krzesła, zaraz jednak klapnęła na nie z powrotem.

– Szczęście?! Chodzi panu o to, że przeżyłam? – upewniła się. – To prawda. Zresztą początkowo nie wyglądało to za wesoło i mój narzeczony był pewien, że im kofnęłam na stole, bo zobaczył, jak lekarz po wyjściu z sali operacyjnej kręci głowę. A kręcił dlatego, że moja mama spytała o rokowania, a on nie wiedział, czy organizm to wytrzyma, bo ponoć w trakcie operacji dwa razy omal im nie zjechałam. – Uśmiechnęła się niewyraźnie. – Gdyby nie Ratio... Przestraszył się, bo Szymon miał przy sobie broń.

Poleciał za nim i na wszelki wypadek wrzeszczał na cały parking, że przeżyłam. Podobno niezły cyrk odstawił, szkoda, że tego nie widziałam.

– Szymon to pani narzeczony? Policjant? – zaciekał się Zapata, a gdy potwierdziła, drążył dalej: – A ten Ratio to kto? Brat?

– Przyjaciel. Naprawdę nazywa się Medard Ratier, Ratio to ksywa.

– Domyśliłem się – burknął.

W następnej chwili uzmysłowił sobie, że nie powinien zrażać kobiety nieuprzejmym zachowaniem i wykrzywił wargi w przyjaznym uśmiechu. Najwyraźniej coś się nie powiodło, gdyż Remańska popatrzyła na niego z jawną kpina.

– Kartotekę ma czystą, czego nie mogę powiedzieć o jego przeglądarce. Pełno tam stron o przemocy, narkotykach i gangach.

Zrobiła zasmuconą minę, od razu więc zwierzył podstęp i spytał pozornie bez związku z omawianą właśnie kwestią:

– Czym ten Ratio się zajmuje? Pisze kryminały?

– Blisko pan trafił – przyznała. – Medard jest programistą, a jego ulubione zajęcie to tworzenie gier komputerowych.

– Aha – stwierdził krótko i znów sięgnął po długopis. – Wróćmy teraz może do zabójstwa Pokrzywy.

Wbrew tej zapowiedzi nie zadał żadnego pytania, tylko w milczeniu obserwował siedzącą naprzeciwko kobietę. Znosiła to dość długo, w końcu jednak nie wytrzymała.

– Nie chciałabym być nieuprzejma, ale czy pan planuje zostać tu na zawsze? Bo Viola pewnie niedługo się wkurzy i wróci, a wtedy...

– Okej, już mówię – przerwał jej i oznajmił bez silenia się na dyplomację: – Potrzebuję pomocy kogoś z wewnątrz szpitala. W normalnych warunkach byłoby to zbędne, ale przez to cholerne zagrożenie covidowe wszystko idzie nie tak. Nie dość, że ludzie chodzą w maseczkach, przez co trudno ich rozpoznać, to jeszcze lekarze i pielęgniarki traktują mnie jak chodzącą bombę biologiczną i tylko czekam, kiedy zabronią mi wejścia na oddział.

– Mogliby to zrobić?

– Nie mam pojęcia – przyznał otwarcie. – Na pewno nie sami, ale gdyby dyrektor szpitala zdołał wyegzekwować taki zapis od dyrektora sanepidu, to kto wie? Sprawa na pewno rozstrzygnęłaby się wysoko nade mną, niemniej muszę się liczyć z podobnym scenariuszem. Może się okazać, że dostanę polecenie zdalnego prowadzenia śledztwa.

Parsknęła śmiechem, doceniając dowcip, ale zaraz spoważniała.

– Niech im pan tego nie podpowiada, bo zauważyłam, że im głębszy pomysł, tym chętniej wprowadzają go w życie. W dodatku sympatia pacjentów i ich bliskich byłaby po stronie lekarzy, bo policja to czyste zło.

– Oczywiście, że zło. – Komisarz podjął ironiczny ton kobiety. – Podejrzewam, że znaczna część społeczeństwa, choć ciągle krzyczy, że zna swoje prawa, tak naprawdę nawet nie wie, kto właściwie jest w naszym kraju prawodawcą.

Remańska skrzywiła się wymownie.

– Prawników ci u nas dostatek, tak samo jak doradców zawodowych. Rozmawiałam ostatnio z taką jedną, którą poznałam, kiedy leżałam na chirurgii. Rezydentka, jedna z tych, którzy planowali wziąć udział w sierpniowym proteście. Wtedy ich popierałam, ale teraz to już sama nie wiem.

Policjant popatrzył na nią z zacięciem.

– Dlaczego? Coś się zmieniło?

– Moje nastawienie. Powiedziała o policjantach, że ich zachowanie to hańba i że mogą przecież zmienić pracę. Zapytałam, dlaczego w takim razie ona nie zmieniła, skoro przekwalifikowanie się jest takie łatwe, ale niestety zamiast konkretnych argumentów usłyszałam brednie o powołaniu, a potem wyzwiska.

– Jakoś mnie to nie dziwi – stwierdził Zapata. Milczał jakiś czas, nim wrócił do interesującej go kwestii: – Co pani myśli o mojej propozycji?

Remańska uśmiechnęła się szeroko.

– Myślę, że ratuje mi pan życie, bo obawiałam się już, że umrę tu z nudów. Ale muszę wiedzieć więcej. Spojrzał nieufnie.

– O czym?

– Przecież nie o panu – prychnęła w odpowiedzi. – O śledztwie. O tym, co udało się panu ustalić. Inaczej nie będę miała pojęcia, na co zwracać uwagę.

Komisarz znów się zamyślił, analizując, jakimi informacjami może się podzielić, nie popadając przy tym w zbyt wielki konflikt z przepisami.

– Iga Pokrzywa rzeczywiście poniosła śmierć przez utopienie – odezwał się po kilku minutach. – Wyników z laboratorium jeszcze nie mamy, ale jest raczej pewne, że zginęła właśnie w tej śmiesznej wannie. Dlatego na zwłokach nie znaleźliśmy żadnych śladów biologicznych, bo jak sądzimy, zabójca dokładnie je splukał, włącznie z włosami.

– Tak podejrzewałam – odparła z ożywieniem. – Do samego utopienia wystarczyłoby przytrzymać ją tak, by miała twarz pod wodą, bez zanurzania całej głowy. Nie wiem zresztą, czy to ostatnie byłoby możliwe bez złamania jej karku, ta wirówka jest dosyć krótka, a Pokrzywa nie zaliczała się do niskich kobiet.

Popatrzyła pytająco, a Zapata zaklął w duchu. Mógł przewidzieć, że Remańska nie da się zbyt ogólnikami. Wcześniej nie planował tak dokładnego zapoznawania jej z ustaleniami śledztwa, teraz jednak nie miał innego wyjścia jak powiedzieć prawdę.

– Według opinii patologa Pokrzywa została zaatakowana od tyłu. Sprawca złapał ją za ramiona i za kark, zmuszając do pochylenia głowy, a kiedy twarz kobiety znalazła się pod wodą, przytrzymywał ją tak długo...

– Zaraz, momencik – przerwała mu bez pardonowo. – Przytrzymywał ją jednocześnie za ramiona i za kark? To co on miał, cztery ręce czy jak?

– Niemożliwe, z nadto by się wyróżniał, zbyt wielu czterorękich tutaj nie widziałem. – Zapata postanowił odpowiedzieć żartem, ale gdy zobaczył minę Remańskiej, dopowiedział szybko, nie chcąc zrażać przyszłej współpracownicy: – A tak poważnie, to wcale nie powiedziałem, że robił to jednocześnie. Pewnie w którymś momencie zmienił chwyt, stąd ślady po paznokciach na ramionach i karku.

W oczach kobiety błysnęła złość, tęczęwki rozgorzały barwą ciemnego bursztynu. Wstała i oparłszy się zdrową ręką o blat stołu, zawisła nad komisarzem.

– A tak poważnie – powtórzyła wolno jego słowa – to mógłbyś przestać pierdolić jak potłuczony?

– Pani Dionizo – zaczął, lecz znowu mu przerwała:

– Pani, srani! – przedrzeźniała go gniewnie. – Taka uprzejma gadka, z której nic nie wynika. Myślisz, że tym całym paniowaniem zamydłisz mi oczy?

– Ja wcale nie...

Urwał, gdy pełnym wściekłości gestem nakazała mu milczenie. Nie dlatego, że się przestraszył, lecz dlatego, że go zaciekawiła.

– Nie wiem, w co grasz, ale ja mam dosyć – wyszczała. – Zapomniałeś, że ja widziałam te ślady po paznokciach? Były zbyt drobne i zbyt głębokie jak na pozostawione przez mężczyznę i nie wierzę, że patolog o tym nie wspomniał. Szkoda mi czasu na rozmowę z kimś, kto albo uważa mnie za idiotkę, albo sam jest idiotą i nie dostrzega oczywistych faktów. Albo nie chce ich zauważyć, bo ma w dupie całe śledztwo.

*Jest dobra. Cholera jasna, jest naprawdę dobra!* Zapata zastanawiał się gorączkowo nad następnym posunięciem, nim doszedł do wniosku, że tak naprawdę nie ma zbyt wielu możliwości. W zasadzie pozostały mu tylko dwie: trzymać się uparcie swojej wersji lub przyznać, że nie był całkiem szczery. Każda z nich miała minusy. Pierwsza oznaczała, że współpraca z Remańską zostanie zerwana, choć jeszcze nie zdążył tak naprawdę jej nawiązać, gdyby zaś wybrał drugą, w konsekwencji musiałby przekazać Dionizie wszystkie ustalenia bez ograniczania się do starannie wyselekcjonowanych fragmentów.

Żadne z rozwiązań nie było idealne, oba natomiast mogły wywołać niezbyt przyjemne reperkusje. Jeśli wydałoby się, że nie dochował tajemnicy służbowej, byłby skończony jako policjant, a dodatkowo poniósłby odpowiedzialność karną. Czy wobec tego mógł zaufać Remańskiej aż tak bardzo? Nie był pewien, czy to nie błąd. Tylko że bez jej pomocy raczej nie będzie miał szans na dojście do prawdy.

Nie zdoła rozbić monolitu, w jaki w podobnych sytuacjach zmieniało się środowisko ludzi związanych z ochroną zdrowia. Niejednokrotnie skłóceni, zawistni, niewahający się przed podstawianiem rywalowi nogi, w chwilach zagrożenia zwierali szeregi, nie chcąc dopuścić do zdyskredytowania jednego z nich.

Tym samym będą uparcie milczeć i udawać, że sprawa ich nie dotyczy. Gdyby jednak Dioniza, pozornie niezwiązana ze śledztwem, weszła w bliższą komitywę z kimś z personelu, mogłaby dowiedzieć się tego, czego w rozmowie z policją za nic by nie zdradził. W innym przypadku nastawiony na szybkie zakończenie śledztwa prokurator sam wytypuje sobie kozła ofiarnego i zrobi wszystko, by doprowadzić do skazania.

Choć w żaden sposób tego nie okazał, komisarza zabolowały słowa Remańskiej. Nie miała racji. Jemu zależało na śledztwie i na ustaleniu prawdziwego sprawcy, w przeciwieństwie do Mroka, mającego w głębokim poważaniu, czy człowiek, któremu przedstawia zarzuty, rzeczywiście jest winny. Ważne było tylko, że sztuki się zgadzają i można otrąbić sukces.

Na samą myśl o takim finale ręce Zapaty zacisnęły się w pięści. *A niedoczekanie twoje, ty gnoju. Prędeż upierdole ci tęb u samej dupy, niż pozwolę, żebyś awansował kosztem niewinnego człowieka* – pomyślał mściwie i nagle dotarło do niego, że już dokonał wyboru. Wziął głęboki wdech i spojrzał Dionizie prosto w oczy.

– Przepraszam, niepotrzebnie chciałem to zataić. – Zrobił pojednawczy gest. – Możemy zacząć od nowa?

Nie odezwała się, co nie wróżyło nic dobrego, ale również nie zaoponowała, być może więc nie wszystko jeszcze było stracone. Czekał cierpliwie i w końcu wytrwałość została nagrodzona, bo Remańska wreszcie zareagowała.

– Po co? – spytała zwięźle.

Zignorował pytanie i przeszedł od razy do meritum, zakładając, że jeśli nie przekona jej szczerością, odpowiedź nie będzie miała najmniejszego znaczenia.

– Miałaś rację, sprawcą była kobieta.

Zmarszczyła brwi w namyśle i sięgnęła po długopis. Był pewien, że chce coś zanotować, i już zamierzał powiedzieć, że chętnie ją wyręczy, miał bowiem w pamięci nieporadnie złożony podpis. Tymczasem Dioniza wcale nie wykazywała ochoty do sporządzania notatek. Obracała długopis w dłoni.

– Jakub, moim zdaniem kobieta nie dałaby rady sama jej utopić – odezwała się nagle. – Nie ma takiej możliwości. Musiała mieć współnika.

– Nie sądzę – zaoponował policjant. – Uważamy, że wspomogła się farmakologią. Patolog odkrył w okolicach lewego ucha denatki ślad po iniekcji – wyjaśnił i dorzucił: – Zleciliśmy badania toksykologiczne, ale lekarz i bez nich uważa, że wstrzyknięto jej jakiś środek, po którym nie była w stanie się bronić.

Remańska skinęła głową, lecz z jej twarzy nie zniknął wyraz wątpliwości.

– Chciałabym zobaczyć protokół sekcji. Możesz mi go dostarczyć?

– Powinienem dostać papier jutro, najpóźniej w poniedziałek. Wyślę ci na adres e-mail razem z innymi informacjami. To chyba wszystko na dziś. – Zapata wstał i ruszył do drzwi. – Dziękuję, że się zgodziłaś. Przy okazji, znajomi mówią do mnie Diego.

## Rozdział 8

### Rozbłyśk

12 września 2020

Szymon niezbyt przejął się faktem, że przez dwa dni Diona nie zadzwoniła. Wysłana przez Messengera krótka wiadomość o treści: „Pogadamy w sobotę, OK?” w zupełności go usatysfakcjonowała. Domyślił się, że Dioniza była zbyt wyczerpana po zaleconych jej ćwiczeniach, by mieć ochotę na rozmowę, w dodatku z pewnością nie chciała, by się zorientował, jak bardzo czuje się zmęczona. Nie znosiła okazywać słabości.

Odpisał jej równie zwięźle, myśląc przy tym, że jako narzeczeni są chyba najbardziej nietypową parą. Nie mówili sobie słodkich słówek, nie wysyłali uśmiechniętych buziek i serduszek i nie obnosili się publicznie ze swoimi uczuciami. Nawet jego oświadczenia były niekonwencjonalne – zamiast kwiatów reklamówka z czystą piżamą, zamiast przykleju przycupnięcie na brzegu łóżka, wreszcie zamiast prośby oznajmienie wygłoszone tak kategorycznym tonem, że niewiele różniło się od rozkazu.

Wszystko to sprawiało, że wyłącznie nieliczni wiedzieli, jak silna więź ich łączy. Jednym ze zorientowanych był Ratio – niegdyś podopieczny Diony, a teraz jej przyjaciel i zarazem współlokator.

Ogiński uśmiechnął się na wspomnienie buńczucznego chłopaka. Potem pomyślał, że Ratier od dawna już chłopakiem nie jest. To młody mężczyzna, którego życie zmusiło do zbyt szybkiego wydorolenia. Pod tym względem ich losy potoczyły się zaskakująco zbieżnym torem. W czasach, gdy powinni grać w piłkę, jeździć na rowerach i rzucać ukradkowe spojrzenia na pączkujące piersi koleżanek, oni toczyli rozpaczliwą walkę o przetrwanie. A co najgorsze, ich głównym przeciwnikiem wcale nie był obcy, lecz ktoś, kto powinien się nimi opiekować, zapewnić bezpieczne i beztrioskie dzieciństwo.

– Panie komendancie, mogę na chwilę?

Szymon odsunął od siebie myśli o Ratierze, całą uwagę poświęcając problemowi zasygnalizowanemu przez podwładnego, ale wrócił do niej, gdy tylko za młodym funkcjonariuszem zamknęły się drzwi. Sięgnął po komórkę i wybrał numer.

– Cześć, Ratio. Raczej dzisiaj nie poćwiczymy, bo mam tu istne urwanie głowy, a wieczorem chcę pojechać do Diony. Sorry.

Ratier nie sprawiał wrażenia urażonego zmianą planów; w jego głosie zamiast spodziewanego zawodu Ogiński wychwycił podekscytowanie.

– Luzik, Ogi. Właśnie miałem do ciebie dzwonić, bo też mi nie pasuje dzisiejszy wieczór. Muszę skończyć pilne zlecenie, a potem siadam do nowej gry. Stałem w korku do ronda i nagle przyszedł mi do głowy fajny pomysł.

– Kto by pomyślał, że korki mogą mieć taki zbawienny wpływ na pracę szarej komórki? Pewnie dlatego, że jest samotna, musi jej być cholernie nudno. Bidulka – użalił się fałszywie Szymon. – O czym będzie ta gra?

– O takim jednym wrednym nadkomisarzu, dla którego myślenie to czysty impossibilizm – odgryzł się natychmiast Ratio.

Ogiński tylko prychnął znacząco i zmienił temat.

– Imielska cię szuka, ma do ciebie jakąś sprawę, ale nie odbierałaś telefonu. Obiecałem, że przekażę ci prośbę o kontakt. Nie zapomnij do niej oddzwonić, bo obaj będziemy mieć przesrane. Chyba znowu włączyła jej się funkcja „matka roku”.

– Jasne. – Ratier parsknęła śmiechem. – Co z naszym treningiem? Dasz radę jutro?

– Chyba tak, ale nie obiecuję. Wiesz, jak jest. Licho nie śpi, a patola tym bardziej. To wstępnie do jutra.

– Do.

Po typowym dla niego zwięzłym pożegnaniu Ratier się rozłączył, a Ogiński siedział jeszcze przez kilka sekund z telefonem w ręce i spoglądał z lekkim uśmiechem na ciemny ekran. Obaj wiedzieli, że trening był tylko pretekstem do spotkań, gdyż Medard uzyskał już taką biegłość w rzucaniu nożem, że Szymon nie mógł go nauczyć niczego więcej. Ratio ciągle jeszcze nie pozbył się nieufności w stosunku do stróżów prawa i nawet przed samym sobą nie chciał przyznać, że zwyczajnie polubił nadkomisarza.

Ogiński bez sprzeciwu przyjął narzucone mu reguły, rozumiejąc, że w tej rozgrywce to on jest na słabszej pozycji i musi się do nich dostosować, jeśli nie chce stracić Diony. Łączyła ją z Ratierem zbyt silna więź, by nadkomisarz mógł ją zerwać, zresztą wcale tego nie pragnął. Medard od pierwszej chwili wzbudził jego sympatię swoją niewzruszoną lojalnością wobec Remańskiej. Szymon nie mógł też nie docenić inteligencji młodego mężczyzny, jego błyskotliwości i poczucia humoru, dzięki którym rozmowa z nim nigdy nie była nudna.

Najbardziej jednak ujęła go za serce niezbyt umiejętnie skrywana opiekuńczość, z którą Ratio traktował Dionizę. Jeśli więc okoliczności nakazywały mu widzieć w Medardzie młodszego brata Remańskiej, nie zamierzał z nimi walczyć – w przeświadczeniu, że lepszego szwagra nie mógłby sobie wymarzyć.

\*

Przed wejściem do szpitala nałożył maseczkę. Choć prywatnie był zdania, że tego typu zabezpieczenie pomoże tak samo jak przyłożenie gazika do rany przy krwotoku tętniczym, to nie zamierzał zwracać na siebie uwagi czy wdawać się w niepotrzebne dyskusje. Prawo nakazywało zasłaniać nos i usta, więc będzie zasłaniać, i już.

Skierował się ku drzwiom oznaczonym numerem trzysta pięć, a gdy przekonał się, że pokój jest zamknięty, ruszył z powrotem, zastanawiając się, czy nie przyjechał za wcześnie. Co prawda według grafiku Diona miała mieć zabiegi do jedenastej, ale na oddziale było dziwnie cicho, jakby nikt na nim nie przebywał. Ogiński sprawdził godzinę i wzruszył ramionami. Zegarek wskazywał jedenastą dwadzieścia, zatem nie mogło być mowy o zbyt wczesnym przyjeździe. Pewnie rehabilitacja się przedłużyła.

Wkrótce potem usiadł w jednym z wygodnych foteli stojących opodal drzwi wejściowych. Uznał to miejsce za strategicznie najlepsze. Nie mógł przegapić nikogo wchodzącego do budynku lub chcącego go opuścić, miał prócz tego doskonały widok na korytarz po przeciwległej stronie, gdzie znajdowały się pomieszczenia służące hydroterapii. Jeśli Dioniza będzie tamtędy przechodziła, na pewno ją zobaczy.

– Szymon!

Jej głos dochodził gdzieś z góry. Uniósł głowę. Diona przechylała się przez poręcz i przyzywała go ruchem ręki. Porwał się z miejsca, w kilku susach pokonał dzielące ich stopnie i złapał narzeczoną w ramiona. Przytuliła się do niego, tak samo stęskniona i spragniona bliskości. Jakiś czas tak trwali, przerwał im dopiero kobiecy głos:

– Tu nie miejsce na czułości. Tarasujecie schody.

Surowemu głosowi przeczył przyjazny uśmiech na twarzy lekarki. Minęła ich i zbiegła lekko po schodach, a oni ruszyli w przeciwnym kierunku, zaśmiewając się z tego incydentu.

– Ostatni raz byłam w takiej sytuacji, kiedy miałam szesnaście lat i chemica mnie przyłapała, jak całowałam się w szatni z Markiem z trzeciej ce – odezwała się Diona, gdy już znaleźli się w pokoju, po czym zwróciła się do siedzącej na łóżku współlokatorki: – Viola, to jest Szymon, mój narzeczoney.

Gdy był tu poprzednio, Violetta akurat odwiedzała koleżanki z innego pokoju i nie mieli okazji się poznać.

Violetta natychmiast zarzuciła Ogińskiego gradem słów, opowiadając o przyczynach pobytu w szpitalu i o postępach w powrocie do formy. Diona nie słuchała, znała to już na pamięć. Zajął się zaparzaniem kawy, potem rozpakowała przyniesioną przez mężczyznę torbę i aż jęknęła z zachwytu na widok miski pełnej ruskich pierogów. Natychmiast włączyła jednego do ust, żeby sprawdzić, czy aby nie są stęchłe.

Violetta wzięła jej wyjaśnienie dosłownie i przez następne kilka minut Szymon usiłował jej wytłumaczyć, że tak naprawdę Diona wcale go nie podejrzewa o przyniesienie nieświeżych pierogów. W końcu machnął ręką i zmienił temat.

– Byłem tu już wcześniej, ale nikogo nie zastałem. Gdzie się włóczyłaś? Mam nadzieję, że nie z tym Markiem z trzeciej ce?

Prychnęła, rozśmieszona jego tonem mającym znamionować ogromną zazdrość o chłopaka, o którym do dziś w ogóle nie pamiętała.

– Zagadałam się z Krystyną, a właściwie to ona mnie zagadnęła. To nasza pielęgniarka. Coś mi się widzi, że ma oko na Ratia, bo głównie o niego mnie wypytywała.

Zanosła Violce kawę na szafkę, usiadła przy stole obok Ogińskiego i przysssała się do swojego kubka. Dzisiejsze ćwiczenia mocno ją zmęczyły, a aromatyczny napój z każdym łykiem przydawał jej więcej sił. Zauważyła, że Szymon także pije łąpczywie, i domyśliła się powodów, toteż nie poczuła zdziwienia, gdy naraz zaproponował:

– Pójdziemy zapalić?

Bez słowa sięgnęła po polar, a po sprawdzeniu, czy w kieszeni na pewno znajdują się papierosy i zapalniczka, skierowała się ku drzwiom. W milczeniu przeszli schodami do wyjścia, a później w stronę ławki stojącej w pewnym oddaleniu od uczęszczanej ścieżki.

Oslonięci gęstwiną świerkowych gałęzi przed spojrzzeniami ciekawskich nie od razu sięgnęli po papierosy. Najpierw przywarli do siebie w łąpczywym pocałunku, stęsknieni za nieosiągalną w budynku bliskością. Dopiero potem zapalili, szybko i zachłannie, by nie tracić zbyt wiele czasu na tę czynność. Diona ledwo zdążyła wrzucić niedopałek do przenośnej popielniczki, a znowu ją zagarnęły ramiona Ogińskiego i nim wypuścili, minęło kilka minut. Wtedy zauważyli, że słońce zasnuło się ciężkimi, zwiastującymi deszcz chmurami.

– Lepiej wracajmy, bo chyba za chwilę lunie – mruknęła.

Niechętnie, zawiedziona niespodziewanym pokrzyżowaniem planów, podniosła się z ławki. Mężczyzna również wstał, a na jego twarzy odmalował się podobny wyraz zawodu. Podążając szybkim krokiem do budynku, wyprzedzili innych spacerowiczów, dzięki czemu jako jedyni zdążyli przed mżawką, która niemal natychmiast zamieniła się w ulewę.

W holu natknęli się na Krystynę Stregę, pomagającą kobiecie poruszającej się za pomocą chodzika ulokować na nim wypchaną reklamówkę. Pielęgniarka uśmiechnęła się do Remańskiej, zerknęła z ciekawością na Ogińskiego, po czym wróciła do swojego zajęcia. Po krótkiej walce z opornym przedmiotem skapitulowała.

– Zaniósę to pani do pokoju, bo inaczej nas tu Boże Narodzenie zastanie. To naprawdę żaden kłopot.

Nie zważając na protesty pacjentki, zdjęła reklamówkę z półki chodzika, złapała za ucha i skierowała się w stronę jednej z sal znajdujących się na parterze. Obserwująca jej zmagania para także ruszyła się z miejsca, z tym że oni w przeciwnym kierunku, ku schodom.

Na półpiętrze Dioniza przystanęła dla złapania oddechu.

– Cholera jasna, ciągle nie mogę wrócić do formy.

– Nie wszystko naraz – pouczył mentorskim tonem Ogiński, przez co zarobił kuksańca w bok. – Najpierw wylecz rękę.

– Nie wiem, czy się tego kiedykolwiek doczekam – odparła ze zniechęceniem. – Nie widzę żadnej poprawy, w dodatku niektórzy terapeuci doprowadzają mnie do szału ciągłym zdrabnianiem. Chyba im się wydaje, że niepełnosprawność fizyczna przekłada się na działanie mózgu. – Niepodziewanie parsknęła śmiechem. – Dzisiaj niechcący kopnęłam jednego z nich w podbrzusze. Nie trafiłam w jaja, ale na wszelki wypadek zapytałam, czy nie uszkodziłam mu peniska. Dziwna sprawa, że jakoś nie wyglądał na zachwyconego zdrobnieniem, choć w rozmowach z pacjentami ciągle je stosuje.

Rozśmieszony mężczyzna zmierzwił jej włosy.

– Rusz dupkę, bo ci nóżki do podłogi przyrosną. – Odsunął się na bezpieczną odległość, by uniemożliwić Dionie kolejne kuksnięcie. – Nieprawda, że nie robisz postępów – powiedział naraz, wspomniawszy ich marszobieg do budynku. – Kiedy uciekaliśmy przed deszczem, machałaś obiema rękami jednakowo, a potem otworzyłaś drzwi prawą ręką.

– Niemożliwe! – Na przekór kategorycznemu zaprzeczeniu na twarzy Diony pojawił się wyraz niepewności. – Do tej pory się nad tym nie zastanawiałam, ale tak sobie myślę... Kiedy Judyta zaczęła wrzeszczeć, akurat wyszłam z wanny i zaczęłam się wycierać. W ogóle nie pamiętam momentu wkładania szlafroka, ale musiałam zrobić to bardzo szybko, bo nikt inny nie zdążył zareagować. Kiedy stanęłam nad zwłokami, byłam już ubrana i tylko pasek mi luźno zwisał, a normalnie zawsze muszę się namęczyć, zanim uda mi się włożyć w rękaw tę cholerną rękę. Może Oksana ma rację, że ta cała niepełnosprawność tkwi wyłącznie w mojej głowie?



Nawiązała w ten sposób do jednej z rozmów z Ukrainką, która była zdania, że kłopoty Dionizy mają swoje źródło w blokadzie mentalnej. „Masz to w hołowie”, powtarzała, radziła też, by Remańska przestała skupiać uwagę na wykonywanych czynnościach, pozwoliła, by działały się niejako same, bez udziału mózgu.

Szymona w najmniejszym stopniu nie zainteresowała opinia Oksany, zatrzymał się natomiast na całym innym fragmencie wypowiedzi.

– O jakich zwłokach mówisz? Wcześniej nic o tym nie wspomniałaś.

Zastygła z uniesioną nogą i zmarszczyła brwi, najwyraźniej poirytowana jego dociekliwością.

– Bo nie było o czym – burknęła niechętnie. – Zwłoki jak zwłoki.

Remańska postawiła na stopniu wiszącą w powietrzu kołczybę i ruszyła tak szybko, że Ogiński musiał podbiec, by się z nią zrównać.

– Dionka, nie rób ze mnie debila. Jak będę chciał, to i tak się dowiem, ale wolałbym usłyszeć to od ciebie.

Twarde nuty w głosie mężczyzny ostrzegały przed nadwyreżaniem jego cierpliwości, toteż Dioniza z ostentacyjnym westchnieniem wyjaśniła:

– Jedną z pacjentek znaleziono martwą w wannie do hydroterapii. Nie patrz tak! To naprawdę nie moja wina, nie miałam z tym nic wspólnego. Ja tylko zabroniłam innym wchodzenia do tego boksu i zadzwoniłam pod sto dwanaście.

– Jak zmarła? Na serce? – spytał i nie czekając na odpowiedź, dorzucił: – Mogło się tak zdarzyć, zwłaszcza jeśli woda była za gorąca.

Diona wykorzystała tę refleksję do zmiany tematu.

– Co sądzisz o pielęgniarce, którą spotkaliśmy na dole? To właśnie była Krystyna, o której wspominałam.

Doszli już do pokoju i Ogiński otworzył drzwi, przepuszczając Dionę przodem. Na ich widok stojąca przy oknie Viola odwróciła się i już otworzyła usta, gotowa się podzielić jakąś informacją, lecz nie dopuścił jej do głosu, daleko bardziej ciekawiła go zupełnie inna kwestia.

– Wydaje się sympatyczna i niegłupia. Jest przy tym całkiem ładniutka, ale dlaczego ma niebieskie włosy? Zresztą nie ona jedna. To coś oznacza? Przynależność do jakiejś sekty, klubu czy coś w ten deseń?

Całkowicie zlekceważył fakt, że Viola także przyozdobiła się niebieskimi pasemkami. Nie próbował ściszyć głosu, zatem nie miała najmniejszego problemu z usłyszeniem jego wypowiedzi. Ostatnie zdanie wydało jej się tak kuriozalne, że najpierw zastygła z rozdziawionymi ustami, potem zanosła się głośnym chichotem.

– Sekta? – wydusiła z siebie między paroksyzmami śmiechu. – Ja nie mogę! Ale pan wymyślił. Różnie o mnie mówiono, ale tak to jeszcze nigdy.

Dość długo trwało, zanim uspokoiła się na tyle, by w miarę skądnie wytłumaczyć ogłupiałemu mężczyźnie powody, dla których zdecydowała się na ten nietypowy kolor.

– Moda? – Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie powiedziała. – Ufarbowała się pani na niebiesko z powodu mody? Tamte inne też dlatego to zrobiły?

– No pewnie – przytaknęła lekko zmieszana. – Myślałam, że będzie oryginalnie, nie przyszło mi do głowy, że nie ja jedna wpadłam na taki pomysł. Chciałam zabłysnąć, a okazało się, że nawet nie zaiskrzyłam.

– Chyba nigdy nie zrozumieję kobiet – stwierdził bezradnie i spojrzał na narzeczoną, milczącą w trakcie całej tej rozmowy. – Ty chyba nie masz zamiaru...?

Dioniza zaprzeczyła ruchem głowy, ale Szymon nadal patrzył podejrzliwie, więc uściśliła, by go uspokoić:

– Spokojnie, na pewno nie będę niebieska. Zielona też nie, ani żadna inna. Nie planuję farbowania włosów, jestem na to za leniwa. Musiałabym regularnie chodzić do fryzjera, żeby pozbyć się odrostów, albo sama babrać się w farbie. To nie dla mnie.

– I chwala Bogu – rzucił z taką ulgą, że ją rozśmieszył.

Z trudem zachowała powagę.

– Ale z tym zaiskrzeniem to masz rację – zwróciła się do Violetty. – Oryginalność niezbyt ci wyszła. Z przodu maseczka, z tyłu czarne włosy z niebieskimi pasemkami. Gdyby nie fartuchy, byłybyście nie do rozpoznanania.

Z chwilą, gdy to mówiła, coś błysnęło jej w pamięci, scenka tak krótka i pozornie całkiem bez znaczenia, że zdawała się jakimś sennym omamem. A jednak była prawdziwa, dlatego Diona nagle zapragnęła, żeby Szymon już sobie poszedł. Musiała jak najszybciej zadzwonić do Diega, a wołała, by Ogiński nie wiedział, że zgodziła się wejść w rolę policyjnego informatora. Czego oczy nie widzą, a uszy nie słyszą, tego rozum nie analizuje.

\*

– Nie jestem pewien, czy nie robimy błędu.

Młody mężczyzna nerwowo przemierzał nieduże pomieszczenie służące im jako pokój dzienny, sypialnia i kuchnia. Na nic lepszego nie było ich stać, nie przy tych zarobkach, a całe oszczędności wydali na zdobycie informacji. Kilkakrotnie łapał się na tym, że najchętniej zrezygnowałby z latami snutyh planów, zapomniał o przeszłości i wreszcie zaczął normalnie żyć, nie miał jednak sumienia jej o tym powiedzieć. Nie chciał być nielojalny. Nie mógł zostawić jej samej, bo dobrze wiedział, że Kitek nie odpuści. Zawsze doprowadzała do końca to, co postanowiła, a już tym bardziej sprawę, która była dla nich tak ważna.

– Na pewno nie – odpowiedziała, kiwając przy tym głową dla dodania mocy swoim słowom. – To ona.

Znowu przybrała wszechwiedzący ton. Nie znosił tej maniery, dlatego nie umiał się powstrzymać przed wytknięciem jej błędu, choć zdawał sobie sprawę, że Kitek mu tego nie daruje. Uważała się za nieomylną, a przy tym była pamiętliwa.

– Poprzednio też tak twierdziłaś, a okazało się, że ta kobieta nie miała z nami nic wspólnego. Nie chcę, żeby...

– Przestań! – Jej głos wibrował wściekłością. Kiedy jednak zauważyła podenerwowanie rozmówcy, natychmiast złagodziła ton. – Okej, niech ci będzie. Pomyliłam się, przyznaję, jej imię mnie zmyliło. Ale luzik, ona wcale nie była taka niewinna, za jaką chciała uchodzić. Zrobiłam porządne rozpoznanie.

– Szkoda, że nie wcześniej. Zawsze mnie pouczasz, że najpierw powinno się myśleć, a potem działać. Ciebie ta zasada nie obowiązuje?

Wtręt, który sam, niejako bez woli mężczyzny, wyrwał się z jego ust, ponownie rozwścieczył dziewczynę. Już miała go zbluzgać, gdy uprzytomniła sobie, że to przecież jest jedyny bliski jej człowiek. Nie mogła go stracić. Zakłęła pod nosem, mimo że jeszcze niedawno za taką odzywkę skoczyłaby do oczu, nie zważając na nic. *Chyba się starzeję* – pomyślała z rozbawieniem, a jej ładne, lecz wyostrome ciąglym napięciem rysy twarzy zmiękczył leciutki, ledwie dostrzegalny uśmiech, gdy odpowiedziała ze spokojem, który nawet ją zadziwił:

– Powiedziałaś, że popełniłam błąd. Co jeszcze mam zrobić? Posypać głowę popiołem? Od tego ona nie zmartwychwstanie. Kurwa mać, Laki! Nie patrz na mnie jak na jakąś psychopatkę, przecież nie chciałam, żeby umarł ktoś niewinny.

– Wiem, że nie chciałaś – odpowiedział głośno, a w duchu dopowiedział: „Bo nie chciało ci się porządnie sprawdzić”.

Lata spędzone w szkole przetrwania wykształciły w nim umiejętność takiego maskowania prawdziwych uczuć, że nawet Kitek, dysponująca jakimś specjalnym zmysłem pozwalającym wykrywać fałsz, nie domyśliła się, że nie jest z nią szczery. Obdarzyła go promiennym uśmiechem, podeszła i cmoknęła powietrze obok gładko wygolonego policzka.

– Siadaj, Laki. Denerwuje mnie, kiedy tak łazisz w kółko. Nie dawało mi to spokoju, dlatego zadzwoniłam tu i tam, żeby dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Mężczyzna usiadł na jednym z tapczanów i posłał kpiący uśmiech dziewczynie, która zajęła jedyne krzesło.

– Siedzę. Lepiej ci? – Nie zareagowała na prowokację, mówił więc dalej: – Co nam po tych informacjach, skoro ona już nie żyje? Nie rozumiem, po co w ogóle o nią pytałaś. Niepotrzebnie zwróciłaś na nas uwagę.

– Bałam się.

Powiedziała to tak cicho, że w pierwszej chwili uznał, iż się przesłyszał. Nieokielznana, buńczuczna Kitek miałyby się bać?

– Wkręcasz mnie? – spytał niepewnie. Zdecydowanie zaprzeczyła, drążył więc dalej: – Czego się bałaś?

– Wyrzutów sumienia. Mimo wszystko nie mogłam się z tym pogodzić, że wydałam na nią wyrok bez dokładnego rozpoznania sprawy.

Posłał jej gniewne spojrzenie. Teraz w niczym nie przypominał mężczyzny, którego znała. Laki słaby? Spokojny i układowy, dający sobą manipulować? Wiedział, że uważa go za właśnie takiego mężczyznę, i miał ochotę się roześmiać. Chyba była ślepa, skoro w dalszym ciągu nie dostrzegала tego, co oczywiste.

– Niepotrzebnie to zrobiłaś – zgañił ją, lecz głosu nie podniósł. – Przez to glinówek będzie mógł cię z nią połączyć. Ryzykowałaś. Opłaciło się przynajmniej?

Natychmiast odzyskała pewność siebie, jej oczy rozbłyły. Nadal była nieprzewidywalna jak kot, a przewisko, które niegdyś nadał jej Laki, ani trochę się nie zdewaluowało. Wprawdzie obco brzmiące imię Kitty Cat niemal natychmiast zostało zastąpione swojskim Kitkiem, ale jego sens pozostał niezmienny.

– Oczywiście, że się opłaciło! Ona wcale nie była taka święta, za jaką chciała uchodzić. Kojarzysz „Raj” w Szczyrku?

– Ten burdel udający przyzwoity pensjonat? – zaciekawiał się Laki. – Jasne. Ale ona wydaje mi się ciut za stara na kurewkę.

– Bo nie była pracownicą, tylko właścicielką. Czerpała korzyści z cudzego nierządu, tak to się chyba fachowo nazywa. Mam rację?

Znów posłała mu promienny uśmiech, przeciągając się przy tym jak prawdziwy kot, i zmysłowo oblizła wargi, a Laki nie mógł oderwać od niej wzroku. Wiedział, że myślała o tym samym; w takich chwilach zawsze rozumieli się bez słów. Czuł, że nadchodzi ciemność, i jednocześnie pragnął jej i się obawiał. Nie wiedział, które z tych uczuć w nim góruje, jednego wszakże był pewien – ciemność zwycięży. Zawsze wygrywała i teraz też tak będzie. Zresztą czy mogła być zła, skoro dawała tyle przyjemności?

– Niech ci będzie, że masz.

Okraślił tę niechętną zgodę uśmiechem świadczącym o pełnej aprobacie. Jeśli Kitek mówiła prawdę, a nie miał podstaw do kwestionowania jej słów, skoro nigdy dotąd go nie okłamała, tamta kobieta nie zasługiwała na litość. Ta następna tym bardziej. Trzeba będzie pokombinować nad taktyką działania, a potem dokona się sprawiedliwość.

– Musimy wszystko dokładnie zaplanować – odezwała się, jakby czytała w jego myślach. – Kto to zrobi? Ty czy ja?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu, zafascynowany wizją, która nagle zarysowała się w jego wyobraźni. Ponaglony zniecierpliwionym, isticie kocim syknięciem, przedstawił ją ze wszystkimi detalami. W miarę jak mówił, na twarzy Kitka rozkwitał pełen zachwyty uśmiech, a gdy skończył, dziewczyna wręcz promieniała.

– Laki, jesteś genialny! – wykrzyknęła z emfazą. – Ta wredna kurwa będzie umierać na tyle długo, by zrozumieć, za co została ukarana. A ja będę się przyglądać, jak zdycha.

Ostatnie zdanie wymówiła z taką zaciętością, że przeciętny słuchacz zdrętwiałby z przerażenia. Ale nie Laki. Młody mężczyzna pokręcił głową z dezaprobatą, po czym odpowiedział na nieme, widoczne w jej oczach pytanie:

– Nie ty, Kiteczku. To ja będę patrzeć na jej śmierć. Ty miałaś już swoją przyjemność, teraz moja kolej. Mam pewien plan...

## Rozdział 9

### Konfliktowa pacjentka

12 września 2020

Poirytowana faktem, że Diego nie odbierał telefonu, Dioniza postanowiła znaleźć sobie jakieś zajęcie. Niecierpliwa z natury, nie znosiła biernego oczekiwania, a wszelka zwłoka w działaniu wyprowadzała ją z równowagi. Nie miała jednak wielkiego pola manewru. Gdyby nie obostrzenia epidemiczne, pewnie spróbowałaby dorwać Zapatę, by zmusić go do wysłuchania jej przemyśleń. W obecnej sytuacji mogła tylko czekać, co tak bardzo kłóciło się z jej charakterem, że omal nie pękła ze złości.

Już miała wyjść na spacer, gdy przypomniała sobie narzekania komisarza na śladowość informacji uzyskanych od pacjentów. Diony wcale to nie zdziwiło. Wcześniej ludzie także nie pałali entuzjazmem do rozmów z policją, a od czasu pandemii owa niechęć jeszcze się wzmogła, bo karygodne zachowanie grupy mundurowych jak zwykle rzutowało negatywnie na całą formację, kreując ją dla wielu jako wroga numer jeden.

Remańska nie miała zamiaru nikogo przekonywać, że w tym konkretnym przypadku milczenie jest błędem, dawanem forów mordercy. Zdawała sobie sprawę, że jest pozbawiona daru perswazji, zatem i tak niczego by nie osiągnęła, a mogła tylko narobić sobie wrogów. Postanowiła zagrać całkiem innymi kartami.

Poszperawszy w pliku dokumentów, odetchnęła z ulgą na widok licencji prywatnego detektywa. Nie była pewna, czy zabrała ją ze sobą do szpitala, a ów dokument okazał się teraz niezbędny. Włożyła zalaminowaną licencję do kieszeni bluzy i wyszła z pokoju, udając przy tym, że nie usłyszała natrętnych nagabywań Violki, by zdradziła cel wyprawy.

Po niespełna minucie Diona znalazła się przed drzwiami pokoju zajmowanego przez Igę Pokrzywę i dwie inne kobiety. Zapukała, lecz nie spotkało się to z żadną reakcją. Ponieważ jednak słyszała wyraźnie ryk telewizora, doszła do słusznego wniosku, że zagłuszył on wszystkie inne dźwięki, zatem nie powinna liczyć na zaproszenie. Weszła do środka i po słowach powitania wyłuszczyła swoją sprawę. Co prawda nie spodziewała się entuzjazmu, ale reakcja dwóch leżących na łóżkach kobiet przeszła jej najśmielsze oczekiwania, wcale nie dlatego, że była gwałtowna. Po prostu nie było jej wcale.

Dwa puste, doskonale bezmyślne spojrzenia zawisły na Dionizie dosłownie na moment, by natychmiast skierować się na powrót w stronę ekranu telewizora.

Współlokatorce Igi Pokrzywy musiały zostać jakoś ze sobą sprzężone, gdyż żując miarowo, synchronicznymi ruchami na przemian to kiwały głowami na znak zgody z wygłaszanymi opiniami, to sięgały do torebek zawierających cukierki i wkładały do ust następny ładunek. Stojącej przy drzwiach Remańskiej nie poświęciły już najmniejszej uwagi.

Dopiero na korytarzu uprzytomniła sobie, że kojarzy je z sali ćwiczeń jako jedno z tych, których poprawa kondycji fizycznej nie interesowała nawet w najmniejszym stopniu. Takie wrażenie odnosiła za każdym razem, gdy spoglądała na niemrawe ruchy wykonywane wyłącznie wtedy, gdy patrzył któryś z rehabilitantów. Wystarczyło jednak, by fizjoterapeuta odwrócił wzrok, a spoczywające na pedałach roweru lub podwieszane w UGUL-u kończyny natychmiast zastygały w bezruchu. Nic więc dziwnego, że po czterech tygodniach pobytu obie kobiety nadal poruszały się na wózkach, choć inni pacjenci już po tygodniu zmieniali wózek na chodzik, a w następnym na kule. Sam fakt przebywania w szpitalu jeszcze nikogo nie uleczył.

Diona zrozumiała, że nic tu po niej. *Może należało przynieść im coś do żarcia i spróbować obłaskawić, tak jak się robi z groźnym psem?* – pomyślała z rozbawieniem. Wzruszywszy ramionami, wyszła z pokoju i zapukała do sąsiedniego.

Tym razem trafiła dużo lepiej. Nie musiała nawet posiłkować się licencją, wystarczyło wspomnienie nazwiska denatki, by trzy pacjentki popatrzyły z zainteresowaniem.

– Szkoda jej – odezwała się szczupła trzydziestolatka z ognistą czupryną i błyszczącymi inteligencją zielonymi oczami. – To była fajna babeczka. Nieraz wpadała pogadać, bo z tymi tam nie miała o czym. Niech pani siada. Może kawy? – Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po kubek. – Mówmy sobie po imieniu. Jestem Anita, a to Wanda i Milena.

Nieco ogłupiała Dioniza przedstawiła się pełnym imieniem, podejrzewała jednak, że utonęło ono w powodzi słów nowej znajomej. Zyskała potwierdzenie, gdy dwie współlokatorki kategorycznie kazały Anicie zamilknąć. Wyraziły to zresztą mało dyplomatycznym „zamknij paszczę”, lecz gaduła się nie obraziła. Machnęła do nich ręką, mrugnęła do Diony, po czym zabrała kubek i wyszła z pokoju.

– To jedyny sposób, żeby choć na chwilę przestała nadawać – objaśniła Wanda, zbliżająca się do pięćdziesiątki eteryczna blondynka. W jej głosie brzmiało rozbawienie. – Jak masz na imię? Bo nie dosłyszałam przez tę trajkotkę.

– Dioniza, ale mówcie do mnie Diona.

– Ładnie – pochwaliła Milena. – Tylko w pełnym brzmieniu trochę za bardzo pompacyjnie, zdrobnienie jest lepsze.

Milena na pierwszy rzut oka była w wieku Anity i dopiero przy uważniejszej lustracji dawało się zauważyć, że jest znacznie starsza. Zafarbowane na stonowaną czerwień włosy i gładka cera odejmowały jej lat, zdradzały ją natomiast dłonie, ten nieubłagany wyznacznik prawdziwego wieku, niedający się zamaskować makijażem. Ile naprawdę mogła mieć? Koło czterdziestu pięciu? Remańska zastanawiała się nad tym przez kilka sekund, zanim stwierdziła, że ta wiedza jest jej całkowicie zbędna.

– Pytałaś o Igę. Czemu się nią interesujesz? – odezwała się Anita od drzwi.

Trzymała w ręce kubek wypełniony parującym, aromatycznym płynem. Postawiła go przed gościem, usiadła naprzeciwko i, o dziwo, w milczeniu czekała na odpowiedź.

– Bo ktoś ją zabił – wyjaśniła Diona zwięźle. – Macie pomysł, czemu to zrobił?

– A ty co, z policji jesteś?

Bezceremonialność Anity wcale Dionizy nie uraziła. Sama nie znosiła tych wszelkich podchodów i uważała, że życie byłoby daleko mniej skomplikowane, gdyby wszyscy mówili wprost, o co im chodzi.

– Nie jestem, ale nie podoba mi się to wszystko. Jaką masz gwarancję, że morderca już skończył? Wolalabym nie być następną ofiarą.

Taki scenariusz najwyraźniej w ogóle nie przyszedł im do głowy, toteż po słowach Remańskiej kobiety najpierw zamilkły, potem zaczęły mówić jedna przez drugą, a słowa niedowierzania mieszały się z okrzykami świadczącymi o strachu. Pierwsza opanowała się Anita. Najpierw uważnie przyjrzała się Dionie, jakby chciała ocenić, czy nie padły ofiarą żartu, później uciszyła gestem współlokatorki.

– Myślę, że nie mamy się czego bać. Pani Iga była sympatyczna, ale swoje za uszami miała. Podobno była właścicielką agencji towarzyskiej, a tacy ludzie muszą mieć wrogów.

## 13 września 2020

Niedziela nie zaczęła się dobrze. Dioniza poczuła irytację, że znowu będzie musiała przewracać się z boku na bok, by doczekać świtu. Zawsze wystarczało jej zaledwie kilka godzin snu, w dodatku przyzwyczajona do późnego udawania się na spoczynek jakoś nie umiała się przestawić na inny rytm i takie wczesne przebudzenia zdarzały jej się tutaj niemal co noc.

Z pewną niechęcią pomyślała o pochrapującej współlokatorce. Violki nikt nie nazwałby nocnym markiem. Rzadko kiedy udawało jej się dotrzeć do dwudziestej pierwszej; najczęściej zasypiała zaraz po obejrzeniu *Wiadomości*, a rano spała tak twardo, że trzeba było nią zdrowo potrząsać, żeby oprzytomniała. Zdarzyło się nawet, że Diona poszła na zabiegi zaraz po siódmej, a po powrocie zastała Violetkę w łóżku, mimo że dziewczyny rozwożące śniadanie usiłowały obudzić pogrążoną we śnie kobietę.

Po godzinie przewracania się z boku na bok i próbach liczenia baranów wstała i nie zapalając światła, poszła do ogólnodostępnej toalety, z racji braku czujników dymu pełniąc także funkcję palarni. Remańska korzystała z niej jedynie w sytuacjach wyjątkowych, na przykład takich jak obecna, gdy niemożliwe było wyjście na zewnątrz. Otworzyła szeroko okno, szcęknięła zapalniczką i wciągnęła

w płuca haust dymu, a potem obserwowała, jak pierwsza część siwego obłoku płynie w stronę zamontowanego pod sufitem wentylatora, druga zaś wędruje za okno i rozwiewa się w powietrzu.

Po powrocie do pokoju przyświeciła komórką na zegarek i dopiero gdy odczytała godzinę, dotarł do niej bezsens własnego działania. Równie dobrze mogła przecież sprawdzić czas w telefonie. Z drugiej strony trudno oczekiwać, by o wpół do piątej stać ją było na logiczne myślenie, o tej porze szare komórki miały prawo odmówić współpracy.

Wiedziała, że już nie zaśnie, postanowiła zatem wykorzystać ten czas z pożytkiem dla zdrowia. Niedziela była wprawdzie dniem wolnym od zabiegów i treningów, ale to nie oznaczało, że nie mogła ćwiczyć sama, przynajmniej w zakresie niewymagającym korzystania z żadnych specjalistycznych przyrządów.

Wyjęła z szafki przywieszoną na wszelki wypadek gumę i po przywiązaniu jej do ramy łóżka przystąpiła do odchylenia ręki w tył, mamrocząc przy tym wyzwiska pod własnym adresem. Mogła przecież przewidzieć, że zabójca z Bystrzycy nie podda się bez walki. Gdyby wówczas zachowała ostrożność, nie stękałaby teraz, lepiąc się od potu i nie mogąc poradzić sobie z naciągnięciem gumy o minimalnym zaledwie oporze.

Po piętnastu minutach zmieniła pozycję i przystąpiła do drugiego ćwiczenia. Odchylenie ręki w przód szło jej dużo lepiej, choć i w tym przypadku do uzyskania dawnej sprawności czekała ją jeszcze daleka droga. Minął kolejny kwadrans, wyswobodziła więc rękę i odwiązała gumę od ramy. Przez jakiś czas siedziała beczynn timer, uspokajając oddech, nim uznała, że pora zacząć trzecie ćwiczenie. Rozejrzała się po pokoju, a gdy nie znalazła odpowiedniego miejsca, do którego mogłaby przywiązać gumę, wyszła na korytarz, przypomniawszy sobie o długich relingach zamontowanych wzdłuż całej ściany.

Zamknęła za sobą drzwi i zmierzyła wzrokiem uchwyt, po czym skrzywiła się z niechęcią. Znajdował się zdecydowanie wyżej niż rama łóżka, ale i tak zbyt nisko jak na jej potrzeby. Musiałaby chyba położyć się na podłodze, by ćwiczenie miało jakiś sens, nie wiedziała jednak, czy w takiej pozycji pracowałyby właściwe mięśnie. Zrezygnowana, weszła do łazienki na następnego papierosa i dopiero tam ją olśniło. Kabina prysznicowa! Violka przecież wspomniała, że w ogólnodostępnej łazience prysznic ma relingi zamontowane w różnych dziwnych miejscach, możliwe więc, że któryś z nich okaże się odpowiedni.

Pomysł zajrzenia do pomieszczenia z prysznicem okazał się strzałem w dziesiątkę. Violetta miała rację, mówiąc o dziwacznym umiejscowieniu uchwytów, gdyż wszystkie sześć relingów zamontowano na różnych wysokościach, od mniej więcej metra do ponad dwóch. Nie to jednak stanowiło swego rodzaju ewenement. Okazało się, że cała szóstka uchwytów została umiejscowiona wewnątrz kabiny prysznicowej.

*Każdy niepełnosprawny z pewnością musi czuć się w niej całkiem bezpiecznie* – pomyślała Diona z rozbawieniem. – *Pod warunkiem, że najpierw się tam teleportuje.* Poza kabiną w pomieszczeniu nie było bowiem ani jednego uchwytu, którego można by się przytrzymać, a brodzik od drzwi dzieliło około półtora metra. Dla Dionizy nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, ważniejsze było, że reling umiejscowiony najwyżej odpowiadał jej potrzebom tak idealnie, jakby właśnie po to został tam umieszczony.

Przeznaczone na ćwiczenie piętnaście minut minęło błyskawicznie. Zdyszana i spocona Dioniza zrzuciła ubranie i weszła pod prysznic. Stała tak, delektując się chłodnym strumieniem obmywającym spocone ciało, po chwili jednak zmęczenie dało o sobie znać. Nogi zaczęły drżeć z wysiłku, a każdy ruch sprawiał, że kobieta miała ochotę wyć z bólu. *Przedawkowałam* – pomyślała i dołożyła pod swoim adresem kilka epitetów, z których „beźmyślna idiotka” było najłagodniejszym.

Klnąc pod nosem, szybko zakończyła ablucje. Wyszła z brodzika i niczym stara kobieta usiadła na stołku w obawie, że nogi mogą jej nie utrzymać. Tylko że w tej pozycji wcale nie było łatwiej i gdy wreszcie zdołała wytrzeć jedną stopę, poczuła się niczym zdobywca niedosiętego szczytu.

Naraz poprzez stękanie oraz głośne pulsowanie krwi do świadomości Remańskiej dotarł odgłos otwierających się drzwi, a potem niezrozumiałe słowa, zagłuszone szumem wody. Rozpoznała głos Ireny Kordy, wiecznie niezadowolonej pacjentki, mającej w zwyczaju krytykować wszystko, od wyżywienia począwszy, a na pogodzie kończąc, bo winą za gwałtowne burze także obarczała personel szpitala.

Korda została zakwaterowana w pokoju z łazienką, toteż Diona domyśliła się, że kobieta nabiera wody do plastikowego dzbanka stojącego zwykle na stoliku obok ogólnodostępnego czajnika. Narzekała zresztą od początku na to rozwiązanie i domagała się wydania jej osobnego czajnika, który mogłaby trzymać w pokoju. Ponieważ jej żądanie nie zostało spełnione, przychodziła po wodę tutaj, bo było bliżej,

ostentacyjnie lekceważąc słowa lekarza o terapii ruchem, za każdym też razem miała minę pełną satysfakcji, jakby niestosowanie się do zaleceń medycznych uważała za tożsame z wygraniem kampanii wojennej.

Szum wody ucichł, w pomieszczeniu rozbrzmiały ciężkie, szurające kroki. Zatrzymały się przy kabynie prysznicowej, zgrzytnęła naciskana klamka. Najwyraźniej trzeba było kilku prób, by Korda zrozumiała, że nie sforsuje zamkniętych drzwi. Poniechała dalszych prób i spróbowała innym sposobem zaspokoić ciekawość.

– Halo? Kto tam jest pod prysznicem?

– Dioniza Remańska. Czemu pani pyta?

Korda nie uznała za stosowne odpowiedzieć, za to zadała następne pytanie, w dodatku wymówiła je tak nieprzyjemnym tonem, jakby okupująca prysznic pacjentka popełniła Bóg wie jakie przestępstwo.

– Co pani tam robi?

– A jak pani myśli? – spytała rozbawiona Dioniza.

Znajdowała się przecież w kabynie prysznicowej, to co według Kordy mogła w niej robić? Owszem, przedtem wykorzystała ją nie całkiem zgodnie z przeznaczeniem, jednak o tym to wścibskie babsko nie miało pojęcia. Prócz tego żaden regulamin nie zabraniał używania tego pomieszczenia do ćwiczeń.

– Już ja dobrze wiem co! – wrzasnęła tamta z gniewem.

Musiała ruszyć w stronę drzwi, te bowiem po chwili zatrzasnęły się z hukiem. Remańska wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, o co kobiecie mogło chodzić, ale była zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać. Założyła, że to kolejny wyskok malkontentki, i natychmiast wyrzuciła incydent z pamięci.

A przynajmniej miała taki zamiar, nie zdążyła jednak nawet włożyć szlafroka, gdy ponownie usłyszała podniesiony, nabrzmiały pretensją głos Kordy:

– Niech pani coś z tym zrobi, bo ja nie zamierzam tego tolerować! To po prostu skandal, takie zachowanie w szpitalu jest niedopuszczalne!

– Proszę się uspokoić. – Po brzmieniu drugiego głosu Dionia rozpoznała w jej rozmówczyni Zuzannę Drohomirską, jedną z pielęgniarek pełniących tego dnia dyżur. Ktoś energicznie pociągnął za klamkę, potem rozległo się pukanie. – Może pani otworzyć?

– Moment.

Zamotała ręcznik na mokrych włosach, potem wsunęła się w puchaty szlafrok i dopiero wtedy zwolniła blokadę zamka. Nie była pruderyjna, nie wstydziła się nagości, ale paradowanie bez ubrania przed Kordą uznała za nie do przyjęcia.

– O co chodzi? – spytała, autentycznie zaciekawiona zachowaniem niesympatycznej kobiety. Coś musiało się stać, skoro aż wezwała pielęgniarkę.

– Brała pani prysznic?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, do indagacji włączyła się pacjentka.

– Sama?

Do Diony nie dotarł podtekst, toteż spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Czemu miałby mi ktoś asystować? Aż tak niepełnosprawna nie jestem.

– Ona bezczelnie kłamie! – wrzasnęła Korda. – Cygani w żywe oczy! Wyraźnie słyszałam odgłosy seksu.

– Sprawdzimy – mruknęła Drohomirska.

Uśmiechnęła się przy tym leciutko, dając Remańskiej do zrozumienia, że nie traktuje poważnie słów Kordy. Zlustrowała uważnie kabinę, szarpnęła nawet plastikową zasłonę, by nie pozostawić nic domysłom, potem popatrzyła z niechęcią na donosicielkę czekającą z niecierpliwością na wynik inspekcji.

Rozśmieszona pełną zawodu miną Kordy Dionia usiłowała powstrzymać chichot, co nie do końca jej się udało.

– Pani Ireno, nie bardzo wiem, jak pani to sobie wyobrażała. Pominę już fakt, że nawet gdyby mnie bardzo przypiliło, wolałabym mimo wszystko uprawiać ten seks w pokoju zamiast w kabynie prysznicowej. Ale ważniejsze jest, że jakoś nie widzę na naszym oddziale nikogo, z kim mogłabym się oddawać seksualnym uciechom.

Drohomirska roześmiała się głośno, przerywając wypowiedź Diony.

– Seks z pacjentem poruszającym się na wózku lub o kulach? Teoretycznie możliwe, ale pod prysznicem byłoby chyba trudno. No i średnia wiekowa trochę nie tego, musiałyby pani być cholernie

zdesperowana... – zauważyła, próżno starając się przywołać na twarz wyraz powagi.

Obie pacjentki zgodnie spojrzały na pielęgniarkę, z tym że ich miny różniły się diametralnie. Remańska była rozbawiona, Korda natomiast wręcz kipiała złością.

– Nie widzę tu nic śmiesznego – warknęła, potem zwróciła się do Dionizy: – Wszyscy wiemy, jak zachowują się kobiety pani pokroju, dla takich seks w publicznej łazience czy toalecie jest czymś normalnym.

Pielęgniarka przestała się uśmiechać, głos jej stwardniał.

– Niech pani uważa na słowa.

– Ani myślę! Wszyscy wiedzą, że ona jest tutaj dlatego, że ktoś do niej strzelał, a nie powie mi pani chyba, że to normalne. Uczciwym ludziom takie coś się nie przydarza!

– Pani Ireno!

Po pełnym zgrozy okrzyku Drohomirska umilkła i tylko bezgłośnie otwierała usta. Najwyraźniej zabrakło jej słów. Diona współczuła jej serdecznie. Rozumiała, że sytuacja jest dla pielęgniarki wielce kłopotliwa – z jednej strony powinna zażegnać konflikt, z drugiej nie dopuścić do dalszego obrzucania pacjentek inwektywami. Z trzeciej zaś musiała tak ważyć słowa, by obrzucająca nie mogła doszukać się w nich obrazy.

– Pani Zuzanno, spokojnie – zwróciła się do niej, lekkim tonem dając do zrozumienia, że opinia niemiłej kobiety nie spędzi jej snu z powiek. – Pani Irena naogłądała się filmów Vegi i teraz myśli, że tak wygląda prawdziwe życie. Mieszkam w małej wiosce za Żywcem. Nie wiem, skąd miałabym tam wytrzasnąć gangsterów, bo nawet w Bielsku ostatnio nie występują. Poważny, wpływowy przestępca to u nas towar deficytowy, została zwykła bandyterka. Sami osiedlowi frajerzy, którym się wydaje, że coś znaczą.

– Ciekawe, skąd ona o tym wie – mruknęła Korda, znacznie jednak spuściła z tonu. – Normalni ludzie nie mają pojęcia o takich sprawach.

Na korytarzu rozległ się brzęczyk alarmu. Na ten odgłos Drohomirska rozpromieniła się, jakby spotkało ją wielkie szczęście.

– Przepraszam panie, muszę lecieć do pacjenta! – wykrzyknęła radośnie i w mgnieniu oka zniknęła za drzwiami.

– Nie myśl sobie, że to już koniec – warknęła pozostawiona sama na placu boju Korda, obrzucając Remańską wzrokiem pełnym wściekłości. – Na to nie licz, ja tego tak nie zostawię. Załatwię cię, ty ladaczniczo!

Dioniza przyjrzała się uważnie poczerwieniałej z gniewu, lecz mimo to ładnej twarzy. Korda od początku pobytu wydawała jej się dziwnie znajoma, lecz gdy kolejna próba dopasowania wyglądu do okoliczności czy bodaj incydentu spełzała na niczym, Remańska odpuściła. Korda było na tyle rzadkim nazwiskiem, że z pewnością utkwiliby jej w pamięci, tymczasem nie wywoływało żadnych skojarzeń.

Teraz zaś zyskała pewność, że musiała panią Irenę z kimś pomylić, kiedy bowiem słuchała pełnych nienawiści słów, Dioniza doszła do wniosku, że kobieta musi być chora psychicznie. Jedyne w taki sposób można było wytłumaczyć ten niczym niesprowokowany atak agresji, którego stała się celem. Remańska nie miała żadnych wątpliwości, że osobę z problemami psychicznymi niewątpliwie by zapamiętała, zatem nie było innego wytłumaczenia jak to, że pamięć postanowiła spłatać jej figla.

Stwierdziła, że zignoruje Kordę, i weszła do kabiny, by zabrać pozostawione tam piżamę oraz przybory toaletowe. Tamta jednak nie zrezygnowała, bezczelnie wsadziła głowę do pomieszczenia, nawet na chwilę nie przestając mówić.

Nagle Diona poczuła, że wystarczy. Z jakiej racji miała pozwalać się obrażać? Również była pacjentką, miała więc takie same prawa i nie widziała powodu, by ich nie respektowano. *Nikomu od dupy nie odpadłam i nie będzie byle pinda mnie dojeżdżać* – pomyślała ze złością i pozwoliła, by gniew wziął w niej górę nad rozsądkiem. Jednym susem doskoczyła do Kordy, wciągnęła ją do kabiny i pchnęła na ścianę, potem chwyciła lewą garścią jej frotowy szlafroczek i skręciła tak mocno, że przeciwnicze zabrakło tchu.

– Powiem to tylko raz i więcej nie powtórzę. Jeśli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę, zabiję cię. Przyswajasz, głupia kłepo? Zajebię jak burą sukę, choćbyś sobie najęła ze stu ochroniarzy do pilnowania swojej chudej dupy. – Wypuściła z ręki szlafrok i wygładziła go przesadnymi ruchami. – A teraz wypierdalaj do swojego pokoju. Jest w nim łazienka, więc w tej nie masz nic do szukania. No, ruchy, na co czekasz? Biegusiem!



Celowo przybrała jedwabisty ton, tak kontrastujący ze słowami. Była pewna, że to przerazi Korde jeszcze bardziej, i jak się okazało, jej przewidywania sprawdziły się w stu procentach. Kobieta zrobiła błyskawiczny zwrot i w panice wybiegła z łazienki. Diona przez kilka chwil spoglądała za nią, wreszcie wykrzywiła wargi w pogardliwym uśmiechu. *Chciałaś przestępczyni, to ją masz, głupia krowo* – pomyślała mściwie i weszła do kabiny obok, po czym usiadła na sedesie i zapaliła papierosa.

Rozmyślając o minionym incydencie, po raz kolejny doszła do wniosku, że życie jest niesprawiedliwe. Jeżeli już ktoś musiał zamienić szpital w miejsce zbrodni, dlaczego nie wyeliminował tej wrednej jędry zamiast sympatycznej pani Igi, która może i wybrała niezbyt chwalebny sposób zarabiania na życie, ale przynajmniej dawała się lubić? Były mniej więcej równolatkami i nawet ich imiona zaczynały się tą samą literą, morderca nie mógł więc wyłączyć Ireny zamiast Igi? Po niej raczej nikt by nie płakał.

Zachichotała, wyobraziwszy sobie reakcję tak zwanych porządných ludzi na jej rozważania. Śmieszyli ją niewymownie, zwłaszcza kobiety komentujące różne posty na Facebooku. Takie moralne i akuratne aż do bólu, nie szczędziły słów potępienia wobec tych, którzy choćby minimalnie naruszyli ustalone przez nie normy.

Czytając ich wypociny, można by pomyśleć, że zdecydowana większość Polek nigdy nie poszła do łóżka na pierwszej randce, seks uprawia wyłącznie z mężem, w dodatku każda z nich jest przykładną, niepopęniającą żadnych błędów matką i żoną, a przy tym wszystkim również doskonałą panią domu.

Ciekawe tylko, skąd w takim razie tyle niechcianych, pozamałżeńskich ciąży i ślubów branych dlatego, że młodzi „musieli” zalegalizować związek? Skąd zdrady, kłótnie i rozwody, skąd noworodki w śmietnikach i beczkach, i wreszcie skąd zaniedbywane czy maltretowane dzieci, o które nie troszczył się nikt, ani rodzice, ani system, ani Bóg?

Po dopaleniu papierosa zabrała swoje rzeczy i wróciła do pokoju, gdzie najpierw sprawdziła, czy przypadkiem Zapata również nie cierpi na bezsenność. Poprzedniego dnia Dionie nie udało się dodzwonić. Najwyraźniej komisarz miał wyłączony telefon, gdyż zamiast jego głosu Remańska za każdym razem słyszała ten sam komunikat informujący o niemożności zrealizowania połączenia i proponujący nagranie wiadomości.

Konsekwentnie ignorowała podpowiedź, nie ufając tej formie powiadomienia, sama bowiem zawsze zapominała odsłuchać pocztę głosową. W końcu wysłała SMS-a o treści: „Zadzwoń do mnie. Pilne”. To powinno wystarczyć. Gdy komisarz włączy komórkę, równie szybko przeczyta krótki tekst, co odsłucha nagranie. A może nawet szybciej.

Niestety żadna nowa wiadomość się nie pojawiła i zniechęcona Dioniza doszła do wniosku, że widocznie komisarz należy do tych policjantów, dla których praca w policji to zwyczajne zajęcie, nie zaś powołanie. Widocznie ostatecznie źle go oceniła, co nie zdarzało jej się zbyt często, ale też Zapata nie mieścił się w standardowych ramach.

Na ogół jej pierwsze wrażenie potwierdzało się w późniejszych kontaktach, ten policjant jednak mile ją zaskoczył, gdy po niezbyt obiecującym początku okazał się całkiem inny. Podczas drugiej rozmowy nabrała pewności, że zależy mu na szybkim wykryciu sprawcy, tymczasem wszystko wskazywało na to, że znowu się omyliła. Nieprawdopodobne, ale nie niemożliwe, nie dysponowała wszak rentgenem prześwietlającym cudze dusze i charaktery.

## Rozdział 10

### Sala ćwiczeń

14 września 2020

Młody mężczyzna najpierw się upewnił, że nie zostanie przez nikogo podsłuchany, i dopiero wówczas wyjął z kieszeni komórkę, po czym nacisnął klawisz połączenia bez uprzedniego wyszukiwania numeru. Nie miałyby to sensu, skoro w kontaktach znajdował się tylko ten jeden, a rejestr rozmów był całkiem pusty.

- Załatwione – rzucił krótko, nie siląc się na słowa powitania.
- Jakież komplikacje? – Rozmówca także darował sobie grzeczności.
- Żadnych. Poszło jak po maśle. Kiedy dostanę kasę?

– Przyjdź w czwartek tam, gdzie my byli ostatnio, to się rozliczymy. O dziewiętnastej trzydzieści tobie pasuje? Tylko pamiętaj, ani pary z gęby, bo zajebię!

Słyszany w telefonie głos nie zachęcał do polemiki, lecz młody mężczyzna niespecjalnie się tym przejął. To on rozdawał karty.

– Nie lubię, jak ktoś mi grozi. Jeszcze tam nie włąłeś – przypomniał. – Lepiej mnie nie wkurwiał, bo je zamknę i zostaniesz z palcem w dupie. A szmał miał być od razu, a nie po tygodniu.

– Sorry. – Tamten widocznie się zreflektował, bo zmienił ton z ostrzegawczego na przyjazny. – Ja nie chciałem cię grozić, to z przyzwyczajenia, za często robię z debilami. – Umilkł, lecz zaraz podjął na nowo: – Wiem, że szmał miał być dzisiaj, ale ja musiałem pilnie wyjechać. Dołożę ci dwa stówki za zwłokę. Stoi?

– W porządku...

Młody mężczyzna zamilkł, usłyszawszy przeciągły sygnał – znak, że połączenie zostało przerwane. Bynajmniej się tym nie przejął, to nie była przecież żadna rozmowa z kolegą czy nawet znajomym, a jedynie ustalenia biznesowe. Wykrzywił wargi w drapieżnym, nieprzyjemnym uśmiechu na myśl, że obiecane mu wynagrodzenie będzie najłatwiej zarobionymi pieniędzmi. Tysiąc dwieście za głupi klucz i otwarcie jednych drzwi? Otworzyłyby je i za stówkę, i dorzucił klucz gratis, ale jeśli ktoś chce bulić, niech buli.

\*

Poniedziałek również nie zaczął się dobrze. Po przebudzeniu Diona poczuła dziwny niepokój, nie umiała jednak dojść jego przyczyn. Te poznała jakiś czas później, kiedy uznała, że dalsze leżenie w łóżku nie ma sensu. Jak co rano zerknęła na wyświetlacz komórki, by sprawdzić godzinę, i wtedy uświadomiła sobie, że Zapata nie oddzwonił. Ani nie przesłał wiadomości tekstowej, o czym się przekonała, sprawdzivszy zaraz skrzynkę odbiorczą. Przez dwa dni nie znalazł wolnej chwili, by odpowiedzieć? Niemożliwe. Musiało się coś stać albo... *Albo doszedł do wniosku, że niepotrzebna mu moja pomoc* – wyartykułowała wreszcie w myślach podejrzenie będące źródłem niesprecyzowanych dotąd obaw.

Zakłęła półgłosem, a potem rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę sąsiedniego łóżka, gdzie pograżona w głębokim śnie Violka cichutko pochrapywała. Diona doszła do wniosku, że niepotrzebnie się pohamowała; nawet gdyby wykrzyzczała pełnym głosem swoją frustrację, jedyną reakcją współlokatorki byłoby zapewne obrócenie się na drugi bok, o ile w ogóle dotarłby do niej ów dźwięk. Następną myślą Dionizy było, że i tak już nie zaśnie, równie dobrze więc może wstać i zająć się czymś pożytecznym. Na przykład ćwiczeniami, których efekty wreszcie zaczęła zauważać, dzięki czemu uwierzyła, że wróci do całkowitej sprawności. Warto było się katować, nawet jeśli miało się to łączyć z podejrzeniem uprawiania seksu w ogólnodostępnej toalecie.

Parsknęła cichym śmiechem na wspomnienie wczorajszego zajścia. Ani trochę nie żałowała, że dała się ponieść nerwom. Korda przekroczyła wszelkie granice, musiała wszakże przerazić się wybuchu Dionizy, gdyż przez cały dzień schodziła jej z drogi i tylko co jakiś czas obrzucała detektywkę pełnym obawy spojrzeniem. *I bardzo dobrze* – skonkludowała Remańska w myślach. – *Przynajmniej będę miała spokój. Jeśli ktoś jest tak głupi, by uważać, że narzeczona jakiegoś mafioza leczy się na NFZ, to trudno.*

Po zaliczeniu wizyty w łazience przebrała się w dresowe spodnie i koszulkę, tyknęła kawy i schodami zbiegła na parter, licząc na to, że sala do ćwiczeń jest już otwarta, choć do siódmej brakowało jeszcze czterdziestu minut. Wkrótce mogła się przekonać, iż nadzieja była płonna – zamknięte na klucz drzwi zmusiły ją do rezygnacji z planów. Rozczarowana, zaklęła półgłosem i już miała zawrócić na klatkę schodową, gdy za sobą usłyszała szcęk klamki, a potem męski głos wymawiający śpiewnie jej imię.

– Dioniza?

Odwróciła się i zobaczyła fizjoterapeutę będącego jej opiekunem.

– Cześć, Nazar. Jak dobrze, że cię widzę. Masz może klucz do dużej sali?

– Ty nie możesz spać? – spytał i nie czekając na odpowiedź, sięgnął do kieszeni. – Pacjentom bez nadzoru ćwiczyć nie wolno. – Zrobił groźną minę, po czym wyciągnął w stronę Diony rękę z kluczem. – Będziesz musiała robić to prędko.

Uśmiechem usiłował przykryć niepewność i odetchnął z ulgą, gdy Dioniza pochwaliła go za prawidłowe użycie synonimu homonimu.

– Bardzo dobrze. Niedługo tylko po wymowie można będzie poznać, że nie jesteś Polakiem.

– Trochę jestem – odparł Kołojenko. – U mnie jest babka Polka.

– Moja babka jest Polką – poprawiła go Remańska, a zauważywszy jego minę, dodała pocieszająco: – Nie przejmuj się, w końcu mieszkasz tu dopiero od roku. Moim zdaniem mówisz bardzo dobrze, dużo lepiej niż Oksana, a ona przyjechała do Polski tylko dwa miesiące później niż ty. Więc nie przesadzaj. – Zaśmiała się cicho. – No właśnie, przesadzać. Niech to będzie twoje zadanie na jutro. Powiesz mi coś z użyciem obydwóch znaczeń.

Nazar odszedł do swoich zajęć, a Diona przez jakiś czas stała przed drzwiami, rozmyślając o Oksanie. Jak na razie były mąż nie próbował więcej grozić Ukraince, lecz to wcale nie oznaczało rezygnacji ze spełnienia gróźb. Równie dobrze mógł się przyczaić i czekać okazji, dlatego Dioniza kazała jej wybić sobie z głowy rychły powrót do domu. Upłynęło zbyt mało czasu, by mogła mieć pewność, że Dmytro Hawryluk na dobre zniknął z życia byłej żony.

Odgłos kroków na korytarzu przywołał Dionę do rzeczywistości. Przekręciła klucz w zamku i energicznie nacisnęła klamkę. W następnej chwili zamarła. Niczego wprawdzie jeszcze nie dojrzała, ale unoszący się w pomieszczeniu ohydny fetor nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do źródła swojego pochodzenia. Tak cuchnęła tylko śmierć.

– No i chuj bombki strzelił...

Nie dokończyła wyrzekania na parszywy los, który znowu pomieszał jej szyki, zamieniając salę ćwiczeń w miejsce zbrodni, gdyż w porę zauważyła nadchodzących dwóch mężczyzn. Rozpoznała w nich pacjentów ze swojego oddziału, toteż czym prędzej weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Po niedługim czasie ktoś kilkakrotnie nacisnął klamkę, potem zaczął się dobijać, a wkrótce potem do pukania dołączył poirytowany dwugłos:

– Halo? Proszę pani! Proszę otworzyć! Jaja se pani robi? To nie jest prywatna siłownia, żeby się w niej zamykać. Noż kurwa, otwieraj, bo pójde do ordynatorki.

Dioniza zignorowała te krzyki, Bogiem a prawdą nawet nie dotarł do niej ich sens. Potraktowała je jak brzęczenie natrętnej muchy, zajęta próbami zlokalizowania zwłok, bo że takowe znajdowały się w sali, tego była całkowicie pewna. Smród ekskrementów i rozkładu jest jedyny i niepowtarzalny, nie sposób go pomylić z niczym innym. Tylko że tutaj żadnych zwłok nie widziała, choć rozglądała się uważnie i nawet kucnęła, by zobaczyć, czy przypadkiem nie załania ich biurko. Ale tam nie było ich również.

– Ki diabeł? – mruknęła, zdziwiona niespodziewaną komplikacją. – Zdematerializowały się czy jak?

Wzniósła oczy ku niebu, chcąc pokazać losowi, co myśli o podobnych zagrywkach, i wtedy to ujrzała. Niejeden już raz zetknęła się ze śmiercią, ale nawet potwornie zmasakrowane ofiary wypadków czy rozbity na chodniku mózg samobójcy, który skoczył z dziesiątego piętra, nie wywarły na niej takiego wrażenia jak wiszące w klatce ciało.

Podeszła bliżej i uważnie zlustrowała zwłoki, żałując, że w przeciwieństwie do większości pacjentów nie ma w zwyczaju chodzić na zabiegi z telefonem. Teraz bardzo by się przydał, mogłaby zrobić zdjęcia, by nie zaprzętać pamięci szczegółami, z których każdy mógł okazać się istotny. Ale zaraz! Miała ze sobą przypinaną do paska saszetkę, kondonierkę, jak ojczym zwykł nazywać podobne torebki. Nosila w niej papierosy, zapalniczkę i małą, zamykaną popielniczkę, żeby nie tracić czasu na powrót do pokoju i móc szybkim dymkiem zabić czas w przerwach pomiędzy zabiegami. Nie była pewna, czy nie włożyła tam komórki, na wypadek gdyby Zapata oddzwonił. Taki przynajmniej miała plan, lecz czy go zrealizowała? Diona szurnęła suwakiem zamka i zagłębiła dłoń w saszetce. Natychmiast namacała znajomy kształt i wydobyła telefon, kręcąc przy tym głową nad własnym roztargnieniem.

Tym razem darowała sobie dzwonienie pod numer alarmowy. To nie miałoby sensu, była bowiem stuprocentowo pewna, że sprawcą drugiego zabójstwa jest ten sam człowiek. Co prawda nie wskazywały na to żadne materialne dowody, ale Dioniza już dawno nauczyła się ufać swojej intuicji. A ta wręcz krzyczała, że jest niemożliwe, by w tak niewielkiej społeczności znalazło się w tym samym czasie dwoje ludzi mordujących pacjentów za pomocą urządzeń do rehabilitacji. To nie mógł być przypadek.

– Nie ma go i raczej dzisiaj już nie będzie – odpowiedział zapytany o Zapatę dyżurny komisariatu w Klonowicach.

Dioniza przełknęła niewypowiedziane przekleństwo.

– W takim razie proszę mu przekazać...

– Proszę panią! – przerwał jej poirytowanym tonem. – To jest komisariat policji, a nie telefon towarzyski, a ja nie jestem...

Nie dokończył, bo teraz ona mu przerwała, zniesmaczona nieuprzejmym zachowaniem.

– Mówi się „proszę pani”, a nie „proszę panią”, chyba że zamierza pan prosić mnie o rękę. A Zapata nie jest mi do niczego potrzebny, łaski mi pan nie robi. Trupowi też jest raczej już wszystko jedno, równie dobrze może sobie dzień lub dwa powisieć.

Jej słowa sprawiły, że Zapata nagle przestał być nieosiągalny. Zgryźliwą uwagę o cudzie dyżurny pozostawił bez komentarza, zapowiedział natomiast jak najszybszy przyjazd ekipy śledczej i poprosił o dopilnowanie, by nikt więcej nie wchodził do sali. Dioniza pomyślała wprawdzie, że w sytuacji, gdy przez pomieszczenie codziennie przewijało się co najmniej stu pacjentów, wejście jeszcze kilku nie robi specjalnej różnicy, ale zostawiła to dla siebie. Nie zamierzała wchodzić z policjantem w polemikę, zwłaszcza że mogła nie mieć racji, uważając sprawcę za człowieka na tyle inteligentnego, by nie zostawiał śladów. Spłukanie prysznicem ciała Igi Pokrzywy mogło być spowodowane innymi względami.

Zanim wyszła z sali, do której od dłuższego czasu ktoś energicznie się dobijał, zrobiła kilkadziesiąt zdjęć tak wiszącego w klatce ciała, jak otoczenia, ze szczególnym uwzględnieniem znajdujących się tam przedmiotów. Nigdy nie wiadomo, co może okazać się ważne.

Zamknęła za sobą drzwi na klucz, co spotkało się z energicznym sprzeciwem mężczyzn dobijających się wcześniej i żądających natychmiastowego wpuszczenia ich do sali. Nie zadowolili się jej enigmatycznym wyjaśnieniem, że bez zgody policji nie może udzielić żadnych informacji. Najmocniej protestujący poszedł na skargę do ordynatorki, na szczęście lekarka nie dała się omamić elokwentnemu pięćdziesięciolatkowi pozującym na młodzieniaszka. Wraz z nim zeszła na parter, by poznać przyczyny dziwnego zachowania pacjentki. Na widok Dionizy spochmurniała, przewidując złe wieści.

– To właśnie ona zamknęła drzwi – poinformował ją sygnalista i posłał Remańskiej spojrzenie pełne złośliwego triumfu. – Normalnie musiało babie odjechać... – Zająknął się pod wpływem karcącego wzroku lekarki i ze znacznie mniejszą pewnością siebie dokończył: – Znaczy się, chyba całkiem jej odbiło.

– Pani Dionizo? Jak pani wytłumaczy...?

Diona uciszyła ją gestem i schyliwszy głowę, ku niezadowoleniu mężczyzn czekających z niecierpliwością na rozwój wypadków, wyszeptała wprost do ucha ordynatorki kilka słów. Lekarka pobladała i cofnęła się lekko, spoglądając uważnie na rozmówczynię, jakby oceniała jej wiarygodność. Potem skinęła głową, wzięła do ręki klucz i zwróciła się do mężczyzn trwających w oczekiwaniu na werdykt:

– Proszę się odsunąć od drzwi. – Nie usłuchali, powtórzyła więc swoją kwestię głośniejszym i ostrzejszym głosem, na koniec zaś dodała: – Dzisiaj zajęcia odbędą się gdzie indziej. O konkretach dowiedzie się od fizjoterapeuty prowadzącego.

Usłuchali niechętnie i odeszli, lecz tylko o kilka kroków. Tam przystanęli i nie próbując nawet markować braku zainteresowania, wyciągali szyję, by dojrzeć coś ponad głowami kobiet. Zawiedli się, te bowiem przewidziały ów manewr i z tego względu po krótkiej dyskusji do sali weszła tylko lekarka, Remańska natomiast pozostała na straży.

Ordynatorka wyszła po kilku minutach. Zamknęła drzwi na klucz, który oddała Dionizie, mówiąc jednocześnie coś głosem ścisłym tak bardzo, że tamci nie usłyszeli ani słowa. Potem odeszła, Diona natomiast usiadła po turecku na podłodze i oparła plecy o drzwi, do których dostępu gotowa była bronić za wszelką cenę, choć miała nadzieję, że nie okaże się to konieczne.

\*

Zapata przyjechał razem z dwoma funkcjonariuszami w mundurach. Remańska miała zamiar odnosić się do niego tak, jak on potraktował ją, czyli całkowicie go zignorować, jednak jej plany zostały rozbite w pył już na początku, kiedy tylko go zobaczyła. Na widok pokancerowanego oblicza nie zdołała powstrzymać okrzyku przerażenia.

– Wpadł pan do młockarni?

Tą zgryźliwą uwagą pragnęła zatrzeć pierwsze wrażenie. Niech nie myśli, że się przejęła. Zachował się jak ostatni buc, więc nie zasługuje na troskę. Niestety plan nie wypalił, komisarz bowiem tylko się skrzywił.

– Nie wygłupiaj się, Diona. Przecież wiesz, jak czasem bywa w tej robocie.

Spokojne słowa podziały na nią niczym odkręcenie zaworu bezpieczeństwa w urządzeniu znajdującym się pod zbyt wysokim ciśnieniem. Dioniza wolno wypuściła powietrze z płuc i już spokojnie, bez emocji przyjrzała się policjantowi.

Wyglądał strasznie. Pod lewym okiem, częściowo zasłoniętym opatrunkiem, pysznił się dorodny granatowy siniec, na brzegach przyjmujący zgniozloną barwę, policzek przecinała krwawa pręga kończąca się w okolicach brody, również granatowej i dodatkowo przyozdobionej sporym otarciem, pokrytym świeżym strupem. Gdy Zapata postąpił krok naprzód, zauważyła, że mężczyzna mocno kuleje na prawą nogę, prócz tego z dłoni przyciskanej ochronnym gestem do lewego boku wywnioskowała uraz żeber.

– Złamane czy stłuczone? – spytała półgłosem.

– Stłuczone, ale co za różnica? – odparł tak samo cicho. – I tak kurewsko boli.

O tym wiedziała doskonale, więc tylko skinęła głową i przeszła do powodów wezwania ich tutaj, jeszcze bardziej zniżając głos.

– Pomyślałam, że mógł to być ten sam sprawca, dlatego zadzwoniłam do was, a nie na sto dwanaście. Gdybym wiedziała, że się źle czujecie... Nie mogli wysłać kogoś innego?

– Niby kogo? – Komisarz wzruszył ramionami. – To mały komisariat, dochodzeniowców jest niewielu, w dodatku byli zajęci przy innych sprawach. Do wyboru byłam tylko ja i jeszcze jeden, ale on dopiero się wdraża i jeszcze wszystkiego nie ogarnia. Bosek wyciągnął mnie z łóżka i prawie błagał, żebym tu pojechał.

– Kto cię błagał?

Zapata uśmiechnął się i w następnej chwili syknął z bólu. Na rozbitej wardze pojawiła się świeża krew.

– Kurwa. – Zlizął czerwoną kroplę. – Nie powinienem się śmiać. Krzyczeć też nie, a najlepiej nie jeść, nie pić i nie mówić. – Tym razem starł krew wierzchem dłoni i machnął ręką. – Jebać to. Mówimy Bosek na komendanta. To od bossa, a że jest mały i chudy...

– Jasne. Nie mógł poprosić miejskiej o wsparcie?

– Coś ty! – Policjant zrobił przerażoną minę. – Wybiera się na emeryturę i chce odejść w chwale, więc to zabójstwo spadło mu jak z nieba. W życiu nie przyzna, że możemy nie ogarnąć tematu, bo się boi, że miejska odbierze nam sprawę. Jakby nie mieli dość swoich.

Ostatnie zdanie wypowiedział z kpiącym uśmiechem, za co natychmiast został ukarany ponownym rozkrwawieniem rany na wardze. Najwyraźniej kpiny z położonych należały do czynów wzbronionych przez siły wyższe.

Nie kwapił się do obejrzenia miejsca zbrodni, za co Remańska zapisała na jego koncie kolejny minus. Z pewnością czuł się jeszcze gorzej, niż wyglądał, ale to go w jej oczach nie usprawiedliwiało. Mógł

przecież odmówić, a skoro tego nie zrobił i przyjął na siebie ten obowiązek, powinien się z niego wywiązać.

Wydawało jej się, że z jej twarzy nie da się niczego wyczytać, a jednak komisarz musiał jakimś tajemnym sposobem poznać jej myśli, gdyż spojrzął na nią uważnie i wykrzywił wargi w tym swoim ironicznym uśmiechu, który coraz bardziej ją irytował. Już teraz miała nieodpartą ochotę rozmazać go pięścią i aż bała się pomyśleć, co będzie potem.

– Miałaś kiedyś do czynienia z Rajskim?

Pytanie kompletnie zaskoczyło Dionizę, tak bardzo wydało jej się nie na miejscu. Co jest z tym facetem? Zamiast zająć się sprawą zabójstwa, ma zamiar doszukiwać się wspólnych znajomych? Właśnie chciała dać wyraz swoim uczuciom, gdy nagle ją olśniło. Wymienione nazwisko wcale nie było jej obce, a co więcej, jeżeli mieli na myśli tego samego mężczyznę, pytanie zadane przez Zapatę miało ścisły związek z obecną sytuacją.

– Chodzi ci o Rafała Rajskiego? Tego upierdliwego technika?

Komisarz przytaknął i wyjaśnił:

– Ma tutaj przyjechać, a ja wolałbym ponownie spotkać się z tymi patusami – tu dotknął znaczącym gestem pokancerowanej twarzy – niż mu się narazić.

To zmieniało postać rzeczy, na miejscu Zapaty Diona postąpiłaby podobnie. Doskonale pamiętała niskiego, tęgiego mężczyznę o ponurym obliczu, niemającego ani krzty podobieństwa do jowialnego jegomościa, z jakim kojarzyli się ludzie jego postury. Aspirant sztabowy Rajski zachowywał się jak obrażony na cały świat gwiazdor filmowy i w jego przypadku był to stan chroniczny. Widocznie taki już się urodził.

Technik nie uznawał żadnych autorytetów, a jego sarkastyczne uwagi cięły niczym bat. Każdy inny na jego miejscu już dawno wyleciałby z pracy z hukiem, Rajski jednak, mimo że nie miał poparcia w postaci wysoko postawionego krewnego lub znajomego, przetrwał nie tylko zmianę ustroju, ale i kolejne rządy komendantów popieranych przez różne polityczne frakcje. Wszystko dlatego, że w swoim fachu był prawdziwym mistrzem. Jego ocierająca się o pedanterię dokładność stała się już legendarna, a gdy dodało się do tego szczęście, któremu zawdzięczał miano cudotwórcy, przestawało dziwić, że kuriozalne zachowanie uchodziło mu na sucho.

– Rajski ma przyjechać do czynności? – spytała niepotrzebnie, bo wniosek nasuwał się sam. – W takim razie masz rację, lepiej tam nie wchodzić, bo gotów wysłać nas śladem tej nieszczęsnicy. Może porozmawiamy zamiast gapić się w sufit? Na przykład o tym, czemu olałeś moje telefony. Jeśli zmieniłeś zdanie odnośnie do współpracy, wystarczyło mi dać znać, a nie udawać nieodstępnego celebryte.

Choć starała się przybrać lekki ton, w jej głosie pojawiła się nutka urazy. Swoim zachowaniem komisarz dał jej odczuć, że uważa ją za zbyt mało znaczącą, by miał jej cokolwiek wyjaśniać, a teraz rozmawiał z nią, jakby nic się nie stało, co również odebrała jako lekceważenie. Dlatego nie umiała ukryć, że czuje się dotknięta.

Nie spuszczała wzroku z Zapaty, nie umknął jej więc cień zawstydzenia, choć tylko na moment pojawił się na poobijanej twarzy policjanta. Zaraz potem komisarz przyoblekł swoją zwykłą maskę lekko znudzonego, niezbyt zainteresowanego omawianym tematem.

– Nie o to chodzi, że zmieniłem zdanie – mruknął, spoglądając gdzieś w bok. – Nie miałem jak zadzwonić, dlatego...

– Od piątku? Wiesz co? Przestań pieprzyć!

Nie chciała wzbudzać niezdrowej ciekawości pacjentów, którzy i bez tego obserwowali ją z zainteresowaniem wymieszanym z urazą. Ciągłe nie mogli jej darować, że nie pozwoliła im przynajmniej zajrzeć do sali, gdzie, jak wywnioskowali z obecności policjantów, musiało się wydarzyć coś sensacyjnego. Nie podniosła więc głosu, lecz ostre słowa i intonacja nie pozostawiały wątpliwości, że jest na granicy wybuchu. Swoim zachowaniem komisarz doprowadził ją do ostateczności i nie zamierzała ukrywać, co o tym myśli.

– To wcale nie tak, że nie chciałem z tobą rozmawiać – zerknął na nią z dziwną determinacją. – Daj mi wyjaśnić.

Zapata bez trudu domyślił się, jaką opinię o nim wyrobiła sobie Remańska. Nie miał pretensji, w tych okolicznościach i tak była wyjątkowo opanowana. Gdyby to jego ktoś najpierw poprosił o pomoc, a potem nie odbierał telefonów i ignorował prośby o kontakt, przy najbliższym spotkaniu kazałby mu spierdalać.

Żałował tylko, że zawczasu nie przygotował sobie jakiegoś wiarygodnego wytłumaczenia. Mógł przecież przewidzieć, że kobieta nie odpuści. Tylko że on aż do tej chwili nawet nie pomyślał o stworzeniu legendy mogącej przekonać Dionizę, że nie zlekceważył jej celowo, a wyznanie prawdy niezbyt mu się uśmiechało. Nie lubił okazywać słabości, zwłaszcza przed kobietami, nawet jeśli owe kobiety były w wieku jego babki, a co dopiero przed taką fajterką jak Remańska. Widział jednak, że nie ma innego wyjścia.

– Nie wściekaj się – poprosił cicho, nie chcąc, by treść wypowiedzi dotarła do uszu posterunkowych. – W piątek wieczorem wracałem do domu i koło wiaty autobusowej natknąłem się na dwóch facetów bijących nastolatka. Chciałem wezwać patrol, ale kiedy go przewrócili i wzięli pod fleki, stwierdziłem, że nie ma na to czasu, i podjąłem interwencję.

– Chcesz mi wmówić, że dwóch dresów spuściło ci bęcki? Nie wierzę! Chyba że to jacyś krewni Błachowicza z MMA.

Wzruszył ramionami, bo choć jej słowa sprawiły mu przyjemność, uważał, że nie zasłużył na pochwały, skoro dał się zaskoczyć jak dzieciak.

– Ci dwaj nie byli dla mnie żadnymi przeciwnikami, zarobili po dwa szybkie i zglebili. Tylko że za wiatą byli ich kumple...

– Ilu? – spytała rzeczowo.

– Czterech. A tamci dwaj też zaraz się podnieśli. Dobrze, że przynajmniej chłopak skorzystał z okazji i dał w długą.

– Sześciu – mruknęła jakby do siebie, po czym spytała z niedowierzaniem: – Cały czas robisz w dochodzeniach? Dobry jesteś. Co trenujesz?

Skrzywił się, znów uznawszy pochwałę za niezasłużoną.

– Przedtem służyłem w wojsku w jednostce komandosów, a po powrocie z Kandaharu przeniosłem się do policji. Chciałem mieć spokój. – Uśmiechnął się krzywo. – Powinienem być dać im radę, ale mnie zaskoczyli, dlatego wyglądam, jak wyglądam. Najgorsze, że wyczuli moją słabość, dlatego większość kopów przyjąłem w prawe udo, gdzie kiedyś trafił mnie odłamek. Nie miałem żadnych szans i gdyby akurat nie przejeżdżał tamtędy radiowóz... Zabrali mi portfel i telefon, dlatego nie odpisałem.

Ostatnie zdanie znowu sprowokowało ją do nieufności.

– Skąd wiesz, że do ciebie pisałam? Nic o tym nie...

– Musisz być taka podejrzliwa? – Zapata się zniecierpliwił. – Gnój, który zawinął mi komórkę, długo się nią nie nacieszył. Nie wiedział, że to służbowy aparat z włączoną funkcją śledzenia. Chłopaki trafili do niego jak po sznurku. Oddali mi go dzisiaj przed wyjazdem na oględziny, więc nie było sensu dzwonić. O czym chciałaś pogadać?

Dioniza otworzyła usta, lecz nie zdążyła nic powiedzieć, gdyż wreszcie pojawił się technik. Wszedł do budynku wraz z przystojnym, elegancko przyodzianym mężczyzną, w którym rozpoznała prokuratora Pawła Grzelę, zwanego przez policjantów Cyborgiem. Ucieszyła się, miała bowiem okazję współpracować z nim w czasach, gdy jeszcze służyła w policji, stąd wiedziała, że jest przeciwieństwem Mroka. On będzie chciał ująć faktycznego sprawcę, a nie jak najszybciej umorzyć śledztwo bądź załatwić problem wsadzeniem do aresztu pierwszego z brzegu podejrzanego, by potem obwiniać policjantów o wprowadzenie go w błąd.

– Cześć, Diego – przywitał komisarza.

To sprawiło, że Remańska spojrzała na Zapatę z mimowolnym szacunkiem. Grzela miał wśród funkcjonariuszy opinię mężczyzny zdystansowanego do ludzi, sama też przekonała się, że niełatwo się zaprzyjaźniał. Poczula złośliwą uciechę na wspomnienie licznych prób podejmowanych przez byłego męża, chcącego nawiązać z prokuratorem koleżeńskie stosunki. Nie dopiął swego, przez co zaczął traktować go jako wroga numer jeden, nie przyjmował natomiast do wiadomości, że to jego postawa jest przyczyną rezerwy Grzeli.

Jeśli więc Cyborg w stosunkach z Zapatą okazał się człowiekiem, oznaczało to, że ten ostatni jako policjant musi znacznie wybijać się ponad przeciętność. Zatem pani Idalia znalazła się w dobrych rękach.

Po zamienieniu kilku słów z Zapatą Grzela popatrzył na Dionizę i w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania. To jej nie zachwyciło. W pobliżu znajdowało się wielu pacjentów; jeśli prokurator chłapnie coś na temat jej pracy w policji, cały kamuflaż diabli wezmą.

Zanim zdążyła znaleźć jakieś wyjście, zwrócił się bezpośrednio do niej:

– Dzień dobry. My się chyba znamy?

Udała zaskoczenie, a gdy się przedstawił, posłała mu niepewny uśmiech.

– Remańska. – Celowo pominęła imię mogące pomóc w identyfikacji. – Kilka lat temu dość często bywałam w prokuraturze...

Celowo zawiesiła głos, pozwalając mu na dokończenie zdania po swoimemu. Nie zawiodła się. Wprawdzie Grzela skinął tylko głową, ale widać było, że straciła jego zainteresowanie. Jeszcze raz na nią spojrzął, lecz tym razem w jego wzroku wyczytała pogardę wymieszaną z litością. Najwyraźniej wypowiedź o bywaniu w prokuraturze zinterpretował jako stawiennictwo na wezwanie i przyjął, że była zamieszana w jakieś niezbyt czyste interesy. Zaraz też ponownie zwrócił się do Zapaty, całkowicie ignorując fakt, że Dioniza stoi tuż obok:

– Znasz ją? To twój świadek czy podejrzana?

Komisarz nie zdążył odpowiedzieć, do rozmowy włączył się bowiem technik, będący jak zwykle na pełnym wkurwie, co Diona stwierdziła z lekkim rozbawieniem. Doszła do wniosku, iż powiedzenie, że pewne są tylko śmierć i podatki, mija się z prawdą. Należy do nich dołączyć jeszcze wkurw aspiranta sztabowego.

Na tę myśl zachichotała, nie zdoławszy się opanować, a Rajski, mówiący właśnie, że nie ma czasu na pogaduchy i może by wreszcie ruszyli dupska, popatrzył na nią wzrokiem bazyliuszka. Prawdopodobnie uznał jednak, że wymówienie kilku słów powitania jest poniżej jego godności, bo na szczęście dla incognito Dionizy nawet jednym słowem nie dał do zrozumienia, że ją sobie przypomina, choć była pewna, że tak właśnie jest.

Odetchnęła z ulgą i wręczyła komisarzowi klucz, cały czas kurczowo ściskany w dłoni, jakby zachodziła obawa, że ktoś zechce odebrać jej go siłą.

Zapata otworzył drzwi i ekipa śledcza weszła do środka, a za nimi wsunęła się i Remańska, niezauważona bądź zignorowana przez Grzelę. Dopiero dużo później, gdy już wróciła do pokoju, zrozumiała, dlaczego nikt jej nie kazał opuścić miejsca zbrodni, na razie jednak nie zastanawiała się nad tym, zadowolona z nieoczekiwanego prezentu od losu.

– Jaja se, kurwa, robicie? Gdzie ten trup?!

Wbite w Dionizę oskarżycielskie spojrzenie Rajskiego nie pozostawiało wątpliwości, kogo obwiniał o brak zwłok, podejrzewając niewczesne żarty.

– Przecież go nie zeżarłam – burknęła, zirytowana niemym oskarżeniem technika, na co Zapata i Grzela parsknęły śmiechem, a Rajski nabzdyczył się jeszcze bardziej. Wzruszyła ramionami. Nie jej wina, że facet jest ślepy. I wredny, a skoro tak, niech sobie sam szuka.



## Rozdział 11

### Kobieta w klatce

14 września 2020

Mimo wcześniejszej deklaracji wzrok Dionizy bezwiednie powędrował w górę, w stronę kratownicy stanowiącej sufit klatki, na którym leżały wałki i półwałki rehabilitacyjne, składany materac i jeszcze inne, nieznanne Dionie z nazwy ani przeznaczenia przedmioty. Cały ten majdan utrudniał widzenie, nic więc dziwnego, że technik, podobnie jak wcześniej ona, nie od razu zauważył ciało. Odebrał jej spojrzenie inaczej i zdenerwował się jeszcze bardziej.

– Nie ma co przewracać oczami i udawać...

Urwał gwałtownie, gdy automatycznie również spojrzął w górę. W milczeniu zapatrzył się w niecodzienny widok i chyba po raz pierwszy zabrakło mu słów. W każdym razie Remańska nie przypominała sobie sytuacji, w której Rajski nie miałby nic do powiedzenia. Inna sprawa, że raczej czegoś podobnego nigdy dotąd nie oglądał.

Martwa kobieta wisiała pod górną kratownicą kabiny rehabilitacyjnej, przywiązana do niej sznurkami służącymi terapeutom do podwieszania pacjentów. W jej wytrzeszczonych oczach zastygł wyraz przerażenia, a wykrzywiona w grymasie nieopisanego bólu twarz kazała się domyślać, że ofiara sadystycznych działań oprawcy była świadoma tego, co się z nią dzieje, gdy zabójca wciągał ją pod sufit.

– Kto to jest? Znałaś ją?

Dioniza popatrzyła na Zapatę i pokręciła głową.

– Tyle co z korytarza, kiedy czasem się mijaliśmy. Ale wiem, kto to jest. Nazywała się Orłowska i mieszkała na drugim piętrze. To niestety wszystko, co mogę o niej powiedzieć.

Komisarz popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Orłowska? – powtórzył. – To ciekawe. Czyżby jakaś rodzina?

Remańska nie miała pojęcia, czyją rodziną miałyby być nieznaną jej bliżej pani Ida, okazało się jednak, że komisarz nie zwracał się do niej, lecz do Grzeli. Na dźwięk jego słów prokurator drgnął gwałtownie.

– Wybacz, nie słuchałem. Powiedziałeś Orłowska? Kur... de.

Rzucił niespokojne spojrzenie w stronę Dionizy, lecz zaraz machnął ręką, jakby tłumaczył sobie, że wobec kobiety jej pokroju nie musi zachowywać się jak dżentelmen. W jego mniemaniu była przecież przestępczynią.

– O co chodzi z tą Orłowską? – zwróciła się do Diega. – Pani Ida, tak się do niej zwracano, bo miała na imię Idalia. To wszystko, co o niej wiem.

– Idalia Orłowska!? Mówisz poważnie? Jasna cholera by to wzięła. Że też musiała zginąć akurat teraz.

Małujące się na jego twarzy zafrasowanie, a także wyraźnie zmartwiony głos kazały Dionie wysnuć dość jednoznaczne przypuszczenie.

– Była twoim ucholem? Nie, głupoty gadam – zreflektowała się natychmiast. – Wtedy musiałbyś ją od razu rozpoznać z wyglądu, a nie dopiero po nazwisku. W takim razie nie rozumiem, czemu jej śmierć tak cię ruszyła.

– Niejaka Idalia Orłowska jest... była dyplomowaną ekonomistką i od kilku lat prowadziła księgowość w przedsiębiorstwach panów J. – Wymienił nazwisko braci znanych w Bielsku-Białej i okolicach z niezbyt czystych interesów. – Bardzo kreatywną księgowość, o czym sama poinformowała CBŚ, kiedy bracia zwolnili ją z dnia na dzień pod byle pretekstem i w jej miejsce zatrudnili kochankę starszego z nich.

Zapata czekał na jakiś komentarz ze strony Dionizy. Gdy ten nie nastąpił, miał zamiar mówić dalej, lecz prokurator przerwał mu bez pardonowo, wyraźnie zniesmaczony nadmierną szczerością policjanta:

– Diego, czy ty się dobrze czujesz? Może zaczniesz jej jeszcze opowiadać o ustaleniach śledztwa? Znalazłbyś sobie porządną dziewczynę, a nie taką...

Diona nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, a komisarz jej zawtórował. Ich zachowanie tak zaskoczyło Grzelę, że zamilkł w pół słowa i popatrzył z niezbyt mądrą miną na technika, jakby chciał zapytać: „Rozumiesz coś z tego?”. Rajski nie zareagował, choć widać było, że również jest zdumiony, jakkolwiek starał się to ukryć.

Pierwsza opanowała się Remańska.

– Panie prokuratorze, nie chciałam tego mówić przy innych pacjentach, ale spotkaliśmy się w innych okolicznościach, niż pan założył. Tylko że wtedy nosiłam inne nazwisko. Znał mnie pan jako Dionizę Kicek.

– Pamiętam cię – odezwał się niespodziewanie technik, na ogół skupiony wyłącznie na swoim zadaniu i unikający wszelkich pogawędek. – Taka pyskata aspirantka, która zawsze wszystko wiedziała lepiej.

– Wcale nie zawsze – oburzyła się Diona. – To zwykłe pomówienie. Pyskowałam tylko wtedy, gdy faktycznie miałam rację.

Prokurator słuchał ich ze zmarszczonymi brwiami; na jego twarzy odmalował się wyraz głębokiego namysłu.

– Aspirant Dioniza Kicek... Tak, teraz sobie przypominam! – Rozjaśnił się w uśmiechu. – Była pani moim świadkiem w sprawie przeciwko temu bandzirowi ze Straconki. Nie wiedziałem, że wyszła pani za mąż.

– Bo nie wyszłam, tylko odwrotnie, zmieniłam nazwisko, bo się rozwiodłam. Możemy wrócić do Orłowskiej? – burknęła niezbyt grzecznie.

Nie miała ochoty roztrząsać publicznie osobistych problemów, na szczęście ceniący sobie prywatność Grzela nie drażył tematu i skinął głową, po czym polecił Rajskiemu zabrać się do pracy. Wkrótce potem sala rozjaśniła się mocnym światłem, co jakiś czas wspomagany błyskiem flesza. Diona w milczeniu obserwowała technika obfotografującego ciągle przymocowane do kratownicy ciało, stojący obok prokurator także się nie odzywał i ciszę przerywały jedynie gniewne mamrotania Rajskiego oraz dochodzący z drugiego kąta sali stłumiony głos Zapaty, perorującego z zapalem przez telefon.

Długo trwało, nim technik zszedł z drabiny i usunął znaczniki, by można było opuścić zwłoki na podłogę. Dopiero wtedy Remańska mogła przyjrzeć im się bliżej i ze zgrozą zauważyła wbite w ciało nieduże haki. Wcześniej założyła, że zabójca po prostu związał sznurki bądź przypiął je do kratownicy. Podobne bestialstwo w ogóle nie przyszło jej do głowy.

Zapata schował wreszcie komórkę i podszedł do nich z zaaferowaną miną. Widać było, że aż pęka z niecierpliwości, by im coś przekazać, jednak na widok karabińczyka na wargach denatki zaklął tylko cicho i nie powiedział nic. Podobnie jak oni.

– Jebany amator piercingu! – rzucił naraz Rajski z wściekłością, która tym razem miała całkowite uzasadnienie.

Jego okrzyk podzielał na zgromadzonych niczym magiczne kontrzakęcie na rzucony przez złego czarownika urok odbierający zdolność mówienia. Komisarz zareagował z nie mniejszym gniewem co technik.

– Ja pierdole! Trzeba mieć całkiem zjebane pod czaszką, żeby wymyślić coś takiego. Co się dzieje z tymi ludźmi? Myślałem, że tylko na wojnie niektórzy zamieniają się w bestie, ale jak widać, znowu nie doceniłem zamiłowania bliźnich do okrucieństwa.

\*

Wezwanym do stwierdzenia zgonu lekarzem okazała się doktor Kenig, która po dość długich oględzinach orzekła, że przyczyną śmierci Idalii Orłowskiej było zadzierzgnięcie.

– Moim zdaniem podciągnął ją pod sufit, podwiesił na sznurkach, które następnie związał, a na koniec przypiął haczykami do ciała. A kiedy uznał, że już wystarczająco ją pomęczył, pociągnął za tę linkę i było po ptokach.

Wskazała niebieski sznurek wpijający się w szyję ofiary. Diona skinęła głową, lecz jej myśli zaprzętała inna kwestia.

– Faktycznie mogło być tak, jak pani powiedziała. Intrygują mnie te haki. Byłam pewna, że przypiął ją dlatego, że chciał w ten sposób zapobiec osunięciu się ciała, ale to bez sensu, skoro wcześniej została przywiązana.

– Ciało nie byłoby w stanie utrzymać ciężaru, bo tego nie da się wbić zbyt głęboko – zaoponował Rajski. – Musiałoby dojść do przerwania skóry i tkanki, i miałby gówno, nie kompozycję. To jakiś pierdolony świr.

– Ma pan rację – poparła go lekarka. – Ciało runęłoby w dół bądź zawisło na jednym haczyku, tym wbiłbym w lewe przedramię. Jest zaczepiony o kość promieniową.

Prokurator od razu to podchwycił.

– Z pani słów wnioskuję, że zabójca zna się na medycynie.

Spojrzał przy tym nieufnie, lecz Kenig nie sprawiała wrażenia przejętej. Uśmiechnęła się lekko, a w jej brązowych, lekko skośnych oczach błysnęło rozbawienie, rozjarzając w tęczęwkach fioletowe iskiereki.

– I popełnia pan błęd. W przedramieniu są tylko dwie kości, o czym każdy dowiaduje się już w szkole. A przynajmniej tak było za moich czasów. Za to teraz można sobie sprawdzić w internecie, że kość promieniowa znajduje się od strony kciuka, natomiast kość łokciowa – od strony małego palca. Ale nie sądzę, by mordercy robiło to jakąś różnicę.

Diona przyjrzała się uważnie denatce i pokiwała głową. Grzela zareagował natychmiast i zwrócił się bezpośrednio do niej, niby żartem, a jednak wyczuła w jego głosie sporą dozę podejrzliwości.

– Co to za konszachty? Babski spiszek?

Miała ochotę odpowiedzieć, że owszem, zmawiają się z lekarką, by sprowadzić śledztwo na manowce, gdyż to właśnie one wspólnie i w porozumieniu wyprawiły Orłowską na tamten świat. Na szczęście zdążyła ugryźć się w język. Zbyt słabo знаła prokuratora, by wiedzieć, czy ma on bodaj minimalne poczucie humoru.

– Nic z tych rzeczy. Po prostu się domyśliłam, o co pani doktor chodziło. Mianowicie ten haczyk jest dużo większy od pozostałych.

– I co z tego? – Grzela nadal nie pojmował, za to na twarzy Zapaty pojawił się wyraz zrozumienia, a zaraz potem zniecierpliwienie.

– To, że widocznie nie miał pod ręką innego. Wziął ten duży, wbił go w ciało i trafił między kości. Przez przypadek, więc nie rozbijaj gówna na atomy, bo szkoda na to czasu. Mam wystarczająco dużo roboty.

– Muszę cię zmartwić, ale moim zdaniem powinieneś mimo wszystko dokładnie sprawdzić personel medyczny – odezwała się Dioniza.

W następnej chwili miała ochotę zamknąć sobie usta, spinając je wzorem zabójcy karabińczykiem. Przecież dopiero co przyrzekła sobie w duchu powstrzymać się od uwag, by nie sprowokować Grzeli do zainteresowania się jej statusem w sprawie. Jak na razie nie zakwestionował obecności na miejscu zdarzenia, było nie było, osoby postronnej, ale w każdej chwili mógł kazać jej opuścić pomieszczenie. Wtedy nie miałyby szans poznać żadnych ustaleń, skoro współpracą z Zapatą stanęła pod znakiem zapytania.

Na szczęście prokuratora bardziej zainteresowała poruszona kwestia, tym razem więc wpadka nie nastąpiła.

– Czemu akurat medyczny? Pani zdaniem personel pomocniczy nie zabija?

Na twarzy mężczyzny odmalował się wyraz skupienia, toteż Remańska odpowiedziała z równą powagą:

– Co prawda przebywam w Klonowicach dopiero od tygodnia, ale zdążyłam już trochę poznać panujące tutaj zwyczaje. Stąd wiem, że po wyjściu ostatniego pacjenta salę zamyka terapeuta i że odnosi klucz do gabinetu fizykoterapii, a ściślej rzecz biorąc, na zaplecze tego gabinetu. Niestety nie mam pojęcia, co jest na owym zapleczu.

Oczy obecnych natychmiast skierowały się na Iwonę Kenig, na której ten ostrzał spojrzeń nie zrobił większego wrażenia. Odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk czarnych jak heban włosów, a Diona z niejakim rozbawieniem zauważyła wśród nich niebieskie refleksy. Pomyślała, że albo z powodu długiej choroby nie zauważyła nowego trendu w koloryzacji włosów, albo jest to jakaś lokalna moda, której nie oparł się również personel medyczny. Tymczasem lekarka spokojnie wyjaśniła:

– Szatnia dla terapeutów i podręczny magazyn, obecnie wypełniony głównie paczkami zawierającymi maseczki i fartuchy ochronne. Wiem, wiem! Flizelina chroni przed infekcją w stopniu raczej znikomym, ale lepsze to niż nic – broniła tej formy zabezpieczenia przed wirusem, chociaż nikt nawet słowem jej nie

zakwestionował. – Nawiasem mówiąc, czy panowie nie powinniście mieć nałożonej odzieży chroniącej przed covidem?

Nieco zaskoczeni przeniesieniem potyczki na ich podwórko mężczyźni popatrzyli po sobie z dość głupimi minami. Pierwszy otrząsnął się technik.

– Głupie gadanie! Kur... de, pani uważa, że policja sra pieniędzmi? – warknął, a Diona pomyślała, że należałoby ten dzień zapisać ku pamięci potomnych. Rajski powstrzymał się od przekleństwa! – Papieru do drukarki nie idzie się doprosić, a będą wydawać na kombinezony antycovidowe dla wszystkich? – żółdkował się, nieświadom jej rozważań. – Nawet te cholerne maski musimy kupować z własnej kieszeni!

Z wściekłością wyszarpnął z jednej z walizek jednorazową maseczkę, którą musiał przekwalifikować na wielorazową, co Dioniza wywnioskowała ze stopnia zabrudzenia. Na widok nieszczęsnego kawałka flizeliny z urwaną jedną gumką lekarka przewróciła oczami, lecz nie podjęła dalszej dyskusji, tylko wróciła do właściwego tematu:

– Pani Dioniza ma niestety rację. Sala jest zamykana na klucz, a ten jest odnoszony do szatni, gdzie nikt niepowołany nie ma szans się przemknąć. Z kolei gabinet fizykoterapii zamyka dyżurujący tam terapeuta i odwiesza klucz w pokoju pielęgniarek. Rano wygląda to dokładnie tak samo, tylko w odwrotnej kolejności, tak więc można brać pod uwagę tylko fizjoterapeutów.

– To wcale nie jest takie pewne – zauważył Zapata. – Sama pani powiedziała, że klucz do gabinetu jest przechowywany u pielęgniarek. Bynajmniej nie uważam, że wykonywany zawód uwalnia je od podejrzeń.

Powiedział to obojętnym tonem, jakby od niechcienia, jednak Dioniza poznała go już na tyle, by wiedzieć, iż jest to tylko zasłona dymna. Zauważyła taksujące spojrzenie rzucone lekarce i na jej miejscu nie czułaby się zbyt komfortowo. Być podejrzaną o zabójstwo to chyba średnia przyjemność.

Kenig wydawała się rozśmieszona słowami policjanta, o czym świadczyły wesołe fioletowe iskierki tańczące w brązowych tęczęwkach. Tak się w nie zapatrzył, że dość długo trwało, nim mógł skupić się na jej słowach.

– Panie komisarzu, źle mnie pan zrozumiał. Nie twierdziłam, że z racji pracy w charakterze pielęgniarki czy lekarza ktokolwiek powinien zostać skreślony z listy podejrzanych. Miałam jedynie na myśli, że według mnie pani Orłowska zginęła jakieś dwie, góra cztery godziny temu. Lekarz medycyny sądowej pewnie wam ten czas bardziej zawęzi, ja niestety nie jestem specjalistką w tej dziedzinie. Coś jednak dalej pamiętam z wykładów i... Proszę spojrzeć. Rogówka matowieje, mięśnie żuchwy i karku są już objęte stężeniem pośmiertnym, z kolei plamy opadowe się zlewają, ale ciągle jeszcze ustępują przy ucisku, a w ich miejscu powstają białe plamy, takie jak ta. – Wskazała miejsce, na którym przeprowadziła próbę. – Powinna była zniknąć po niespełna minucie, ale nadal jest widoczna, co znaczy, że od zgonu minęło teoretycznie więcej niż dwie godziny. Powiedziałam „teoretycznie”, bo jednak każdy organizm jest inny.

Zapata już otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz Grzela ubiegł go pytaniem:

– Czemu do czterech godzin, a nie na przykład do pięciu? Albo więcej? Może zabójstwa dokonano wieczorem?

Lekarka przyjrzała mu się uważnie, potem pokiwała głową.

– Sprawdź mnie pan – skonstatowała. W jej głosie zabrzmiało rozbawienie. – Po czterech godzinach następuje stężenie mięśni szkieletowych, o czym, jak podejrzewam, doskonale pan wie. Tutaj niczego takiego nie stwierdziłam.

Prokurator w milczeniu skłonił głowę, komisarz natomiast popatrzył na nią wyjątkowo nieprzychylnie.

– Nie bardzo rozumiem, jak wskazany przez panią przedział czasowy ma świadczyć o niewinności pielęgniarek. Religia im nie pozwala zabijać nad ranem czy jak? Podobnie jest z lekarzami. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że nie weszliby do pokoju pielęgniarek pod ich nieobecność, a przecież każdy musi czasem iść do toalety.

– W nocy na oddziale jest tylko jeden lekarz – odpowiedziała Kenig z niezmaconym spokojem. – Tym razem byłam to ja. Co prawda akurat wtedy spałam, ale proszę bardzo, może mnie pan aresztować...

– Mogę panią co najwyżej zatrzymać – poprawił policjant. – Żeby kogoś aresztować, potrzebne jest... – Urwał, napotkawszy kpiące spojrzenie Remańskiej, mówiące „jeszcze się nie nauczyłeś, że szkoda czasu na tłumaczenie różnicy?” – Nieważne. Proszę wyjaśnić, dlaczego pani zdaniem nie zrobiła tego pielęgniarka.

Kenig skinęła głową, lecz zamiast odpowiedzieć, zwróciła się do Dionizy.

– O której otworzyła pani salę?

– Za dwadzieścia siódma wychodziłam z pokoju, w takim razie mogło być dwie, trzy minuty później. Nie więcej, bo nie czekałam na windę, a na schodach nie spotkałam nikogo.

– Od kogo dostała pani klucze?

– Od Nazara Kołejenki. To fizjoterapeuta nadzorujący moją rehabilitację – wyjaśniła mężczyznom, spostrzegłszy ich zagubienie. – Miałam szczęście, że przyszedł wcześniej. Nie pomyślałam, że o tej porze sala będzie jeszcze zamknięta, i gdyby nie...

– Domyślałam się, że to nie Polak – przerwał jej Zapata. – Ten Nazar jak mu tam.

Skrzywił się, jakby obco brzmiące nazwisko uraziło jego poczucie przyzwoitości, a słyszana w głosie podejrzliwość okraszona nutką pogardy oznajmiała jasno, że uczucia, jakimi darzył pracujących w Polsce obcokrajowców, nie są zbyt przyjazne.

– Wszystkich zagraniczników tak kochasz czy tylko tych ze wschodu?

Posłał Dionizie doskonale niewinne spojrzenie.

– Czy ja coś mówiłem?

– Nie musiałeś, wystarczyły mi twoja mina i ton – odburknęła. Naraz uśmiechnęła się tak sztucznie słodko, że na myśl o tym, jak wygląda, omal jej nie zemdliło. – A jak już jesteśmy przy cudzoziemcach, to odnoszę wrażenie, że twoje nazwisko też do polskich nie należy. Jest taki film *Viva Zapata*, gdzie bohaterem jest meksykański bojownik Emiliano Zapata, walczący z wyzyskiem chłopów.

Wreszcie zdołała nim wstrząsnąć i nawet go zmieszać. Komisarz przez kilka sekund patrzył na nią bez słowa.

– To faktycznie jest meksykańskie nazwisko, ale ten Emiliano chyba nie był naszym krewnym. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo – odezwał się w końcu niezbyt pewnym głosem. Zaraz jednak odzyskał rezon. – Nie wiem tylko, co ma do rzeczy moje pochodzenie. Meksyk to nie Ukraina czy Białoruś.

– Powiedz to Amerykanom – prychnęła w odpowiedzi. – Oni w większości mają o twoich rodakach takie samo zdanie jak ty o Ukraińcach.

Zapata już nabrał powietrza, by rzucić jakąś ripostę, ale zamilkł w pół słowa, uciszony przez prokuratora, zniecierpliwionego przedłużającą się słowną potyczką.

– Dostyc tego. Kłócić możecie się później, teraz chciałbym wreszcie usłyszeć, co pani doktor ma do powiedzenia.

Zafascynowana toczoną bez jej udziału rozmową lekarka nie wyglądała na uszczęśliwioną nakazem powrotu do dużo mniej przyjemnej sprawy, nie miała jednak innego wyjścia, jak się dostosować. Wyjaśniła zwięźle, że Kołejenko na pierwszą zmianę zawsze przychodzi wcześniej, gdyż dojeżdża autobusem.

– Na ogół pojawia się zaraz po szóstej, chyba że po drodze wstępuje do sklepu. Czyli zabójca musiał zwaćbić ofiarę wcześniej, co zresztą zgadza się ze wspomnianymi przeze mnie znamionami śmierci.

– Dalej nie wiem, dlaczego ma to wykluczać pielęgniarki i lekarzy – zauważył komisarz. – A ten cały Kołenienko mógł tym razem przyjść wcześniej i zabić – dorzucił ze złośliwym uśmieszkiem skierowanym w stronę Dionizy.

Remańska policzyła do dziesięciu, dzięki czemu w jej odpowiedzi nie znalazł się ani jeden wulgarny epitet, choć w myślach mu ich nie szczędziła.

– Jak już, to Kołejenko. Niby mógł, ale musiałby być totalnym bezmózgiem, żeby to zrobić, jeśli wszyscy wiedzieli, że przychodzi do pracy jako pierwszy.

– Wiem o tym – odparł spokojnie. – Byłem ciekaw, czy znalazłaś inne podstawy do wykluczenia jego kandydatury oprócz tej, że jest cudzoziemcem.

Grzela znowu przywołał ich do porządku, więc Diona musiała się zadowolić bezgłośnym „Zapata, jesteś kretynem” i zza pleców prokuratora pokazała mu język, na co policjant zareagował głośnym śmiechem.

– Jak dzieci – westchnął Grzela. – Niech pani dokończy, może uda nam się przebrnąć przez to przed wieczorem.

Kenig powściągnęła niewczesną wesołość. Dotąd postrzegała Remańską jako kobietę oschłą, mało komunikatywną i pozbawioną poczucia humoru, teraz jednak zobaczyła całkiem inne oblicze pacjentki.

Intuicja podpowiadała jej, że właśnie ono jest prawdziwe, podobnie jak oblicze tego policjanta, który w pierwszej chwili wydał jej się sztywny, oschły i gburowaty, a teraz coraz bardziej ją fascynował.

Zerknęła na niego spod oka, a gdy zauważyła, że on również na nią patrzy, zmieszała się i na moment straciła wątek.

– Chodzi mi o to, że w szpitalu taka pora to niemal środek nocy... – podjęła w końcu pod wpływem niecierpliwego ponaglenia prokuratora. – Nikt nie zrywa się wcześniej rano, bo nie ma ku temu żadnego powodu. Chyba że na ćwiczenia. Nie wydaje mi się możliwe, żeby pani Orłowska przysłała tutaj o takiej porze z pielęgniarką lub lekarzem. – Zawiesiła głos w oczekiwaniu na reakcję, a gdy ta nie nastąpiła, westchnęła cicho i kontynuowała wyjaśnienia: – To byłoby zwyczajnie nielogiczne, bo oni nie zajmują się rehabilitacją. Co innego fizjoterapeuta. Gdyby zaproponował indywidualne ćwiczenia, z pewnością z chęcią przyjęłaby ofertę i nie musiałby nawet jakoś specjalnie jej namawiać.

Mężczyźni popatrzyli pytająco na Remańską, ciekawi jej opinii. Bądź co bądź była pacjentką tego szpitala, z pewnością więc poznała rządzące nim niepisane zasady. Skinęła głową, potwierdzając tym samym słowa Kenig, jednak Zapaty to nie usatysfakcjonowało.

– Co wiesz o takich prywatnych sesjach?

– Nic nie wiem. Słyszałam, jak pacjentki o to pytały, ale odpowiedź zawsze była jednakowa. „Nie ma takiej możliwości”. Nie mogę jednak zagwarantować, że któryś nie dał się skusić albo przynajmniej nie udał, że w to wchodzi.

Komisarz nie miał problemu ze zrozumieniem jej wyводу.

– Masz rację, to całkiem prawdopodobne. Zwał ją pod pretekstem prywatnego zabiegu, a dziwaczna porę wytłumaczył koniecznością zachowania dyskrecji. Tylko czemu ją tu zainstalował? Co to w ogóle jest i do czego służy?

– Klatka UGUL – odpowiedziała Kenig, niczego w zasadzie nie wyjaśniając. Zauważyła niepewne miny mężczyzn i dorzuciła: – Uniwersalny Gabinet Usprawniania Leczniczego. Te wszystkie sznurki i sprężyny służą głównie do ćwiczeń w odciążeniu.

– A ja słyszałam, że w wielu przypadkach ten rodzaj terapii nie przynosi żadnego efektu – odezwała się Dioniza, nie mogąc znieść mentorskiego tonu. – Na przykład po operacji bioder. Trudno nauczyć się chodzić, wisząc na sznurku i machając w powietrzu nogami.

Kenig drgnęła tak gwałtownie, jakby ktoś dźgnął ją szpilką.

– Brednie! Ciekawe, kto pani tych głupot naopowiadał. Pewnie Judyta Niezgoda. Gówniara ledwo studia niedawno ukończyła, a już jej się wydaje, że wie wszystko najlepiej. A pani mogłaby być mądrzejsza i nie powtarzać...

– Moje panie! – wtrącił się Grzela. – Proponuję przenieść tę frapującą dyskusję na inny termin i zająć się pracą. Pani doktor, zapraszam.

Gestem wskazał zwłoki, jakby w obawie, że jego słowa zostaną źle zrozumiane. Dioniza znowu stłumiła ochotę do śmiechu. Chyba nie sądził, że Kenig odbierze je jako zaproszenie na randkę lub co najmniej na kawę?

Lekarka skinęła lekko na znak zgody, ukucnęła obok ciała martwej kobiety i przystąpiła do dalszych oględzin. Mamrotała do siebie coś pod nosem i kiwała głową, jakby komuś potakiwała, wreszcie podciągnęła koszulkę denatki.

– Muszę zobaczyć, czy nie ma innych obrażeń – rzuciła w stronę Grzeli. – Nigdy nie wiadomo, czy na pewno...

Reszta słów uwięzła jej w gardle, w tej samej chwili bowiem zerknęła na obnażone ciało i ujrzała podbiegnięty krwawymi wybroczynami napis „Zapłata”.

– Jasna cholera by to wzięła – zdenerwował się prokurator. – Coś mi się widzi, że waszą hipotezę o tym samym sprawcy możemy włożyć między bajki.

Po zakończeniu czynności na miejscu zbrodni Zapata znowu zajął gabinet ordynatorki. Co prawda nie obiecywał sobie zbyt wiele po rozmowach z personelem szpitala, nie sądził jednak, że będzie to czas całkowicie stracony. Przesłuchał wszystkich obecnych tego rana w pracy, niestety ich zeznania nie wniosły do śledztwa kompletnie nic. Podobny efekt przyniosło wysłuchanie pacjentów będących świadkami otwarcia przez Remańską drzwi sali. Niczego nie widzieli i nic nie słyszeli, i jedynie z jej zachowania wnioskowali, że stało się coś nietykowego.

Na plus mógł zapisać tylko uzyskanie informacji na temat kobiety, która od pierwszej chwili poruszyła w nim jakąś od dawna uśpioną strunę. Iwona Gabriela Kenig miała trzydzieści sześć lat, mieszkała w Bielsku-Białej i od dziesięciu lat była wdową. To ostatnie zainteresowało go najbardziej, ona jednak musiała odczytać jego uważne spojrzenie inaczej, gdyż nawiązała do niego z wyraźną kpiną, a ciemny brąz jej oczu rozświetlił się fioletem.

– To nie było udane małżeństwo, ale nie ja pomogłam mu się przenieść do lepszego ze światów. Sam to zrobił. Podobnie jak Billy z piosenki Dżemu, Karol przede wszystkim kochał whisky, ale lubił też szybką jazdę samochodem, a to nigdy nie powinno chodzić w parze. Finał był oczywisty, dobrze, że przynajmniej nie zabił nikogo innego.

Wysłuchał tego ze sztucznie obojętną miną, lecz Kenig chyba nie dała się na nią nabrać, bo znienacka zaproponowała:

– Może poszedłby pan ze mną na kawę w jakieś bardziej przyjemne miejsce? W centrum Klonowic jest bardzo przyjemny lokal.

Nie próbował już udawać niezainteresowanego, pomimo to pokręcił głową w geście odmowy.

– Nie mogę – powiedział z wyraźnym żalem. – Jeszcze nie. Ale kiedy to wszystko się skończy...

## Rozdział 12

### W ciemnościach

26–28 czerwca 2000

Obudził ją chłód. Ciągle jeszcze znajdowała się na granicy jawy i snu, gdy nie otwierając oczu, wyciągnęła rękę po kołdrę, pewna, że jak zwykle odrzuciła ją na bok. Okrycia jednak nie było, a dłoń przejechała po czymś szorstkim i uchwyciła jedynie jakieś drobne przedmioty, w dotyku przypominające żwir.

Nieco zdziwiona takim obrotem sprawy Iga już chciała obrócić się na drugi bok i ponownie zasnąć, gdy do zimna dołączyło uczucie niewygody, zmuszając do porzucenia marzeń sennych. Co gorsza, nie był to lekki dyskomfort spowodowany zbyt długim leżeniem w tej samej pozycji. Bolały ją wszystkie kości, co nie zaskakiwało, zważywszy, że łóżko okazało się piekielnie twarde, a poduszka przypominała kamień.

Wiedziona ciekawością, co też mogło się stać z jej ulubionym puchowym jaśkiem, uniosła się lekko, chcąc wyszarpać go spod głowy. W tej samej chwili odniosła wrażenie, że ktoś rozłupał jej czaszkę na dwie części. Nie zdołała powstrzymać krzyku, a po policzkach popłynęły łzy. Znieruchomiała, dzięki czemu najgorszy ból minął i wkrótce pozostało po nim tylko mdlące ćmienie, wiedziała jednak, że wróci. Nie mogła przecież trwać w nieskończoność w niewygodnej pozycji. Łokieć zdrętwieje, kręgosłup także się zbuntuje przeciwko takiemu traktowaniu. Ale to dopiero za jakiś czas, zostało jej kilka minut na zastanowienie się nad kompletnie niezrozumiałą sytuacją, zanim będzie musiała się ruszyć.

Wiedziała już, że poduszka wcale nie przypomina kamienia. *To po prostu jest kamień* – skonkludowała w myślach. *A te małe twarde przedmioty są żwirem. Spałam na ziemi. Ale dlaczego? I czemu tego nie pamiętam?*

Głowa bolała ją potwornie, przez co trudno było skupić się na rozwiązaniu tej skomplikowanej zagadki, jaką było spędzenie nocy pod gołym niebem, tym bardziej że wcale nie miała pewności, czy nad sobą ma gołe niebo, a kompletna, niemal gęsta ciemność otulająca wszystko dookoła jest skutkiem bezkسیężycowej i bezgwiazdnej nocy. Owszem, leżała na ziemi, od której ciągnęło chłodem przenikającym do szpiku kości, ale nie czuła najmniejszego nawet powiewu wiatru, a przecież powietrze nie zastyga w całkowitym bezruchu.

Uświadomiła sobie także, że nie słyszy żadnych dźwięków. Na tę myśl drgnęła gwałtownie, a głowa natychmiast zaprotestowała ostrym bólem. Przypomniała tym samym o swoim istnieniu i Iga porzuciła rozważania o wszechobecnej ciszy na rzecz ustalenia przyczyny złego samopoczucia. Migrena? Niemożliwe, bo po pierwsze nigdy dotąd nie cierpiała na tę przypadłość, po drugie, symptomy były zupełnie inne. Ją bolało jakby zewnątrz.

– Walnęłam w coś tym pustym łbem? – odezwała się do siebie.

W następnej chwili aż się wzdrygnęła, gdy słowa wypowiedziane głosem niewiele donońniejszym od szeptu rozeszły się echem po pomieszczeniu. *Chwila moment, jakie pomieszczenie?* – zastanowiła się naraz. *Skąd wzięłam pomysł, że jestem w jakimś budynku? Klepiska w domach to były przed wojną.*

Pomimo ostatniej konkluzji narastało w niej przeświadczenie, że się nie myli i rzeczywiście miejscem jej nocnego spoczynku był jakiś budynek. Możliwe, że niewykończony, stąd brak normalnej podłogi. Tylko że w Jaworowie nie było żadnego takiego domu, a przecież z pewnością by pamiętała o tym, że pojechała do kogoś w odwiedziny. Niestety nie mogła mieć pewności, gdyż, co uświadomiła sobie ze zgrozą, spacer z Mariuszem był ostatnim, co utrwaliło jej się w pamięci. Potem nie było już nic.

– Czarna dziura – wymamrotała pod nosem. – Całkiem tak, jakby ktoś odciął mi zasilanie. Amnezja?

Parsknęła urywanym śmiechem, wspomniawszy książkowy wątek, jej zdaniem ograny do granic przyzwoitości. Poruszyła przy tym głową, a gdy poczuła nową falę bólu, zrozumiała, że podejrzenie częściowej utraty pamięci wcale nie jest takie irracjonalne. Wszystko wskazywało na to, że odniosła jakieś



obrażenia, nie wiedziała tylko, czy stało się tak przez własną nieuwagę, czy za sprawą kogoś innego. Nie miała jednak pojęcia, komu mogłaby się aż tak narazić, że uderzeniem pozbawił ją przytomności, a później przeniósł... No właśnie: gdzie? Powinna zacząć od sprawdzenia, co to za miejsce, by następnie spróbować dotrzeć do domu.

Wyteżyła wzrok, chcąc przeniknąć przez otaczającą ją ciemność. Wypróbowanym sposobem zmrużyła lekko oczy i już po chwili mrok nie wydawał jej się tak gęsty jak poprzednio, niestety nadal nic nie widziała. Ani konturów mebli, ani drzew. Wokół niej nie było dosłownie niczego, nadal więc nie mogła stwierdzić, gdzie się znajduje.

Znowu przeszedł ją dreszcz. Nie wiedziała, czy to z zimna, czy ze strachu. Bo chociaż sama przed sobą udawała twardzielkę, podświadomie zdawała sobie sprawę, że tylko wąska granica oddziela ją od ataku paniki.

– Rusz się, idiotko! – warknęła pod swoim adresem, chcąc zmusić się do jakiejś reakcji. – Bo ci dupa przymarznie do ziemi.

*Jakie przymarznie? – przemknęło jej przez głowę w następnej chwili. Przecież jest koniec czerwca!*

W drugim dniu wakacji w naszym kraju raczej nie występują przymrozki, co najwyżej mogło nastąpić ochłodzenie. Ale przecież nie aż takie, żeby przemarznąć do tego stopnia, że nie da się opanować dygotu i szczękania zębami. Coś tu było mocno nie tak i Iga poczuła, że musi jak najszybciej rozwiązać tę zagadkę. Od czasu zniknięcia matki nie znosiła jakichkolwiek niespodzianek oraz sytuacji, gdy traciła kontrolę nad przebiegiem zdarzeń.

„Z przeciwnościami losu należy walczyć zamiast pozwalać, by rządziły twoim życiem” – rozbrzmiał jej w głowie głos Barbary Ort. Słyszała go tak wyraźnie, jakby zaginiona przed rokiem matka nagle powróciła i stała tuż obok. Przez moment dziewczynie wydawało się nawet, że widzi ulotny zarys szczupłej kobiecej sylwetki w zwiewnej białej sukience, i zrobiła krok naprzód, a z jej ust wydobyło się pełne nadziei pytanie:

– Mamo, to ty?

W tym samym momencie wyciągnięta przed siebie dłoń natrafiła na pustkę. Głos także zamilkł, pozostały tylko cisza i mrok. Iga zamrugła, powstrzymując łzy zawodu, lecz jednocześnie na jej ustach wykwitł lekki uśmiech, zrozumiała bowiem, że to ona, szukając wyjaśnienia, przywołała w pamięci tamte słowa. Widocznie podświadomie uznała je za swoisty znak wskazujący drogę w ciemnościach, nie tylko tych realnych, ale również metaforycznych, powinna zatem postąpić zgodnie z zaleceniami i walczyć. Przede wszystkim ze sobą, bo właśnie sobie uświadomiła, że ogarnia ją coraz większa niemoc, której towarzyszy coś dużo gorszego, skradającego się niespostrzeżenie i obejmującego we władanie umysł i wolę. Obojętność.

– Niedoczekanie!

Po dodającym odwagi okrzyku zacisnęła zęby, by nie jęczeć z bólu, i jednym szybkim zrywem uniosła się do pozycji siedzącej. W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że czaszka pękła jej na pół, miała też okazję się przekonać, że określenie „zobaczyć wszystkie gwiazdy” wcale nie jest oderwane od rzeczywistości. Następne kilkadziesiąt sekund spędziła na pokonywaniu mdłości, nim poczuła się na tyle dobrze, by podjąć kolejne wyzwanie.

Uniosła rękę i obmacała tył głowy, gdyż właśnie tam kumulował się ból. Aż syknęła, gdy palce natrafiły na sklezione lepką wilgocią włosy, wywołując tym lekkim muśnięciem prawdziwy rozbłysk pod czaszką. Na szczęście tym razem gwiazdy wirowały znacznie krócej i bez dodatkowych efektów w postaci nudności. Wyjaśniła się też przyczyna dreszczy i poczucia chłodu. Miejsce zranienia aż pulsowało gorącem, czoło również i Iga zrozumiała, że w ranę musiała wdać się infekcja. Powinien chyba obejrzeć ją lekarz, zrobić fachowy opatrunek, być może nawet zeszyć, no i przepisać jakiś antybiotyk...

Nie namyślając się wiele, wstała i ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę wyjścia, i dopiero gdy natrafiła na zaporę z solidnie przybitych desek, dotarło do niej, że wbrew wcześniejszemu mniemaniu nie zapomniała wszystkiego wiążącego się z tym miejscem. Skoro wiedziała, gdzie znajdują się drzwi, istniała realna szansa, że przypomni sobie resztę. W tym również powód, dla którego znalazła się w jakiejś jaskini. Bo na tyle już zdążyła się rozeznac, by w otaczających ją szorstkich ścianach rozpoznać skałę. To dlatego nie dochodziły tutaj żadne dźwięki, a powietrze nie poruszał najmniejszy nawet powiew wiatru. Tylko gdzie się znajdowało owo „tutaj”? Dlaczego akurat to pozostawało dla niej tajemnicą?

Pchnęła drzwi, lecz te nawet nie drgnęły. Mimo to się nie poddawała i raz za razem napierała całym ciałem na deski aż do całkowitego opadnięcia z sił. Wreszcie, pokonana, osunęła się na ziemię i zaszlochała.

Czy tylko zasnęła, czy może straciła przytomność? Ocknęła się nagle, dygocząca z zimna i jednocześnie mokra od potu, osłabiona gorączką i bólem zranionej głowy. Jednak to wszystko nie znaczyło nic w porównaniu z przepełniającą ją wściekłością, bo wraz z powrotem do rzeczywistości wróciła też pamięć.

– Ty skurwysynu! – syknęła pod adresem Mariusza.

Jeszcze niedawno wydawał jej się najfajniejszym chłopakiem na ziemi, lecz teraz nienawidziła go z całej duszy i gdyby mogła, z przyjemnością naplułaby mu w twarz. To on ją zwał do tej przeklętej jaskini, a potem pozwolił, by inni nastraszyli ją niemal na śmierć. I to on był odpowiedzialny za uderzenie w głowę, nawet jeżeli ktoś inny wyprowadził cios. Za pozostawienie jej rannej i nieprzytomnej w ciemnej, zamkniętej na głucho grocie też on odpowiadał i nic nie mogło go usprawiedliwić.

Iga oblizwała spierzchnięte wargi i zmusiła się, by wstać, a potem ruszyła na zwiady, starając się nie tracić kontaktu ze ścianą groty. Postanowiła mieć ją stale w zasięgu lewej ręki, żeby nie zmylić kierunku, zaplanowała bowiem zbadanie całej jaskini w poszukiwaniu drugiego wyjścia. Jeżeli kiedyś kwaterowali w niej partyzanci, powinni byli zabezpieczyć sobie możliwość ucieczki w razie wpadki.

Zdążyła przejść zaledwie kilka metrów, gdy wyczulony słuch wychwycił lekki zgrzyt. Ktoś usiłował otworzyć kłódkę! Dziewczyna już miała krzyknąć, gdy uprzytomniła sobie, że nie ma pojęcia, kto stoi za drzwiami. Przyjaciół czy wróg?

Przypadła do ziemi i przywarła do niej, jakby chciała się wtopić w pokryte drobnymi kamyczkami podłoże, jednocześnie zaś nie odrywała wzroku od miejsca, gdzie zbita z desek zaporą odgradzała ją od wolności. Może zdoła do niej dotrzeć, zanim przybysz się zorientuje, że więźniarka nie jest już nieprzytomna? Nie. Na to była za słaba, nie miałaby żadnych szans. Musiała poczekać, aż minie gorączka, a ból przestanie doskwierać tak mocno.

Co prawda próba ucieczki w tym stanie absolutnie nie wchodziła w grę, ale może przynajmniej rozpozna osoby odpowiedzialne za zamknięcie jej tutaj? Kiedy te cholerne drzwi staną otworem, do środka wpadnie dzieńne światło, a wówczas wchodzący musi choć na moment znaleźć się w jego zasięgu.

Los znowu z niej zakpił. Wszystko odbyło się zgodnie z przewidywaniem, nie wzięła tylko pod uwagę jednego. Na zewnątrz panował półmrok i jedyne, co zobaczyła, to trzy wchodzące do jaskini sylwetki, tak niewyraźne, że nie była w stanie określić nawet płci. Pierwsza z nich schyliła się i postawiła coś pod ścianą, druga w tym czasie omiatała reflektorem pomieszczenie, cały czas pilnując, by nie zahaczyć o twarz towarzyszy.

Światło błędziło po jaskini, wydobywając z mroku jej zakamarki, aż natrafiły na skuloną pod ścianą dziewczynę.

– Tu jest! Widzisz? Niepotrzebnie panikowałeś. Nic jej nie będzie.

Głos, chociaż mocno zniekształcony, z pewnością należał do kobiety, która zwracała się do trzeciej osoby, cały czas stojącej w otwartych drzwiach, a skoro użyła formy żeńskiej, płęć tamtej była oczywista. Chwilę później Iga usłyszała jej odpowiedź i wszelkie wątpliwości rozwiąły się ostatecznie.

– Wcale nie panikowałam, tylko nie byłam pewna, czy jej nie zabiłeś. – Popatrzyła w stronę człowieka schylającego się pod ścianą. – Kurza twarz, w planach nie było żadnego walenia po głowie! Na to się nie pisałam!

– Nie bądź głupia – odpowiedział zaatakowany, prostując pochylony grzbiet. – Jeszcze trochę, a wyrwałabyś Aśce wszystkie włosy.

– Zamknij się, debilu – warknęła dziewczyna z reflektorem. – Kazałeś gadać przez chustkę, żeby nie rozpoznała naszych głosów, a sam co robisz?

– Przecież ona śpi – bronił się, lecz jego głosowi zabrakło pewności. – Poświeć tam jeszcze raz, to się przekonasz. Zresztą podejźmy i zobaczymy. Ona śpi – powtórzył już zdecydowanie. – A może masz bojka, że znowu do ciebie skoczysz?

Dziewczyna dała się sprowokować i wszyscy trzej ruszyli ku leżącej. Iga jeszcze nigdy nie cieszyła się tak bardzo, że ojciec nie pozwolił jej ściąć włosów, które teraz przesłaniały częściowo jej twarz. Chciała to zrobić pod wpływem impulsu, gdy matka nagle zniknęła. Barbara zawsze zachwycała się tą czarną grzywą, dlatego córka miała zamiar zademonstrować w ten sposób swój gniew i żal, że matka odeszła, nie

przejmując się losem jedynaczki. Ojciec jednak stanowczo się temu sprzeciwił, co początkowo przyjęła jako wielką krzywdę i zamach na swoją wolność, później jednak musiała przyznać, że postąpił słusznie. Gęste, lekko falujące włosy stanowiły jeden z jej atutów i głupotą byłoby się ich pozbywać. A obecnie dodatkowo stanowiły świetną osłonę przed ciekawskimi spojrzzeniami więzających ją osób.

Starła się nawet nie drgnąć, gdy omiatał ją strumień światła, a unosząca się w równomiernym oddechu pierś nie powinna ich zaniepokoić. I faktycznie nie wzbudziła podejrzeń, przeciwnie, została uznana za potwierdzenie, że uwięziona dziewczyna jest pogrążona w głębokim śnie. Gdyby odgarnęli jej włosy z twarzy, zauważyliby z pewnością drgające powieki, nad którym to odruchem nie umiała zapanować.

– Zwijajmy się – nakazała dziewczyna z reflektorem.

Ku wielkiej uldze Igi skierowała światło w inną stronę, a uwięziona natychmiast to wykorzystała. Uchyliwszy lekko powieki, zerknęła na nich spod zasłony z włosów. Zauważyła, że druga z dziewczyn się zaważała, co nie spodobało się pierwszej.

– Nie myślę tu kisać w nieskończoność – ponagliła ze zniecierpliwieniem i ruszyła w stronę drzwi, a chłopak podążył za nią.

– Czekajcie – powstrzymała ich ta druga. – Nie możemy jej tak zostawić, tu jest przecież całkiem ciemno. Ona nie wie, że zostawiliśmy jej jedzenie i picie. Jak tego nie znajdzie, to się całkiem odvodni. Od tego można nawet umrzeć!

W jej głosie zabrzmiała panika i to musiało przekonać chłopaka, gdyż zareagował gniewnym warknięciem na rzucone przez dziewczynę z reflektorem beztroskie „i co z tego?“, potem przystanął i przez kilka sekund zastanawiał się nad odpowiedzią, nim pokręcił głową.

– Nie powinniśmy jej budzić. Jest bystra, może was rozpoznać.

– Teraz, kurwa, o tym mówisz?! – wrzasnęła pierwsza.

Zlekceważył wykrzyczaną wymówkę i zwrócił się do drugiej.

– Jak chcesz temu zaradzić?

Zapytana również zignorowała wściekle prychnięcie dziewczyny z reflektorem i odpowiedziała bez namysłu:

– Zostaw jej zapalniczkę i papierosy. Jeżeli naprawdę jest taka bystra, domyśli się, że może to wykorzystać jako źródło światła.

– Pierdolenie! Przez trzy dni nic jej się nie stanie – warknęła ta z reflektorem. – Zapalniczka i fajki? Może jeszcze gwiazdkę z nieba?! Jak wam jej tak szkoda, to przenieście bliżej to żarcie i po sprawie. Tylko ruchy, bo już za długo tu kiśniemy.

Ku przerażeniu Igi usłuchali, jednak zbyt się spieszyli, by przyjrzeć się jej dokładnie. Szybko przenieśli wiktuały i poszli ku wyjściu.

Już miała odetchnąć swobodnie, gdy następne słowa pierwszej dziewczyny sprawiły, że serce zamarło jej ze strachu:

– Szkoda, żeby się tu marnowała. Trzeba powiedzieć chłopakom, mogliby się zabawić. Ona w życiu się nie przyzna, bo ojciec by ją zabił. Ludzie mówią, że po tym, jak żonusia dała mu po rogach, pilnuje córunki jak oka w głowie, żeby też się nie skurwiła. Poza tym ona i tak w tych ciemnościach nie rozpozna, kto ją przetrząnął.

Odpowiedzi Iga już nie usłyszała, drzwi skutecznie stłumiły słowa, o ile jakieś w ogóle padły, nie miało to jednak większego znaczenia. Ważniejsze było, kto wypowiedział te wcześniejsze. Na samą myśl o tym dziewczyna poczuła taki strach, że aż żołądek podszedł jej do gardła. Troje młodych ludzi, którzy właśnie opuścili jaskinię, nie miało pojęcia, że nie potrzebowała widzieć ich twarzy, by wiedzieć, z kim ma do czynienia. Wystarczyło przysłuchiwać się uważnie, by wychwycić właściwe jedynie im wyrażenia, nieużywane przez nikogo innego.

Tylko Mariusz Wanat mówił „mieć bojka” na uczucie strachu, z kolei nikt inny prócz Darii Bugali nie używał słów „kurza twarz” jako przekleństwa. Aśkę Maderę Iga zidentyfikowała nie po imieniu wymienionym niebacznie przez Mariusza, bo w Jaworowie mieszkały cztery mogące być brane pod uwagę Joanny i wszystkie miały długie włosy. Ją zdradziło słowo „kisać”, używane z takim samym upodobaniem jak wulgaryzmy, którymi uwielbiała szokować bogobojne sąsiadki. Prowadzała się z najgorszym elementem i bywała kompletnie nieobliczalna, dlatego nie można było wykluczyć, że wprowadzi swoje słowa w czyn.

– Kurwa! Ja pierdołę!

Długo tłumione emocje eksplodowały stekiem najgorszych przekleństw, jakie Iga kiedykolwiek słyszała. Wyklinała Mariusza i jego współniczki oraz zły los, który najpierw kazał jej cierpieć za cudze winy, a potem zesłał na nią słabość, zmuszając do zaprzepaszczenia jedynej być może szansy na ucieczkę. Krzyczała tak długo, że aż rozbolało ją gardło, a ostatnie słowa zabrzmiały niewiele głośniejszym niż szept.

Po tym wybuchu poczuła się lepiej. Nie fizycznie, bo ciało nadal płonęło gorączką, psychicznie jednak doznała dziwnej ulgi połączonej z determinacją. Pomogła w tym pewność, że wcale nie zwariowała, co podświadomie podejrzewała od chwili, gdy oporna pamięć wreszcie podsunęła jej rozwiązanie zagadki. A skoro miejsce pobytu nie podlegało dyskusji, powinna jak najszybciej znaleźć drugie wyjście lub sposób na pokonanie pierwszego. Przy czym należało się pospieszyć. Wprawdzie z wypowiedzi Aśki wywnioskowała, że ponownie pojawią się tutaj dopiero za trzy dni, ale Iga nie ufała jej za grosz. Kto wie, czy faktycznie nie przyśle tu swoich kumpli, traktując to jak świetny kawał?

Na samą myśl, że miałyby dostać się w ich ręce, dziewczyna poczuła taką odrazę, że gotowa była wydrapać tunel gołymi rękami. Niestety otaczające ją kamienne ściany nie miały takiej struktury jak te z powieści Joanny Chmielewskiej i nie pomogłyby jej w niczym, gdyby dysponowała nie tylko szydełkiem, ale nawet kilofem.

Usiłując zwilżyć obolałe gardło, z trudem przełknęła ślinę i to przypomniało jej o wiktuałach pozostawionych pod ścianą. Przedtem postanowiła ich nawet nie tknąć w obawie, że Mariusz i jego współniczki dosypali tam jakiegoś narkotyku, obecnie jednak, po przeanalizowaniu podsłuchanych słów, uznała to podejrzenie za bezsensowne. Mieli wrócić tutaj dopiero za trzy dni, zatem środek odurzający dawno przestałby działać.

Przesunęła się zaledwie o metr, gdy natrafiła na trzy pakunki w torbach foliowych. W jednej z nich wycacała obłe kształty i to właśnie nią zajęła się najpierw. W środku znajdowały się dwie półlitrowe butelki.

– Na trzy dni? – mruknęła, rozczarowana ubogością daru. – To się specjalnie nie wysilili. Trudno, będą oszczędzać.

Zaprzeczyła tej deklaracji już w momencie, gdy przytknęła szyjkę do ust i do gardła spłynął pierwszy łyk lekko musującej wody. Była tak cudownie chłodna i taka mokra! Iga nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest spragniona, dopóki nie zaczęła pić. Odjęła butelkę od warg dopiero wtedy, gdy na dnie zostało tylko kilka haustów.

– Zacznę oszczędzać od jutra.

Po złożeniu korekty do pierwotnej deklaracji zainteresowała się pozostałymi pakunkami. W drugiej torbie znalazła pół bochenka w miarę świeżego chleba i jedną czerstwą bułkę, kilka mocno podsuszonych kabanosów, zgrzane termicznie opakowanie o nieustalonej zawartości oraz pięć pomidorów. Nie czuła głodu, ale wiedziała, że musi zachować siły, oderwała więc kawał chleba, stwierdziwszy, że bułkę zostawi na później jako posiłek awaryjny. Bardziej czerstwa już nie będzie, co najwyżej stanie się całkiem niejadalna. Za to kabanos był wyjątkowo smaczny i ani się obejrzała, a już ręka sama wyciągnęła się po drugi. Ostatni kęs chleba popchała pomidorem, po czym uznała posiłek za zakończony.

Teraz zainteresowała się trzecim pakunkiem. Znalazła w nim papier toaletowy oraz paczkę tamponów, co rozbawiło ją do łez. Porywacze esteci, żeby ich prąd popieścił! Chciała odłożyć te przedmioty z powrotem i wtedy odkryła, że znajduje się w niej coś jeszcze. Coś niedużego. Zaintrygowana wsunęła rękę do reklamówki i dotykiem rozpoznała kartonowe pudełko. Czyżby Daria jednak podrzuciła jej paczkę papierosów? Pełna nadziei dziewczyna gorączkowo sprawdziła, czy na dnie nie leży również zapalniczka, a gdy na nią nie natrafiła, zaczęła obmacywać ziemię wokół siebie, licząc, że mały przedmiot mógł wypaść niezauważenie.

– Na cholere mi te fajki! – rzuciła w przestrzeń z pretensją. – Przecież ja nawet nie palę. A nawet gdyby, to skąd miałabym wziąć ogień.

Tknięta nagłą myślą Iga porzuciła rozważania i gorączkowo chwyciła w dłonie kartonik, rzucony beztrudnie obok prawie pustej butelki, otworzyła i dotknęła zawartości, w następnej zaś chwili roześmiała się głośno ze szczęścia.

– Ty matole! – rzuciła pod swoim adresem, gdy uświadomiła sobie, jak mało brakowało, by w złości cisnęła pudełkiem przed siebie. Wtedy mogłaby już nigdy go nie odnaleźć i kolejna szansa zostałaby zaprzepaszczone.

Poczuła nadzieję, a wraz z nią przyплыw świeżych sił. Szybko spakowała wszystko do dwóch reklamówek, trzecią zaś związała im ucha, by móc przewiesić je sobie przez ramię. Dopiero wtedy wydobyła z paczki zapalniczkę i zapaliła pierwszego z dwunastu papierosów. Mogła się teraz przekonać, że jako źródło światła niezbyt się sprawdzają – żar nie rozjaśniał niczego i jedynie w chwili, gdy wciągała dym, robiło się odrobinę jaśniej. Zniechęcona już miała wyrzucić niedopałek, gdy przypomniała sobie o papierze toaletowym. Gdyby owinęła nim papierosa, ten powinien rozjarzyć się mocniej.

Wynalazek nie przyniósł co prawda oszałamiających efektów, ale nim dopalił się ostatni papieros, a później kartonowe pudełko, Iga zdążyła na tyle spenetrować jaskinię, by wiedzieć, na czym stoi. Drugiego wyjścia nie było. Dokładniej rzecz biorąc, nie było go aktualnie, bo kamienne ospisko w miejscu, gdzie kiedyś zapewne znajdowała się awaryjna droga ucieczki, stanowiło zaporę nie do przejścia.

– Nawet mysz się nie prześlizgnie – mruknęła z rezygnacją.

To akurat nie było prawdą. Mysz przeszłaby tamtędy całkiem swobodnie, podobnie jak kot czy inne nieduże zwierzę. Człowiek niestety nie miał najmniejszych szans. Ale Iga i tak uznała swoją wyprawę za sukces, znalazła bowiem coś, dzięki czemu nie czuła się już tak bezradna i bezbronna. Nie przejęła się nawet, że właśnie zgasł ogień ostatniego papierosa. Przed sobą miała prawdziwe skarby.

Częściowo przysypana kamieniami, u stóp rumowiska leżała zbita z nieheblowanych desek szafa. Nim zgąsło nikłe światełko, Iga zdążyła zauważyć kilka odłupanych drzazg i szybko je podniosła. Wyschnięte na wiór, paliły się dużo lepiej niż maleńkie pochodnie sklecone z papierosów i skrawków papieru toaletowego, toteż dziewczyna wreszcie mogła dokładnie przyjrzeć się miejscu, w którym ją uwięziono. Obok w naturalnej wnęce zauważyła sklecone byle jak prycze, a na nich coś, co kiedyś musiało być siennikami, a teraz przypominało przegniłe siano.

Wstrząsnęła się z odrazą. Może będzie musiała ruszyć to obrzydlistwo, by zdobyć drewno na pochodnie, ale na razie miała szafę. Złapała jedną z pękniętych desek i pociągnęła na próbę, chcąc mieć pewność, że poradzi sobie z rozbiórką starego mebla. Częściowo spróchniała deska dała się oderwać zadziwiająco łatwo, więc Iga zabrała się do następnej. Wkrótce wystający spod kamieni bok został całkowicie ogołcony, a zawartość szafy stanęła przed dziewczyną otworem. Zajrzała do środka i aż podskoczyła z radości na widok znaleziska.

Niby nic takiego, zwykły stary, pordzewiały karabin, w dodatku bez naboju, mimo to z chwilą, gdy wzięła w dłonie lepką, niezbyt przyjemną w dotyku kolbę, jej pewność siebie od razu wzrosła. Zaskoczy napastników, wymierzy w nich i...

– I co? – spytała głośno w przystępie zdrowego rozsądku. – Strzelisz palcami? A oni na pewno się przestraszą na widok pordzewiałej broni. Wystarczy, że przyświecą, i od razu się skapują, że toto do niczego się nie nadaje. – Zniechęcona, już chciała odłożyć karabin, lecz naraz potrząsnęła głową. – Jest szansa, że w pierwszej chwili zgłupieją. Niewielka, ale jest, i muszę ją wykorzystać. Inna może się nie trafić.

I nie wypuściła z rąk broni, gdy przenosiła zapas desek w poblize wyjścia, gdzie postanowiła się rozlokować, by nie zaskoczyło jej przybycie porywaczy. Przed zapadnięciem w sen doszła do wniosku, że pomysł z grożeniem im bronią nie rokuje powodzenia. Za to posłużenie się karabinem jak maczugą już bardziej. Najlepiej byłoby unieszkodliwić Mariusza, z dziewczynami jakoś może sobie poradzi.

Pojawili się dużo wcześniej, niż się spodziewała. Zdążyła wypić zaledwie połowę zawartości drugiej butelki, toteż nie mogło minąć więcej jak trochę ponad doba od ich ostatnich odwiedzin. Iga usłyszała zgrzyt klucza, a potem głośne śmiechy. Porwała się na nogi i rozejrzała w panice, jakby nagle miała jej się objawić dotychczas niewidziana kryjówka. Z trudem zdołała powstrzymać bezrozumne pragnienie, by biec przed siebie w głąb jaskini, byle dalej od wejścia, za którym czał się jej najgorszy koszmar. Wyraźnie słyszała kilka męskich głosów, zatem Aśka jednak nie rzucała słów na wiatr. Przyprowadziła kumpli.

Odrobina rozsądku przedarła się do otumanionego strachem umysłu i dziewczyna przylgnęła płasko do ściany tuż obok wejścia, dokładnie tak, jak to zaplanowała, chcąc najpierw wyeliminować Mariusza. Tylko że zamiast jednego chłopaka przyszło ich więcej, a tym samym jej szanse zmalowały do zera. Mimo to nie zrezygnowała, wizja gwałtu była zbyt przerażająca.

Drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem. Do środka weszła jakaś postać i zapaliwszy latarkę, zaczęła omiatać strumieniem światła wszystkie kąty. W obawie, że zaraz znajdzie się w zasięgu reflektora, Iga nie

zważała już na nic. Nie wiedziała, kim jest postać z reflektorem, ale przestało mieć to znaczenie, bo za nią czekała wolność.

Z dzikim krzykiem dziewczyna oderwała się od ściany i wywijając karabinem jak maczugą, z całej siły grzmotnęła człowieka z latarką kolbą w głowę. Nadgniłe drewno pękło, w ręce została tylko lufa, ale i ona mogła stanowić broń. Iga wzięła kolejny zamach i poprawiła, a gdy pod tamtym ugięły się nogi, wyminęła go i wypadła na zewnątrz, roztrącając grupkę złożoną z trzech chłopaków i jednej dziewczyny, dyskutującą o czymś zawzięcie. Zanim zorientowali się w sytuacji, była już przy pierwszych drzwiach. Jeszcze kilka susów i wreszcie mogła odetchnąć świeżym powietrzem, niosącym w sobie zapach żywicy, nie stęchlizny.

*Zaraz będę w domu – rozmyślała, przemykając między drzewami dla zmylenia ewentualnej pogoni. Oby tata nie miał służby. On sobie z nimi poradzi.*

Nie zdawała sobie nawet sprawy, że po raz pierwszy od roku pomyślała o ojcu jak o najbliższym, bez zaślepiającej ją nienawiści.

## Rozdział 13

### Pierwszy trop

15 września 2020

Nazajutrz Zapata ponownie pojawił się w szpitalu, by spotkać się z Dionizą. Liczył na to, że do jej uszu doszły jakieś plotki, prócz tego chciał się wreszcie dowiedzieć, jakie informacje planowała mu przekazać, gdy tak uporczywie bombardowała go telefonami. Poprzedniego dnia niestety nie zdążył z nią porozmawiać i przypuszczał, że urażona jego zachowaniem nie będzie skora do współpracy, po której tyle sobie obiecywał.

– Wszystko, co wiem, powiedziałam już wczoraj. Nie mam nic do dodania – odezwała się mało zachęcającym tonem, zanim zdążył przedstawić sprawę.

Uśmiechnął się pojednawczo.

– Ja nie o tym. Nie mieliśmy jak pogadać, bo najpierw były oględziny, a potem musiałem wracać do komisariatu. Przez to dalej nie wiem, co dla mnie masz. Dowiedziałaś się czegoś w sprawie zabójstwa Pokrzywy?

Skrzywiła wargi w gniewnym grymasie, oczy patrzyły wrogo. Spodziewający się zacieklej walki Zapata już otworzył usta, by przedstawić argumenty wykazujące wyższość śledztwa nad urażonym ego, gdy Dioniza skinęła wolno głową.

– Miałam zamiar spuścić cię po brzytwie, ale to nie czas na focha. Przy czym nie wiem, czy moje spostrzeżenie w czymkolwiek ci pomoże.

– Zobaczymy – odpowiedział ogłędnie. – Dowiemy się, kiedy mi o tym opowiesz. Udało ci się kogoś podsłuchać?

Zaprzeczyła żywo, po czym przeszła do kwestii niedającej jej spokoju od kilku dni. Czuła się winna, jakby celowo wprowadziła policjanta w błąd, dlatego chciała jak najszybciej zrzucić z serca ten ciężar.

– Chodzi o moje zeznanie w sprawie Pokrzywy. Muszę je skorygować.

Zapata uniósł brwi, lecz nie skomentował jej oświadczenia, tylko gestem dał znać, by mówiła dalej. Diona przełknęła ślinę i z trudem przepychając słowa przez ściśnięte gardło, kontynuowała z wysiłkiem:

– Nie chciałam cię okłamać, tylko nie byłam precyzyjna. To przez te cholerne maseczki. Całkiem mnie ogłupiły i...

Komisarz nie zrozumiał zupełnie nic z chaotycznego wyznania, przerwał więc jej wypowiedź niecierpliwym pytaniem i jednocześnie troską:

– O co chodzi z tym kłamstwem i maseczkami? Jakież to dziwnie poplątane. Jesteś pewna, że połączenie z bazą ci nie siadło?

Diona najpierw popatrzyła ze zdumieniem, potem roześmiała się serdecznie na widok jego zmartwionej miny.

– Nie bój się, jeszcze nie zwariowałam. Wiem, że dukam bez składu, ale cholernie mi głupio, że zrobiłam taki szkolny błąd. Zeznałam, że kiedy korzystałam z zabiegu, do kabiny zaglądała tylko Judyta Niezgoda, a to nieprawda.

– O! – znów przerwał jej Zapata. – Czyli był tam jednak ktoś inny?

– Nie wiem – odpowiedziała Diona, czym wprawiła go w konsternację. Czym prędzej zaczęła wyjaśniać, tym razem już składnie i do rzeczy: – Za pierwszym razem na pewno weszła Niezgoda. Zapytała, czy wszystko w porządku, więc nie mogłam jej z nikim pomylić. Za to za drugim razem akurat drzemałam. Wybudził mnie szmer rozsuwanej zasłony, ale kiedy otworzyłam oczy, ta osoba już zasuwiała storę i zdążyłam zobaczyć tylko tył głowy. Teraz rozumiesz? Założyłam podświadomie, że skoro kobieta miała ciemne włosy z niebieskimi pasemkami i zielony fartuch, przy czym zaglądała do kabin

hydroterapii, to musiała nią być mająca wtedy dyżur Judyta Niezgoda. Ale przecież tak naprawdę mogła tam wejść każda z kobiet noszących taką fryzurę.

Niespodziewający się podobnej konkluzji komisarz najpierw miał ochotę skłąć ją za wprowadzenie w błąd. Opanował się jednak, za co już po chwili miał ochotę wznieść dziękczynne modły. Sam prawdopodobnie wysnułby podobny wniosek. Niebieskie pasemka skutecznie przyćmiłyby wszystko inne.

– Kto jeszcze ma takie włosy?

– Na przykład Marzena Florczak. Jest także fizjoterapeutką i na pewno była wtedy w pracy, bo przyleciała razem z koleżanką podziwiać trupa.

Diona skrzywiła się na wspomnienie awanturującej się Anny Ziębińskiej i przez moment pożałowała, że jedyna niesympatyczna osoba wśród personelu ma bujne blond loki, zatem nie może być brana pod uwagę.

Zapata uniósł brwi, lecz nie skomentował dość kuriozalnej wypowiedzi o podziwianiu trupa, a jedynie dał znak, by kontynuowała.

– Karina Wahlewicz, również fizjoterapeutka – podjęła Remańska. – Zakładała mi uprząż na rękę, dlatego mam pewność, że była wtedy w szpitalu. Dodaj do tego dwie pielęgniarki i sekretarkę oddziałową, a zrobi się z tego całkiem spore grono.

Komisarz z ponurą miną wpisał do notesu nazwiska Zuzanny Drohomirskiej, Krystyny Stregi i Ewy Górowicz oraz informację, że co do pierwszej z nich Diona nie ma pewności, czy była wówczas na zmianie, bo nie zaglądała do pokoju pielęgniarek.

– A do sekretariatu zaglądałaś?

– Nie, ale widziałam panią Ewę na korytarzu, kiedy wychodziłam na fajkę. Aha, dodaj jeszcze do kolekcji Iwonę Kenig – przypomniała sobie Diona. – Nie wiem, czy zauważyłeś, że nasza pani doktor także ma niebieskie włosy. Viola zresztą również, ale ją chyba możesz wykluczyć, ona naprawdę nie chodzi o kulach dla kaprysu.

– I chwala Bogu na wysokościach. – Zapata westchnął z wyraźną ulgą i wykreślił nazwisko Sablik, które zdążył już wpisać do notesu. – Czy inne pacjentki też uległy tej kretyńskiej modzie na niebieskość?

– Nie mam pojęcia – odparła Diona. Na widok rozczarowania policjanta rozłożyła ręce. – Jestem tu dopiero tydzień, poza tym nie prowadzę bujnego życia towarzyskiego i przez to nie znam większości pacjentów.

– Przecież widzisz ich podczas ćwiczeń – sarknął, niezadowolony z odpowiedzi rozwiewającej jego nadzieje.

– Chyba żartujesz! Wierz mi, gdybyś był na moim miejscu, też byś się nie rozglądał. Te ćwiczenia to ból, pot i łzy. Ostatnie, co przyszyłoby mi do głowy, to patrzeć na innych w czasie, kiedy walczę, żeby nie rozryczeć się w głos albo nie zacząć kłąć.

Miała tak oburzoną minę, że zamachał pojednawczo rękami i zmienił temat. Tamto sprawdzi w inny sposób.

– Czy jest szansa, że któraś pacjentka wzięła taki fartuch, żeby udawać fizjoterapeutkę? Istnieje w ogóle taka możliwość?

– Odpowiedź jak poprzednio – odparła bez zastanowienia. – Niestety kompletnie się nie orientuję, skąd fizjoterapeuci biorą fartuchy, więc nie wiem, czy osoby postronne mają do nich dostęp. Spróbuję się dowiedzieć, ale sukcesu nie mogę obiecać. Pogadam też z Violką o włosach. W przeciwieństwie do mnie ona lubi się zaprzyjaźniać i zna tu już chyba wszystkich. Jeśli jeszcze któraś z pacjentek ufarbowała się na niebiesko, Viola z pewnością o tym wie, tym bardziej że jest na siebie wściekła z powodu tego koloru. Chciała mieć oryginalną fryzurę i nie przewidziała, że inne kobiety też go wybiorą.

– Były u tej samej fryzjerki czy jak? – dociekał Zapata.

Diona pojęła, że damskie fryzury pozostawały dla niego zagadką, i potrząsnęła głową z wyraźnym rozbawieniem.

– Nie sądzę. W każdym razie na pewno nie Violetta, bo mówiła, że mieszka tuż koło salonu fryzjerskiego, a nie podejrzewam, że wszystkie te pielęgniarki i fizjoterapeutki jechały ponad sto kilometrów, żeby zaliczyć wizytę u fryzjera.

– Nie znam się na farbowaniu włosów, ale wydaje mi się, że jak wszystkie inne barwniki powinny mieć zróżnicowane odcienie. – Spojrzał pytająco na Remańską, a gdy skinęła potakująco, drążył dalej: –



W takim razie wytłumacz mi, jakim cudem one wszystkie mają na głowach taki sam kolor? Jeśli były u różnych fryzje...

– Rany boskie! – przerwała mu, bardziej rozśmieszona niż zniecierpliwiona. – Wy naprawdę jesteście jacyś upośledzeni pod względem rozróżniania barw. Przecież te kobiety wcale nie mają włosów w dokładnie tym samym odcieniu.

– Jak nie?! – oburzył się Zapata. – Czarne z niebieskimi pasemkami. Na wzrok mi się jeszcze nie rzuciło.

Diona nie zdołała powstrzymać odruchu wzniesienia oczu do nieba.

– Jagnię to jest mała owca. Na wzrok może nie, ale na rozum na pewno. Sam dopiero co wspomniałeś o odcieniach. Na przykład u Kenig czerń wchodzi w brąz, u Niezgody w granat, a u Violki w zieleń. Niebieskie pasemka też nie są identyczne. – Zamyśliła się na moment, po czym dodała pojednawczo: – Okej, mogłeś tego nie zauważyć. Chyba faktycznie tak jest, że ogólnie każdy widzi to tak jak ty. Stwierdza czerń i niebieskość i nie zastanawia się nad dokładną barwą. Zwracam honor i cofam uwagę o rozumie.

Komisarz skinął głową, nie wydawało się jednak, że wypowiedź do niego dotarła. Spoglądał w stronę starannie zaścielonego łóżka Violetty z takim natężeniem, jakby się spodziewał, że lada chwila spod kołdry wychynie zabójca.

– Ty jednak rozróżniasz takie niuanse – odezwał się niespodziewanie, całkiem zaskakując Dionizę, pewną, że nie usłyszał ani słowa z jej przemowy. – W takim razie powinnaś wiedzieć, która z tych kobiet zaglądała do kabiny.

– Poza tym wszystko w porządku? – spytała, nie starając się stłumić zgryźliwości. – Obudziłam się z drzemki i tylko lekko uchyliłam powieki, a ty chciałbyś, żebym zwróciła uwagę na odcienie różniące się od siebie w minimalnym stopniu? Wiem, że to cię rozczaruje, niestety zauważyłam tylko czerń i niebieskie pasemka. To i tak zakrawa na cud, że zobaczyłam cokolwiek. Poza tym równie dobrze mogła tam jednak zaglądać Judyta Niezgoda. Raczej nie ma zakazu, żeby kilkakrotnie sprawdzała, czy wszystko jest w porządku.

Niespodziewanie mężczyzna obdarzył ją uśmiechem.

– Nie wściekaj się. Przecież nie mogłem wiedzieć, w jakim stopniu byłaś zaspana. Pogadam z tą Niezgodą i zobaczę, co z tego wyniknie. – Milczał przez kilkadziesiąt sekund, nim znów się odezwał: – Dowiedziałaś się o Pokrzywie czegoś, o czym niekoniecznie powiedziano by policji? Ludzie nieraz z nudów zaczynają mówić o sobie, a ona była tu już ponad trzy tygodnie. Może zwierzyła się współlokatorce z jakichś kłopotów?

– Nawet jeśli, to nie sądzę, żeby dotarło do nich chociaż jedno słowo. Przecież z nimi rozmawiałeś, więc...

Dioniza znacząco zawiesiła głos, na co Zapata zareagował uśmiechem.

– Sorry, chyba się zapędziłem, oczekując, że mogłoby je zainteresować coś oprócz jedzenia i Telewizji Trwam.

– Zapomniałeś o TVP Info – wytknęła z rozbawieniem. – Pogadałam sobie za to z kobietami z sąsiedniego pokoju, bo okazało się, że Pokrzywa była u nich częstym gościem. Tylko że za dużo z tego gadania nie wynikło, bo ponoć pani Iga zaraz zmieniała temat, gdy tylko rozmowa schodziła na jej życie.

– To ciekawe. – Komisarz wszedł jej w słowo. – Czyżby jednak nie była tak kryształowa, jak wszyscy usiłują ją przedstawić? Przeciętny człowiek nie ma powodów tak pilnie strzec swojej prywatności, więc chyba coś musiało być na rzeczy.

Zamyślony, popatrzył niewidzącym wzrokiem na Remańską. Zdążyła się już przyzwyczaić do tych spojrzeń, zdawać by się mogło, przeszywających rozmówcę na wskroś, choć w rzeczywistości policjant nie wiedział nawet, na kogo wówczas patrzy. Czekwała więc spokojnie na chwilę, gdy jego oczy odzyskają zwykły wyraz, i dopiero wtedy dokończyła swoją wypowiedź, bezceremonialnie przez niego przerwana.

– Myślę, że to z powodu burdelu. Pewnie się bała, że niechcący coś chlapnie, dlatego wołała o sobie nie mówić.

Na twarzy Zapaty pojawiło się niedowierzanie.

– Jakiego znowu burdelu? Chcesz powiedzieć, że była prostytutką? Trzydzieści sześć lat to chyba trochę za dużo...

– Diego, nie wszyscy faceci lubią sypiać z młodymi, są tacy, którzy wolą dojrzalsze kobiety – przerwała mu ze zniecierpliwieniem. – Ale tutaj nie o to chodzi, bo ona nie była prostytutką, tylko właścicielką.

– Chcesz powiedzieć, że ten jej „Raj” nie był tak naprawdę pensjonatem, tylko burdelem? I że dowiedziały się o tym od niej?

Do niedowierzania w głosie i wyrazie twarzy policjanta dołączyło zwątpienie. Na ten widok Dioniza nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, zorientowała się bowiem, że to ostatnie dotyczy jej zdrowych zmysłów. Co wcale nie dziwiło przy założeniu, że miał rację co do źródła pozyskanych przez nią informacji.

– Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi „tak”, a na drugie „nie”. Wspomniałam przecież, że unikała mówienia o sobie. Ale brat koleżanki z sali obok kilka miesięcy temu odwiedził „Raj”, rzekomo po to, by spotkać się z kontrahentem. Tak przynajmniej przedstawiła to Anita, a mnie lata, dlaczego był w tym pensjonacie. Ważniejsze jest, że określił go jako burdel i rozpoznał Igę, która zarządzała całym interesem.

– Jesteś pewna, że nie ściemniał, żeby wydać się bardziej interesującym? Niektórzy mają gdzieś, że mogą komuś wyrządzić krzywdę pomówieniami.

– A skąd ja mam wiedzieć, czy mówił prawdę? – zdenerwowała się Diona. – Nie mówił tego do mnie, ja go nawet na oczy nie widziałam. Sam musisz z nim pogadać. Na imię ma Dariusz, ale nazwiska nie znam, bo nie znalazłam dobrego pretekstu, żeby zapytać.

Komisarz zrobił pojednawczy gest, a gdy nieco ochłonęła, wypytał ją o ową Anitę, założywszy, że kobieta nazywa się tak samo jak brat.

– I co z tego? – spytał, gdy Remańska mu wytknęła, że Anita jest mężatką, zatem niemal na pewno nosi inne nazwisko. – Zapomniałaś, że w bazie PESEL są też inne dane? Na przykład nazwisko panieńskie?

## 16 września 2020

Zastanawiała się, czy rzeczywiście posiadanie przez Pokrzywę pensjonatu będącego w rzeczywistości domem publicznym może mieć związek z jej śmiercią, i z każdą chwilą utwierdzała się w przekonaniu, że nie. Zaczęła żałować, że w ogóle o tym wspomniała. Ale rozmawiając z Zapatą, była tego całkiem pewna, pierwsze wątpliwości pojawiły się nie wcześniej niż późnym wieczorem, do ostatecznej zaś konkluzji doszła dopiero teraz, przy porannej kawie.

Nie mogło mieć związku, bo w żaden sposób nie łączyło się z zabójstwem Orłowskiej. Co prawda wyryty na ciele tej ostatniej napis „Zapłata” sugerował, że do gry wkroczył inny sprawca, jednak w przeciwieństwie do obecnych przy oględzinach mężczyzn Dioniza tak nie uważała. W ciągu niespełna tygodnia w tym samym szpitalu zginęły dwie będące w podobnym wieku kobiety, w dodatku obie pozabawiono życia przy wykorzystaniu urządzeń do rehabilitacji, a oni chrzanią o przypadku?

*Diego rzucił się na informację o burdelu niczym pies na kość. Wspomniała zaciętą minę komisarza i poczuła wyrzuty sumienia. Cholera, wpakowałam go na lewe sanki.*

Rozważyła jeszcze hipotezę, że kobiety prowadziły jakieś wspólne interesy, ale zaraz z niej zrezygnowała. Nic nie wskazywało na to, by znały się wcześniej, tym bardziej że wśród rozpytanych wczoraj pacjentów nie znalazł się ani jeden, który byłby świadkiem ich rozmowy. Czy jest możliwe, że celowo udawały, iż nic ich nie łączy? Raczej nie, nie miałyby ku temu żadnego powodu, znajdowały się przecież wśród obcych.

Mimo tego zadzwoniła do Zapaty i przekazała mu swoje przemyślenia. Ku jej zaskoczeniu komisarz wydawał się rozbawiony jej słowami.

– Pomyślałem, że włamałaś się do mojej głowy, bo po przebudzeniu doszedłem do tego samego wniosku – wyjaśnił. – Widocznie to prawda, że sen wzmacnia pracę szarych komórek.

Odetchnęła z ulgą.

– Uff, kamień z serca, bo już się bałam, że przeze mnie stracisz czas na węszenie wokół tego pieprzonego „Raju”.

– Pieprzony raj? Pięknie powiedziane. Jeżeli jesteśmy na podsłuchu, to masz przesrane, a ja razem z tobą – zaśmiał się, ale natychmiast spoważniał. – Tak czy owak muszę sprawdzić ten trop, bo a nuż oboje się mylimy? Wzajemne powiązania Pokrzywy i Orłowskiej też, bo kto wie, może miały powód, żeby udawać nieznanym? Mnie też wydaje się to nieprawdopodobne, ale głowy nie dam, że mam rację.

Skinęła głową, choć nie mógł tego zobaczyć.

– Rozumiem. Dasz znać, czego się dowiedziałeś?

Komisarz przyrzekł informować ją na bieżąco i słowa dotrzymał. Akurat kończyła obiad, gdy zadzwonił, by zapowiedzieć swój przyjazd. Umówili się za pół godziny na ławce przed wejściem, by korzystając z ładnej pogody, porozmawiać bez konieczności ponownego zaanektowania gabinetu ordynatorki lub wypraszania Violki z pokoju.

Na kilka minut przed wyznaczoną porą Diona wyszła przed budynek z reklamówką w zdrowej ręce. Zapata właśnie podjechał. Wsiadł z samochodu i spojrzął z nieskrywaną ciekawością na foliową torbę, gdzie przez na wpół przezroczysty plastik dało się wypatrzeć zawartość w postaci niedużego termosu oraz dwóch kubków.

– Dzień dobry. Czy w tym termosie jest to, o czym myślę?

Poznała go już na tyle, by wiedzieć, że pała taką samą nieopanowaną miłością do kawy jak ona, toteż przytaknęła z uśmiechem.

– Cześć. Nie oczekuj cudów – ostrzegła lojalnie. – Termos jest ledwie półlitrowy, ale uznałam, że lepsze kilka łyków niż nic.

Skierowali się w stronę stojącej w pobliżu ławki. Tam usiedli. Dioniza nalała kawy i podała policjantowi jeden z kubków. Podziękował, upił dwa łyki, po czym przeszedł do relacjonowania najnowszych ustaleń.

– Przyczyna i czas zgonu zgadzają się z tym, co wstępnie określiła Kenig – zaczął z ponurą miną. – Według opinii patologa śmierć poprzez zadzierzgnięcie nastąpiła pomiędzy trzecią trzydzieści a czwartą trzydzieści, co daje mi cholernie mało, bo o tej porze wszyscy rzekomo smacznie spali. Rzecz jasna oprócz zabójcy.

Remańska machinalnie skinęła głową, zajęta rozważaniem innej kwestii. Zauważył jej rozkojarzenie i spytał z irytacją:

– Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

Zamrugła jak ktoś przebudzony ze snu, o którym przed chwilą wspomniał.

– Słucham, ale tak sobie myślę... W nocy na zmianie jest lekarz, w tym konkretnym przypadku Iwona Kenig, i dwie pielęgniarki. Czy to były...?

Domyślił się, o co chciała zapytać, i wszedł jej w słowo:

– Nic z tych rzeczy. Ani Drohomirska, ani Strega. To byłoby zbyt piękne. Tylko wiesz, zabójca chyba się przeliczył, bo właśnie one miały być na zmianie.

– O kur... – Diona się zająknęła i dokończyła bardziej parlamentarnie: – ...de! Faktycznie mógł wybrać tę noc, bo doszedł do wniosku, że uznasz je za podejrzone, skoro były w pracy w czasie obu zabójstw.

– Zwłaszcza że wcześniej nie planowały zamiany. Tymczasem Strega zadzwoniła na krótko przed rozpoczęciem pracy, że nie przyjedzie, bo dostała ostrej biegunki, z kolei Drohomirska co prawda pojawiła się w pracy, ale zaraz wyszła, ponaglana telefonami od spanikowanej matki, że ojciec chyba ma zawał. Nie patrz tak na mnie, sprawdziłem to.

Zmieszała się lekko i wybąkała słowa przeprosin, potem wróciła do kwestii obecności personelu w chwili zbrodni.

– Moim zdaniem nie mógł tego zrobić nikt z fizjoterapeutów. Wpół do trzeciej czy nawet czwartej to jeszcze noc, musiałyby mieć nerwy ze stali, żeby zaryzykować pojawienie się o tej porze w szpitalu.

Zapata przez pewien czas rozważał jej słowa, wreszcie wolno przytaknął skinieniem głowy. Miała rację. Obecność rehabilitanta w godzinach nocnych od razu wywołałaby zdziwienie, a przecież nie mógł mieć pewności, że przemknie przez oddział niezauważony. W końcu nie ma ich tak wielu, więc na pewno zostałyby rozpoznany nawet wówczas, gdyby włożył pielęgniarski lub lekarski kitel.

– Tym bardziej wtedy – oceniła Diona po wysłuchaniu jego uwag. – Wśród pielęgniarek nie ma mężczyzn, a z lekarzy tylko Baumgardt. Tylko że jakoś go nie widzę jako szalonego mordercy. A tak w ogóle, to skąd wiadomo, że to był mężczyzna?

– Tak wynika z ustaleń. Wyszło im, że przeciętna kobieta nie miałaby dość siły, żeby wywindować Orłowską pod sufit tej cholernej klatki. To nie była drobna, filigranowa kobietka. Miała metr siedemdziesiąt siedem i ważyła osiemdziesiąt trzy kilogramy, poza tym wszystko wskazuje na to, że nie pozbawił jej przytomności, więc na pewno się broniła, przez co utrudniała mu sprawę. Stąd wniosek, że to mężczyzna.

Teraz Dioniza poświęciła kilka minut na przeanalizowanie najnowszych informacji. Komisarz jej nie ponaglał. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, a gdy odmówiła, zapalił i zapatrzył się na dwie wiewiórki skaczące w dół z gałęzi na gałąź wysokiej topoli i sprawiające wrażenie biorących udział w wyścigu, która pierwsza znajdzie się na ziemi. Ruda minimalnie wygrywała.

Remańska odezwała się w momencie, gdy czarna jednym susem wylądowała u stóp drzewa, wyprzedziwszy w ten sposób rudzielca, który wydał poirytowane skrzeknięcie, jakby rzeczywiście przejął się przegraną. Zafascynowany Zapata z trudem oderwał wzrok od zwierzątek i przeniósł go na Dionę.

– Możesz powtórzyć?

– Powiedziała, że mogło ich być dwóch. Lub dwoje. Jedna z pielegniarek...

Urwała, gdy energicznie pokręcił głową.

– Żadna z nich nie mogła wiedzieć, że będzie musiała wziąć tę zmianę, a nie wierzę, że zrobili to na spontanie. Poza tym jeden z pacjentów zeznał, że tuż przed czwartą zajrzał do dyżurki. Chciał poprosić o środek przeciwbólowy, ale się wycofał, kiedy zobaczył, że obie śpią. Powiedział, że został wychowany w czasach, gdy miało się jeszcze wzgląd na innych.

– Wierzysz mu? – Spojrzała nieufnie. – Może to właśnie on zabił, a teraz próbuje wprowadzić cię w błąd?

– Chyba byłoby mu trudno – odpowiedział z powagą, której przeczył błysk rozbawienia w oczach. – Myślę, że na wózku ma się ograniczone pole manewru.

– No raczej – mruknęła i zmieniła temat. – Sprawdziłeś ten „Raj”? Bo wyszło mi, że jedynie on nam został.

Komisarz skrzywił się jak po zjedzeniu czegoś obrzydliwego.

– Sprawdziłem, tylko że nic to nie dało. Panienci zeznały, że owszem, świadczyły tam wiadome usługi za cichym przyzwoleniem właścicielki, ale twierdziły przy tym, że pracowały na własny rachunek i wcale jej się nie opłacały. Pokrzywa po prostu pozwalała im tam prowadzić działalność i nie pobierała żadnego haraczu.

– Tak altruistycznie pozwalała? – nie dowierzała Remańska.

– Na to wychodzi. Mąż zeznał, że jako młoda dziewczyna Iga wylądowała na ulicy i wtedy została niejako zmuszona do nierządu, a alfons zabierał jej prawie wszystkie pieniądze. Dlatego pomagała tym dziewczynom; nie chciała, żeby tak jak ona musiały się opłacać jakiemuś żerującemu na nich bydlakowi.

Po namyśle Dioniza uznała wyjaśnienie za wiarygodne.

– Mogło tak być. A powiązania z Orłowską?

– Żadnych. Ani śladu. I teraz nie wiem, czy faktycznie te zabójstwa nie mają ze sobą nic wspólnego, czy może są dziełem szaleńca, który chce wyeliminować ze społeczeństwa osoby niepełnosprawne. Tylko czy wtedy nie powinien wziąć na celownik pacjentów, którzy nie rokują wyzdrowienia?

Policjant zerknął na towarzyszącą mu kobietę z miną uczenia, który wie, że mówi bzdury, ale mimo to się łudzi, że przynajmniej w jakiejś części odpowiedź jest prawidłowa. Tymczasem Diona zareagowała zupełnie inaczej, niż oczekiwał. Zamiast go wyśmiać, uznała jego przypuszczenia za prawdopodobne, po czym dorzuciła:

– Jest jeszcze jedna możliwość. Taka, że zabójca wcale nie jest szaleńcem. Przyświeca mu konkretny motyw, tylko my go jeszcze nie znamy.

Po krótkim zastanowieniu Zapata skinął głową.

– Ta wersja przekonuje mnie najbardziej, niestety niezbyt mi to pomoże, bo tych powodów mogło być od groma.

Musiła się z nim zgodzić.

– Rozumiem, co masz na myśli – mruknęła. – I współczuję serdecznie, bo skoro nie znalazłeś powiązań podczas rutynowego sprawdzania ich życiorysów, dojście do motywu będzie wymagało sięgnięcia głęboko wstecz.

– Po czym się okaże, że wcale nie chodziło o zemstę po latach, tylko o coś zupełnie innego – przerwał komisarz.

Diona rzuciła okiem na jego ponurą minę i sama przybrała podobną.

– No właśnie. Na przykład sprawca uznał, że zabicie kilku osób odwróci uwagę policji od tej jednej, która była jego prawdziwym celem.

Przyodziany w dres mężczyzna z całej siły uderzył pięścią w kierownicę. Nie wiedział, co w obecnej sytuacji powinien zrobić, zresztą podjęcie jakiegokolwiek decyzji ponad to, czy powinien dać komuś w mordę, przerastało jego możliwości intelektualne. Od myślenia był szef, a jego ludzie od wykonywania poleceń.

On niestety polecenia nie wykonał, w dodatku nie ze swojej winy, bo kiedy w końcu dotarł na miejsce, zobaczył, że ktoś już to zrobił, w dodatku bardzo sumiennie. Uciekł więc stamtąd w popłochu, zdezorientowany niespodziewanym obrotem sprawy, i zaraz sięgnął po komórkę. W tej samej chwili przypomniał sobie, że szef wyjechał w interesach do Holandii i kategorycznie zabronił kontaktowania się z nim. Tym samym nieprzyjemna rozmowa została odłożona na później.

Teraz jednak mężczyzna w dresie zaczął się zastanawiać, czy w ogóle powinna się odbyć. Bał się oszukiwać szefa, ale bał się również jego reakcji na wieść, że zadanie nie zostało wykonane. Kary za pierwszą przewinę nie znał, natomiast tę przypadającą za drugi występki kilkakrotnie wymierzał osobiście, stąd wiedział, że bywa straszna. To przeważało.

*Przecież szef nie dowie się prawdy, no bo skąd – snuł rozważania, wspomagając się kolejną butelką piwa. Będzie pewien, że to ja, więc nie ma co srać w gacie ze strachu. Baba dostała nauczkę i gites. Swoją drogą ktoś miał jaja, że zrobił coś takiego – pomyślał z uznaniem i postanowił przy okazji wykorzystać pomysł.*

## Rozdział 14

### Typ zaczepno-obronny

17 września 2020

Filip Śliczny z radością powitał koniec pracy. Nienawidził jej serdecznie. Denerwowali go współpracownicy, wykonywanie poleceń przełożonej uważał za poniżające, najbardziej zaś nie cierpiał pacjentów, zwłaszcza tych, którzy nie poruszali się samodzielnie. Dostawał młodości na samą myśl o tkwiących między ich nogami pampersach, w każdej chwili mogących się wypełnić. Zresztą wystarczyło mu przez kilka minut wysłuchiwać narzekań na złe samopoczucie, by nachodziła go ochota wysłania co najmniej połowy na tamten świat.

– Dalej mi lecisiz dwie dychy za młotek – usłyszał głos Jasielskiego. – Ostatni raz kupiłem ci coś na Allegro.

Od razu poczuł irytację, że kolega znowu upomniał się o pieniądze. *Co za chciwy kutas z tego Tomka – przemknęło mu przez myśl. Nie przeżyje bez tych dwudziestu złotych? Z głodu zdechnie czy jak?*

Niechętnie sięgnął do kieszeni i wydobył portfel.

– Masz, masz. – Wetknął tamtemu zmięty banknot w wyciągniętą dłoń. – Nie podejrzewałem, że zrobisz aferę o parę groszy.

– Jak dla ciebie to parę groszy, to tym bardziej nie powinieneś mieć problemu z oddaniem mi szmalu – odburknął Jasielski.

Schowwał banknot do kieszeni, następnie wręczył Ślicznemu nieduży młotek z ogumowanym trzonkiem. Filip chwycił narzędzie w dłoń, po czym zamachnął się w stronę drzwi, za którymi zniknął Tomasz.

– Giń, skurwysynu! – powiedział, lecz ściszył głos, na wypadek gdyby tamten jeszcze nie odszedł. Wolał nie zaostrzać wzajemnych stosunków z Jasielskim, który mógł się jeszcze przydać z uwagi na rozliczne kontakty.

Po kilku minutach opuścił budynek i z młotkiem w ręce ruszył w stronę samochodu. Już miał wyjąć z kieszeni pilota, gdy zobaczył tego bezczelnego gnoja, który kilka dni temu upokorzył go w obecności Stregi. Wszystko się w nim zagotowało na samo wspomnienie tamtego zdarzenia. Krystyna była jedyną, której dotychczas nie zdołał zaliczyć, tym bardziej więc nie mógł darować straconej okazji oraz poniżenia. Widziała przecież jego porażkę.

Ale jeszcze nic straconego, widział ją wszak tam, gdzie nie miała prawa się znajdować, będzie zatem musiała go usłuchać, jeśli nie chce, by opowiedział o tym policji. Ale ten skurwysyn musi zapłacić, nie ma innej opcji.

Przebiegł cicho po trawie w stronę ławki, szarpnął młodego mężczyznę za ramię i jednocześnie wyprowadził silny cios. Prawy sierpowy powinien trafić tamtego w szczękę i posłać na ziemię, a jednak Śliczny chybił celu, przez co stracił równowagę i zatoczył się w stronę ławki. Chwycił poręcz, by nie upaść, spojrzał w kierunku młodego przystojniaka i na widok jego kpiącej miny wzrok zasnuła mu czerwona mgła wściekłości. Nie zważając już na nic, przełożył młotek do prawej ręki i ruszył do ataku.

\*

Ratio rozejrzał się po okolicy. Nie zauważył nigdzie Dionizy, skierował się więc w stronę ławki. Stała w pewnym oddaleniu od budynku, osłonięta częściowo drzewami, i domyślił się, że Diona właśnie ją miała na myśli, gdy określała miejsce spotkania. Nie lubiła siadywać na widoku, co doskonale rozumiał, sam bowiem był pod tym względem bardzo do niej podobny i wolał rolę obserwatora od obserwowanego.

Przy ławce asfalt się skończył, choć ścieżka, dalej już tylko wysypana żwirem, prowadziła w stronę drewnianego budynku, kiedyś zapewne pięknego, teraz jednak wyglądającego jak rudera mająca lada

moment rozsypać się w pył. *To chyba jest ta pijalnia wód, o której wspominała Dionka.* Zrobił parę kroków, by sprawdzić słusność swojego przypuszczenia, gdy usłyszał za sobą czyjeś szybkie kroki. Chciał się obejrzeć, ale nie zdążył. Ostre szarpnięcie za ramię sprawiło, że zarył butami w żwirze i zamachał rękami dla odzyskania równowagi.

Podczas ostatniej rozmowy z Ogińskim stwierdził, że czasy bijatyk ma już za sobą, i wysunął nawet supozycję, iż z powodu lat spędzonych nad klawiaturą zapomniał o dawnych umiejętnościach, byłby zatem łatwym celem dla ewentualnego napastnika. Szymon najpierw go wyśmiał, potem zaś porównał umiejętności walki ulicznej do otwierania zamków bez użycia kluczy. „Tego się nie zapomina, podobnie jak seksu. Możesz spędzić kilka lat w celibacie, a gdy przyjdzie co do czego, wcale nie potrzebujesz korepetycji”.

Teraz Ratier miał okazję się przekonać, iż Ogi miał całkowitą rację. Zadziałał jak dobrze zaprogramowana maszyna. Automatycznie, bez udziału mózgu zrobił unik i odskoczył w prawo, by uniknąć ciosu. Założenie, że przeciwnik jest praworęczny, okazało się słuszne. Rozpędzona pięść zatoczyła krótki łuk, jednocześnie Medard wyćwiczonym w ulicznych potyczkach ruchem uskoczył w bok i zerknął w stronę napastnika. Rozpoznał go natychmiast. To był ten sam mężczyzna, który kilka dni temu groził Krystynie, a malująca się na twarzy wściekłość nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do jego zamiarów.

Na widok ręki wymachującej niedużym młotkiem Ratio parsknął śmiechem.

– Jaki Thor, taki młot.

Kpiąca uwaga najwyraźniej doprowadziła tamtego do stanu wrzenia, bo pomimo pojawienia się opodal dwóch spacerowiczów ruszył do ataku. Mierzył w głowę, co nietrudno było odczytać z ułożenia sylwetki – Medard nie miał najmniejszych problemów z uniknięciem spotkania z twardym narzędziem. Niemal niedostrzegalny skręt ciała, a młotek minął cel o dobre pięć centymetrów i poleciał w pobliskie krzaki.

– Kurwa!

Napastnik już miał rzucić się w tamtym kierunku, gdy przytrzymała go dłoń Ratiera.

– Wyciągnij rękę, a może przyfrunie. Thor nie goni jak głupi po okolicy, Mjøltnir sam do niego wraca.

Stalowy uścisk zelżał. Medard się odsunął i gestem poinformował przeciwnika o zakończeniu potyczki. Nie chciał brać udziału w bijatyce na terenie szpitala, w dodatku na oczach gapiów, choć trochę było mu szkoda tracić tak wyśmienitą okazję do dania nauki zarozumiałemu rehabilitantowi. Niestety Śliczny nie pojął albo nie chciał zrozumieć przesłania, a pojednawczy gest Ratia uznał prawdopodobnie za oznakę strachu, zaśmiał się bowiem urągliwie, a na twarz wypełził mu grymas triumfu.

– Zajebię cię, ty mały chujku!

Równocześnie ze zwerbalizowaniem groźby zamierzył się pięścią. Celował w skroń, lecz znowu nie trafił i tylko musnął knykiami czubek ucha.

– Nie chcę się z tobą bić – powiedział Ratier, robiąc kolejny unik. – Daj se siana i zniknij, póki jeszcze możesz chodzić. Chyba że wolisz Ragnarök.

– Zapomnij, cieniasie!

Fizjoterapeuta ponownie rzucił się do ataku i Medard wreszcie stracił cierpliwość. Wykonał szybki zwód i właśnie miał przejść do kontry, gdy w uszy wdarł się ryk motocykla. Mimowolnie spojrzął w stronę źródła dźwięku, a Śliczny natychmiast wykorzystał ten moment nieuwagi. Wyraźnie rozzuchwalony celnym trafieniem przeciwnika w szczękę, ruszył wprost na Ratiera z zamiarem przejścia do zwarcia.

Nie zdążył. Ciężka, pędząca wprost na nich maszyna, niemal kładąc się na ziemi, skręciła w ostatniej chwili, spod opon wyprysnęły grudki ziemi i wyrwane z korzeniami źdźbła trawy. Motocyklista nie tracił czasu na postawienie pojazdu. Zeskoczył z siodła, nim jeszcze koła zamarły w bezruchu, i nie troszcząc się o motocykl, pozwolił mu upaść na trawnik, sam zaś podbiegł do walczących.

Ratio z niekłamany podziwem obserwował szczupłą, zwinną sylwetkę, poruszającą się tak płynnie, jakby nie biegła, lecz fruwała tuż nad ziemią. Motocyklista zbliżył się błyskawicznie i z wysokości kopnął fizjoterapeutę w pierś. Kompletnie zaskoczony Śliczny, dla zachowania równowagi machając rękami niczym wiatrak w trakcie nawałnicy, zrobił kilka nieskoordynowanych kroków w tył, ale koniec końców grawitacja zwyciężyła i upadł na wznak. Usiłował się podnieść, na to jednak nie pozwalał motocyklista, przytrzymując go w pozycji horyzontalnej stopą obutą w ciężki głań.

Nieporadne ruchy leżącego skojarzyły się Medardowi z przewróconym do góry nogami żukiem i młody mężczyzna znowu parsknął śmiechem, co spotkało się z pełnym nienawiści spojrzeniem Ślicznego.

– To jeszcze nie koniec! – wysyczał wściekle fizjoterapeuta. – Prędej czy później cię dopadnę i zajebię jak psa!

Ratio miał zamiar zripostować, lecz motocyklista go uprzedził.

– Psi jebaka. – W głosie zabrzmiał ogrom pogardy. – Ale czemu ja się dziwię? Facet, który szantażem zmusza kobiety do seksu, musi sobie jakoś radzić, kiedy akurat nie ma na żadną jakiegoś haczyka.

Śliczny chyba dopiero teraz zyskał pewność co do tożsamości osoby ubranej w czarny, skórzany kombinezon, bo na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania.

– Kryśka? – zapragnął się upewnić. – Kryśka Strega? – powtórzył pytanie, gdy nie otrzymał odpowiedzi.

Dziewczyna zdjęła kask i potrząsnęła głową, zwinięte w nieforemny koczek czarne włosy miękko spływały na ramiona, a niebieskie, wchodzące w turkus pasemko załśniło w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

– Nie żadna Kryśka, tylko Krystyna. Tak trudno zapamiętać? W takim razie pomogę ci zakodować to raz na zawsze.

Noga, jeszcze przed sekundą wciskająca fizjoterapeutę w glebę, wzięła zamach do następnego kopniaka, ten jednak nie nastąpił, bo niespodziewanie dziewczyna znalazła się w powietrzu. To Ratio, nie chcąc dopuścić do dalszej eskalacji przemocy, złapał ją wpół i przestawił tak, by znaleźć się pomiędzy nimi.

– Już wystarczy – powiedział spokojnie, a na widok pełnych wściekłości błysków w oczach dziewczyny przytrzymał ją za ramię w przewidywaniu ponownego ataku. – Uspokój się. Nie widzisz, że pełno tu ludzi? Chcesz mieć sprawę o pobicie? Przecież to zwykła lebiega, widać, że ma już dosyć.

Furia powoli gasła, spojrzenie niebieskich oczu odrobinę złagodniało, ale nadal płonął w nich gniew.

– Mam to tak zostawić, pozwolić, żeby mu się upiekło? Przecież on omal cię nie zabił! Wymachiwał nożem...

Urwała zdezorientowana, gdy Ratio parsknął śmiechem, potem przeniosła wzrok na gramolącego się z ziemi rehabilitanta. Świadomość, że Śliczny nie poniesie zasłużonej kary, najwyraźniej w dalszym ciągu wywoływała jej obiekcje, bo na znak protestu pokręciła z dezaprobatą głową, nie próbowała jednak Medardowi przeszkodzić.

Upewniwszy się, że ze strony Krystyny nic już fizjoterapeucie nie zagraża, Ratio jednym szarpnięciem pomógł mu podnieść się do pionu, po czym powiedział tak cicho, że tylko niedawny przeciwnik mógł go słyszeć:

– Puszczam cię tylko dlatego, że mam zawiasy za dziesionę – skłamał, by uzyskać lepszy efekt. – Za rozbój – wyjaśnił, gdy zobaczył wyraz zagubienia na twarzy Ślicznego. – Ale jeżeli jeszcze raz zaczniesz grozić Krystynie albo ją szantażować, to mogę zapomnieć o zawiasach i ci jebnąć. Kumaszu, leszczu!

Pozbawiony emocji głos podziałał bardziej, niż gdyby Ratier krzyczał. Śliczny wzdrygnął się, zerknął na niego, jakby sprawdzając, czy słowa zostały wypowiedziane na poważnie, lecz gdy zobaczył wyraz chłodnej determinacji, słowa sprzeciwu zamarły mu w gardle i skinął tylko głową na znak zgody.

Ratio wypuścił jego ramię z uścisku.

– Na co czekasz? Wypierdalaj, bo zmienię zdanie. Mjølmir zostaje – zastrzegł, gdy rehabilitant niepewnymi kroczkami ruszył w stronę krzaków.

Pod wpływem zimnego spojrzenia Śliczny zdobył się jedynie na dosyć żałosny pisk:

– Dwie dychy za niego dałem.

– Na pewno to sobie odbijesz. Dla szantażysty dwadzieścia złotych to żadna strata.

Medard spoglądał chwilę za odchodzącym spiesznym rehabilitantem, po czym zwrócił się do Krystyny:

– Faktycznie Furia z ciebie. Ale nie rób tego więcej.

Strega zachnęła się gniewnie.

– Miałam czekać, aż zrobi ci krzywdę? Bo to przypała, że kobieta cię obroniła? Kolejny maczo, psiakrew!

– Nie o to chodzi. Możesz mnie bronić nawet codziennie, ale niekoniecznie przed szpitalnymi oknami, okej? Nie chcę, żebyś miała kłopoty w pracy.

– Nie jestem teraz w pracy. Moja zmiana już się skończyła.



Zacząła wypowiedź buńczucznym tonem, lecz pod koniec wkradła się w niego niepewność, a wzrok niespokojnie zlustrował budynek w poszukiwaniu ewentualnych gapiów, mogących z za szyb śledzić przebieg wydarzeń.

Ratio wychycił interesującą go informację i natychmiast zmienił temat.

– Czyli masz teraz wolne?

Skinęła głową.

– Poczekasz tu ze mną na Dionę? To nie potrwa długo. Potem poszlibyśmy coś zjeść i na kawę.

Po krótkim namyśle ponownie skinęła głową i skierowała się w stronę ławki, gdzie usiadła wygodnie i z cichym westchnieniem wyciągnęła przed siebie nogi.

– Zmęczona jestem – odpowiedziała na niezadane pytanie. – Mamy kilkoro takich pacjentów, że trzeba do nich końskiej siły i jeszcze większej cierpliwości. Nieważne. – Nie dopuszczając Medarda do głosu, zamknęła tę kwestię powrotem do poprzedniej: – Dopiero teraz do mnie dotarło, że to bardziej Filip potrzebował pomocy niż ty. Kim w ogóle jesteś? Bo jakoś głupio iść na obiad z kimś, kogo wcale się nie zna.

Zaskoczony Ratio przyjrzał się jej z uwagą, niepewny, czy z niego nie kpi, jednak pełna skupienia mina powiedziała mu, że Krystyna nie żartowała. On również nie wiedział o niej prawie nic i nabyta przez lata ostrożność w kontaktach z obcymi kazała mu zachować pewne sprawy w tajemnicy. Jak choćby tę, że jest twórcą gier komputerowych, co w ostatnim okresie przełożyło się na całkiem niezłe zarobki.

– Kim jestem? – powtórzył niby w namyśle, gdy milczenie przedłużyło się ponad miarę. – Chodzi ci o zawód, pochodzenie społeczne czy charakter?

– O wszystko. Tak ogólnie, nie musisz przedstawiać drzewa genealogicznego i okazywać do wglądu umowy o pracę.

Mimo lekkiego tonu i uśmiechu świadczącego o niezbyt poważnym traktowaniu tego swego przesłuchania jakiś pełen napięcia rys wokół ust powiedział mu, że od odpowiedzi będzie zależało, czy czeka ich jakakolwiek wspólna przyszłość, nawet ta najbliższa, związana z jego zaproszeniem do restauracji.

– Całe szczęście. – Udał, że oddycha z ulgą. – Bo z tą umową miałbym cholerny problem. Jestem informatykiem i prowadzę własną działalność, więc sama rozumiesz...

– To rozumiem, ale nie bardzo kumam, jak to się ma do twoich innych umiejętności. Nie powiesz mi chyba, że staczanie ulicznych bójek wchodzi w zakres szkolenia informatycznego. A może wyssałeś to z mlekiem matki?

Pomyślał, że wiele się nie pomyliła, zaraz jednak skorygował wniosek. Gdyby tak było, przemoc sprawiałaby mu przyjemność, a wówczas robiłby wszystko, by prowokować potyczki, miast ich unikać.

– Mama była pielęgniarką. Co prawda zrezygnowała z pracy po moim urodzeniu, ale nie zmienia to faktu, że nie jest to zawód kojarzący się ze skłonnością do wdawania się w awantury. Choć po twoim dzisiejszym występie nie jestem już tego taki pewien.

Przekopał piłkę na jej połowę boiska, założywszy, że zajęta obroną Krystyna zapomni o przesłuchaniu. Domniemanie okazało się słuszne. Tłumaczenie, iż ma czterech braci, a wychowywanie się wśród chłopaków zaowocowało nietypowymi dla przeciętnej dziewczyny umiejętnościami, zajęło ją do tego stopnia, że nie powróciła już do poprzedniego tematu.

– Skąd przypuszczenie, że Śliczny jest szantażystą? – spytał znienacka, gdy na moment zamilkła.

Dotychczas nie napatoczyła się okazja nawiązania do pamiętnego zdarzenia na klatce schodowej, gdzie miał wątpliwą przyjemność zetknąć się po raz pierwszy z rehabilitantem. Zapamiętał słowa Krystyny o szantażu, nie chciał jednak dopytywać zbyt nachalnie, by nie zerwać wątej jeszcze nici porozumienia. Teraz zaryzykował, zaniepokoiła go bowiem wzmianka o zmuszaniu szantażem do seksu. Nie mógł pozwolić, by ten śmieć groził dziewczynie, która z każdym dniem stawała mu się coraz bliższa.

– Wiem od dziewczyn, że nagrywał ich uwagi na temat pacjentów, a potem żądał pieniędzy albo seksu w zamian za nieupublicznianie nagrań. Robił też im zdjęcia, gdy znajdowały się w godzinach pracy w miejscach, gdzie nie powinno ich w tym czasie być.

Głos Krystyny wibrował wściekłością, oczy płonęły gniewnym blaskiem. Ratio widział wyraźnie, że aż gotuje się ze złości, nie dostrzegł natomiast najmniejszych oznak lęku, który musiałby być widoczny, gdyby ona również czuła się zagrożona. Czyżby wówczas coś źle zrozumiał? Niemożliwe, sens wypowiedzi Ślicznego był oczywisty.

– Tobie też? – spytał wprost, chcąc zyskać pewność.

Skinięła potakująco i już był pewien, że to będzie wszystko, gdy westchnęła cicho i zwerbalizowała odpowiedź:

– Najpierw zażądał pieniędzy. Pięciu stówek za skasowanie zdjęć, na których stoję z boku budynku i palę. Wyśmiałam go i określiłam dość precyzyjnie, gdzie może sobie wsadzić te foty. Raz, że na żadnej z nich nie ma daty i godziny, a dwa, że nawet gdyby dyrektor uznał tę sytuację za złamanie regulaminu pracowniczego, to takie zdjęcia nie mogą być dowodem w sądzie. Powiedziałam o tym dziewczynom, bo domyśliłam się, że wobec nich też stosuje takie metody, no i w efekcie odpadł mu jeden ze sposobów na zarobek.

Medard słuchał z uwagą, chcąc ocenić, czy Krystyna jest z nim szczerą. Nie zauważył żadnej oznaki świadczącej o kłamstwie czy niedopowiedzeniu i ucieszył się, oznaczało to bowiem, że zaczęła mu ufać.

– Chyba cię za to znieubił – wyraził dość oczywiste przypuszczenie, by nie dopuścić do poniechania tematu.

Wykrzywiła wargi w pełnym goryczy uśmiechu.

– Mało powiedziane. Przynęłam, że mnie zniszczy, chyba że...

Urwała i zagryzła wargi, jakby chciała powstrzymać wymykające się zza nich słowa. Ratio nie miał najmniejszych problemów z domyśleniem się dalszego ciągu, dokończył więc za nią:

– Chyba że pójdziesz z nim do łóżka.

– No właśnie. – W jej oczach znów błysnął gniew. – Nie był zachwycony, kiedy usłyszał, że wołałabym iść do łóżka z najgorszym menelem. Wiedziała, że tylko czeka na okazję, żeby podłożyć mi świnię. – Zamilkła na kilka sekund, po czym powiedziała tak cicho, że jej głos bardziej przypominał szept: – I w końcu się bydlak doczekał.

Medard zacisnął dłonie w pięści tak mocno, że aż zachrząściło. Nie mógł znieść myśli o Krystynie w ramionach rehabilitanta i gdyby teraz Śliczny nawinął mu się pod rękę, bez wahania zrobiłby z niego miazgę. Nie wiedział, jak zareagować, w głowie miał całkowitą pustkę i jedyne, co był w stanie zrobić, to objąć dziewczynę i mocno przytulić. Przyłgnęła do niego na moment, lecz zaraz uwolniła się z uścisku.

– Opowiesz mi o tym?

\*

Zbliżała się pora spotkania z Medardem. Dioniza z cichym jękiem podniosła się z niezbyt wygodnej ławki i ostrożnie przeszła po spleśniałych od słońca, częściowo spróchniałych deskach tarasu na tyłach drewnianego budynku. Od miejsca, gdzie się umówili, dzieliło ją najwyżej trzydzieści metrów, wystarczyło więc, by minęła róg, a mogła zobaczyć, że przyjaciel już na nią czeka. Miała zamiar wykrzyknąć słowa powitania, gdy zauważyła tego mężczyznę. Znajdował się tuż za plecami Ratia, a jego skradające się ruchy nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do zamiarów. Nagle mężczyzna zaatakował.

Zmierzająca w ich kierunku Diona z zafascynowaniem chłonęła rozgrywający się przed jej oczami spektakl. Widać było, że Ratio świetnie się bawi. Poruszając się z gracją tancerza, unikał ciosów, lecz nie przechodził do kontry, podczas gdy napastnik cały czas atakował. Nie miał jednak wprawy w bójkach, o czym świadczyło beładne machanie rękami zamiast precyzyjnie mierzonych uderzeń. Efekt potyczki mógł być tylko jeden.

Doszła właśnie do kępy krzaków, gdy w uszy wdarł jej się ryk silnika. Dioniza bezwiednie przystanąła i rozejrzała się w poszukiwaniu źródła dźwięku tak nietypowego dla szpitalnego terenu, a później z uśmiechem uznania obejrzała „wejście smoczycy”, jak w myślach nazwała interwencję Krystyny Stregi.

Tożsamość motocyklisty nie była dla niej żadną zagadką, wiedziała wszak od Diega o nietypowym hobby młodej pielęgniarki. Nie miała natomiast pojęcia o jej innych umiejętnościach i z podziwem obserwowała, jak Strega skutecznie pacyfikuje mężczyznę. Wyciągnęła ręce, by zaklaskać, lecz nagle usłyszała słowa, które sprawiły, że powstrzymała się w ostatniej chwili od zdradzenia swojej obecności. Miała nadzieję, że pozostając w ukryciu, dowie się czegoś więcej. I tak właśnie się stało.

Wycofała się zza osłony krzaków dopiero wtedy, gdy zyskała pewność, że Krystyna wyczerpała temat. Cichutko przemknęła na ścieżkę, potem przez trawnik na następną, biegnącą od strony przewiązki. Tam

już mogła iść normalnie, bez obawy, że nabiorą jakichś podejrzeń, i zbliżyła się do siedzącej pary w chwili, gdy Ratio niecierpliwie zerknął na zegarek.

– Kurde, gdzie ta Diona? Głodny jestem.

– Idę, idę! – zawołała i przyspieszyła kroku. – Sorki za spóźnienie, ale wiesz, jaka jest Violka. Jak się rozgada...

Wcześniej miała zamiar rzucić uwagę o rozmowie z lekarzem, na szczęście uprzytomniła sobie w porę, że Strega jako pielęgniarka ma możliwość to sprawdzić. Nie sądziła co prawda, by Krystyna wykazała się aż taką podejrzliwością, ale licho nie śpi i lepiej nie prowokować losu zbędnymi kłamstwami.

Zamieniła z nimi kilka zdań, odebrała od Medarda torbę z czystymi ubraniami, wręczyła mu inną, z rzeczami do prania, i cmoknęła go w policzek na pożegnanie, wymówiwszy się zmęczeniem. Chciała jak najszybciej zadzwonić do Diega.

Po rozmowie z komisarzem ponownie wyszła na zewnątrz, by w spokoju przemyśleć sytuację. Odczuwała wyrzuty sumienia, że przekazała mu treść podsłuchanej rozmowy. Miała obrzydliwe wrażenie, że zawiodła w ten sposób zaufanie Ratia, nie okazała się lojalna wobec podopiecznego. Tylko że to, co usłyszała, wysuwało Stregę na czołówkę listy podejrzanych, nie mogła więc udawać, że tamte słowa nie padły.

Przez chwilę miała nawet żal do Ratiera, że wybrał akurat tę dziewczynę i że ogłupiony nowym, dopiero rozkwitającym uczuciem przyjął jej wyznanie za dobrą monetę.

– Ty tępa krowo – mruknęła do siebie. – Skąd miał wiedzieć, że nie chodzi o zgon z przyczyn naturalnych, tylko o morderstwo?

Niczego mu przecież nie powiedziała w obawie, że chlupnie coś przed Szymonem, bo wtedy wydałoby się, że nie dotrzymała słowa i zaangażowała się w śledztwo.

*Cholerni faceci, same z nimi problemy* – skonkludowała w myślach ze złością. *Jeden rości sobie prawa do decydowania, co powinnam robić, a drugi wdaje się w miejscu publicznym w bijatykę. Kretyni!* Zaraz jednak poczuła wyrzuty sumienia. Wszak dobrze wiedziała, że Ogiński wymógł owo przyrzeczenie kierowany troską, nie zaś z chęci pokazania, iż właśnie on dzierży władzę w ich związku.

W następnej chwili wspominała zmykającego w popłochu przeciwnika Ratia, którego ten musiał osłaniać przed furią szczupłej, niewysokiej dziewczyny, i parsknęła śmiechem. *Typ zaczepno-obronny* – oceniła wartość bojową rehabilitanta. *Najpierw zaczepia, a potem trzeba go bronić.* I złość nagle minęła, zastąpiona czułością. Owszem, Medard i Szymon często doprowadzali ją do szału, mimo to nie wyobrażała sobie życia bez nich. *Czasem są wkurzający do bólu, ale to moi faceci i nie zamieniłabym ich na nikogo innego.*

Tok myśli został nagle przerwany, a odpowiedzialny za to był Filip Śliczny, który niespodziewanie usiadł obok niej na ławce, choć po lewej i prawej w oddaleniu zaledwie dziesięciu metrów znajdowały się inne, niezajęte przez nikogo. W pierwszej chwili się nie zorientowała, czego od niej chce. Mamrotał coś pod nosem, założyła więc, że przeżywając upokorzenie porażką, mówi do siebie. Zrozumiała, że właśnie wybrał ją na interlokutora, dopiero wtedy, gdy pociągnął ją za ramię. To bolące, nic więc dziwnego, że nie zareagowała zbyt przyjaźnie.

– Auu! Kurwa mać, pogięło cię?!

Najwyraźniej dysponował podobnym zasobem empatii co doktor Harold Shipman, gdyż nawet się nie spieszył, nie mówiąc o przeproszeniu.

– Bo mówię do ciebie jak do ściany. Zero reakcji.

– Nie pamiętam, żebyśmy...

Urwała, uświadomiwszy sobie, że ona pierwsza zwróciła się do niego na ty. On jedynie się dostosował, toteż robienie mu uwag byłoby co najmniej śmieszne. Śliczny był zbyt zaferowany, by zwrócić uwagę na niedokończony zdanie.

– To ty jesteś ta postrzelona, prawda? Słuchaj, jest do zrobienia dobry interes. Pewnie nie wiesz, ale ludzie się zakładają o to, czemu ktoś do ciebie strzelał i kto to był. – Zawisł na Remańskiej spojrzeniem, a gdy ta nie zareagowała, zaproponował bez silenia się na dyplomację: – Mogłabyś mi to zdradzić. W puli jest kupa kasy, podzielimy się po połowie.

Na moment odebrało jej mowę. Potem zmierzyła go spojrzeniem tak pełnym pogardy, że normalny człowiek poczułby się nieswojo. Śliczny chyba jednak normalny nie był, nie zmieszał się bowiem ani odrobinę, tylko patrzył wyczekująco.

– Masz ty rozum? – spytała, lecz gdy napotkała pusty wzrok, sama odpowiedziała na to pytanie: – Błąd czterysta cztery. Rozum *not found*.

Wstała z ławki. Idąc w stronę wejścia, rozmyślała o tym, że wbrew pozorom szantaż musi nie być zbyt intratnym zajęciem, skoro parający się nim Śliczny nadal cierpi na niedobór pieniędzy. Albo, co wydało jej się najbardziej prawdopodobne, szantażysta był zwyczajnym cieniem. Tak czy owak o tym także powinna poinformować Diega.

## Rozdział 15

### Pies w obręczy

18 września 2020

Miał ochotę kogoś zabić. A nawet nie kogoś, tylko konkretną osobę, która kolejny raz doprowadziła go do ostateczności. Czy ten wożący się całe życie na plecach tatusia palant faktycznie myślał, że znalezienie zabójcy jest jak pstryknięcie palcami na pokazie prestidigitatorskim i nie wymaga żadnego nakładu pracy?

Usłyszawszy, że ma się zająć kolejnym dochodzeniem, Zapata nie wiedział już, czy ma się śmiać, czy raczej rozplakać z żalu nad niedostatkami umysłu komendanta. Oprócz dwóch zabójstw miał na biegu piętnaście innych spraw. Jak miałby znaleźć czas na zajęcie się jeszcze jedną, tego naprawdę nie wiedział, ale gdy zasugerował przełożonemu oddanie kilku komendzie miejskiej, ten omal nie wpadł w histerię. Zaczął wykrzykiwać brednie o dobrowolnym podkładaniu się szefostwu, wykazywaniu własnej nieudolności i zamknięciu drogi awansu.

Doprowadził tym komisarza do takiej furii, że Zapata po prostu wyszedł, nie zaczekawszy na koniec przemowy. Takie rozwiązanie było zdecydowanie lepsze od ręcznego wbicia szefowi do głowy argumentów świadczących dobitnie, że jego czarne prognozy mają niewiele wspólnego z rzeczywistością i że są wyłącznym wynikiem strachu o stanowisko, którego komendant trzymał się tak kurczowo, jakby od tego zależało całe jego dalsze życie.

W swoim pokoju Zapata dał upust wściekłości i z całej siły walnął pięścią w ścianę. Siedzący tyłem do wejścia sierżant Węgierski aż podskoczył, gdy za jego plecami coś rozbiło się z głośnym trzaskiem i brzękiem. Odwrócił się błyskawicznie, spojrzał najpierw na komisarza, później na okruchy szkła i połamaną ramkę obrazka, dotychczas wiszącego obok drzwi, i ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Byłeś u Boska – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Pierdolony imbecyli! Chyba ktoś go do tego stołka przyspawał. Kiedyś chuja odstrzelę w ramach pomocy humanitarnej.

Na twarzy sierżanta pojawił się grymas świadczący o bezskutecznych próbach zrozumienia sensu wypowiedzi.

– Czemu pomocy humanitarnej? – spytał po chwili.

– Skoro jest przyspawany, to odklejenie go od stołka grozi urwaniem dupy – wyjaśnił Zapata ku uciesze Węgrzyna.

Sierżant chętnie kontynuowałby ów przemiły temat. Już zaczął opowiadać o swoich rozważaniach w materii pozbycia się przełożonego znieawidzonego przez większość obsady komisariatu, gdy Zapata wzięty do ręki telefon i zerknął na wyświetlacz.

– Kurwa mać! Całkiem o niej zapomniałem.

– O kim? – chciał wiedzieć Węgierski, lecz komisarz tylko machnął ręką.

– Nieważne, i tak nic z tym na razie nie mogę zrobić, bo według tego chuja są ważniejsze sprawy niż szukanie zabójcy.

Machnął wymownie ręką w kierunku, gdzie mniej więcej znajdował się gabinet komendanta, lecz kolega i bez tego nie miał najmniejszych wątpliwości, kogo określił tym wdzięcznym mianem. Bardziej interesowały go owe sprawy mające wyższy priorytet od podwójnego zabójstwa. Musiało to być coś naprawdę szokującego.

– Co się stało? Ktoś zatłukł wójta czy jak?

Zapata parsknął krótkim, pozbawionym wesołości śmiechem.

– Wójt się zgadza, ale reszta już nie, nad czym w skrytości ducha ubolewam.

– Kurwa, Diego, co ty tak górnołotnie? – zdumiał się sierżant. – Wiem, że od tej roboty nieraz się ludziom pierdoli w głowie, ale żeby aż tak?

– Bo sprawa jest, że tak się wyrażę, górnołotna. Ktoś zajebeł wójtowi psa.

Węgrzyn najpierw zaniemówił, potem głośno zarechotał.

– Wiem, że Kupa uważa gliniarzy z komisariatu za swoich ludzi, ale nie słyszałem, żeby ktoś zajebeł jednego z nas. – Napotkał smętny uśmiech Zapaty i spoważniał. – W jakim sensie zajebeł? Ukradł czy utłukł?

Zamiast odpowiedzi komisarz sięgnął po komórkę, wyszukał odpowiednie zdjęcie, następnie podetkał koledze ekran pod nos. Odczekał trochę, by ten mógł się dokładnie przyjrzeć fotografii, na której widniał front budynku i stojący obok drzwi do garażu wysoki słup do koszykówki z tablicą i obręczą. Na tej ostatniej jednak nie znajdowała się siatka, zamiast niej przymocowano tam zakrwawione truchło psa.

– Wygląda jak mały lew – mruknął Węgierski. – Pewnie jakiś rasowy, bo słyszałem, że był kurewnie drogi.

– Szpic marki chow chow. Tak twierdzi Marciniec, bo to on był na oględzinach i przysłał mi tę fotę, kiedy się dowiedział, że mam przejąć sprawę – wyjaśnił Zapata i dodał nie bez satysfakcji: – Oczywiście chow chow z rodowodem, innego jaśnie pan Kupkowski by nie kupił. Wydał na niego kilka tysięcy, bo myślał, że szaspanuje rasowym, doskonale ułożonym czworonogiem, a tu kicha, pies nie chciał poddać się tresurze i w ogóle go nie słuchał. Więc się wściekł i jak ostatni debil uwiązał go przy budzie.

– Myślisz, że wójt sam go zaciukał? – Sierżant nie czekał na odpowiedź. – Pewnie najpierw wysoko go ubezpieczył, a teraz ściemnia, że to robota wrogów politycznych czy coś podobnego – przedstawił naprędce skleconą hipotezę.

Ku jego rozczarowaniu wyższy stopniem kolega pokręcił głową.

– Nie sądzę. Co prawda jeszcze z nim nie rozmawiałem, ale Marcińcowi byle czym oczu nie zamydliśz. Ponoć Kupa jest autentycznie załamany, bo miał zamiar psa sprzedać i z tego względu go nie ubezpieczył. Poza tym od wtorku nie było go w domu, bo pojechał na jakieś szkolenie unijne i wrócił dopiero dzisiaj.

Z powagą na twarzy Zapaty kontrastowało widniejące w jego oczach rozbawienie. Węgierski posunął się jeszcze dalej w okazywaniu braku współczucia i głośno zarechotał, po czym powiedział z nadzieją w głosie:

– Liczę, że nie będziesz się zbyt wysilać i to zamorzysz. Należy mu się za to, jak nas traktuje.

Tymoteusz Kupkowski, od dwóch lat piastujący stanowisko wójta Klonowic, nie zyskał sobie wśród lokalnych policjantów wielkiego uznania, choć początkowo przyjęli wyniki wyborów z entuzjazmem i obdarzyli nowego włodarza sporym kredytem zaufania. Magister prawa wywarł na nich pozytywne wrażenie, byli więc przekonani, że gmina trafiła w dobre ręce. Wkrótce jednak mogli się przekonać, jak bardzo się pomylili, okazało się bowiem, że dla nowego wójta policjant znaczy to samo co skrzyżowanie prywatnego ochroniarza ze służącym i chłopcem na posyłki.

Wszystko prawdopodobnie wyglądałoby inaczej, gdyby komendantem komisariatu był ktoś inny. Niestety nadkomisarz Dziegieliński za bardzo bał się utraty stanowiska, by sprzeciwić się Kupkowskiemu, mającemu mocne poparcie rządzącej partii, wobec czego udawał, że nie widzi, jak funkcjonariusze zaciskają zęby z beznadziejnej złości, gdy wydawał polecenie odwiezienia pijanego wójta z imprezy czy pilnowania, by nikt nie zakłócił przyjęcia urodzinowego.

Mogli odmówić, jak nieraz im wytykano. Oczywiście, że mogli, tylko że wtedy musieliby szukać innego zajęcia, co wcale nie było takie proste. Bo co mógłby robić w cywilu ktoś taki jak Zapata, najpierw żołnierz zawodowy, a potem policjant? Albo Węgierski, który przyjął się do policji zaraz po maturze? Ukończenie liceum nie dawało mu żadnego zawodu, podobnie jak policyjne szkolenie podstawowe i zaliczone kursy specjalistyczne. Wiedza z zakresu taktyki i technik przesłuchań jest w cywilu raczej zbędna, podobnie jak umiejętność neutralizacji miejsc nielegalnej produkcji narkotyków, a praca na kasie w hipermarkecie, co najczęściej podpowiadali internetowi eksperci od zarządzania zasobami ludzkimi, jednak niekoniecznie policjantom odpowiadała.

Pewną, choć niewielką, satysfakcję dało im nazywanie znieawidzonego notabla Kupą, lecz nawet tutaj musieli zachować ostrożność, gdyż ich społeczność wcale nie była jednomyślna. Znalazło się kilku starszych, którzy dla awansu gotowi byli znieść każde poniżenie, byli też młodzi do tego stopnia oszołomieni władzą, jaką dały im mundur i pistolet w kaburze, że zatracili wszelki rozsądek, a wraz z nim człowieczeństwo. Tak przynajmniej ocenili ich działania Zapata, gdy doszło do niego, jakich środków użyli

do stłumienia protestu obywateli pod urzędem gminy. Miał nadzieję, że czuły na punkcie wizerunku formacji Dzięgieliński surowo ich ukarze, dla komendanta jednak ważniejsze okazały się partyjne układy.

W tej sytuacji komisarz nie miał złudzeń, dlatego z ponurą miną przedstawił sierżantowi prognozę przyszłych zdarzeń:

– O zamorzeniu mogę zapomnieć, chyba że zdarzy się cud i Kupa wypadnie z łask. Ale mocno w to wątpię, dlatego Bosek będzie cisnął, ile wlezie, żebym podał mu sprawcę na widelcu, a jeżeli tego nie zrobię, znajdzie pretekst, żeby mnie wyjebano z policji. Albo zaczniesz mnie tak dojeżdzać, że sam się zwolnię.

Węgierski dość długo analizował sytuację, potem z równie ponurym grymasem pokiwał wolno głową.

– Masz kurewną rację, żeby to jasny chuj strzelił. Mogę jakoś pomóc? Nie wiem, może pojechać do tego szpitala i się rozejrzeć albo co? Akurat mam na biegu same bzdety, w dodatku żadna w najbliższym czasie nie upływa.

Zapata klepnął go w ramię na znak, że docenia ofertę, jednak ku rozczarowaniu sierżanta natychmiast ją odrzucił.

– Nic z tego. Masz mi pomagać, ale nie przy zabójstwach ludzi, bo dla naszego komedianta pies jest ważniejszy. Nie próbuj z nim dyskutować – ostrzegł na widok buntowniczego błysku w oczach. – Nie wygłupiaj się, Kamil, nie warto, mnie nie pomożesz, a sobie zaszkożysz. Poza tym mam plan, a ty możesz mi pomóc go zrealizować.

\*

Zapata nie odebrał ani nie oddzwonił. Dioniza postanowiła dać mu z pół godziny, nim ponowi próbę kontaktu, i zdecydowała, że spożytkuje ten czas na przewietrzenie umysłu. Włożyła buty i właśnie sięgała po polar, gdy leżąca na łóżku Viola podniosła wzrok znad lektury i zainteresowała się jej poczynaniami.

– Idziesz na spacer? Ciemno już...

Remańska wsunęła ręce w rękawy okrycia i wzruszyła ramionami.

– Nie mam zamiaru trenować biegu przełajowego. Idę tylko zająrać i może się przejdę, ale tylko kawałek. Uliczki między budynkami są oświetlone, a dalej się nie wybieram.

– To może pójdziesz z tobą? – zaproponowała Violetta z nietypową dla niej nieśmiałością. – Kenig powiedziała, że powinnam więcej chodzić, ale łażenie po korytarzu to żadna przyjemność. A na zewnątrz sama się boję.

Wykrzywiła wargi, jakby miała zaraz się rozplakać. Widać było, że przyznanie się do lęku nie przyszło jej łatwo, i Dionę zalała fala współczucia. Rozumiała koleżankę lepiej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, sama wszak jeszcze niedawno przeżywała to samo. Dla energicznej, radzącej sobie ze wszystkim kobiety prośenie o pomoc było wystarczająco upokarzające, a co dopiero przyznanie się do własnych ograniczeń.

– Jasne, że tak! – zawołała radośnie. – Nie masz pojęcia, jakie to nudne łażać samej. Wyskakuj z betów i wkładaj bluzę.

Podeszła do szafy i wyjęła z dolnej półki nieco przykurzone adidas. Viola spojrzała na nią z wdzięcznością, zaraz jednak wątpliwości wzięły górę.

– Na pewno nie będę ci przeszkadzać? Masz przecież swoje towarzystwo, koleżanki od spacerowania...

– Taa – odpowiedziała Dionę przeciągle. – Zwłaszcza panią Irenę Korde.

Popatrzyły po sobie i wybuchnęły śmiechem. Kryzys został zażegnany.

Dziesięć minut później zmierzały wolno w stronę stojącej przy uliczce ławeczki. Od wejścia dzieliło ją zaledwie dwadzieścia metrów, a jednak dla Violetty, od kilku dni poruszającej się za pomocą jednej tylko kuli, ów dystans był nie do pokonania bez odpoczynku. Widząc jej zmęczenie, Diona przystanąła i podparła koleżankę zdrową ręką.

– No co ty? – spłoszyła się Viola. – Mogę stać samodzielnie.

– Wiem, że możesz. Ale nie musisz. W ten sposób szybciej odpocznesz, a mnie się nic nie stanie, jak przez chwilę będę robić za słup.

– Nie boisz się, że cię jakiś pies obsika?

Rozśmieszona Dionę prychnęła jej prosto w twarz.

– Tu nie ma psów. – Miała zamiar coś dodać, gdy siłą skojarzenia przypomniała sobie o Zapacie. – O kurde, miałam zadzwonić do Diega.

Chorą, lecz coraz bardziej sprawną ręką trochę niezgrabnie obmacała kieszenie polaru, lecz nie natrafiła na prostokątny kształt.

– Odłożyłaś go na stolik, kiedy sięgałaś po moje buty – przypomniała Violetta. – Wracamy?

– Ani myślę. Zadzwonię po powrocie, to w końcu nic pilnego.

Widać było, że Sablik zżera ciekawość, na czym konkretnie polegają stosunki Diony z komisarzem, Remańska bowiem mówiła o nich dość enigmatycznie i właściwie nie zdradziła niczego. Violka zachowała jednak milczenie, za co Dioniza była jej wdzięczna. Nie chciała okłamywać koleżanki. Przynęła sobie w duchu, że powie jej prawdę, gdy już zabójca trafi za kratki. Albo przy pożegnaniu, jeżeli nie trafi.

Głos Violetty wyrwał ją z zamyślenia.

– Możemy iść, już odpoczęłam.

Ruszyły wolno w stronę ławki. Gdy usiadły, Diona wyciągnęła przed siebie nogi i zapaliła papierosa, a Violka przymknęła powieki i wdychała pełną piersią chłodne powietrze, przesycone zapachem jesiennych liści.

– Dobrze ci idzie – odezwała się Remańska, przerywając ciszę. – Naprawdę zrobiłaś ogromne postępy. Zobaczysz, że wyjdiesz stąd bez kul.

– Bo się przykładam do ćwiczeń – odpowiedziała koleżanka niby obojętnie, ale widać było, że opinia Dionizy sprawiła jej radość. – Ty zresztą też. I pani Irena, chociaż akurat jej wołałabym nie oglądać.

Później Diona doszła do wniosku, że musiała zadziałać magia imienia, ledwie bowiem Violetta zamilkła, w alejce pojawiła się kobieca postać zmierzająca w ich kierunku. Irena Korda szła szybkim krokiem z wysoko uniesioną głową i sztucznie obojętną twarzą, nie rozglądając się na boki. Musiała jednak je zauważyć, skoro światło latarni padało wprost na ławkę, mimo to w żaden sposób nie dała tego po sobie poznać.

Właśnie je mijają, gdy niespodziewanie zбочzyła w ich stronę. Zaskoczona tym manewrem Dionizy nie zdążyła cofnąć nóg, a Korda, potknąwszy się o nie, zamachała gwałtownie rękami i poleciała wprost na Violkę. Niepodziewająca się takiego obrotu sprawy Violetta stęknęła głośno, kiedy poczuła na stopie osiemdziesięciokilogramowy ciężar, a potem drugi raz, gdy twardy łokieć wbił jej się w żołądek.

– Kurwa mać! – wydusiła z siebie, daremnie usiłując uwolnić się od przytłaczającego ją balastu. – Niechże pani trochę uważa!

– Ja?! – Korda poderwała się do pionu nad podziw zwinnie jak na kogoś, kto ma poważne problemy z kręgosłupem. – To ona niech uważa! – Wskazała ręką na Remańską. – Dziwię się, że pani się z nią zadaje. Przecież to gangsterska dziwka, prędzej czy później ktoś jej zrobi z dupy jesień średniowiecza.

– Coś podobnego – zdziwiła się Diona i z wyraźnym żalem dodała: – A ja byłam pewna, że lato Muminków.

Violka zachichotała, co doprowadziło Kordę do takiej furii, że jej twarz przybrała buraczkową barwę, a usta wykrzywił grymas nienawiści.

– Ty głupia babo! – wysyczała w jej stronę. – Nie wiesz, z kim masz do czynienia. Nie wstyd ci z nią siedzieć? Rozwalone to, rozkraczone, pewnie myśli, że każdy chłop gotów polecieć na tę jej przechodzoną szparę!

Te słowa odblokowały jakąś zapadkę w pamięci i Diona wreszcie przypomniała sobie, skąd zna tę kobietę.

Uśmiechnęła się słodko.

– Nieładnie tak mówić, pani Irmino, zwłaszcza że w pani przypadku trudno mówić o szparze. To chyba bardziej Lakagigar. A tak z ciekawości, co słyhać u Ramosa?

Korda najpierw zaniemówiła, potem odwróciła się na pięcie i pognęła w stronę wejścia do budynku. Violetta spoglądała za nią z osłupieniem i dość długo trwało, nim odzyskała jasność myśli na tyle, by zapytać:

– Co to jest ten laka coś tam?



– Nic z tego nie rozumiem.

Nie mieli okazji wcześniej porozmawiać, bo Laki musiał załatwić inną sprawę. Wiązała się z obserwacją budynku i jego mieszkańców, dlatego w ostatnich dniach prawie się nie widywali, a rozmowę telefoniczną uważali za zbyt niebezpieczną. Za dużo mówiło się ostatnio o podsłuchiowaniu obywateli. Licho nie śpi, a Pegasus tym bardziej, byłoby więc idiotyzmem podejmować niepotrzebne ryzyko.

Zostawianie pisemnej informacji tym bardziej nie wchodziło w grę, wścibska gospodyni wydawała się zdolna do szperania w pokoju swojego lokatora. Kitek natomiast mieszkała w pokoju służbowym, toteż Laki nigdy jej nie odwiedzał, by nikt nie łączył ich ze sobą. Dla współpracowników byli wyłącznie znajomymi ze szpitala i miało tak pozostać aż do końca ich pobytu w Klonowicach.

– Ja też nie – zgodziła się niechętnie. Nie znosiła przyznawać się do ignorancji w żadnej dziedzinie i nawet wtedy, gdy niewiedza nie wynikała z zaniedbania. – W pierwszej chwili pomyślałam, że się pomyliłeś.

Ze słów i tonu wynikało, że uważała tak tylko przez krótki czas, lecz rzucone ukradkiem czujne spojrzenie świadczyło, iż nadal nie miała pewności. Laki zauważył je i zatrząsa nim złość. Rola słabszego, którą dla własnej wygody odgrywał od lat, już go zmęczyła i coraz częściej miał ochotę ukazać Kitek swoje prawdziwe oblicze, które od czasu, gdy przestał brać pigułki, z każdym dniem bardziej desperacko pragnęło wydostać się na wolność.

Z trudem opanował się na tyle, by odpowiedzieć spokojnie i nieco rozwleknie, jak zawsze wtedy, gdy lekarstwo przytępiało jego reakcje.

– Dobrze wiesz, że zawsze trzymam się planu. Dlaczego miałbym głupio ryzykować dla kilku chwil... treningu?

Miał zamiar powiedzieć „przyjemności”, stąd owo zająknięcie. Na szczęście było tak nieznaczne, że Kitek go nie zauważyła, pozwolił więc sobie na drapieżny uśmiech. Uspokojona, skinęła głową z aprobatą, a Laki odetchnął z ulgą. Nie chciał, by się domyśliła, iż pigułki od dawna już trafiają do muszli klozetowej.

Początkowo wcale tego nie planował, doszło do tego całkiem przypadkowo. Stał wówczas w łazience, by po zażyciu tabletki popić ją kranówką. Wziął jednak zbyt duży haust, zakrztusił się i rozkaszał, a wtedy kapsułka wyleciała z gardła i wpadła do sedesu, a gdy chciał złapać ją w locie, przechylił trzymaną w drugiej ręce buteleczkę. Mógł tylko bezradnie patrzeć, jak reszta pigułek wędruje śladem pierwszej, bo Laki tym razem nie zakręcił od razu butelki. Pech chciał, że była prawie pełna, na niemal cały miesiąc.

*Pech? Jaki pech?* – pomyślał teraz. To był prawdziwy łut szczęścia, nie żaden pech. Wiedząc, że gderaniu nie będzie końca, nie powiedział Kitek o wypadku, nie odczuwał zresztą żadnych skutków odstawienia leku, toteż uznał, że nie ma sensu się podkładać. Kitek była dla niego dobra i opiekuńcza, chwilami jednak trudna do wytrzymania z tym swoim zwyczajem wywyższania się i skłonnością do despotyzmu.

Miał zamiar przyznać się dopiero z końcem miesiąca, gdy przyjdzie pora zrealizowania kolejnej recepty. Nie zarabiali kroci, większą część pensji pochłaniały poszukiwania, a lekarstwo nie było tanie, dlatego wyeliminowanie dość sporego wydatku powinno uradować ją tak samo jak jego. No i na pewno będzie się cieszyć, że już jest zdrowy.

Pojawiło się zniecacka po mniej więcej trzech tygodniach. Uczucie głodu, tak długo tłumione lekami, nagle przypomniało o swoim istnieniu, domagając się zaspokojenia. Jeszcze nie natychmiastowego, na to było stanowczo za wcześnie, ale już wkrótce będzie musiał zdecydować, czy mu ulec, czy może wrócić do pigułek. Na razie nadal miał czas, mógł w samotności snuć cudowne wizje, ciągle jeszcze nie musiał wprowadzać ich w czyn. Znał jednak dobrze swój cykl, wiedział, że mniej więcej w połowie października fuga dobiegnie kresu i będzie musiał poddać się głodowi, inaczej nie będzie w stanie normalnie funkcjonować.

Nie zdążył podjąć decyzji, gdy odwiedziła go podekscytowana Kitek z wieścią, że poszukiwania dobiegły końca. Wreszcie zidentyfikowała winną ich krzywdy. Przeszli do etapu planowania i teraz Laki nie musiał już wyobrażać sobie kobiety mającej zostać pożywką głodu. Przyszła ofiara zyskała twarz.

– Laki, co z tobą?! – ryknęła mu Kitek wprost do ucha tak głośno, że aż podskoczył. – Mówię do ciebie, a ty nic, gapisz się tylko bezmyślnie w ścianę. To chyba przez te leki – stwierdziła nagle. – Kiedy tylko

skończymy i wyjedziemy z tej przeklętej wioski, będę musiała pójść do lekarza. Może za długo je bierzesz i trzeba zmienić? – trąkotała, nie zważając na jego protesty.

Słowotok wywołany był troską; zawsze tak reagowała, gdy w jej mniemaniu coś mu groziło. Wiedział o tym, a jednak tym razem nie zdołał powściągnąć irytacji.

– Zamknij się! – wrzasnął i ostatkiem woli powstrzymał pięść zmierzającą w stronę nawet na sekundę niemilkących ust. – Kurwa mać, przestań mi wmawiać chorobę! Zamyśliłem się, a ty od razu histeryzujesz – zakończył już spokojnie.

– Nie histeryzuję. Ale w przeciwieństwie do ciebie nie zamierzam wyprzeć z pamięci tego, co kiedyś zrobiłeś. Ja pamiętam.

– Ja też.

Powiedział to ze zboląłą miną, choć najchętniej uśmiechnąłby się szeroko. Jak mógłby zapomnieć? Owszem, leki wytlumiły tamte obrazy, ale nie zdołały ich unicestwić. A kiedy przestał się faserować pigułkami, wróciły z pełną wyrazistością, poraziły swoim pięknem i od tamtej pory wspominał, wspominał, wspominał...

Zlustrowała go podejrzliwie, lecz najwyraźniej nie dopatrzyła się niczego niepokojącego, gdyż porzuciła niewygodne dla nich obojga rozważania i zajęła się ważniejszą kwestią. Planowana od tak dawna zemsta wreszcie miała się dopełnić.

– Jesteś pewien, że nikomu nie powie?

Laki wzruszył nonszalancko ramionami i uśmiechnął się pogardliwie na wspomnienie rozmowy z tamtą kobietą.

– No coś ty, pary z gęby nie puści. Ten zarozumiały babsztyl uważa innych za plebs. Wcale nie była zaskoczona moją propozycją, z jej słów wywnioskowałem, że przyjęła ją jako coś należącego. Bo jeżeli ktoś, to tylko ona.

– Ale to nie znaczy, że będzie milczeć. A jeśli ko...?

Pod wpływem gniewnego sapnięcia Kitek zamilkła w pół słowa, co nie zdarzało się zbyt często. Laki powściągnął cisnący się na usta pełen satysfakcji uśmiech. Jeszcze nie teraz. Ale kiedy tu skończą, pokaże jej, kto z nich dwojga jest silniejszy.

– Dasz mi dokończyć czy wolisz słuchać swojego głosu?

Celowo przybrał gderliwy, lekko płaczliwy ton, by nie nabrała podejrzeń, że prawdziwy Laki powrócił. Posłała mu pobłaźliwy uśmiech, jakby był niegrzecznym dzieciakiem, którego wyskoki trzeba znosić, i z wyszukaną uprzejmością odpowiedziała:

– Przepraszam cię najmocniej. Od tej chwili będę milczeć jak grób.

Zignorował fakt, że ewidentnie się z niego naśmiewała. Każę jej za to zapłacić, ale to później, kiedy już zakończą misję.

– Będzie milczeć, bo po pierwsze uważa się za lepszą od innych i daje im to odczuć, przez co wszyscy jej unikają. A po drugie, ostrzegłem, że jeżeli przed kimś się wygada, wyleci natychmiast, bez względu na to, kim jest i kogo zna. W dodatku nigdzie jej później nie przyjmą, pozostaną tylko pseudospecjalistyczne gabinety szarlatanów bez uprawnień.

Tym razem na twarzy Kitek pojawił się wyraz aprobaty. Dziewczyna wstała z krzesła i ruszyła w stronę okna, a przechodząc obok, musnęła pieszczotliwie policzek Lakięgo. To był ich stary szyfr, oznaczający: „Musimy trzymać się razem choćby nie wiem co”, i mężczyzna poczuł, jak uchodzi z niego całe napięcie.

– Nie mam pojęcia, czemu znowu nie wyszło. A ty co o tym myślisz? – odezwała się, nie odrywając wzroku od pogrążonej w półmroku ulicy.

Powrót do niedokończonego tematu go nie zdziwił, Kitek już tak miała, nie znosiła niewyjaśnionych kwestii. On przeciwnie, ani myślał tracić energię na rozpatrywanie spraw minionych. Co było, to było, i tak nikt tego nie zmieni.

– Co nas to obchodzi? – odburknął. – Widocznie ten detektyw jest do dupy. Mówiłem, że trzeba poszukać innego, ale jak zwykle szkoda ci było kasy.

Nie dodał nic więcej, ale po minie Kitek poznał, iż trafił celnie. To ona odpowiadała za rozpoznanie i już dwa razy wytypowała źle, mimo że uważała się za nieomylną.

– Za to teraz mam pewność, więc postaraj się nie skiepać. Poza tym wcale nie było mi szkoda pieniędzy, tylko zwyczajnie ich nie mamy. Ani myślę płacić dwa razy za to samo.

Po zastanowieniu przyznał jej rację. To detektyw popełnił błąd, więc powinien się zrehabilitować i go naprawić.

## Rozdział 16

### Kobieta na hurze

19 września 2020

Irena Korda przemykała cichutko szpitalnym korytarzem. Ubrana w jasnoszary dres, w sączącym się z hallu przyćmionym świetle niemal zlewała się z szarością ścian, co niezbyt ją zachwycało. Nie lubiła być niewidoczna. Niestety sympatyczny młody człowiek postawił kilka warunków i obstawał tak twardo przy ich wypełnieniu, że nie ośmieliła się zaprotestować, choć przyszło jej to z ogromnym trudem.

Przywykła, że to ona ustanawia zasady, a inni powinni się do nich dostosować. Tym razem jednak przystała na żądania fizjoterapeuty; dolegliwości wywołane wielopoziomową dyskopatią dawały jej się we znaki tak bardzo, że schowała dumę do kieszeni. Nie znaczyło to jednak, że pokornie się z tym pogodziła, dlatego od wczoraj narastała w niej wściekłość, tym większa, że Korda nie mogła znaleźć pretekstu do jej rozładowania.

Resztę ćwiczeń zaliczyła jak w amoku, nie bardzo wiedząc, co właściwie robi, później miotła się po korytarzu w poszukiwaniu zaczepki, lecz jak na złość nikt nie chciał wdać się z nią w pyskówkę. Nie zdawała sobie sprawy, że zyskała sobie miano najwredniejszej pacjentki i inni zwyczajnie jej unikali.

Wieczorem była już podminowana do tego stopnia, że miała ochotę gryźć ścianę, wyszła więc na długi spacer w obawie, że jeszcze chwila, a zrobi współlokatorom jakąś krzywdę. Obeszła kilka razy teren szpitala, lecz wiele to nie pomogło i zrezygnowana kobieta postanowiła zakończyć bezsensowną wędrówkę. Weszła właśnie w uliczkę prowadzącą do wejścia, gdy nagle los się do niej uśmiechnął. Na ławce siedziała ona.

Tak bardzo przypominała z wyglądu tamtą bezczelną policjantkę, że Korda od pierwszej chwili poczuła do niej żywiołową niechęć. Dioniza Remańska nosiła co prawda inne nazwisko, była dużo szczuplejsza od aspirant Kicek, no i pracowała na strzelnicy, a nie w policji, ale podobieństwo rysów sprawiało, że Irena nie mogła znieść jej widoku.

Po aferze w łazience niechęć przerodziła się w nienawiść i od tamtej chwili Korda gorączkowo szukała okazji, by zaatakować, a gdy wreszcie znalazła, nie zawahała się nawet przez moment. Tylko że wszystko poszło nie tak.

– Lakagigar! – wyszczała teraz z furią. – Bezczelna zdzira! Jak ona śmiała?!

Wczoraj zrezygnowała z konfrontacji i po prostu uciekła, ponieważ nie miała pojęcia, co oznacza to słowo. Musiała to zrobić, inaczej Remańska mogłaby się domyślić prawdy i później wytykać ignorancję, a tego Korda by nie zniosła. W zaciszu łazienki weszła na Google, by sprawdzić znaczenie nieznanego terminu, a później spoglądała na ekran telefonu z pełnym wściekłości niedowierzaniem. Szeroka rozpadlina o długości ponad dwadzieścia pięciu kilometrów? No nie, to już był szczyt chamstwa!

Informację, iż szczelina wokół góry Laki składa się z ponad stu kraterów, stąd jej nazwa, Irena zignorowała jako nieistotną, podobnie jak tę, że powstała wskutek wybuchu wulkanu Laki i że zginęło wówczas ponad dwadzieścia procent ludności Islandii. Co ją to mogło obchodzić? Tym bardziej że zdarzenie miało miejsce ponad dwieście lat temu, poza tym nie miała nic wspólnego z jakimiś tam Islandczykami. Ważniejsze było, że Remańska ją obraziła.

– A może ona coś wie? Wspomniała przecież o Ramosie – szepnęła Irena, uchylając drzwi do małej, rzadko używanej sali. – Pozdrowienia? Od niego? – Poczula ciarki przebiegające po plecach. – Czyżby postanowił się zemścić?

Tak bardzo zaprzątnęły ją myśli o dawno niewidzianym mężczyźnie, że nie zwróciła uwagi na panującą w sali ciemność, rozświetloną jedynie nikłym jasnym punkcikiem wydobywającym się z latarki czołowej. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, ruszyła w tamtym kierunku i zatrzymała się dopiero na katagoryczne polecenie:

– Stój!

Wykonała je bezwiednie, zaskoczona ostrym, chrapliwym głosem zazwyczaj pełnego ciepła i empatii rehabilitanta. Zaraz jednak odzyskała rezon. Jakkolwiek doskonały w swoim fachu, fizjoterapeuta pozwalała sobie na stanowczo zbyt wiele. Nikt nie będzie jej traktować jak popychadła, które można przesuwać z kąta w kąt!

– Jest pan bezczelny! Nie będę tolerować takiego zachowania!

Odwróciła się, by odejść. Usłyszała za sobą szybkie kroki i pomyślała z satysfakcją, że znowu wygrała.

– Pani Ireno? Proszę zaczekać...

*Teraz zaczniesz się kajać, ale nich sobie nie myśli, że wystarczy zwykłe „przepraszam”. Będzie musiał ładnie poprosić o wybaczenie, no i oczywiście zejść z ceny przynajmniej o dziesięć procent. Z tą myślą odwróciła się w stronę mężczyzny i zamarła, ujrawszy wyszczerzone jak u drapieżnika zęby i płonące błyskiem szaleństwa oczy.*

– Ratus...

Krzyk zamarł w gardle, kobieta osunęła się bezwładnie na podłogę. Rehabilitant odłożył zakrwawiony kijek, tanecznym krokiem podszedł do drzwi i przekręcił tkwiący w zamku klucz. Potem zerknął na wiszący nad biurkiem zegar. Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt. Uśmiechnął się. Miał bardzo dużo czasu. Całą noc.

## 20 września 2020

Ocknęła się pod wpływem straszliwego bólu. W pierwszej chwili nie umiała pojąć, co się z nią dzieje, gdy naraz usłyszała cichy, chrapliwy chichot. Ten dźwięk kazał Irenie otworzyć oczy. Wtedy go zobaczyła.

Stał tuż obok niej z zakrwawionym kijkiem w dłoni i spoglądając na nią uważnie, zanosił się przerażającym śmiechem szaleńca. Zauważył, że odzyskała przytomność, i natychmiast się nad nią pochylił.

– Cześć, Iga.

*Jezu Chryste, ten facet całkiem zwariował – przemknęło jej przez myśl. Jaka Iga, do jasnej cholery? Przecież to nie ja, nikt nigdy tak mnie nie nazywał. I nagle przyszło zrozumienie. On mnie z kimś pomylił!*

Głowa pulsowała tak potwornym bólem, że przed oczami latały mroczki, a żołądek raz po raz podchodził Irenie do gardła. Spróbowała obrócić się na bok, a gdy usiłowania spełzły na niczym, zerknęła na boki. Wtedy odkryła, że została przywiązana do jakiegoś urządzenia, w dodatku jest całkiem naga. *Matko Boska, powiesił mnie na hurze!*

– No, Iga, co jest? Nie poznajesz mnie?

Żołądek znowu podjechał do góry. Korda przełknęła ślinę, by pozbyć się palącej, kwaśnej goryczy, i trudem dobytego głosu z obolałego gardła.

– Nie znam żadnej Igi, musiałeś...

Uciszył ją uderzeniem w twarz.

– Jak już, to „pan musiał”, a nie „musiałeś”. Zrozumiałaś czy mam ci to siłą wbić do głowy? I nie próbuj wrzeszczeć, bo wepchnę ci ten kij od gardła.

Wolała go nie rozdrażniać. Wiadomo, że z wariatami trzeba ostrożnie, bo są nieobliczalni, najlepiej im we wszystkim przytakiwać. Tak przynajmniej wynikało z licznych horrorów i thrillerów, które namiętnie oglądała, a nie widziała powodu, by im nie wierzyć. Gdyby prawda wyglądała inaczej, nie powielano by tego w tylu filmach.

– Zrozumiałam – odpowiedziała pokornie.

– Zrozumiałam, kto?

Pochylił się nad nią z drapieżnym grymasem. Przerażona do szaleństwa, że zaraz przegryzie jej gardło, Irena czym prędzej się poprawiła:

– Zrozumiałam, panie...

– „Panie” wystarczy – przerwał jej znowu, na szczęście teraz obyło się bez uderzenia. – Ale może też być „panie Laki”. Co się gapisz jak krowa, ty tępą dzido? Nie pamiętasz, że tak do mnie mówiono?

– Nie pamiętam. Naprawdę! Pan mnie z kimś pomylił... Aaaa!...

Zawyla, gdy szpic kijka uderzył ją w pierś, ale zaraz okrzyk zamarł jej w gardle, brutalnie zduszony męską dłonią. Korda zaszamotała się w więzach, lecz zyskała tylko tyle, że rozkołysała zawieszona na sznurkach rehabilitacyjnych ciało. Zaczęła się dławić, spomiędzy palców mężczyzny wypłynęła zawartość żołądka. Z obrzydzeniem cofnął rękę i wytarł w szary materiał, w którym rozpoznała swój dres.

– Kurwa! Obrzygałaś mnie, szmato!

Wściekłość wprost z niego kipiała, gdy kneblował jej usta rękawem bluzy, przesyconym kwaśnym zapachem wymiocin. Wziął zamach i uderzył Irenę w drugą pierś, potem w jedno i drugie kolano. Ból był tak obezwładniający, że naraz świat zachybotał, jakby on także wisiał na sznurkach. Korda dławiła się krzykiem ginącym w dzianinie zasłaniającej jej usta, z oczu nieprzerwanie płynęły łzy, ściekające po skroniach do włosów i uszu.

Cierpiała niewypowiedziane męczarnie, co gorsza, nie zanosilo się, by oprawca zamierzał przestać. Za dobrze się bawił i Irena nie miała żadnych złudzeń, że w końcu zadawanie tortur go znudzi. Jedyne, co jej pozostało, to nadzieja, że zaraz straci przytomność i przestanie odczuwać cokolwiek. Modliła się o to, wierząc, że wówczas on da jej spokój. Ale rehabilitant nie zamierzał pozwolić, by ofiara wymknęła mu się z rąk, pograżając się w kokonie nieświadomości.

– Nic z tego, moja kochana Igo – mówił, poklepując ją po policzkach. – Tak łatwo mi się nie wymkniesz, masz być świadoma. Musisz czuć ból, bo my też go czuliśmy. Musisz cierpieć męczarnie tak jak my. Rozumiesz?

Równo z ostatnim słowem znowu zamachnął się kijkiem, potem jeszcze raz. I kolejny... Nie starał się już trafiać szpicem, tylko tłukł jak popadło i gdzie popadło. Kolana, uda, piersi, brzuch... Oszczędzał tylko głowę, co świadczyło, że wbrew pozorom nie pograżył się całkiem w szaleństwie i wie, co robi. Najwyraźniej miał zamiar przedłużyć tortury w nieskończoność, choć ciało kobiety już od dobrych kilku minut spływało krwią. Ciągle jednak zachowywała jasność myśli.

Naraz jakby się opamiętał. Spojrzał przytomniej, ręka trzymająca kijek opadła, a mężczyzna pochylił się nad leżącą.

– Gdyby nie ty, moglibyśmy żyć normalnie. Powiedz, Iga, czemu nam to zrobiłaś? – Patrzył na nią z tak pełnym napięcia oczekiwaniem, jakby nie wiedział, że nie jest w stanie wyartykułować żadnego słowa. Nie doczekawszy się odpowiedzi, z żalem potrząsnął głową i uniośł kijek, po czym ponownie go opuścił. – Jeżeli powiesz, dlaczego to zrobiłaś, i poprosisz o wybaczenie, puszcze cię wolno.

Wbiła zamglone bólem oczy w jego twarz i od razu zorientowała się, że kłamał. Wydał wyrok już w chwili, gdy umawiał się z nią na prywatną sesję, i ani myślał uwzględnić apelacji. To, czy rzeczywiście była winna, nie miało najmniejszego znaczenia, on nie przestanie jej torturować. Za dobrze się bawił.

Mogła zrobić tylko jedno. Wydając tłumione kneblem nieartykułowane dźwięki, znów zaszamotała się w więzach, by zwrócić uwagę oprawcy. Poskutkowało. Z twarzy zniknął rozanielony uśmiech szaleńca, zastąpiony zwyczajnym rozbawieniem, mężczyzna zaś znów pochylił się nad Ireną i rozwiązał węzeł, by poluzować dzianinę krępującą jej usta.

– Wybacz, Igo, zapomniałem, że nie możesz mówić.

Powiedział to swoim zwykłym, używanym na co dzień głosem, a Korda aż się wzdrygnęła, choć nie dalej jak rano zachwycała się jego ciepłym brzmieniem. *To zwyczajny psychopata. Dostosowuje się do otoczenia, by móc zaatakować bez wzbudzania podejrzeń* – oceniła w myślach i poczuła żal, że nieznaną jej Iga nie ma z nim żadnych szans. Dorwie ją prędzej czy później i zakatuje. Chyba że... Jeśli będzie pewien, że zabił tę Igę, nie będzie jej przecież szukał, trzeba więc utwierdzić go w tym przekonaniu.

– No mów! – zniecierpliwiał się jej milczeniem. – Błagaj mnie, poproś, żebym ci wybaczył!

Pierwszy i ostatni raz w swoim trzydziestosześcioletnim życiu Irena Korda zrobiła coś bezinteresownie dla drugiego człowieka. Wzięła głęboki wdech, spojrzała rehabilitantowi prosto w oczy i powiedziała czystym, jasnym głosem:

– Żałuję.

– To za mało – pouczył ją natychmiast. – Czego żałujesz?

– Że tamte męczarnie cię nie zabiły i ciągle jeszcze żyjesz. – Zobaczyła na jego twarzy osłupienie i roześmiała się mimo bólu rozrywającego jej udęczone ciało. – Pierdol się, ty zboczony pojebie!

Z ust mężczyzny wydobyło się gniewne warczenie, wargi wykrzywił paroksyzm wściekłości. Powietrze przeszył świst lecącego w stronę jej głowy kijka, a potem był już tylko ból.

– Kurwa mać! Że też musiała tak szybko zdechnąć!

Laki ze złością spojrział na zmasakrowane kobiece ciało. Liczył, że pobawi się nią do co najmniej czwartej, a ona wytrzymała jedynie dwie i pół godziny. Może gdyby nie dał się ponieść, wytrzymałaby dłużej. Ale tak długo czekał na tę okazję, że gdy w końcu nadeszła, nie mógł powstrzymać żądzy zadawania bólu, w dodatku ta pinda go sprowokowała.

Zaspokoił pałący trzewia głód. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy poprzednio tak się nasycił, i ze zgrozą uwiadomił sobie, że od ostatniego razu minęło już pięć lat. Cholerna Kitek! Wszystko przez nią. Gdyby nie była taką wystraszoną idiotką, mógłby przez ten czas wielokrotnie przeżyć tę cudowną ekstazę.

Po tym, kiedy na swój sposób odplącił się Ortowi, wymyśliła sobie, że jeśli go nie powstrzyma, Laki na pewno wyląduje w więzieniu. Tłumaczył, że nie jest tak głupi, by zostawić ślady i dać się złapać, ale Kitek niemal wpadła w histerię i błagała go z płaczem, by przez jakiś czas dał sobie spokój. Zawsze była twarda, niepoddająca się emocjom, dlatego na widok jej łez się ugiął i przyrzekł spauzować.

Pół roku później dopadł go kryzys. Laki nie umiał się na niczym skupić, myślał tylko o jednym. Początkowo trzymał to w tajemnicy, ale gdy opuścił się w nauce tak, że sesja egzaminacyjna stanęła pod znakiem zapytania, poprosił Kitek, by zwolniła go z danego słowa. Zamiast tego poszła do lekarza. Nie wiedział, co mu powiedziała ani jakich argumentów użyła, ale od tamtej pory faszzerowała Lakię lekami wyciszającymi ten potworny głód, dzięki czemu skończył studia i podjął pracę.

Jednym słowem żył jak zwyczajny, przeciętny mężczyzna, a znajomi w ogóle się nie domyślali, jakie moce w nim drzemią. Jedyne, co odróżniało go od kolegów, to brak jakichkolwiek kontaktów seksualnych. Odrzucał konsekwentnie propozycje podwójnych randek czy wyjścia na podryw, nie reagował też na zaczepki dziewczyn, co sprawiło, że przyłgnęła do niego etykieta geja. Miał to gdzieś. Nie mógł przecież im powiedzieć, że seks nie tylko go nie interesuje, ale też wręcz brzydki. Jedna Kitek знаła prawdę, ale jej ufał bezgranicznie, poza tym wiedział, że ją także w tej materii gnębią demony.

To również było winą Igi. Ale w końcu odplącił jej za wszystkie krzywdy; z każdym zamachem młotka czuł, jak robi mu się lżej na duszy, napięte od ciągłego stresu mięśnie się rozluźniają, a czarne myśli odchodzą w niebyt. Wreszcie byli wolni, mogli zamknąć drzwi, odgradzając się od przeszłości, i zacząć normalnie żyć. Teraz Kitek na pewno przestanie mieć napady seksualnego amoku, kiedy to rzucała się na mężczyzn jak napalona suka, nie zważając na wygląd, wiek czy status społeczny. Pozna jakiegoś fajnego faceta i wyjdzie za mąż, urodzi dzieci... Jest przecież taka śliczna i ma naprawdę piękne ciało, co przyznawał mimo odrazy odczuwanej dla wszelkich spraw związanych z erotyką. A on? Może także uwolni się od swojej fobii i będzie w stanie współżyć z partnerką?

– Albo z partnerem – mruknął z przekornym uśmiechem, gdy pamięć natychmiast podsunęła mu obraz Filipa Ślicznego, gdy ten, wyzywając Lakię od pierdolonych pedałów, patrzył na niego ze wstrętem.

Podszedł do okrwawionego ochłapu, w jaki zamienił ciało Igi, i kilka chwil napawał się tym cudownym widokiem, nim przystąpił do realizacji ostatniej fazy planu. Uważała się za lepszą od innych, chciała górować nad wszystkimi, postanowił więc jej to umożliwić i podciągnął ją wyżej, na sam szczyt.

Zdejmując kombinezon ochronny, nie mógł oderwać od niej wzroku. Szkoda, że musi wyjść i porzucić swoje arcydzieło, choć tak bardzo chciałby oglądać je stale, zachować na zawsze. *Pieprzone zasady!* – wściekał się w myślach. Gdyby ludzie znali prawdę, z pewnością uznaliby go za psychopatę albo szaleńca zabijającego kogo popadnie, a on przecież wcale nie krzywdził niewinnych, wszystkie jego ofiary zasłużyły na swój los.

Chcąc zachować chociaż namiastkę, zrobił telefonem kilka zdjęć martwej kobiety, później spakował ubranie do reklamówki i ruszył do wyjścia. Nie kłopotał się zacieraniem śladów biologicznych; pracował tu przecież, więc ich obecność nikogo nie zdziwi. Cicho otworzył drzwi, ostrożnie wyjrzał na korytarz, a przekonawszy się, że droga wolna, wyszedł i przekręcił klucz w zamku, po czym schował go do kieszeni.

Szybkim krokiem przeszedł przez łącznik. Po chwili ciszę zakłócił szum jadącej windy, po którym nastąpił zgrzyt otwieranych drzwi. Kolejny szum i zgrzyt... a potem cisza.

Co prawda Zapata zadzwonił do Dionizy jeszcze w piątek i ucieszywszy się z nowych informacji, obiecał swój rychły przyjazd, ale pojawił się dopiero w niedzielę po południu. W dodatku wcale nie po to, by porozmawiać z Dionizą o Stredzie i Ślicznym, czego zresztą wcale się nie spodziewała. Nie miała pretensji, pamiętała jeszcze, jak to bywa w pracy policjanta. Nieraz jedno zdarzenie rujnuje całodniowe plany, a w tym przypadku owym katalizatorem było zniknięcie jednej z pacjentek.

Początkowo nikt się nie zorientował, że Irena Korda zaginęła. Ponieważ podczas swojego pobytu w Klonowicach nie tylko nie nawiązała z nikim przyjaznych stosunków, ale wręcz odcinała się od wszystkich, współlokatorki już od dawna przestały zwracać na nią uwagę i odplącały taką samą obojętnością.

Stąd ledwo zauważyły jej nieobecność przy śniadaniu, a przy obiedzie, na którym nadal się nie pojawiła, skwitowały absencję Kordy krótkim: „Pewnie wezwała taksówkę i pojechała na obiad do restauracji, koniecznie najdroższej”. Zadowolone, że nie muszą znosić przy posiłku nadętej, pełnej wyższości miny nielubianej kobiety, przerzucały się złośliwymi spekulacjami, gdzie też Irena może tak długo przebywać.

Alarm podniesiono dopiero jakiś czas później, gdy dyżurująca pielęgniarka przyniosła wieczorne dawki leków. Odkryła wówczas, że w kieliszku Kordy nadal leżą poranne pigułki, i zapytała pacjentki, gdzie podziewa się ich koleżanka. Na wieść, że tego dnia w ogóle jej nie widziały, Zuzanna Drohomirska najpierw zdenerwowanym tonem wygłosiła prawdziwą tyradę o znieczulicy, egoizmie i nieodpowiedzialności i dopiero po ich rozżalonych, a także oburzonych minach zorientowała się, że kieruje pretensje pod niewłaściwym adresem. Nie do nich należało pilnowanie pacjentów, a dodatkowo Irena Korda sama sobie zawdzięczała brak troski o jej losy. Drohomirska przeprosiła urażone kobiety i poszła zadzwonić do ordynatorki, a później zgodnie z poleceniem tej ostatniej powiadomiła policję.

Przyjmujący zgłoszenie funkcjonariusz nie miał najmniejszych wątpliwości, że sprawą powinien się zająć Jakub Zapata. Co prawda zniknięcie pacjentki mogło mieć teoretycznie całkiem inne, być może nawet dość banalne przyczyny, jednak w obliczu dwóch zabójstw dokonanych niedawno w tym właśnie szpitalu należało brać pod uwagę najczarniejszy scenariusz. Nie bardzo chciało mu się wierzyć, że w niedużej miejscowości uaktywnił się nagle seryjny morderca, ale kto wie? W każdym razie Zapata wiedział już, z kim ma do czynienia, uznał zatem powierzenie mu śledztwa za optymalne rozwiązanie.

Diego zaczął od rozmowy ze współlokatorkami Kordy, niestety przyniosła mu ona jedynie rozczarowanie. Zaginiona swoim odstręczającym zachowaniem do tego stopnia zraziła je do siebie, że nie chciały mieć z nią nic wspólnego. W związku z tym o nic nie pytały i nie interesowały się jej poczynaniami, dlatego nie wiedziały nawet, czy ma jakąś rodzinę, a o wrogach w ogóle nie mogło być mowy.

Nieco więcej wyniósł z rozpytania pielęgniarki, lecz to, co usłyszał, całkiem go zmroziło. Czyżby zaufał niewłaściwej osobie? Nie, to niemożliwe – powtarzał w myślach i postanowił rozmówić się natychmiast z Dionizą. *Muszę poznać jej wersję, wtedy ocenię, czy powinienem podejrzewać, że brała udział w zniknięciu Kordy.*

Wyglądało na to, że informacja o zaginięciu pacjentki kompletnie Remańską zaskoczyła. Ujrzał też, że na twarzy odmalowała się troska.

– Nie wiedziałam, że zniknęła. Od rana leje, więc nie opuszczaliśmy z Violką pokoju, tyle co do toalety. Cholera jasna! Nie znoszę tej baby, ale to nie znaczy... – Urwała i potrząsnęła głową, jakby chciała się uwolnić od niechcianych myśli.

– Podobno doszło między wami do różnicy zdań – zaczął ostrożnie.

Nie chciał dociekać prawdy zbyt obcesowo, by się nie domyśliła, jak wiele sobie obiecuje po odpowiedzi. Dyplomacja jednak nie zdała się na nic. Dioniza najwyraźniej od razu go przejrzała, popatrzyła bowiem z ewidentną kpina.

– Rozmawiałeś z Drohomirską, więc dobrze wiesz, że nie była to żadna różnica zdań, tylko napaść słowna z jej strony. Nie miałam z nią wcześniej żadnego kontaktu oprócz tego, że czasami mijałyśmy się na korytarzu czy na zabiegach, dlatego nie potrafiłam zrozumieć, czemu nagle mnie zaatakowała. Ale potem...

– Zaczekaj – przerwał jej dość obcesowo. – Najpierw chcę poznać przebieg zajścia.

– Skonfrontowanie zeznań, co? Nie ma sprawy, to żadna tajemnica, mogę opowiedzieć nawet o tym, jak wyglądał finał, bo tego Drohomirska z pewnością ci nie zrelekcjonowała. Wyszła wcześniej, więc



zakończenie ją ominęło.

Słuchając sprawozdania, komisarz nie okazał żadnych emocji i odezwał się dopiero wtedy, gdy zamilkła.

– Drohomirska wtedy zawróciła, bo przypomniała sobie, że miała poinformować Kordę o jakimś zaleceniu lekarza. Kiedy jednak usłyszała twoje groźby, wycofała się, żeby w razie czego nie być wzywana do sądu jako świadek.

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy Dioniza okazała podenerwowanie.

– Chcesz powiedzieć, że zeznała coś innego? Że przedstawiony przez nią przebieg wydarzeń różni się od mojego? W takim razie...

Zapata uniósł dłoń, by powstrzymać potok słów.

– Spokojnie. Jej relacja jest identyczna z twoją. Sorry, ale musiałem cię sprawdzić. Drohomirska była pewna, że jej nie widziałaś, więc założyłem...

– Że nie przyznam się do pogroźek, jeżeli coś jej zrobiłam. Dzięki pięknie! – Popatrzyła z urazą, ale prawie natychmiast jej wzrok złagodniał, kąciki ust drgnęły w zapowiedzi uśmiechu. – Przez chwilę miałam ochotę cię rozszarpać, ale już mi przeszło, bo na twoim miejscu zachowałabym się tak samo. Musiałeś sprawdzić.

– Musiałem. – Odwzajemnił uśmiech, lecz zaraz spochmurniał. – Masz może pomysł, gdzie mogła się podziąć?

– Chodź szybko, Diego, musisz to zobaczyć – odezwał się naraz od drzwi jeden z przybyłych wraz z Zapatą funkcjonariuszy.

Obejrzeni się, zaintrygowani nie tyle słowami, ile dziwnie zdławionym głosem policjanta. Na niemal chłopięcej twarzy młodego mężczyzny ciągle jeszcze widniał grymas szoku, cera przybrała zielonkawy odcień.

Komisarz zaklął. Wygląd starszego posterunkowego mógł oznaczać tylko jedno – Irena Korda została odnaleziona. Przeprósł Remańską i wyszedł, a ona wykorzystała jego nieuwagę i podążyła w ślad za nimi, o czym zorientował się dopiero po wejściu do niedużego pokoju. Prowadzące do niego drzwi znajdowały się na samym końcu sali ćwiczeń, przez co pomieszczenie było odizolowane od korytarza.

– Nie powinnaś tu wchodzić...

Urwał i machnął ręką, wpatrzony w niecodzienny widok. Na nieznanym mu ani z nazwy, ani przeznaczenia urzędzeniu, kojarzącym mu się wyglądem z szubienicą, ktoś powiesił ciało Ireny Kordy. Odstonięte części ciała denatki pokrywały liczne rany i krwaki, w oczach zastygł wyraz przerażenia, lecz nie to wywołało szok u obserwatorów. Spowodował go złośliwy uśmiech na twarzy Kordy.

– Co to ma, kurwa, być? – rzucił w przestrzeń drugi z mundurowych. Nigdy jeszcze się nie spotkał z czymś podobnym. – Ona się z nas śmieje?

Pytanie zaliczało się raczej do retorycznych, dlatego komisarz je zignorował, zareagowała natomiast Dioniza. Jeszcze raz przyjrzała się temu upiornemu wykrzywieniu warg, potem odpowiedziała z głębokim przekonaniem:

– Na pewno nie z nas. Moim zdaniem ten uśmiech był przeznaczony dla zabójcy.

– Jak to? – zdziwił się policjant. – Skąd pani wie?

Popatrzył podejrzliwie. Diona cicho westchnęła, zdołała jednak powściągnąć zniecierpliwienie i wyjaśniła spokojnie:

– Nie wiem, ale się domyślam. Te obrażenia nie powstały przecież w jednej chwili. Uważam, że sprawca świetnie się bawił i pewnie miał zamiar przedłużać tortury w nieskończoność. Korda wiedziała o tym, dlatego postanowiła mu się wymknąć.

Przysłuchujący im się niezbyt uważnie Zapata dopiero teraz okazał zainteresowanie. Oderwał wzrok od ciała i przeniósł go na Remańską.

– Wiedziała, że i tak umrze, dlatego go sprowokowała, żeby wpaść w szal i zabił ją szybciej? Mogło tak być. Ale pewności nie ma, wcale nie musiał torturować jej dla przyjemności, może tylko chciał uzyskać jakieś informacje.

– Niewykluczone – przyznała po namyśle. – Oszczędzał jej twarz, więc jest to bardzo prawdopodobne. Jednak powód uśmiechu pozostaje ten sam.

Komisarz przyznał jej rację, po czym ponownie zerknął na ciało.

– Co to jest? To, na czym ona wisi?

– Nie mam pojęcia, jak brzmi fachowa nazwa. Wszyscy mówią na to hur, pewnie dlatego, że takie słowo widnieje na jednej ze ścian słupa.

Zapata okrążył urządzenie i przekonał się, że rzeczywiście na jednym z boków kwadratowej kolumny figurowały litery składające się na napis „HUR”.

– Niech będzie hur – mruknął. – Do czego toto służy?

Dionę korciło, by odpowiedzieć „do rehabilitacji”, na szczęście zdążyła ugryźć się w język. To nie była dobra pora do przekomarzań.

– Jest wielofunkcyjny, bo możesz ćwiczyć na nim różne części ciała. Stopy, uda, ręce, barki... Tu regulujesz napięcie linki, a tutaj jej wysokość. Tyle ja wiem, a o resztę musisz spytać kogoś z fizjoterapeutów.

– Okej, w sumie to najmniej istotne. Teraz lepiej już idź, żeby nie było, że wpuściłem osoby postronne na miejsce zbrodni.

Nie zamierzała przysparzać komisarzowi kłopotów. Wolno ruszyła w stronę drzwi, lecz zanim wyszła, zrobiła jeszcze telefonem kilka zdjęć, żeby mieć pewność, że nie umknie jej żaden szczegół. Idąc w stronę schodów, rozmyślała o tym, kim kiedyś była Irena Korda. Czy mogło to mieć znaczenie dla śledztwa? Decyzja należała do Zapaty.

## Rozdział 17

### Ramos i jego żona

20 września 2020

Zbliżała się już dwudziesta, gdy komisarz zapukał do pokoju Dionizy. W przeciwieństwie do Violetty, zakopanej w pościeli z książką w ręce, Remańska siedziała przy stole w pełni ubrana i widać było, że oczekiwała jego wizyty. Nie zdążył nawet się przywitać, gdyż ledwo przekroczył próg, już zaproponowała wyjście na papierosa, a gdy tylko usiedli na ławce w sporym oddaleniu od uliczki, zasypała go gradem słów.

– Nie chciałam mówić przy Violce, a tutaj nikt nas nie podsłucha. Przerwałeś mi przedtem, a ja chyba wiem, czemu Korda zrobiła wtedy tę awanturę. Do cholery, Diego! Tu nie chodzi o żadną babską zawiść o faceta albo o nowy ciuch, bo zdaje się, coś takiego sobie pomyślałeś! To ważne, bo może mieć związek z jej zamordowaniem – wyjaśniła szybko na widok niezbyt zachęcającej miny policjanta.

Nadal nieprzekonany Zapata popatrzył z wyraźną niechęcią.

– Tylko się streszczaj, bo nie mam czasu.

Ku jego zaskoczeniu zaczęła od zapytania.

– Słyszałeś kiedyś o Ramosie?

Skinął wolno głową, zastanawiając się jednocześnie, co wspólnego z wyniosłą, zarozumiałą kobietą, jaką była Irena Korda, mógł mieć drobny osiedlowy złodziejaszek. Ramos... Jak się ten gangus nazywał? Nie miał pojęcia. Ramos działał w jednej z dzielnic Bielska-Białej, podlegającej pod inny komisariat, dlatego Zapata nigdy nie miał z nim do czynienia, a przewisko znał wyłącznie z opowiadania kolegi, który prowadził tę sprawę.

– Słyszeć słyszałem, ale to wszystko. Jeśli w ogóle mówimy o tym samym gostku. Obrabiał kwadraty w Komorowicach, wpadł jakieś pięć lat temu. Dochodzeniem zajmował się Dziuba z czwórki. To ten Ramos?

– Ten sam – odpowiedziała zwięźle Diona.

W oczach komisarza błysnęło niedowierzanie.

– Chcesz powiedzieć, że coś ich łączyło? Moim zdaniem nie masz racji, Korda nie wygląda mi na kobietę zadającą się z byle patusem. Nie ta sfera.

Remańska dość długo wpatrywała się w niego z nieodgadnioną miną, wreszcie odpowiedziała:

– Radosław Mosakowski kiedyś faktycznie był małym cwaniaczkiem, ale pod celą go wyedukowano i teraz jest wielkim cwaniakiem. Załatwił sobie warunek, a po wyjściu z więzienia stał się w Bielsku człowiekiem numer jeden. To już nie jest ten sam Ramos.

– W porządku – mruknął policjant ze zniechęceniem, uświadomiwszy sobie, że informacja o bielskim gangsterze, jakkolwiek interesująca, w żaden sposób nie rozwiązuje problemu zabójstwa kolejnej pacjentki. – Niech ci będzie, że Ramos urósł. Tylko jeżeli nawet ta informacja jest prawdziwa, co mi to daje?

– Nie patrz tak na mnie! – oburzyła się Diona. – Nie pociskam ci żadnej maniany, po prostu przypomniałam sobie, że miałam do czynienia z Kordą, kiedy służyłam w policji. Nie zatrybiłam od razu, bo wtedy nie nazywała się Korda, tylko Mosakowska.

– O kurwa! To jakaś rodzina?

Dioniza posłała mu krzywy uśmiech.

– O ile byłą żonę można nazwać rodziną.

W oczach Zapaty pojawił się błysk podekscytowania – znak, że policjant uznał tę wiadomość za godną uwagi.

– Uważasz, że Mosakowski mógł mieć na tyle duże kwasy z byłą, że postanowił ją załatwić? Kto wie? – W zamyśleniu przegarnął dłonią włosy. – Zaraz zadzwonię do kumpla z CBS i zapytam, czy mogę go przesłuchać. Bo Ramos to teraz chyba ich działka, jeżeli zrobił się z niego wielki gangster, a nie chciałbym popsuć im roboty.

– Najpierw może ci opowiem, co mi wiadomo o Kordzie, a potem zdecydujesz – odpowiedziała dość asekuracyjnie. – Bo małżeństwo z gangusem to nie jedyna czarna plama na życiorysie niby takiej kryształowej pani Ireny.

– Może być jeszcze coś gorszego?

– Na przykład to, że to właśnie ona doniosła na Mosakowskiego, a kiedy wylądował w pierdlu, szybko wystąpiła o rozwód. Jako powód podała, że nie miała pojęcia o jego przestępczej działalności, a będąc kobietą na wskroś uczciwą, nie może żyć z kimś takim. Brzydzi się nawet nosić jego nazwisko.

Zapata pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś uprzedzona? Przecież nie siedziałaś jej w głowie, mogło faktycznie tak być.

– Nie jestem i nie było – warknęła gniewnie. – Nazwisko ją brzydziło, ale pieniądze już nie? Wybacz, Diego, ale dla mnie to była jedna wielka ściema, baba po prostu wymyśliła świetny sposób, żeby go wydoić.

To radykalnie zmieniało postać rzeczy, szanujący się gangster nie puściłby płazem podobnej przewiny, potraktowałby postępowanie żony jako plamę na honorze. Komisarz zdecydował, że koniecznie jeszcze dzisiaj musi porozmawiać z kolegą z CBS.

Uścisnął z wdzięcznością ramię Diony.

– Dzięki. Może rzeczywiście Ramos doszedł do wniosku, że taką zniewagę może zmyć jedynie krwią.

Zamierzał wstać, pewny, że to koniec rewelacji, tymczasem Remańska wcale nie wyczerpała tematu przeszłości byłej żony Mosakowskiego.

– Wiesz, ona od początku wydawała mi się znajoma, ale nazwisko brzmiało całkiem obco, dlatego uznałam, że mam zwidy.

– Pewnie wróciła do panińskiego – stwierdził obojętnie. – Wiele kobiet decyduje się na takie rozwiązanie, zwłaszcza jeśli chcą się całkowicie odciąć od dawnego życia. A w jej przypadku było to dodatkowym potwierdzeniem, że nie kłamała, mówiąc, że brzydzi się działalnością Ramosa i nie chce mieć z eksmężem nic wspólnego.

– Wcale nie twierdzę, że było inaczej. Problem w tym, że nazwisko Korda z nikim mi się nie kojarzyło, a byłam pewna...

– Że ją skądś znasz – przerwał jej, wchodząc w słowo. – Już to mówiłaś. Nie za wcześnie na demencję w tak młodym wieku?

Uśmiechnęła się złośliwie, a Diona pomyślała, że gdyby nie Ogiński, mogłaby się zakochać w tym szorstkim, niepokornym komisarzu, a potem pewnie pozabijaliby się wzajemnie. Na tę myśl ona także się uśmiechnęła.

– Ty za to chorujesz na jawiemlepiejozę. Cierpiący na tę jednostkę chorobową są przeświadczeni, że wiedzą doskonale, co myślą inni, choć tak naprawdę nie wiedzą nic.

Zapata uniósł brwi, lecz nie podjął tematu, wrócił natomiast do poprzedniego:

– Co z tą Kordą?

– No właśnie. – Ona także porzuciła słowne przepychanki. – Byłam pewna, że znałam tę kobietę, gdy jeszcze nie była mężatką, ale wtedy na pewno nie nosiła nazwiska Korda. Nie dawało mi to spokoju, dlatego kilka dni temu zadzwoniłam do kumpla z mojego byłego komisariatu i sprawa się wyjaśniła.

Diona wysupłała papierosa z pudełka i pstryknęła zapalniczką. Policjant obserwował ją z ponurą miną, wreszcie nie wytrzymał.

– Nienawidzę, kiedy ktoś coś mówi i nagle ni z gruszki, ni z pietruszki robi przerwę, żeby podnieść napięcie. Zawsze wtedy mam ochotę go zostawić i iść sobie w cholerę, nich sam sobie opowiada te rewelacje.

– Ja też tego nie znoszę. Dlatego nigdy tak nie robię. Teraz przerwałam, bo byłam pewna, że wiesz, co chciałam powiedzieć.

Na widok jej usatysfakcjonowanej miny komisarz najpierw zaklął, później zaś ogłosił kapitulację.

– Należało mi się – przyznał pogodnie. – Możesz dokończyć?

Skinęła tylko głową.

– Przed zamążpójściem Irena Korda nosiła nazwisko Korytko i posługiwała się drugim imieniem, dlatego klienci znali ją jako Irminę. Mówiąc otwarcie, była prostytutką. Nie widziałabym w tym nic złego, tylko że panna Korytko bardzo lubiła przywłaszczać sobie rzeczy jej klientów, a tym, którzy ośmielili się zgłosić kradzież na policji, groziła szantażem, jeśli nie wycofają skargi. Twierdziła, że nagrywała ich spotkania i nie zawaha się wysłać tych filmików żonie lub przełożonemu albo upubliczni je w internecie.

– Faktycznie miała takie nagrania?

– Prawdopodobnie tak, bo znalazł się tylko jeden odważny, choć okradzionych ponoć było całkiem sporo. On zresztą też tak twierdził i dodał, że w przeciwieństwie do niego tamci mieli zbyt dużo do stracenia. Kawaler bez stałej partnerki, był właścicielem doskonale prosperującej siłowni, którą odwiedzali głównie kipiący testosteronem mężczyźni, więc, jak zeznał, miał w dupie opinię publiczną. Złożył zawiadomienie o kradzieży i latało mu koło pióra, czy nagranie zostanie opublikowane.

– Opublikowała? – zaciekawił się policjant.

– Chyba nie zdążyła, bo chłopaki z czwórki zrobili jej wjazd na chatę i zabezpieczyli sprzęt komputerowy oraz jakieś fanty. Nie wiem dokładnie, co to było, dopiero od niedawna służyłam w policji, więc nikt mi się specjalnie nie zwierzał, sprawę znałam na tyle, ile udało mi się wywnioskować z opowieści kolegów. Z tego, co słyszałam, Korytko dostała wtedy zawiasy, ale biznes szlag trafił, bo po Bielsku rozeszła się fama, że baba jest złodziejką. Za to wiem na pewno, że właśnie wtedy spiknęła się z Ramosem, byłam tam na interwencji, kiedy zbyt głośno świętowali jakąś okazję. Pamiętam ją doskonale, bo była wytworna i elegancka, i pomyślałam sobie nawet, że Mosakowski pasuje do niej jak pięść do oka.

Zapata zadumał się nad opowieścią Diony.

– Jeżeli babka lubiła wymuszenia, istnieje możliwość, że pechowo dla siebie wybrała złego adresata. Zobaczmy, co znajdziemy w jej domu. Na razie dziękuję. A ze Ślicznym pogadam jutro, bo jeśli gość zbierał na wszystkich haki, może mieć do powiedzenia dużo ciekawych rzeczy, nie tylko o tej pielęgniarce.

## 21 września 2020

Nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej, ba, nie wykazywała nawet śladu podenerwowania tak charakterystycznego dla ludzi przesłuchiwanym przez policję. Ogólnie rzecz biorąc, Krystyna Strega wyglądała na całkowicie zrelaksowaną. Jednak błędne po pokoju spojrzenie, zatrzymujące się niby od niechcenia na twarzy komisarza, powiedziało mu, że jest to spokój tylko pozorny. Było zbyt czujne, by dać się nabrać.

Mimo tego poczuł podziw dla jej umiejętności opanowania emocji. Nie mogła mieć więcej jak dwadzieścia pięć lat, skąd więc aż taka samokontrola? Wiedział wszak z własnego doświadczenia, że wypracowuje się ją latami, a i to nie zawsze kończy się sukcesem. Najbardziej pomagała w tym przeżyta trauma, gdyż doświadczona nią osoby automatycznie starały się utworzyć wokół siebie tarczę ochronną, by odseparować się od innych.

– Proszę mi opowiedzieć o pani relacjach z Filipem Ślicznym – zaczął, gdy na ekranie wyświetlił się stosowny formularz.

Krystyna wzdrgnęła się ledwie zauważalnie, potem obdarzyła go leciutkim, nieśmiałym uśmiechem.

– Nie łączą mnie z Filipem żadne relacje. Po prostu pracujemy w tym samym szpitalu. Czasem mijamy się na korytarzu albo na parkingu, a wtedy mówimy sobie „cześć”. To tyle. Nie wiem nawet, czy ma jakąś rodzinę.

– Jasne – mruknął Zapata. – Choć trochę to dziwne, że dwoje ludzi mniej więcej w tym samym wieku prawie się nie zna, choć spotykają się codziennie.

– Po pierwsze wcale nie codziennie – zaperzyła się Strega, potwierdzając tym samym opinię policjanta o pozorności jej spokoju. – Oboje pracujemy na zmiany, przez co możemy nawet cały miesiąc przebywać w szpitalu o różnych porach. Po drugie każde z nas ma swoje obowiązki i nie ma czasu łączyć po innych piętrach.

– To ciekawe – przerwał jej komisarz. – Bo z tego, co zeznali inni, widziano panią ostatnio na innym piętrze, a właściwie na parterze, obok pomieszczenia do hydroterapii. W dodatku było to w czasie, kiedy

ktos utopił Ige Pokrzywę. Jak pani to wytłumaczy?

Krystyna pobladła, lecz w jej oczach Zapata nie ujrzał strachu, tylko wściekłość.

– Co za menda na mnie doniosła?!

Okrzyk świadczył o podenerwowaniu, jednak nadal nad sobą panowała, dlatego komisarz skłamał bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Musiał skruszyć otaczający ją mur i dotrzeć do prawdziwej Stregi.

– Powiedzmy, że była to informacja anonimowa, jednak wszystko wskazuje, że donos napisał właśnie Filip Śliczny.

– To niemożliwe – zaprzeczyła żywo. – To dupek, ale głupi nie jest, dobrze wie, że w ten sposób straciłby okazję do szanta...

Urwała nagle i znowu zbladła, dłonie spoczywające dotąd spokojnie na blacie biurka zadrżały, a gdy zerknęła na policjanta, zobaczył wyraźnie popłoch w jej oczach. I nie tylko, towarzyszyły mu upokorzenie i łzy. Udał, że niczego nie zauważył, i kontynuował przesłuchanie. Musiał dowiedzieć się prawdy, choćby miał przy tym złamać tę dziewczynę. Trudno. Prawda wymaga ofiar, a Strega sama będzie sobie winna. Mogła od razu powiedzieć prawdę, wówczas ta rozmowa w ogóle nie miałaby miejsca.

– Chciała pani powiedzieć „do szantażu”, tak?

Krystyna milczała.

– Tak czy nie?! – ryknął na całe gardło.

Skuliła się w sobie, lecz odpowiedziała hardo:

– Nie wiem nic o żadnym szantażu.

– Dobrze ci radzę, nie pogrywaj ze mną! – Celowo skrócił dystans. – Nie tacy jak ty udawali w tym pokoju nieugiętych i niezłomnych, a potem płakali jak dzieci i mówili tak szybko, że nie nadążałem notować.

– Nie wolno wam bić przesłuchiwanym, to jest karalne! Nie dam się zastraszyć! – wrzasnęła, dodając sobie tym odwagi. – Jeżeli mnie pan uderzy, pójdę do prokuratury i do sądu. Narobię takiego szumu, że raz-dwa wyleci pan z policji na zbity pysk.

Zaimponowała mu, nie mógł jednak tego okazać, musiał nadal grać rolę brutalnego gliny. Na szczęście w przeciwieństwie do Stregi opanował zachowanie samokontroli do perfekcji, nie krzyczał dlatego, że puściły mu nerwy.

– Złożysz na mnie skargę? Naprawdę? A skąd weźmiesz dowody?

– Zrobię obdukcję, a wtedy się pan nie wywinie. Poza tym są nagrania.

Spojrzała z triumfem na umocowaną pod sufitem kamerę, na co odpowiedział pobłażliwym uśmiechem.

– Oj, dziewczynko, na jakim świecie ty żyjesz? – Westchnął z wyraźnie fałszywym ubolewaniem i wyjaśnił: – Nasze kamery to szajs, ciągle się psują. A co do bicia, to nie wiesz, że można uderzać tak, żeby nie zostawiać żadnych śladów? A zapewniam cię, że boli tak samo, jeśli nie mocniej. To co, porozmawiamy szczerze? – zakończył, ujrawszy na jej twarzy przerażenie, którego nie umiała już ukryć.

Samokontrola prysnęła, a wtedy chroniąca dziewczynę tarcza rozsypała się w pył i odsłoniła czysty, pierwotny strach.

– Śliczny nas szantażuje – wymamrotała niewyraźnie drżącymi wargami. – Nie wiem, jak z lekarzami, ale na pewno ma haki na nas i na fizjoterapeutów. Zbiera je, a potem żąda pieniędzy albo... – Zawahała się, lecz na widok ponaglającego, pełnego zniecierpliwienia gestu, przemagając opór, dokończyła: – Albo seksu.

Jak dotąd to, co mówiła, pokrywało się ze słowami Dionizy i Ratiera, z którym Zapata rozmawiał wcześniej, komisarz wiedział więc, że Krystyna nie kłamie. Żałował teraz, że nie dał Ślicznemu porządnej nauczki, a jedynie go „pogłaskał”.

– Czego chciał od ciebie? – spytał tak obojętnie, jakby nie miało to dla niego żadnego znaczenia. – Szmalu czy seksu?

– Seksu. – Głos brzmiał tak cicho, że Zapata musiał zażądać, żeby powtórzyła. – Pierdolony zboczeniec – wybuchnęła nagle. – Uwziął się na mnie, bo ani razu się nie ugięłam i jeszcze wyśmiałam go publicznie.

– Nie bałaś się kompromitacji? Co miał na ciebie?

Niespodziewanie Krystyna się uśmiechnęła.

– Same pierdoły. Zdjęcia, jak palę w kiblu, jak siedzę na motocyklu i piję wódkę z gwinta i jak się obściskuję z chłopakiem w parku. Powiedziałam mu, że może sobie rozwiesić te foty po całych

Klonowicach, bo ja mam je w dupie. Co mi ktoś mógł zrobić? Z pracy by mnie za palenie nie wyrzucono, a rodzina... – Twarz dziewczyny wykrzywiła się w ponurym grymasie. – Debil jeden. Gdyby sprawdził, w jakich warunkach się wychowałam, nie straszylby mnie skompromitowaniem przed rodziną, bo dla patoli picie z gwinta to żaden wyczyn.

Popatrzyła wyzywająco, lecz Zapata w żaden sposób nie okazał, czy jej słowa w ogóle go obeszły. Zapisał coś w komputerze i wrócił do zadawania pytań.

– O co chodziło w tym zajściu obok budynku? Czemu zaatakował twojego chłopaka?

Ku zaskoczeniu komisarza Krystyna najpierw się zarumieniła, nim zaczęła żarliwą mowę obrończą.

– Ratio nie jest... Nieważne. Śliczny miał z nim kwas, bo po śmierci tej pierwszej pacjentki znowu chciał mnie szantażować, a wtedy Medard go walnął. Filip jest mściwy, tam na trawniku wystartował do Ratia z młotkiem i się wystraszyłam, że mu coś zrobi. Nie wiedziałam, że Ratio umie się bić, dlatego...

Przerwał ten chaotyczny potok słów pytaniem o najważniejsze:

– Jakiego haka tym razem miał na ciebie?

– Przecież pan wie. To, co było w donosie. Że mnie widział na parterze wtedy, kiedy zamordowano panią Pokrzywę.

Zwiesiła głowę na piersi. Wola walki zniknęła i Strega wyglądała teraz jak kupka nieszczęścia, gdy tak siedziała ze zrezygnowaną miną. Zapata jednak nie zamierzał okazać jej litości, choć domniemywał, dlaczego z takim uporem broniła się przed powiedzeniem prawdy. Policja nie jest od użalania się nad obywatelami.

– Co tam robiłaś?

– Wracalam na oddział.

– Nie pogrywaj ze mną – powtórzył ostrzeżenie. – Radzę dla twojego dobra. Masz odpowiadać wyczerpująco albo powędrujesz na dołek.

Popatrzyła bezradnie, z rozpaczą.

– Ale ja naprawdę nic nie zrobiłam – broniła się ze łzami w oczach. – Wysłałam tylko przez przewiązkę, żeby zapalić, ale nie mogłam tamtędy wrócić, bo koło windy stał Baumgardt, a on jest cholernie cięty na palaczy. Nie chciałam słuchać jego przynudzania, dlatego poszłam do pomocniczego wejścia.

– Czemu nie do głównego? – spytał podejrzliwie, gdyż ta właśnie kwestia nie dawała mu spokoju. Tymczasem wyjaśnienie okazało się banalnie proste.

– Bo jest bliżej, a ja miałam niewygodne buty. Kupiłam sobie nowe, skusiłam się, bo były tanie, no i się okazało, że przysłowia mówią prawdę. Tanie mięso psi jedzą. Narobiły mi tyle odcisków, że głowa mała, aż koleżanka musiała mi nałożyć opatrunki.

Zapisał w pamięci, że musi to sprawdzić.

– Czemu od razu tego nie powiedziałaś, tylko zeznałaś nieprawdę? Nie wiesz, że za takie coś można dostać wyrok?

Obojętnie wzduszyła ramionami.

– I tak dostanę, więc co mi za różnica. Mogło się udać. Co się pan tak patrzy?! – wrzasnęła nagle. – Na pewno robiliście wywiad na mój temat i wiecie, jak to jest z moją rodziną. Wcale się wam nie dziwię, na waszym miejscu też bym tak pomyślała.

Tym razem Zapata nie zdołał ukryć zdziwienia. Kompletnie nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Oczywiście sprawdził jej stosunki rodzinne, stąd wiedział, że ojciec Krystyny odsiaduje wyrok za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, matka zaś za usiłowanie zabójstwa własnej córki. Przedtem założył, że jej milczenie wynikało ze wstydu za rodziców, wyglądało jednak na to, że sprawa jest bardziej złożona.

– O czym niby pomyśleliśmy? Możesz mi to wyjaśnić? – dociekał z uporem. – Bo nic z tego nie rozumiem.

– Niech pan nie udaje naiwniaka! – wykrzyknęła w desperacji. – Wszyscy wiedzą, jak wygląda prawda, tylko na filmach gliniarze nie jedzą i nie śpią, kiedy polują na mordercę, bo nie chcą tracić czasu. A tak naprawdę idziecie po linii najmniejszego oporu i wsadzacie pierwszego lepszego. Jak Komendę.

Przetarł palcami zmęczone oczy i popatrzył ze znużeniem na dziewczynę. Po ostatnim wybuchu zamilkła i tylko wodziła pełnymi obawy oczami za jego rękami, jakby w oczekiwaniu, że w każdej chwili mogą zadać jej ból.

– Wiesz co, Krystyna? Myślałem, że jesteś mądrzejsza. Ile mogło być takich jak Komenda? Stu, dwustu na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat? Niechby nawet tysiąc, to jak to się ma do ogólnej liczby

skazanych na karę więzienia w tym okresie? Rocznie jest ich około dwustu tysięcy, więc sama sobie policz, jaki procent stanowią niesłusznie skazani.

– Ale tacy są i podejrzewam, że mają w dupie statystykę i procenty! – upierała się przy swoim. – Tak jak ja. Bo dobrze wiem, że jestem idealną kandydatką na podejrzaną. Mam zabijanie we krwi, to się nazywa uwarunkowanie genetyczne!

Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał, a jeszcze bardziej w to, że inteligenta skądinąd dziewczyna może wygadywać takie brednie.

– To się nazywa kompletne zidiocenie! – wrzasnął, tracąc całe opanowanie, którym tak się szczycił. – Dawno nie słyszałem większych głupot. Jeżeli naprawdę uważasz, że chcę cię wsadzić za zabójstwo dlatego, że dziesięć lat temu twojej matce odwaliło i chciała cię zadźgać, to sorry, ale chyba cię całkiem pojechało.

Uniosła głowę i wytarła wierzchem dłoni mokre policzki. W zamglonych łzami oczach pojawiło się zdziwienie i błysk nadziei.

– Pan mnie... Pan mnie puści?

– Przecież cię nie trzymam – odburknął, po czym z pewnym wahaniem spytał: – Ta rodzina zastępcza, do której trafiłaś... Jacy są ci ludzie? Dobrze cię traktowali?

Krystyna jakiś czas milczała pogrążona w zadumie, widocznie odpowiedź nie była oczywista, wymagała przemyślenia.

– Właściwie byli dobrzy. Nie bili mnie i nigdy nie chodziłam głodna. Kupowali mi ładne ubrania, dawali kieszonkowe i wysłali na studia. Nie powinnam narzekać, wielu prawdziwych rodziców nie robi tyle dla swoich dzieci.

– Ale? – spytał policjant łagodnie. – Bo jest jakieś ale, prawda?

– Ale przy tym wszystkim ani na chwilę nie pozwolili mi zapomnieć, kim jestem – wybuchnęła, a długo tłumiony żal, wreszcie ubrany w słowa, wylewał się z niej niczym woda z pękniętej tamy. – Ciągłe się modlili, żebym nie poszła w ślady matki, a kiedy rozkwaśiłam nos chłopakowi, który mnie obmacywał, przeprosili go zamiast stanąć po mojej stronie. Powiedzieli, że nie wiedziałam, co robię, ale to nie moja wina, bo widocznie odziedziczyłam po ojcu skłonność do agresji. Powtarzali to zresztą już wcześniej, za każdym razem, kiedy byłam na nich o coś wściekła. A przecież takie zachowanie jest chyba normalne u nastolatków?

Popatrzyła na Zapatę takim wzrokiem, jakby od jego odpowiedzi miało zależeć jej życie, więc szybko przytaknęła, zapisując sobie jednocześnie w pamięci, że w najbliższym czasie koniecznie musi udać się do tych ludzi i powiedzieć, co myśli o ich sposobie wychowywania naznaczonej traumą dziewczyny.

– Po studiach już do nich nie wróciłaś, prawda? To dobrze, nie zasłużyli na taką córkę, a tobie na pewno jest lepiej mieszkać samej.

Skrzywiła się lekko.

– Wolałabym mieszkać sama, niestety mnie nie stać. Wie pan, ile zarabia młoda pielęgniarka? Wynajmuję mieszkanie do spółki z dwiema dziewczynami.

Pokiwał głową i podsunął jej protokół. Przeczytała uważnie, podpisała, potem zerknęła spod oka na policjanta, który teraz wydawał jej się całkiem niegroźny, choć jeszcze niedawno przerażał ją do szaleństwa.

– Naprawdę mogę sobie pójść? A te fałszywe zeznania?

Popatrzył na nią z niemal autentycznym zdumieniem.

– Jakie znowu fałszywe zeznania? Nie zwracaj mi głowy. Idź sobie, nie widzisz, że mam dużo roboty?

Poderwała się z krzesła niczym spłoszony ptak i niemal pofrunęła do drzwi. Tam przystanęła i z ręką na klamce odwróciła się w stronę Zapaty.

– Dziękuję, panie komisarzu. Z pana jest całkiem równy gość, kiedy zapomni pan udawać złego glinę.

– Roześmiała się na widok zaskoczenia, którego nie zdołał ukryć, i dodała już poważnie: – Tamta fota z flaszką to było dla jajec, ten motocykl od dawna nie jest na chodzie. Mówię to, żeby pan nie myślał, że jeżdżę z hektopaskalami we krwi.

Po tych słowach zniknęła za drzwiami, a Zapata przez dobre pół godziny zastanawiał się nad ostatnim fragmentem wypowiedzi, nim zrozumiał, że Strega musiała śledzić posty na facebookowej grupie policyjnej. To właśnie tam jedna z członkiń grupy zamieściła komentarz, który „rozwalił system”. Post



informował o policjancie, który po spowodowaniu kolizji wydmuchał 0,8 promila, co spotkało się ze zrozumiałą krytyką.

Najwyraźniej jednak zdaniem pewnego pana należało owego funkcjonariusza nie tylko w trybie natychmiastowym wydalić ze służby, ale również pozbawić praw obywatelskich, a później wbić na pal. Tyle razy powtórzył, że policjant miał we krwi promile, że poirytowało to chyba wszystkich, ale tylko ona jedna odpowiedziała ripostą, po której obrażony na cały świat komentujący ostentacyjnie opuścił grupę. „Jeżeli stwierdzono, że był pijany, to co, kurwa, miał mieć we krwi? Hektopaskale?!”

## Rozdział 18

### Pożar

22 września 2020

Zgodnie z grafikiem we wtorek zabiegi przypadają na popołudnie, dlatego Ogiński przyjechał w odwiedziny tuż po jedenastej. Tego dnia pogoda dopisała, zdecydowali więc, że jak większość pacjentów posiedzą na ławce lub pospacerują po obszernym terenie szpitala zamiast tkwić w czterech ścianach pokoju.

Kiedy jednak wyszli na zewnątrz, Diona minęła jedyną wolną ławkę i poprowadziła narzeczonego w kierunku mocno zaniedbanego budynku, wyglądającego na opuszczony. Nieduży, zbudowany ze zrudziałych desek dom odróżniał się od nowoczesnych brył szpitala spadzistym dachem i fikuśnymi balkonikami na piętrze.

– To podobno była kiedyś pijalnia wód – objaśniła. – Teraz stoi pusty i niszczeje, a szkoda, bo jest bardzo ładny. Mam miejscówkę tam za rogiem.

Miejscówka okazała się małym drewnianym tarasem z daszkiem aż proszącym się o remont. Liczne dziury w spróchniałych gontach potwierdzały dobitnie, że kondycja budynku od dawna nikogo nie obchodziła. Z dwóch stron taras przystawał do ścian, dzięki czemu na umieszczonej w samym rogu ławce nie odczuwało się podmuchów wiatru.

Szymon zmierzył podejrzliwym wzrokiem podłogę, nim zdecydował się na niej stanąć. Widać było, że nie dowierza zapewnieniom Diony, iż niczym mu to nie zagraża.

– Ważę trochę więcej niż ty – zauważył, gdy wreszcie usiadł obok niej na ławce. – Ale miejscówka faktycznie niezła – pochwalił, gdy zobaczył stoik zaadaptowany na popielniczkę oraz kilka butelek po wódce. – To twoje?

Zerknęła na butelki i pokręciła głową.

– Absolutnie nie. Dobrze wiesz, że nie znoszę cytrynowki.

– Myślałem, że może ci się odmieniło. W końcu z Violką jakoś wytrzymujesz...

Dioniza roześmiała się serdecznie.

– Nie mam wyjścia. Ale ona nie jest wcale taka zła. Ma poczucie humoru i na szczęście nie jest obraźliwa. Kiedy mam dosyć jej paplania, mówię wprost, żeby się zamknęła, a wtedy od razu milknie i albo sięga po książkę, albo idzie do innego pokoju na plotki. Najważniejsze, że nie ogląda wiadomości na Jedynce ani żadnych nawiedzonych programów o polityce. Uwierz mi, mogłam trafić gorzej.

– Skoro tak mówisz. – Nie wyglądał na przekonanego. – Jakoś mi nie przypadła do gustu, ale na szczęście nie ja muszę z nią mieszkać.

– A ja kiedyś stąd wyjdę – zwróciła uwagę na oczywisty fakt, że pobyt w szpitalu nie będzie trwać wiecznie.

Przytaknął skinieniem, oparł się wygodnie i odetchnął pełną piersią. Jesienne powietrze pachniało świeżo skoszoną trawą, opadłymi liśćmi, dymem snującym się z kilku pobliskich kominów... i czymś jeszcze. Skrzywił się lekko, uświadomiwszy sobie, że zna doskonale tę ostatnią, niezbyt przyjemną nutę zapachową.

– Już długo sobie tutaj nie posiedzisz. Może jeszcze jutro, ale pojutrze raczej nie. Nie czujesz? Chyba w tym budynku coś zdechło.

Od wczoraj miała zapchany nos, dlatego zapachy prawie do niej nie docierały, wołała jednak się do tego nie przyznawać, bo przewrażliwiony na punkcie jej zdrowia Szymon gotów poderwać na nogi cały personel szpitala. Na wszelki wypadek kiwnęła więc głową, choć nie wyczuwała kompletnie nic.

– Pewnie kuna albo wiewiórka. Pełno ich tutaj.

– Możliwe, bo właśnie jedną widzę. – Wskazał na wysoki modrzew, gdzie wśród gęstych gałęzi przemykało zwierzątko z puchatym ogonem. – A ta pielęgniarka od Ratia? – zainteresował się nagle. – Jaka jest? Będzie coś z tego?

– A skąd ja mam to wiedzieć? Nie mam nawet pojęcia, czy są sobą zainteresowani w sensie uczuciowym, czy tylko się kumplują. – Dioniza także zapatrzyła się na czarną wiewiórkę śmigającą właśnie na sąsiednie drzewo. – Ale Krystyna jest całkiem fajna. Podoba mi się. Inteligentna, można z nią porozmawiać na różne tematy, pożartować, urody też jej nie brakuje. Na miejscu Ratia brałabym, ale on może mieć inne zdanie.

Urwała, zastanawiając się, co jeszcze mogłaby powiedzieć o młodej pielęgniarce. Ogiński wykorzystał to i upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo mogącego im przeszkodzić, przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. Ciągle pamiętał przerażające uczucie całkowitej pustki, które go ogarnęło, gdy mylnie odczytał gest lekarza. W ciągu kilku zaledwie minut oddzielających tamto zdarzenie od momentu, kiedy śmiejący się jak szalenciec Ratio dogonił go na szpitalnym parkingu i wyjaśnił nieporozumienie, Szymon zdążył nie tylko pożegnać Dionę, ale także dojść do wniosku, że bez niej nie ma po co żyć. Dlatego teraz nieustannie drżał o jej bezpieczeństwo i najchętniej nie spuszczałby narzeczonej z oka.

Ogiński był komendantem komisariatu w Jodłowcu, podlegającego komendzie powiatowej w Żywcu, komisariat w Klonowicach natomiast podlegał komendzie miejskiej w Bielsku-Białej. Z tej racji nadkomisarz nie miał pojęcia o zabójstwach na terenie szpitala, od Diony również się o nich nie dowiedział, gdyż przezornie to przed nim zataiła.

Dlatego uznał, że tutaj nic jej nie zagraża, martwił się jednak, co będzie później. Dioniza z pewnością będzie chciała wrócić do pracy detektywa, a on absolutnie nie zamierzał jej na to pozwolić, nadal jednak nie znalazł dobrego sposobu na przekonanie jej do swoich racji. Niezależność stanowiła immanentną część osobowości Remańskiej, był więc pewny, że czeka go ostra walka, w dodatku wynik potyczki niekoniecznie będzie zgodny z jego oczekiwaniem.

– Nie wiesz, co z Oksaną? – Głos Diony wyrwał go z zamyślenia. – Nie widuję jej ostatnio w pracy i trochę się już martwię, bo ten jej były mąż to naprawdę przerażający facet. Widziałam go wprawdzie tylko raz, ale wystarczy. Tatak co prawda mówił, że nic złego się nie dzieje, wiesz jednak, jacy są rodzice. Chyba myślą, że rozum też mam niesprawny.

– Wzięła kilka dni wolnego. Tak na wypadek, gdyby przyszło mu od głowy znowu ją nachodzić. Twoi rodzice bardzo ją polubili, małą Olhę też. Mówią do niej Oleńka i traktują jak wnuczkę. – Niespodziewanie parsknął śmiechem. – Patrzą teraz na mnie z wyrzutem, jakby to była moja wina, że jeszcze nie doczekali się własnej.

Wyczuła na sobie jego wzrok i zerknęła spod rzęs. Nie myliła się. Spoglądał na nią, a w jego oczach dojrzała pełne nadziei pytanie. Zamyśliła się na moment. W obecnym stanie zupełnie się nie nadawała do opieki nad niemowlęciem, ale jeśli rehabilitacja przyniesie konkretne efekty? Właściwie czemu nie?

Nie zdążyła odpowiedzieć. Niespodziewanie zerwał się wiatr tak silny, że cisnął im w twarz drobinki kurzu, a otaczające budynek srebrne świerki zaprotestowały głośnym skrzypieniem przeciwko naporowi powietrza usiłującego przygiąć je do ziemi. Zygzak błyskawicy rozdarł pociemniałe nagle niebo, zaszeleściły liście drzew, trącane coraz gęstszymi kroplami deszczu. Zakochani oderwali się od siebie i ze zdumieniem oglądali narodziny żywiołu.

– Burza? – odezwała się niebyt mądrze Dioniza, zaskoczona gwałtowną zmianą pogody. – Przecież jeszcze przed chwilą świeciło słońce.

Powiedziała to z taką pretensją, że będąc na miejscu burzowych chmur, Ogiński podkuliłby pod siebie ogon i czym prędzej czmychnął w bezpieczne miejsce.

– Lepiej wracajmy, zanim się mocniej rozpada – zaproponował, lecz Diona spokojnie sięgnęła po następnego papierosa.

– Przejdzie bokiem – oznajmiła z niezachwianą pewnością. – Nawet nie zagrzmiało, a deszcz tutaj nie doleci.

Prawdopodobnie uraziła lekceważącymi słowami dumę żywiołu, ledwie bowiem skończyła mówić, z nieba lunęły strumienie deszczu. Gwałtowny wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, unosząc w górę spadające krople i kręcąc nimi tak, że poruszały się nawet w poziomie i docierały aż do rogu tarasu i siedzących tam ludzi.

– O kurwa! – jęknęła Diona, gdy nagły podmuch rzucił jej na twarz splątane, ociekające wodą włosy. Odgarnęła je niezgrabnie lewą ręką i zamrugła, by pozbyć się osiadłej na rzęsach wilgoci przesłaniającej widoczność. – Miałeś rację.

Ogiński nie odpowiedział, tylko złapał ją za rękę i pociągnął w stronę schodków. Chciał, by Dioniza jak najszybciej znalazła się w swoim pokoju i przebrała w suchą odzież. Nie mógł dopuścić, by przemarzła, bo to, co normalnie byłoby jedynie lekkim dyskomfortem, teraz mogło poważnie zaszkodzić jej zdrowiu. Organizm Remańskiej ciągle jeszcze był wycieńczony walką o życie i według słów lekarza najbliższe przeziębienie mogło się przerodzić w poważną infekcję i nawet zapalenie płuc, a tego mogłaby nie mieć sił przeczłuć.

– Chodu! – wrzasnęła, gdy się zawahała.

Pognali naprzód, nie dbając teraz o ostrożne stawianie kroków. Gdzieś za nimi rozległ się ostry trzask pękającej deski, lecz nawet się nie obejrzeni, pędząc na przełaj przez trawniki między ścieżkami. Do drzwi dobiegli w chwili, gdy rozległ się potworny grzmot, tak głośny, że aż zadudniło im w uszach.

– Ależ pieprznięto – wydyszała Diona, opierając się ciężko o przeszkloną ścianę. – Miałam wrażenie, że ziemia się poruszyła.

Ogiński nie skomentował jej wypowiedzi, tylko zaklął głośno, nie zważając, że nie są w hallu sami. Potem wskazał kierunek, skąd przybiegli.

– Popatrz tam – powiedział dziwnie głucho.

Zerknęła i zamarła. Z drewnianego budynku wydobywały się kłęby dymu, rozjaśniane pełgającymi po dachu płomieniami.

– Piorun w niego uderzył – wyjaśnił niepotrzebnie ktoś stojący obok. – Na szczęście ta ulewa na pewno zagasi ogień.

Na myśl, że gdyby nie Szymon, zostaliby na tarasie, chcąc przeczekać burzę, Remańska zadrzała. Ogiński zauważył to i błędnie zinterpretował przyczynę.

– Chodź do pokoju, musisz się szybko przebrać.

– Nie jestem z cukru – burknęła.

Chciała się upewnić, że prognoza rychłego końca pożaru jest trafna, ale zrezygnowała, gdy niespodziewanie Szymona poparła Krystyna Strega. Pojawiła się obok nich nie wiadomo kiedy i teraz patrzyła z troską na przemoczoną pacjentkę.

– Pani Diono, to naprawdę może się źle skończyć – tłumaczyła cierpliwie jak dziecku. – Cała się pani trzęsie.

– To z nerwów – zaprotestowała Remańska. – Wcale nie jest mi zimno.

– I z nerwów podkurcza pani palce stóp? – dopytywała się Krystyna. – Naprawdę chce pani leżeć w łóżku do końca pobytu?

Dioniza skapitulowała.

– Okej, wygrała pani. Pójdę się przebrać, ale tylko dlatego, że według pani mam stopy, a nie stópki.

W oczach pielęgniarki błysnęło rozbawienie.

– Też nie cierpię stópek, nóżek, rączek i innych malusich części ciała. Fajnie, że nie jestem z tym sama.

Uśmiechnęły się porozumiewawczo, potem Diona już bez dyskusji zaczęła wchodzić po schodach. Szymon zrównał się z nią i spojrzał z nieskrywaną ciekawością:

– Chodziło o zdrobienia czy o krojenie małych dzieci na kawałki?

– O to pierwsze, więc możesz spać spokojnie. Choć szczerze mówiąc, to drugie nie jest wcale głupim rozwiązaniem. Znam kilku gówniarzy, którzy są tak wredni, że pokroiłabym ich z wielką przyjemnością.

W pokoju zastali Violetkę zapatrzoną gdzieś za okno do tego stopnia, że zauważyła ich obecność dopiero wtedy, gdy Ogiński powitał ją głośnym „dzień dobry”. Odpowiedziała machinalnie, nawet się nie odwróciwszy, po czym przywołała ich ruchem dłoni. Najwyraźniej zareagowali nie dość szybko, gdyż ponagliła niecierpliwie:

– Chodźcie prędzej!

Ponieważ z miejsca, gdzie się znajdowała, roztaczał się widok na okolicę frontu szpitala, Szymon bez trudu się domyślił, jakie rewelacje chciała im przekazać. Pożar starego budynku nie interesował go w najmniejszym stopniu, ważniejsze było zdrowie Diony, gdy więc Remańska zrobiła krok w stronę okna, przytrzymał ją za rękę.

– Pożar jak pożar, najpierw się przebierz, bo jeszcze zapalenia płuc dostaniesz. Potem sobie popatrzysz.

Dioniza musiała przyznać mu rację. Mokre ubranie kleiło się do ciała, przez co było jej już tak zimno, że wstrząsały nią dreszcze. Mamrocząc pod nosem inwektywy pod adresem kłamiących w żywe oczy synoptyków, a przede wszystkim pogody przechodzącej ze skrajności w skrajność, wyjęła z szafy suchą odzież.

Słowa Ogińskiego wywołały jeszcze ten skutek, że Violetta odwróciła się wreszcie w ich stronę. Nie mogła zobaczyć Diony przesłoniętej akurat drzwiami szafy, za to widziała dokładnie Ogińskiego, a także kałużę wody, która zdążyła się uformować u jego stóp. Najpierw zaniemówiła, lecz już po chwili zawołała ze zgrozą:

– Jezusie, jak pan wygląda! Jakby z wody pana wyciągnęli!

– Bez przesady, pani Violetto, gdybym był Jezusem, nikt by mnie z wody nie musiał wyciągać, bo szedłbym po niej jak po ulicy.

Remańska wystawiła głowę zza szafy, by móc go obejrzeć.

– Violka ma rację, wyglądasz jak zmokła kura. Lepiej już jedź do domu, bo nie mam dla ciebie suchych ciuchów.

W pierwszej chwili chciał zaprotestować, zaraz jednak pojął, że Diona ma rację. Średnia przyjemność siedzieć w mokrym ubraniu; już teraz nie czuł się zbyt komfortowo, a co będzie za jakiś czas? I jeszcze musiałyby udawać, że świetnie się bawi.

– W takim razie znikam. Nie macie przypadkiem jakiegoś worka na śmieci albo dużej reklamówki? Podłożyłbym sobie pod zadek, inaczej całe siedzenie mi zamoknie – powiedział ku uciesze obu kobiet.

– Już ci zamokło – zwróciła uwagę Diona.

– Miałem na myśli...

Urwał, gdy ponownie się roześmiały, machnął więc tylko ręką, krótko a mocno pocałował Dionizę w usta i zniknął za drzwiami.

## 25 września 2020

Próba doręczenia wezwania Filipowi Ślicznemu zakończyła się fiaskiem. Fizjoterapeuta musiał chyba się ukrywać, ponieważ od ubiegłego czwartku nie pojawił się w pracy, w domu, według słów podenerwowanych rodziców, również nie przebywał. W tej sytuacji Zapata zlecił doprowadzenie opornego rehabilitanta na przesłuchanie, a teraz z kamienną twarzą słucał funkcjonariusza odpowiedzialnego za tę czynność.

– Po mojemu to on dał nogę – mówił starszy posterunkowy. – Panie komisarzu – zaczął uzasadniać swoje stanowisko, ujrawszy na twarzy wyższego stopniem wyraz powątpiewania. – Musiał spierdolić, bo nigdzie go nie ma, nikt go od czwartku nie widział ani w domu, ani w pracy. Nie wziął urlopu, rodzicom też nic nie powiedział.

– Rozmawiałeś z sąsiadami?

– Rozmawiałem, ale gówno to dało – burknął starszy posterunkowy, zaraz jednak się zreflektował i wyjaśnił już innym tonem: – Tak samo jak rodzice twierdzą, że ostatni raz widzieli go w czwartek rano.

Zapata nie odpowiedział. Zastanawiał się, kto jeszcze mógłby znać miejsce pobytu Ślicznego. Dziewczyna? Chyba jednak nie, wszyscy wszak twierdzili zgodnie, że nie był z nikim w poważniejszym związku, zapewne z uwagi na fakt, że wyrażał się o kobietach pogardliwie i traktował je z wyższością.

– Media społecznościowe – odezwał się naraz głośno do wtóru własnym myśłom. – Może tam coś jest? Od razu trzeba było to sprawdzić.

Nie potrafił zrozumieć fenomenu Facebooka i jemu podobnych portali społecznościowych. Nie widział powodu, dla którego miałyby informować o zdarzeniach ze swojego życia, o planach i zwycięstwach czy porażkach. Dlatego nie miał konta na żadnym z nich i wcale nie czuł się z tego powodu gorszy.

Tymczasem funkcjonariusz wziął jego słowa za skierowaną do siebie wymówkę i od razu się naburmuszył.

– Już sprawdziłem. – W jego tonie brzmiała uraza. – Niestety tu również pudło. Przeglądałem jego profile na Facebooku, Instagramie i TikToku...

– W jaki sposób? – zainteresował się Zapata. – Włamałeś się?

Starszy posterunkowy z trudem się powstrzymał, by nie rzucić w stronę starszego stopniem spojrzenia pełnego politowania.

– Istnieje coś takiego jak profil otwarty. Czyli taki, w którym wszystko, co się opublikuje, jest dostępne dla każdego, nie tylko dla znajomych – tłumaczył, tłumiąc zniecierpliwienie. Naraz uśmiechnął się złośliwie. – Swoją drogą niezły z niego Narcyz, wszędzie ustawił sobie taki sam nick. Phillip Beauty. A jego posty ograniczają się jedynie do wstawiania fot, na których przeży muskuły, prezentuje się w nowych ciuchach albo przechwala się nowym fryzem. Moim zdaniem to zwykły pizduś, nie ma dość jaj, żeby zabić.

Zapata podziękował za informacje bez wdawania się w tłumaczenia, choć widział na twarzy funkcjonariusza ciekawość, a później złość, gdy ta pierwsza nie została zaspokojona. Nie miał na to czasu, musiał jak najszybciej odnaleźć Ślicznego, który powinien być niewyczerpanym źródłem informacji z racji skrzętnego gromadzenia wszelkich kompromitujących danych o współpracownikach, a być może także pacjentach.

Sporządził wniosek do prokuratury o zezwolenie na przeszukanie mieszkania Ślicznego. Zawiózł go osobiście, musiał jednak czekać na podpis, gdyż prokurator akurat był w terenie i miał wrócić nie wcześniej jak za trzy godziny. Wobec powyższego Zapata nie widział innego wyjścia, jak ponownie odwiedzić szpital.

Rozbijało mu to plan dnia, wobec czego nie był w najlepszym humorze, a po rozmowie najpierw z przełożoną rehabilitantów, a później z podległym jej personelem zasepił się jeszcze bardziej. Rozpytał jeszcze pielęgniarki, lekarzy, a nawet salowe, bardziej dla spokoju sumienia niż w nadziei na uzyskanie potrzebnych mu informacji. Jeśli bowiem Śliczny nie zdradził swoich planów szefowej czy najbliższym współpracownikom, dlaczego miałyby o nich mówić osobom, z którymi łączyła go jedynie luźna znajomość?

Zmierzał akurat do wyjścia, kiedy zobaczył schodzącą po schodach Dionizę. Na jego widok wyraźnie się ucieszyła.

– Cześć, Diego – odpowiedziała na jego powitanie i swoim zwyczajem zaraz przeszła do konkretów: – Znaleźliście tego gada?

W pierwszej chwili nie zrozumiał, zaraz jednak domyślił się, o kim mowa, i pokręcił głową.

– Pewnie dał w długą. Kretyn. Chciałem go przesłuchać jako świadka, ale teraz na własne życzenie stał się podejrzanym.

– Dlatego, że uciekł? Wiesz, raczej nie widzę go jako sprawcy zabójstw z premedytacją, na to jest za słaby i za głupi. Co innego w afekcie, ale tak? Prędzej się przestraszył odpowiedzialności za wymuszenia, stąd ucieczka.

Komisarz wolno skinął głową, bo słowa Remańskiej odzwierciedlały jego własne przemyślenia. Jemu też Śliczny nie wydawał się zdolny do popełnienia tak okrutnych zbrodni. Niemniej należało jak najszybciej z nim porozmawiać.

– Chodź, siądziemy gdzieś i zapalimy – zaproponował. – Czekam na telefon z prokuratury, a nie chce mi się wracać na komisariat i wysłuchiwać uwag Boska, że tracę czas zamiast szukać zabójcy psa Kupkowskiego.

Wszystkie ławki były zajęte. Co prawda na kilku z nich spokojnie znalazłoby się miejsce dla dwóch osób, ale z wiadomych względów woleli uniknąć towarzystwa.

– Chodźmy tam. – Dioniza wskazała chylący się ku upadkowi drewniany budynek. – Od tyłu jest taras, a na nim ławka, można usiąść z dala od ludzi. O ile taras jeszcze istnieje, bo we wtorek w ten dom pieprznał piorun. Na szczęście była taka ulewa, że zagasila ogień i nawet straży nie musiano wzywać.

Zeszli ze ścieżki i poszli niespiesznie na przełaj przez trawnik, by dostać się na tyły. Zapata pokręcił z dezaprobatą głową na widok zniszczeń wcale niewywołanych przez ogień, bo tych na razie w ogóle nie zauważyli.

– Polska to jednak cholernie bogaty kraj, skoro stać nas na to, żeby takie obiekty popadały w ruinę. Brak funduszków to dla mnie żadne wytłumaczenie, można było przecież go sprzedać zamiast patrzeć, jak niszczeje.

Ogólnie Diona zgadzała się z jego zdaniem, zwróciła jednak uwagę, że lokalizacja budynku zapewne uniemożliwiła sprzedaż.

– Z drugiej strony, gdyby nie stał na terenie szpitala, już dawno rozszabrowano by go aż do fundamentów albo bezdomni uznaliby go za swój azyl. A tak to tylko zwierzęta w nim pomieszkują. – Wspomniała słowa Ogińskiego o nieprzyjemnym zapachu. Opowiedziała komisarzowi o ich krótkim pobycie na tarasie i szybkiej ewakuacji. – Ja nic nie czułam, ale Szymon powiedział, że pewnie coś tam zdechło.

Zapata nie skomentował tej wypowiedzi, przystanął natomiast i spojrzał w zadumie najpierw na Remańską, potem na budynek. W pierwszej chwili nie pojęła, w czym rzecz, w następnej przyszło zrozumienie.

– Chyba nie myślisz...?

– Mam nadzieję, że się myślę, ale sprawdzić trzeba – odpowiedział tylko i zdecydowanie ruszył w stronę tarasu.

Idąc za nim, Diona rozmyślała o Filipie Ślicznym. Czy to jest możliwe? Oczywiście, że tak! Była chyba ostatnią obcą osobą, która z nim rozmawiała, i gotowa by dać sobie głowę uciąć, że nic wtedy nie wskazywało, że planował ucieczkę. Wiedziała od Diega, że Śliczny później wrócił do domu, gdzie spokojnie rozmawiał z rodzicami, a jego zachowanie nie sugerowało żadnych problemów. Przeciwnie, gdy wieczorem zbierał się do wyjścia, uśmiechał się radośnie i nawet nucił coś pod nosem, nie zabrał też z sobą żadnych rzeczy. Czy tak zachowuje się człowiek zamierzający zniknąć bez śladu?

– Śmierdzi jak cholera – stwierdził naraz Zapata, który jako pierwszy znalazł się przy schodkach prowadzących na taras. – Ta wiewiórka musiałaby być wielkości prosiaka. – Sięgnął po telefon, lecz zaraz schował go na powrót do kieszeni i mruknął w stronę Dionizy, śledzącej w milczeniu jego poczynania: – Lepiej najpierw sam sprawdzę.

Przymierzył się, by pchnąć ramieniem wypaczone drzwi, powstrzymał go jednak jej pełen zdziwienia okrzyk:

– Tu nie ma kurzu!

Wolno się odwrócił, by spojrzeć tam, gdzie patrzyła ona, na parapet jednego z dwóch niedużych okienek. Diona miała rację, w przeciwieństwie do drugiego, oblepionego grubą warstwą brudu i pyłu, ten był prawie całkiem ich pozbawiony, tylko gdzieniegdzie pozostały szare smugi jak po niedokładnym zmyciu. Przyjrzał się dokładniej ramom i poparzył z boku, i wówczas zauważył kilka wgłębień pozostawionych przez jakieś narzędzie, a także świeże odpryski drewna. Znajdowały się jednak w takim miejscu, że w żaden sposób nie mogłyby pomóc włamywaczowi w utorowaniu sobie drogi do środka.

– Ktoś tu symulował włamanie – mruknął do Remańskiej. – Wnioskując po barwie drewna, stało się to całkiem niedawno.

– I nie zamknął okna, czyli musiał przez nie wyjść. Nie wiem, jak to wyglądało we wtorek, od razu usiadłam na ławce.

Skinął głową ze zrozumieniem. Ławka znajdowała się w rogu tarasu, z lewej strony osłonięta przybudówką, od tyłu zaś przylegała do boku budynku. Drzwi znajdowały się dobre półtora metra od niej, a jeszcze dalej oba okna. Żeby im się przyjrzeć, Dioniza musiałaby do nich podejść tak jak teraz lub siedzieć na ławce bokiem.

– Równie dobrze to pseudowłamanie mogło mieć miejsce później, inaczej wichura chyba by otworzyła okno. Pewnie jakiś bezdomny szukał noclegu – rozważał głośno.

Głosowi policjanta zabrakło jednak przekonania, a po minie Dionizy widział, że ona również w to wątpi. Oboje nigdy się nie spotkali z podobnym przypadkiem. Remańska potrząsnęła głową, zastanawiając się głośno:

– Oni nie bawiliby się w maskowanie, bo i po co. Sorry, ale nie mogę zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Zapata także tego nie pojmował. Coraz bardziej zaintrygowany próbował zajrzeć do środka, ale szyby były tak zarośnięte brudem, że stanowiły jednolicie szarą, kompletnie nieprzezroczystą taflę. Ściągnął więc bluzę, zamotał wokół prawej dłoni i pchnął okienne skrzydło. Zaskrzypiało i drgnęło, lecz się nie otworzyło. Przyjrzał mu się uważnie i dopiero teraz odkrył w rogu zwinięty w rulon skrawek tkaniny.

– Zmyślny sukinsyn – stwierdziła Diona, gdy pokazał jej znalezisko. – Dzięki temu mógł dociągnąć skrzydło do futryny i w dodatku zyskać pewność, że się nie otworzy przy byle podmuchu – wyjaśniła niepotrzebnie.

Zapata posłał jej rozbawione spojrzenie, lecz powstrzymał się od komentarza. Znów napał na skrzydło, tym razem dużo mocniej, i nagle okno otworzyło się z głośnym skrzygnięciem, a z zamkniętego do tej pory pomieszczenia buchnął słodkawo mdlący odór. Wraz z nim wyleciała chmara spłoszonych much, natychmiast zresztą zawróciły na żerowisko i obsiadły spoczywający nieruchomo ludzki kształt.

– Chyba będę musiał odwołać omegę za Ślicznym – mruknął Zapata i wyjął telefon, by zadzwonić po ekipę i prokuratora.



## Rozdział 19

### Zatarte ślady

25 września 2020

Podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu. Przed wejściem policjantów widniały na niej tylko nieliczne ślady obuwia należące ewidentnie do dwóch osób, a co było równie ważne, na pierwszy rzut oka znajdowały się wyłącznie w części pod oknem, co świadczyło, że ani zabójca, ani jego ofiara nie weszli drzwiami.

Jeśli jednak przyjrzeć się dokładniej, stawało się oczywiste, że ktoś dołożył starań, by właśnie tak pomyśleli, ponieważ tuż przy ścianie odznaczał się szlak utworzony z drobnego, szarego piasku, mającego zapewne imitować kurz. Ten, kto to wymyślił, niezbyt się postarał i w trzech miejscach pozostawił niedokładnie zamaskowane odbicie podeszwy wiodące od drzwi. Zapata polecił technikowi zabezpieczyć ślady do badań traseologicznych, gdyż był pewien, że ten, kto wskazał ten budynek jako miejsce spotkania, najpierw wszedł tamtędy. Gdyby za pierwszym razem także dostał się tam oknem, musiałyby przedtem wybić którąś z szyb, te zaś były całe.

Na zwłokach pokrytych zielonkawymi plamami rozkładu lekarz nie znalazł innych obrażeń prócz jednej jedynej rany, będącej niewątpliwie przyczyną zgonu. Kula trafiła Filipa Ślicznego w sam środek czoła, co jednak wcale nie świadczyło o kunszcie strzeleckim zabójcy. Raczej o skrupulatności, widoczne bowiem gołym okiem oparzenia oraz wżarte w skórę drobinki prochu wokół rany wlotowej oznajmiały, iż strzał oddano niemal z przyłożenia.

Tym razem Zapata wezwał lekarza z zewnątrz. Poza jedną Remańską nie ufał już nikomu w tej fabryce śmierci, jak policjanci zaczęli między sobą określać szpital rehabilitacyjny w Klonowicach. Nie obawiał się wprawdzie, że oględziny dokonane przez pracującego w nim lekarza będą nierzetelne, gdyż późniejsza sekcja wykazałaby ewentualne niedopatrzenia. Bał się natomiast, że lekarz winny zabójstwa bądź będący w zмовie ze sprawcą może coś podłożyć lub zabrać z miejsca zbrodni i tym samym zmienić kierunek śledztwa.

Zresztą zaufanie do Remańskiej wcale nie było takie oczywiste. Jako instruktorka strzelectwa musiała dysponować odpowiednimi umiejętnościami, tym bardziej że oddanie podobnego strzału nie powinno było sprawić jej najmniejszych trudności. Jak zresztą każdemu, kto znał się na broni palnej na tyle, by umieć ją w razie potrzeby odbezpieczyć i pociągnąć za spust. Dlatego najpierw wziął ją w krzyżowy ogień pytań, a dopiero później poprosił o obejrzenie ciała i wyrażenie zdania na temat odniesionej przez Ślicznego rany.

Jej ocena co prawda nie miała żadnej wartości dowodowej, do tego potrzebna była opinia eksperta z zakresu balistyki, Zapata wiedział jednak, że na tę będzie musiał trochę poczekać, a zależało mu na czasie. Niestety Dioniza niewiele mogła pomóc.

– Podejrzewam, że użyto amunicji kaliber dziewięć milimetrów, ale wyłącznie dlatego, że jest najpopularniejsza – powiedziała po rzuceniu okiem na osmalone czoło denata i zaraz z wyraźnym żalem dodała: – Nie jestem ekspertem od broni, zresztą wiesz, że bez szczegółowych badań on też więcej by ci nie powiedział.

– Wiem – odparł krótko Zapata. – A ty z kolei dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło. Jak uważasz, czemu strzelał z tak bliska? Bał się, że z większej odległości nie trafi? – zadał następne, jej zdaniem idiotyczne pytania.

Wargi Dionizy wygięły się w tym jej lekko kpiącym uśmiechu, dzięki któremu przy pierwszej rozmowie od razu ją polubił.

– Diego, nie rób ze mnie idiotki. Przecież znasz się na tym lepiej ode mnie, w końcu to nie ja wyjeżdżałam na misje.

– Punkt dla ciebie – przyznał. – To prawda, że mam swoje zdanie na ten temat, ale jestem ciekaw, co ty sądzisz o tym wszystkim.

Ponownie spojrzęła na ranę wlotową, potem przeniosła wzrok na brudną, łuszczącą się lamperię upstrzoną krwawymi rozbryzgami oraz fragmentami kości i tkanki. Okręciła się jeszcze na pięcie, by móc zilustrować nieduże pomieszczenie przedzielone w połowie niespełna półtorametrowej wysokości murem, który jednak nie sięgał od ściany do ściany, lecz kończył się na czterech piątych szerokości pokoju, pozostawiając przejście do drugiej części, gdzie znajdowały się drzwi poddawane teraz oględzinom przez technika.

Diona jeszcze raz rozejrzała się po pokoju, przy czym na denata już nawet nie zerknęła, jakby liczył się tu najmniej. Znów najwięcej uwag poświęciła śladom krwawym na lamperii, najwyraźniej coś w nich nie dawało jej spokoju.

– Wygląda to na egzekucję albo coś w tym rodzaju – mruknęła jakby do siebie, nim odniosła się do poruszonego przez komisarza tematu. – Sprawca strzelał z maksymalnie pół metra, nie ma opcji, żeby nie trafił, celne oko nie ma tu nic do rzeczy. W sumie to nieważne. Moim zdaniem włamał się tutaj sprawca, bo chciał mieć idealną miejscówkę na dyskretne spotkanie. Założę się, że te przysypane piaskiem ślady nie należą do Ślicznego.

– Skąd taki wniosek? – spytał podejrzliwie przysłuchujący się ich rozmowie prokurator Niećko.

– Powiedz mu, Diego. – Diona obdarzyła prokuratora niechętnym spojrzeniem. – Muszę już iść, żeby zdążyć na zabiegi.

Nie czekając na reakcję mężczyzn, podeszła do szeroko otwartego okna i podciągnawszy się na rękach, zgrabnie wydostała się na taras. Nie udała się jednak do szpitalnego budynku, tylko usiadła na jednej z ławek i zapaliła papierosa, po czym uśmiechnęła się radośnie na wspomnienie czegoś, co właśnie sobie uświadomiła: Podciągnęła się na obu rękach. Zatem Oksana miała rację, gdy z uporem powtarzała: „Masz to w hołowie”.

Pałac, delektowała się myślą, że wyjdzie ze szpitala całkowicie sprawna, lecz gdy zgasiła papierosa, zaraz przypomniała sobie o powodach swojej nagłej rejterady. Bo inaczej niestety nazwać tego nie mogła.

Wcale nie miała teraz zabiegów, te zaliczyła rano. Skłamała, by znaleźć pretekst do oddalenia się z miejsca zbrodni, gdyż chciała w spokoju przemyśleć sprawę, a tam nabzdyczona mina Niećka wydatnie jej w tym przeszkadzała. Remańska organicznie nie znosiła mężczyzn umniejszających wszelkie dokonania kobiet, tymczasem prokurator już w pierwszych słowach sprowadził ją do roli głupiotkiej kobietki prowadzącej pseudozajęcia dla znudzonych i równie głupiotkich przedstawicielek swojej płci.

Chcąc uzasadnić obecność Dionizy na miejscu zbrodni, Zapata przedstawił ją jako świadka, który przekazał informację o podejrzanym odorze dochodzącym z budynku, nadmienił też, że może być pomocna z racji posiadania uprawnień instruktora strzelectwa. Wówczas Niećko uśmiechnął się protekcyjnie i nie starając się nawet ściszyć głosu, rzucił lekceważąco: „Nie wiedziałem, że strzelanie oczami do mężczyzn wymaga instruktazu”. Później zaś, gdy Diego nie tylko nie skomentował jego opinii, ale jeszcze go zostawił i jak gdyby nigdy nic wrócił do rozmowy z Dioną, urażony prokurator cały czas mamrotał pod nosem uwagi o znudzonych babach, które zamiast zadbać o dom i rodzic dzieci, tracą czas na głupoty, udając rewolwerowców.

Potrząsnęła głową, by pozbyć się obrazu naburmuszonego Niećka, i przywołała widok zakrwawionej ściany w rogu pomieszczenia. Dlaczego właśnie w tym miejscu? Coś musiało skłonić Ślicznego, by akurat tam usiadł na murze przedzielającym pokój, choć mógł to zrobić na wprost okna, bez konieczności spacerowania po zakurzonej podłodze.

Machinalnie schwyciła zawieszkę łańcuszka i zaczęła obracać ją w palcach. Trwało to jakiś czas, nim zorientowała się, co robi, jednak zawieszki nie wypuściła. Na ogół w podobnych chwilach bawiła się długopisem, co pomagało skupić myśli, ale teraz nie miała żadnego pod ręką, a chciała zastanowić się nad ważną kwestią.

Ślicznego w piątek już nikt nie widział, można było więc założyć, że został zastrzelony w czwartek. Wyszedł z pracy kilka minut po osiemnastej i po zaliczeniu bójk z Ratiem opuścił teren szpitala. Chociaż nie – uprzytomniła sobie – wcale nie tak od razu. Jak mogła o tym zapomnieć? Przecież najpierw podsłuchiwała Ratię i Krystynę, potem do nich podeszła i zamieniła kilka słów, później wróciła na oddział i dopiero kiedy po telefonie do Diega ponownie wyszła na papierosa, Śliczny dosiadł się do niej, żeby zaproponować interes życia. Zbliżała się już dziewiętnasta, co więc tam jeszcze robił?

Śliczny mieszkał w Wapienicy, zatem raczej nie wracałby do domu po to, by po kilku minutach jechać znów do szpitala. Zresztą rodzice zeznali, że rano widzieli go po raz ostatni. Czyżby przeczekiwał do umówionego spotkania? Tak, to miało sens, o tej porze panowała już szarówka, z każdą minutą coraz ciemniejsza, stanowiąca idealną osłonę dla kogoś, kto pragnął niezauważenie przemknąć w stronę nieczynnej pijalni.

Po znalezieniu wyjaśnienia jednej wątpliwości przeszła do następnej – krwawych śladów w narożniku pokoju. Teraz Dioniza spróbowała wczuć się w położenie Ślicznego, „wejść mu w głowę”, jak określał to Ogiński.

*Zaliczyłem dwunastogodzinną zmianę. Czuję w mięśniach podnoszenie pacjentów, pomoc w przesiadaniu się z wózka na kozetkę, podtrzymywanie w trakcie nauki chodu, a doszły do tego jeszcze cięgi zebrane od Ratia i Stregi. Muszę usiąść i odpocząć. Po rozmowie na ławce uświadamiam sobie, że to był błąd, nikt nie powinien mnie tu o tej porze widzieć, bo to, co robię, nie jest legalne. Lepiej pójść do pijalni, tam nikt mnie nie zobaczy.*

*Przemykam między drzewami, włączę przez okno i już jestem w środku. Szkoda, że nie ma tu żadnego krzesła, do spotkania zostało jeszcze trochę czasu, a ja jestem tak cholernie zmęczony. Mógłbym usiąść na murku, ale to nie pomoże na ból pleców. Muszę je odciążać, oprzeć się o coś, inaczej zwariuję...*

– Jasna cholera! – Diona zamruwała powiekami, by szybciej wrócić do rzeczywistości. – Przecież to oczywiste!

Z tego, że odezwała się głośno, zdała sobie sprawę dopiero wtedy, gdy tuż obok rozległ się rozbawiony głos Diega:

– Mogłabyś mnie oświecić, co jest takie oczywiste? Bo wyszło na to, że nawet cholera jest jasna i tylko ja ciemny.

Przyjrzała mu się z komiczną uwagą.

– Faktycznie widzę ciemność. A już poważnie, to usiłowałam dojść, dlaczego Śliczny zginął w rogu pokoju. W trakcie spotkania ludzie raczej nie stają w takim miejscu.

– Pewnie uciekał – mruknął Zapata dość obojętnie.

– Gdyby było tak, jak mówisz, kula trafiłaby go w tył głowy, a nie w czoło – sprzeciwiła się Dioniza. – Wiem, wiem. Teraz powiesz, że mógł się odwrócić w ostatniej chwili, żeby spojrzeć śmierci w oczy. Ale to mnie nie przekonuje, bo po jaką cholere miałby uciekać do rogu pokoju? Przecież musiał wiedzieć, że tam nie ma wyjścia, że nie przeniknie przez mur.

– W takim razie po co? Znalazłaś jakieś wytłumaczenie?

– Bardzo proste. Tylko tam mógł oprzeć się o ścianę, dlatego usiadł w rogu. I dlatego ślady krwi są wyżej, niż wynikałoby to z jego wzrostu. Moim zdaniem wyglądało to tak...

Opowiedziała o próbie wczucia się w psychikę rehabilitanta. Komisarz wydawał się rozbawiony, lecz wysłuchał z zainteresowaniem jej hipotezy, po czym zapytał:

– Skąd wiedziałaś, że to nie Śliczny się włamał?

Wybrała ze swojej bogatej kolekcji uśmiechów ten, który wydał jej się w tej sytuacji najodpowiedniejszy. Łagodny i jednocześnie uspokajający, przeznaczony dla ludzi z poważnymi zaburzeniami psychicznymi. Zauważywszy jego reakcję, uśmiechnęła się ponownie, tym razem zupełnie szczerze.

– Sam powiedziałeś, że masz własną teorię na temat przebiegu zdarzenia, a jakoś nie wierzę, że nie objęła także tej sprawy. Ale niech ci będzie, że ja pierwsza. Chodzi o to, że Śliczny przyszedł tam po pieniądze, a szantażysta nie ma żadnego interesu w zabijaniu swojej ofiary. Co innego szantażowany.

Teraz Zapata obdarzył Remańską uśmiechem, szerokim, pełnym zadowolenia.

– Jak na razie idziemy zbieżnym torem. W takim razie drugie pytanie: czemu zabójca przysypał swoje ślady?

Diona zmarszczyła brwi w zastanowieniu, ręka bawiąca się zawieszka bezwiednie szarpnęła oprawiony w srebro bursztyn.

– Nie chciał zostawiać dowodu, że tam był? Nie, to głupie, bo przecież wtedy pozacierałby też ślady obok ciała. Kurde, nie mam pojęcia, o co mogło mu chodzić – wyznała z rzadką dla niej bezradnością.

Policjant zdecydował się uchylić kolejnego rąbka tajemnicy. Specyficzny sposób analizy danych prowadził Dionizę do zaskakujących, nieszablonowych wniosków, byłoby zatem grzechem nie skorzystać z takiej okazji.

– On tam był dwa razy.

Drgnęła gwałtownie jak ktoś wyrwany z głębokiego snu, w oczach pojawił się błysk zainteresowania.

– Który z nich? Śliczny czy zabójca? I skąd o tym wiesz? Tego chyba nie da się stwierdzić gołym okiem, trzeba...

Uniesieniem dłoni przerwał pełen ekscytacji słowotok.

– Mówiłem o sprawcy. Wiemy, że był tam dwa razy, bo wprawdzie rozmiar buta się zgadza, ale wzór podeszwy jest całkiem inny.

– Raz zapłacił, ale Ślicznemu było mało, więc się wkurzył i go odstrzelił – wypowiedziała na głos pierwszą myśl, jaka przyszła jej do głowy. – Bez sensu! – skrytykowała ją, zanim jeszcze komisarz zdążył zareagować. – Nie widzę wśród nich ani jednej osoby, która mogłaby mieć odpowiednie umiejętności i predyspozycje, że o posiadaniu broni nie wspomnę.

– O tym nie pomyślałem, a masz cholerną rację – przyznał z uznaniem. – Jadę teraz na przeszukanie u Ślicznego, może tam znajdę odpowiedź. Na razie, Diona. Zadzwoń, gdyby coś ci przyszło do głowy.

Odszedł tak szybko, że odpowiedź Dionizy już do niego nie dotarła.

## 26 września 2020

Miał już serdecznie dość tego śledztwa. Nic tu do niczego nie pasowało, a przecież zabójstwa czworga ludzi mające miejsce w tym samym szpitalu w ciągu niespełna miesiąca musiały w jakiś sposób się ze sobą łączyć. Tylko że Jakub Zapata tego połączenia nie widział, a co gorsza, zaczynał wątpić, czy kiedykolwiek zobaczy.

Wczorajsze przeszukanie nie dostarczyło mu żadnych odpowiedzi, choć tyle sobie po nim obiecywał. Znaleźli co prawda w laptopie Filipa Ślicznego materiały kompromitujące jego współpracowników, jednak wszystko to znajdowało się również w pamięci smartfona znalezionej w kieszeni denata i po dosyć krótkich zmaganiach odeszczepionego przez policyjnego informatyka, zatem komisarz porzucił hipotezę, jakoby rehabilitanta zastrzeliła doprowadzona do ostateczności ofiara wymuszeń. Gdyby tak było, sprawca zabrałby telefon, żeby oddalić od siebie podejrzenia, a przynajmniej skasowałby zdjęcia dokumentujące jego grzeszki. Tymczasem zawartość galerii smartfona pokrywała się idealnie z fotografiami umieszczonymi w laptopie, a do tego ostatniego nikt obcy nie miał dostępu.

Na wszelki wypadek informatyk sprawdził jeszcze, czy jakiś plik graficzny nie został ostatnio usunięty, ale nie znalazł śladów takiego działania. Logi wskazywały, że laptopa uruchomiono ostatni raz w środowe popołudnie, tym samym Zapata musiał ostatecznie uznać ową hipotezę za fałszywą. Innej niestety nie miał i to doprowadzało go do szału, a gdy przypominał sobie maksymę powtarzaną często przez swojego pierwszego komendanta, zdenerwował się jeszcze bardziej. „Nie ma zbrodni doskonałej, są tylko nieudolni policjanci i zjebane śledztwa”.

Po rozmowie z nadkomisarzem Dziegielińskim wyszedł z jego gabinetu tak wściekły, że miał ochotę gryźć klamkę, która zresztą omal nie została mu w ręce, tak mocno trzasnęła drzwiami. Przechodzący akurat korytarzem aspirant sztabowy Kachel popatrzył na niego z nieskrywaną ciekawością, zaintrygowany niecodziennym zachowaniem dotychczas zawsze opanowanego komisarza. Coś musiało się stać.

– Cześć, Diego. Nie myślałem, że można cię wyprowadzić z równowagi. Co się dzieje? Stary cię tak wkurwił?

W pierwszej chwili Zapata chciał odburknąć, że to nie jego sprawa, zaraz jednak powściągnął irytację. Aleksander Kachel, najstarszy wiekiem i stażem policjant klonowickiego komisariatu, nie był plotkarzem. Zawsze życzliwy i uczynny, jeżeli zadawał pytanie, miało się pewność, że zrobił to z chęci pomocy.

– To akurat nic takiego. – Komisarz machnął ręką. – Standard, już przywykłem, że niczego mądrego się w tym pokoju nie usłyszy.

Kachel pokiwał głową.

– Co prawda, to prawda – rzekł sentencjonalnie. – Pewnie znowu wymyślił jakąś z dupy wziętą innowację.

– Na szczęście tym razem skupił się na konkretnych – opowiedział Zapata z nikłym uśmiechem. – Ale dla mnie to bez różnicy, bo nie urodzę mu podejrzanych. Kurwa mać! – Kopnął zagradzający mu drogę

kosz na śmieci. – Specjalnie się tu przenieśli, żeby mieć spokój. Myślałem, że w takiej cichej małej wiosce nie zdarzają się zabójstwa z premedytacją.

Starszy aspirant zerknął na niego spod oka i wzruszył ramionami.

– To źle myślałeś. Jak to mówią, nie wypadliśmy sroce spod ogona, nie takie rzeczy się tu działy.

– Wkręcasz mnie – stwierdził Zapata i ruszył w stronę swojego pokoju.

– Wcale nie – oburzył się Kachel. – Mieliśmy uprowadzenie z przetrzymywaniem, nieumyślne spowodowanie śmierci i zabójstwo z premedytacją, a wszystko to składało się na jedną sprawę, łączyło się ze sobą.

– Mówisz poważnie? – upewniał się komisarz. – Nigdy o takich zdarzeniach nie słyszałem, a ludzie przecież lubią gadać.

– Jak najpoważniej. O tym nie mówią, bo nikt nie lubi świecić oczami, zwłaszcza przed obcymi, a tamta tragedia nie przysporzyła wiosce splendoru. Mieszkańcy Jaworowa się wtedy nie popisali, dlatego gdyby mogli, wymazaliby ją z pamięci.

– Teraz mnie zaciekawiłeś – zawołał Zapata. Otworzył drzwi i gestem zaprosił starszego policjanta. – Chcesz kawę?

– A w zamian mam ci opowiedzieć o Ortach? Niech będzie – zgodził się Kachel, a gdy komisarz postawił przed nim kubek z aromatyczną zawartością, bez ponaglenia rozpoczął opowieść o wydarzeniach sprzed lat. – Wszystko się zaczęło w dziewięćdziesiątym dziewiątym, kiedy nastał nowy komendant. Edward Ort był gliniarzem z prawdziwego zdarzenia. Surowy, ale sprawiedliwy, a co najważniejsze, nie dawał sobą manipulować. Mówiło się, że z tego powodu wylądował na takim zadupiu jak Klonowice.

– Na pewno naraził się komuś ważnemu – wysunął supozycję Zapata i ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Tak mówiono – potwierdził Kachel. – W każdym razie przysłano go do nas, a on kupił dom w Jaworowie i zamieszkał tam z rodziną. Już niedługo się okazało, że nic lepszego nie mogło nas spotkać i ludzie wskoczyliby za nim w ogień. Miał tylko jedną wadę: za bardzo przejmował się robotą, co odbiło się na jego życiu prywatnym. Podobno jeszcze wcześniej żona miała do niego pretensje, że zaniedbuje ją i córkę, a on obiecał, że tutaj wszystko się zmieni. Tak przynajmniej wynikało z uwag, które kilka razy jej się wysnęły.

– Domyślam się, że nie dotrzymał słowa, inaczej byś o tym nie wspominał – znów wtrącił komisarz, a starszy policjant przytaknął.

Upił ostrożnie mały łyżeczek, potem drugi, większy. Zapalił papierosa z leżącej na biurku paczki i zaciągnął się głęboko.

– Nie dotrzymał, a ona nie mogła się z tym pogodzić – podjął po dość długiej przerwie. – Próbowała prośbą i groźbą, ale nie poskutkowało, Ort już taki był i nic nie mogło go zmienić. Wtedy zaczęła zachodzić do Adama Wanata. – Kachel zauważył zdeglustowaną minę Zapaty i szybko wyjaśnił: – Basia była z wykształcenia psychologiem, a Adam nie radził sobie z dziećmi, które wychowywał samotnie, mając do pomocy tylko schorowaną babkę. Barbara uczyła ich, jak radzić sobie z traumą po śmierci matki, a Adamowi pomagała wyjść z nałogu, namawiała na podjęcie leczenia, bo od zawsze lubił wypić, ale kiedy żony zabrakło, chlał bez umiaru. Nie powiedziała jednak o tym Edwardowi i to był cholerny błąd.

– Uderzył ją zbyt mocno czy zabił z premedytacją?

Starszy aspirant spojrzał na kolegę z niesmakiem.

– Ty byś wszystkich od razu podejrzewał o najgorsze! Ort nic żonie nie zrobił, tylko od tamtej pory kłócili się jeszcze zajadlej, a kiedy w czerwcu Basia zniknęła...

– Jak to zniknęła? – przerwał mu zaskoczony Zapata. – Odeszła od niego czy zaginęła? Wspomniałeś coś o uprowadzeniu...

– Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, co się z nią stało. W każdym razie Edward był przekonany, że Adam ją przetrzymuje, i doniósł na niego policjantowi prowadzącemu sprawę zaginięcia. Chłopaki z Bielska zrobili Wanatowi wjazd na chatę, a on na trzy miesiące wylądował w areszcie, tylko że gównem im to dało, bo Barbary nie odnaleziono, a Adam cały czas się zarzekał, że nie ma pojęcia, gdzie ona się podziała.

– Czekaj – powstrzymał go Zapata. – Przecież mogła zwyczajnie zostawić rodzinę i wyjechać na drugi koniec Polski. Nie braliście tego pod uwagę?

– Nie braliśmy, bo nie prowadziliśmy tej sprawy. Robiło ją Bielsko, nasz komisariat został wyłączony, bo mógł wystąpić ewentualny konflikt interesów. Nie kumas? – Kachel uśmiechnął się krzywo. – Pierwszym podejrzanym zawsze jest mąż. Sprawdzili go na czterdziestą piątą stronę, ale nawet kiedy okazał się czysty, nas do śledztwa nie dopuścili. Może to i lepiej? Bo kiedy cała wieś stanęła przeciw Ortowi, policjanci pozostali wobec niego lojalni.

Komisarz popatrzył z niedowierzaniem.

– Cała wieś? – powtórzył. – Gdzie my, kurwa, żyjemy?

– No, z tą „całą” to trochę przesadziłem – przyznał starszy aspirant. – Ale niewiele, bo większość winiła Orta. Mówili, że zaniedbywał żonę i pewnie ją bił, a kiedy miała już tego dość i od niego odeszła, on z zemsty oskarżył Wanata o porwanie.

– A nie było tak?

– Nie było – rzucił Kachel ostro. – Basia miała swoje wady i mogłaby pod wpływem impulsu odejść od męża, ale nigdy nie zostawiłaby córki. Bardzo kochała Igę i gdyby mogła, dałaby jej gwiazdkę z nieba. Zwierzyła się kiedyś mojej żonie, że nie może mieć więcej dzieci, dlatego tak się trzęsie nad córką.

Zamilkł, łyknął kawy i zapaliwszy, pogrążył się we wspomnieniach. Zapata go nie poganiał, bo choć opowieść go zainteresowała, nie miała nic wspólnego ze sprawą czterech zabójstw, a stanowiła jedynie świadectwo, że nawet w takich małych miejscowościach jak Jaworowo czasami wygrywają złe emocje. Pomyślał, że niepotrzebnie namówił starszego policjanta na snucie wspomnień właśnie teraz, kiedy powinien poświęcić każdą chwilę na szukanie zabójcy. Czy należało mu o tym powiedzieć i zasugerować, żeby dokończył innym razem?

Nie, nie mógłby tego zrobić. Aleksander owszem, był uczynny, ale daleki od spoufalania się z innymi policjantami. Skryty i zamknięty w sobie, chodził czasem z nimi po służbie na piwo, mimo to nigdy nie mówił o swoich czy cudzych prywatnych sprawach i nie snuł wspomnień o dawnych śledztwach. To, że dzisiaj odstąpił od swoich zasad, stanowiło swoiste wyróżnienie i Diego nie mógł go zlekceważyć.

– Znaleźli ją w końcu? – spytał, chcąc dać do zrozumienia, że nie słucha jedynie z grzeczności, co zresztą nie odbiegało od prawdy.

Kachel uśmiechnął się smutno.

– Znaleźli, ale dużo później, dopiero po tej historii z Igą. Bo po roku od zniknięcia matki ona także zaginęła.

## Rozdział 20

### Echo przeszłości

26 września 2020

Aleksander Kachel odkasznął, potem upił kilka łyków kawy, by zwilżyć wyschnięte gardło. W tym czasie niespodziewający się podobnego zwrotu akcji komisarz siedział kompletnie ogłupiały i minęło dobre kilka minut, nim zdobył się na reakcję.

– Kurwa! A ja naprawdę uważałem Jaworowo za spokojną miejscowość. Czy ta dziewczyna się odnalazła?

– Wróciła do domu po czterech dniach. – Starszy aspirant westchnął na wspomnienie zdarzeń sprzed dwudziestu lat. – Akurat byłem w pobliżu domu Orta, kiedy przybiegła. Wyglądała strasznie, błada jak śmierć, ze skołtunionymi włosami, ubłocona, w podartych i zakrwawionych ubraniach. Okazało się, że w obawie przed pogonią biegła na oślep przez las, a potem celowo długo kluczyła, żeby jej nie dopadli.

– Wiadomo, co się z nią działo?

– Zwabił ją do starej partyzanckiej kwatery, zamknął i przetrzymywał! – wybuchnął naraz Kachel. – Gnojek pierdolony! Tłumaczył się potem, że wcale nie miał zamiaru jej skrzywdzić. Że tylko chciał, żeby Ort się dowiedział, co się czuje, kiedy najbliższa osoba jest uwięziona. Tak jakby to było usprawiedliwienie. Zresztą jeden chuj wie, jak naprawdę było, równie dobrze mógł kłamać w nadziei na niższy wyrok.

Drżącymi palcami wysupłał z pudełka następnego papierosa, a potem zaciągał się łapczywie, Zapata zaś skorzystał z okazji, by zastanowić się nad jego słowami.

– Domyślam się, że mówisz o którymś z synów Adama Wanata – powiedział w końcu. – Mam rację?

Kolega potwierdził ruchem głowy.

– O starszym, Mariuszu. Bliźnięta były zbyt małe, poza tym po śmierci babki Adam nie radził sobie do tego stopnia, że opieka społeczna mu je odebrała. O to też obwinał Orta, a syn przyjął jego słowa za prawdę.

– Czy oprócz przetrzymywania zdarzyło się coś więcej? – chciał wiedzieć Diego. – Znęcanie się, zgwałcenie czy bicie?

Kachel ostatni raz wciągnął dym w płuca. Starannie zgasił niedopałek, po czym zaprzeczył ruchem głowy. Milczał jakiś czas, nim ponownie się odezwał.

– Uderzył Igę tylko raz, żeby ją obezwładnić, na szczęście skończyło się na lekkim wstrząśnieniu mózgu.

– Wygląda na to, że jednak nie kłamał – rozważał Zapata. – Ale jak powiedziałeś, to żadne usprawiedliwienie.

– Sędzia też był tego zdania. – Aleksander się uśmiechnął. – W efekcie Mariuszowi ta zemsta narobiła tylko kłopotów, bo był już wtedy pełnoletni, w dodatku cała afera zakończyła się śmiercią jednej z jego współniczek.

Myśl, która zaświtała komisarzowi w głowie, gdy tylko poznał imię córki Ortów, zaczęła przybierać kształt wielce prawdopodobnej hipotezy.

– Byłem pewien, że zrobił to sam – powiedział, żeby ukryć ekscytację.

– Mariusz wziął sobie do pomocy dwie dziewczyny – wyjaśnił Kachel. – Daria Bugala od dawna się w nim podkochiwała, więc nie musiał długo jej namawiać, a najstarsza z nich, Joanna Madera, już wcześniej niejedno miała na sumieniu. Dlatego zgodziła się od razu, nie przewidziała tylko, że przypląci to życiu.

– Nie rozumiem – wyznał Diego. – Po kiego chujja młody Wanat miałby zabijać współniczkę? Bał się, że go wyda?

– To nie Mariusz ją zabił. – Aleksander zauważył minę komisarza i wyjaśnił: – Iga znalazła w tej cholernej jaskini karabin, taki stary, chyba z czasów wojny. Strzelać by się z niego nie dało, ale kiedy jeden z porwaczy stanął w drzwiach, użyła broni jak maczugi. Grzmotnęła go dwa razy w łeb i uciekła, zanim tamci się zorientowali. Nie wiedziała nawet, kogo uderzyła, i nie miała pojęcia, że jeden z ciosów okazał się śmiertelny.

Starszy policjant zamilkł. Sięgnął po kubek z wystygłą kawą, komisarz natomiast ponownie zaczął rozważać, czy jest możliwe, by Iga Ort była tą samą osobą co Iga Pokrzywa. Imię nie zaliczało się do popularnych, wiek także się zgadzał. Nazwisko panieńskie Pokrzywy brzmiało co prawda inaczej, ale mogła po tamtej tragedii je zmienić.

– Jak wyglądała Iga Ort?

Wyrwany z zadumy Kachel zastanawiał się przez jakiś czas.

– Zwyczajnie, jak to szesnastolatka. Średniego wzrostu, z buzią ładną, choć jeszcze trochę dziecięcą. Długie czarne włosy... Najładniejsze miała oczy. Lekko skośne, o nietypowej barwie, niby brązowe, ale przechodzące czasami w fiolet. To nie tak – powiedział nagle, zerknąwszy na kartkę, na której Diego podkreślił wypisane dużymi literami imię i nazwisko dziewczyny i właśnie notował szczątkowy rysopis.

– O co ci chodzi? – spytał zdziwiony Zapata. – Co jest nie tak?

Kachel dźgnął palcem miejsce, gdzie figurowały personalia dziewczyny.

– Wszyscy mówili do niej Iga, ale naprawdę miała na imię Iwona. Iwona Gabriela, stąd to zdrobnienie.

\*

W sobotę Zapata nie załatwił niczego więcej, bo chociaż pragnął natychmiast podążyć nowym tropem, musiał najpierw udać się na komisariat, dokąd w trybie natychmiastowym nakazał mu się stawić komendant. Klnąc na czym świat stoi, zawrócił, wiedział bowiem, że z uwagi na częste akty niesubordynacji limit cierpliwości nadkomisarza Dziegielińskiego wyczerpał się już niemal całkowicie.

Humoru bynajmniej nie poprawił mu fakt, że komendanta interesowały głównie postępy dochodzenia w sprawie powieszenia psa, a uwagę podwładnego, iż kolejne zabójstwo w szpitalu ma chyba wyższy priorytet, skwitował mruknięciem o mocno lekceważącym brzmieniu. Później ze złośliwym uśmiechem zlecił komisarzowi szereg czynności tak prostych, a jednocześnie czasochłonnych, że stało się oczywiste, iż jest to demonstracja władzy i zarazem swoista zemsta na niepokornym funkcjonariuszu.

## 27 września 2020

Niedzielę Zapata miał wolną, zdecydował jednak poświęcić ją śledztwu. Przy czym „poświęcić” nie było w tym konkretnym przypadku słowem najbardziej adekwatnym, bo na samą myśl o spędzeniu całego dnia w krzyczących ciszą czterech ścianach wynajmowanego pokoju komisarz aż się wzdrygnął.

Było to zastanawiające o tyle, że do tej chwili samotność nie tylko mu nie przeszkadzała, ale wręcz ją lubił i za każdym razem, kiedy musiał się pojawić na jakimś rodzinnym spędzie, chwycił się każdego pretekstu, by jak najszybciej móc stamtąd wyjść, wrócić do swojego świętego spokoju, książek, filmów i tej właśnie samotności, która naraz zaczęła mu ciążyć.

Zaczął od sprawy najważniejszej – mając w pamięci jego niedawną deklarację pomocy, zadzwonił do sierżanta Węgierskiego, który pełnił tego dnia dyżur.

– Cześć, Kamil. Mam prośbę – przeszedł od razu do sedna. – Mógłbyś sprawdzić kilka osób? – Wymienił interesujące go nazwiska.

– W czym? W KSIP-ie, AFIS-ie, czy PESEL-u?

Komisarz się zastanowił i niemal natychmiast podjął decyzję:

– Wszędzie. Nie bój się, to nie jest żadna prywata, jutro dam ci podkładkę. Po prostu nie chcę się dzisiaj pokazywać w fabryce, bo jakby Bosek się o tym dowiedział, znowu by mnie cisnął o tego cholernego psa.

– Okej, nie ma sprawy. Na kiedy to chcesz? – dopytywał się sierżant.

– Na już – brzmiała natychmiastowa odpowiedź. – Jak coś znajdziesz, prześlij mi zdjęcia wyników, bo to dość pilne.



W oczekiwaniu na telefon jeszcze raz przeanalizował tak niespodziewanie uzyskane informacje, a gdy wynik owych rozważań okazał się identyczny z poprzednimi, klął długo i kwieście, by zabić w sobie uczucia żalu, rozczarowania i gniewu. Znowu okazał się naiwnym idiotą! Czy zawsze musiał wybrać źle?

Pół godziny później dotarła pierwsza informacja od Węgierskiego, a po niej zaczęły wpływać następne. Przeglądając zdjęcia, Diego najpierw poczuł ulgę, wszystko świadczyło bowiem o tym, że jego hipoteza była błędna. Już chciał skasować fotografie, gdy przyszło mu do głowy, że niekoniecznie musiało tak być. Ponownie uruchomił przeglądarkę i jeszcze raz wczytał się w utrwalone na zdjęciach dane.

Próbował dopasować je do faktów, wreszcie ze zniechęceniem wyłączył laptopa i wyszedł z domu. Nie był w stanie zweryfikować swoich założeń bez konfrontacji z osobą będącą niejako jądrem afery i chociaż wiedział, że prawdopodobnie przysporzy mu ona cierpienia, musiał odbyć tę rozmowę. Musiał wiedzieć.

## 27 września 2020

Uświadomiła sobie nagle, że nie rozumie ani słowa z czytanego właśnie tekstu. Z cichym westchnieniem odłożyła na brzeg biurka dokumentację medyczną nowo przyjętej pacjentki i wstała, by włączyć czajnik. Czekając na zagotowanie się wody, rozmyślała o policjancie, z racji prowadzonego śledztwa tak często pojawiającym się w szpitalu.

– Komisarz Jakub Zapata – powiedziała głośno.

Już w następnej chwili parsknęła urywanym śmiechem i pokiwała głową nad własną głupotą. Jeszcze trochę, a zacznie zestawiać swoje imię z jego nazwiskiem i trenować podpis niczym nastolatka przeżywająca pierwszą miłość, podczas gdy nie wie nawet, czy jej zainteresowanie jest odwzajemnione. Co z tego, że ciągle na nią patrzył, a w tych zazwyczaj zimnych szarych oczach zapalał się wtedy ciepły blask?

Wszyscy wszak wiedzieli, że gdzie indziej ulokował swoje uczucia. I choć Remańska była zaręczona, to właśnie ją odwiedzał za każdą swoją tutaj bytnością. Z nią rozmawiał i spacerował po alejkach, i wreszcie z nią musiał szukać odosobnienia, skoro znaleźli się na tyłach nieczynnej pijalni wód. Nie powinna zatem się łudzić i snuć idiotycznych mrzonek, widocznie tak jej było pisane, że zawsze wybierała mężczyznę, który wołał inną kobietę.

– Lub butelkę – dopowiedziała ze zniechęceniem.

Wyłączyła czajnik, straciwszy ochotę na kawę, i właśnie wtedy usłyszała jego głos. Już zakiełkowało w niej podejrzenie, że to początek choroby psychicznej, bo czymże innym mogło być wmawianie sobie, że ów głos należał do Zapaty. A jednak nie miała racji, oto bowiem ponownie go usłyszała, i to całkiem wyraźnie:

– Wiem, że doktor Kenig jest w szpitalu. Na parkingu stoi jej samochód, więc ona też musi tutaj być.

Wcześniej zapowiedziała Zuzannie Drohomirskiej, że nie ma jej dla nikogo, nic więc dziwnego, że pielęgniarka broniła dostępu niczym lwica. Iwona nie chciała przysparzać jej problemów, toteż czym prędzej wyszła z zaplecza.

– W porządku, Zuza – rzuciła w stronę dziewczyny, niestety nie zdążyła uprzedzić jej złośliwej riposty.

– Skoro dla pana kobieta i samochód stanowią integralny organizm, to proszę pogadać sobie z autem!

Kąciki warg policjanta lekko drgnęły, w oczach na moment błysnęło rozbawienie, zaraz jednak powróciła powaga. Pomiął incydent milczeniem, przez co zyskał u Iwony kolejny plus, po czym bez wstępów przeszedł do sedna:

– Musimy porozmawiać. Teraz – dorzucił jakby w obawie, że Iwona wymówi się pilnymi obowiązkami.

– W takim razie zapraszam.

Przeszli długim korytarzem do pokoju socjalnego dla lekarzy, gdzie wskazała mu fotel przy stoliku okolicznościowym. Nie usiadł od razu, zaczekał, aż ona to zrobi, czym zyskał w jej oczach następny plus. Zaproponowała kawę, lecz odmówił ruchem głowy i wbił w nią przenikliwe, taksujące spojrzenie.

– Iwona Gabriela Kenig – odezwał się po dość długim milczeniu. – Z domu Oryl. Czy tak? A dlaczego nie Ort?

Nadal wpatrywał się w nią z napięciem, jakby czegoś oczekiwał... Tylko czego? Nie miała pojęcia. Wzruszyła ramionami. Od dawna oczekiwała podobnego pytania, dziwiło jedynie, że zadał je tak późno.

– Dlatego, że to już nie jest moje nazwisko – odpowiedziała spokojnie, bez emocji. – Zmieniłam je zaraz po uzyskaniu pełnoletności.

– Dlaczego? – powtórzył. – I czemu nie Iga, tylko Iwona?

Ani na moment nie oderwał od niej wzroku, przez co czuła się jak na cenzurowanym. Czyżby chciał w ten sposób ocenić jej prawdomówność? Czekał na oznaki świadczące o kłamstwie? *W takim razie może sobie patrzeć do usranej śmierci* – stwierdziła w myślach. Tamto zdarzyło się tak dawno, że niemal zatarło się w pamięci, mimo to wiedziała, że nie ona była winna tragedii. Teraz wiedziała. Przedtem nie.

– Bo byłam głupia! – oświadczyła z mocą, a Zapata uniósł brwi w niemym zapytaniu. – Obwinałam się o śmierć Aśki i byłam przekonana, że ludzie we wsi też mnie winią. Przedtem nie chcieli ze mną rozmawiać i traktowali mnie, jakbym nie istniała, a nagle zaczęli zagadywać i proponować pomoc. To było tak niespodziewane, że wietrzyłam podstęp. Byłam pewna, że udają przyjaznych, a tak naprawdę tylko czekają sposobności, żeby się zemścić.

– Za co mieliby się mścić? Z tego, co mi wiadomo, sąd rodzinny nie dopatrzył się pani winy – zauważył sucho.

Zirytował ją tak, że naraz straciła całe opanowanie.

– Naprawdę pan nie rozumie czy tylko udaje?! – wybuchnęła. – Przecież ja tę dziewczynę zabiłam. Zabiłam! – wyskandowała, żeby wreszcie to zrozumiał. – Coś, co miało być głupim kawałem, z mojej winy zmieniło się w tragedię.

– Z pani winy – powtórzył w zadumie. – Ciekawe... To jak w końcu było? Zmieniła pani nazwisko z głupoty czy z poczucia winy?

Odetchnęła głęboko, usiłując powstrzymać płacz, lecz na próżno. Oczy wypełniły się łzami, słowa zdławił nagły spazm. Głośno przełknęła ślinę.

– Z jednego i drugiego, bo co z tego, że pomyliłam się co do mieszkańców Jaworowa? To nie zmieniło faktu, że to ja zabiłam Aşkę.

Mówiła niewyraźnie, polykając słowa, wstrząśnięta odkryciem, że wcale o przeszłości nie zapomniiała, a jedynie sobie wmawiała, że puściła ją w niepamięć. Nie wiedziała, że obserwujący ją policjant zauważył nagłą bladłość i wyraz szoku, jakie pojawiły się na jej twarzy, tak jak nie miała pojęcia, że wytłumaczył to sobie po swojemu. Tym bardziej więc zabolowały ją słowa wypowiedziane zimnym, obojętnym tonem:

– Mieszkańcy Jaworowa wiedzieli, co panią spotkało, i uważali, że sprawiedliwości stało się zadość. Dlatego nie chcieli się mścić. Za to pani tak.

– Nie rozumiem – bąknęła. I naprawdę nie rozumiała.

– Społeczeństwo w większości ma policjantów za tępaków – oświadczył z zaskakującą satysfakcją. – To się często przydaje, bo przestępcy nas lekceważą, przez co stają się niedbali i popełniają błędy. Tak jak pani.

Popatrzyła uważnie, chcąc sprawdzić, czy żartował, czy może postradał zmysły. Nie wyglądał na rozbawionego, chyba więc to drugie...

– Pan zwiariował – stwierdziła z głębokim przekonaniem, uznawszy to za jedyne wytłumaczenie kuriozalnego zachowania Zapaty.

On jakby nie usłyszał i spokojnie kontynuował:

– Wierzę, że mówi pani prawdę, twierdząc, że zapomniiała. Uważam nawet, że myśl o zemście w ogóle nie przeszła pani przez głowę. Tylko że przyjazd Ireny Korytko do szpitala to zmienił, przypomniał o wszystkich doznanych krzywdach.

Chyba nie mówił poważnie? A może nagle oszalał? Nikt normalny nie mógłby wymyślić tak absurdałnej historii! No i pomijając wszystko inne, Iwona nigdy nie słyszała o kobiecie noszącej takie nazwisko.

– Kim jest ta tajemnicza dama, która pana zdaniem spełniła funkcję katalizatora? – spytała zgrzyliwie. Uczucie rozpacz minęło, w jego miejsce napłynęła złość. – Ta jakaś Irena Korytko? Bo ja nigdy o niej nie słyszałam.

– Posługiwała się wtedy imieniem Irmina, bo tak miała na drugie. – Popatrzył na Iwonę, ale tylko wzruszyła ramionami na znak, że to również nic jej nie mówi. Wtedy rzucił bombę: – Jakiś czas temu zmieniła nazwisko na Korda.

Bomba okazała się niewypałem. Informacja co prawda Iwonę zaskoczyła, ale w dalszym ciągu nie pojmowała, dlaczego miałyby dowodzić jej winy w... Dopiero teraz uświadomiła sobie, że komisarz nie

sprecyzował zarzutów. Chyba że...

– Uważa pan, że to ja ją zabiłam? – Nie odpowiedział, lecz po jego minie poznała, że domysł jest słuszny. Parsknęła urywanym śmiechem.

Nadal milczał.

– To absurd! Czemu miałabym to zrobić? Nawet jej nie znałam.

– Naprawdę? – udała zdziwienie. – To dziwne, bo jako dziecko często przyjeżdżała do Jaworowa na wakacje i ferie zimowe.

– Być może. Tylko że ja jako dziecko tam nie mieszkalam – wytknęła z niekłamaną satysfakcją. – Poza tym nadal nie widzę powodu, dla którego miałabym ją zamordować. Fakt, że była wyjątkowo wredna, ale to chyba trochę za mało.

Jej kpiący ton najwyraźniej wyprowadził Zapatę z równowagi. Komisarz spojrział na nią z gniewem.

– Nie widzi pani? To ja przypomnę – rzucił przez zęby. – Irena Korda vel Irmina Korytko była przyrodnią siostrą Darii Bugali, która brała udział w uwięzieniu pani i jako jedyna nie poniosła żadnej kary.

– Jak to?!

Pełne zaskoczenia pytanie dotyczyło bliskiego pokrewieństwa Kordy z Darią, Iwona bowiem nigdy dotychczas nie słyszała, jakoby Bugala miała przyrodnie rodzeństwo. Inna sprawa, że nie za bardzo mogła o tym usłyszeć, skoro przez niemal cały pobyt Ortów w Jaworowie inni mieszkańcy unikali jej jak zadzumionej. Policjant jednak musiał uznać, że odnosiło się do drugiej części jego wypowiedzi.

– Akta nieletnich są co prawda zapieczętowane, ale można się domyślić, że wymierzona jej kara nie była zbyt surowa. Bugala nadal mieszkała z rodzicami, co oznacza, że nie trafiła do poprawczaka. Pewnie dostała nadzór kuratorski, a to według pani żadna zapłata.

– Ja nie... – zaczęła, lecz Diego nie dopuścił jej do głosu.

– Nie to, co inni, prawda? Joanna Madera zginęła, a Mariusz Wanat poszedł do więzienia, bo był już pełnoletni. Po odsiedzeniu wyroku zaczął handlować dragami, sam zresztą też lubił przyćpać, tylko że to kosztuje, a szefowie narkotykowych mafii nie mogą sobie pozwolić, żeby oszukiwał ich byle diler. Wanat miał dostać nauczkę, ale wykonawcy przefajnowali i Mariusz skończył w czarnym worku.

– O kurde! Nie wiedziałam, że Mariusz nie żyje.

Informacja nią wstrząsnęła, bo chociaż był czas, gdy Iwona życzyła mu wszystkiego, co najgorsze, to nigdy nie posunęła się tak daleko, by pragnąć jego śmierci. Nie wyglądało jednak na to, by Zapata miał uwierzyć jej zapewnieniom, toteż je sobie darowała.

– Nie wiedziała pani? Akurat! – potwierdził jej domysł. – Zresztą to bez znaczenia. W każdym razie musiała być pani wściekła, że Daria nie poniosła właściwie żadnej kary. Na domiar złego po rozpoczęciu kilka miesięcy temu pracy w Klonowicach dowiedziała się pani, że przed kilkoma laty Bugala wyszła za mąż i wyjechała do Stanów. Uciekła, bezczelnie się wymknęła. Dlatego przyjazd Kordy był jak gwiazdka z nieba. Nie mogła pani osiągnąć Bugali, więc siostra musiała ją zastąpić, zapłacić za jej grzechy.

– Jakie grzechy? O czym pan w ogóle mówi?

– O uwięzieniu w ciemnej jaskini, o zamordowaniu najpierw matki...

– Pan naprawdę zwariował. Przecież Daria nie miała nic wspólnego ze śmiercią mojej matki. Gdybym miała się na kimś mścić, to już prędzej na Mariuszu i bliźniętach, bo to ich ojciec ją zabił i ukrył ciało w jaskini.

Wzdrygnęła się na wspomnienie chwil, których miała nigdy nie zapomnieć.

Kiedy w końcu dotarła do domu, nikogo w nim nie zastała. Jak się później okazało, ojciec z grupą policjantów przemierzał jaworowskie lasy w poszukiwaniu zaginionej córki. Nie mieli pojęcia o istnieniu starej partyzanckiej kwatery, gdyż ludzie pamiętający wojenne czasy przez długie lata trzymali to w tajemnicy na wypadek zbrojnej interwencji sowietów. Później zaś, gdy zagrożenie wreszcie zniknęło, część z pozostających jeszcze przy życiu albo była zbyt schorowana, by zawracać sobie tym głowę, albo zwyczajnie nie pamiętała.

Powrót Igi zauważył jeden z funkcjonariuszy mających za zadanie pilnować domu na wypadek, gdyby dziewczyna wróciła. Zadzwoniła do ojca z jego telefonu, a Ort natychmiast wysłał do jaskini kilku funkcjonariuszy celem zabezpieczenia śladów, sam zaś wrócił do domu, by roztoczyć opiekę nad wycieńzoną i rozhisteryzowaną dziewczyną. Najpierw chciał wezwać pogotowie albo osobiście pojechać

z nią do szpitala, czemu kategorycznie się sprzeciwiła. Po zażartej dyskusji wezwał do domu lekarza i uspokoił się dopiero wtedy, gdy starszy mężczyzna w białym kitlu nie dopatrzył się żadnego zagrożenia.

Później ojciec nalał Idze talerz zupy, zaparzył herbatę w ogromnym kubku, a gdy zaspokoila głód i pragnienie, przygotował kąpiel i warował potem pod drzwiami w obawie, by nie zasnęła w wannie. Po kąpeli wmusił w nią jakąś tabletkę uspokajającą, a raczej usiłował wmusić, gdyż Iga natychmiast po jego wyjściu ją wypłuła, czego później wielokrotnie żałowała. Ale wtedy nie mogła inaczej.

Chciała być przytomna, gdy przyjadą podwładni ojca z informacją, co zastali w jaskini. Musiała wiedzieć, co z człowiekiem, którego uderzyła. Kto to był i przede wszystkim, czy nie wyrządziła mu zbyt wielkiej krzywdy.

Jednak to wcale nie wieści o tym człowieku wstrząsnęły nią tak bardzo, że straciła przytomność i odzyskała ją dopiero w szpitalu. Bo zanim do Igi dotarło, że była nim Joanna i że uderzenie okazało się zbyt mocne, by dziewczyna je przeżyła, policjant powiedział coś dużo bardziej przerażającego. Twierdził mianowicie, że przeszukując jaskinię, znaleźli tam na wpół zmumifikowane zwłoki Barbary Ort.

Zapata znowu coś mówił i Iwona z trudem oderwała się od wspomnień, by móc się skupić na jego słowach.

– Na Mariuszu byłoby raczej trudno się zemścić, dzieciaki natomiast zostały adoptowane, a do dokumentów adopcyjnych nawet my nie mamy dostępu. Miałem na myśli coś innego. – Uśmiechnął się leciutko. – To prawda, że Adam Wanat się przyznał i opowiedział z detalami o tym, jak zabił pani matkę i jak pod osłoną nocy przetransportował jej ciało do starej partyzanckiej kwatery, do której kiedyś zaprowadziła go babka. Ale gdyby nie tamtych troje, nadal miałyby pani nadzieję, że matka kiedyś wróci, a przez nich ta nadzieja umarła. No i nie zapominajmy o Edwardzie Orcie, o tym, że jego także ktoś pozbawił życia.

– Teraz to już pan przegiął!

Czuła taki gniew, że mało brakowało, a rzuciłaby się na policjanta z pięściami. Jak on śmiał jej imputować coś takiego?! Wystarczająco się nacierpiała z powodu wyrzutów sumienia, nie musiał jej dokładać.

– Nie sędzę – odparł, ignorując jej wzburzenie. – Zadane mu obrażenia są zadziwiająco zbieżne z tymi, które odniosła Irena Korda. On także został pobity na śmierć, a uderzenia zadawano narzędziem przypominającym kij, podobnie jak w przypadku Kordy, gdzie zidentyfikowano owo narzędzie jako fragment toru do nauki chodzenia.

Mówił obojętnym, wyzutym z wszelkich emocji głosem. Potem przeszedł do dokładnego opisu uszkodzeń ciała Edwarda Orta i choć Iwona zdawała sobie sprawę, że zrobił tak wyłącznie po to, by nią wstrząsnąć, po każdej wzmiance kuliła się, jakby to na nią spadały ciosy. W głowie jej szumiało, serce biło szalonym rytmem, myśli zaczęły się mącić. *Niech on wreszcie zamilknie, inaczej zwariuję!* – zdążyła sformułować ostatnie logiczne zdanie, nim nastąpiła katastrofa.

– Przestań! – wrzasnęła, zrywając się z miejsca. – Nie wytrzymam tego dłużej! Zamknij się, słyszysz?

Ukryła twarz w dłoniach, przez co nie mogła zobaczyć bólu, który na moment rozbłysnął w oczach Diega. Zresztą nawet gdyby go zauważyła, pewnie uznałaby to za halucynację, gdyż komisarz jakby nie zwrócił uwagi na jej wybuch i kontynuował tym samym zimnym tonem, co poprzednio. Porzucił za to oficjalną formę i teraz także zwracał się do Iwony na ty, ale ów fakt również umknął jej uwadze.

– Zastanawiam się, czy obwiniałaś Kordę o zamordowanie ojca i chciałaś, żeby umarła w takich samych męczarniach, czy tylko się nimi zainspirowałaś?

– Zainspirowałam się?! – Aż zatrzęsała się ze złości. – Trzeba być kompletnie głupim, żeby tak myśleć! I nie obwiniałam Kordy! Nie znałam jej, nie wiedziałam, kim jest, zresztą ona na pewno nie zamordowała mojego ojca. Nie miała powodu, żeby to zrobić.

W miarę, jak wyrzucała z siebie słowa, głos przycichał, aż z początkowego krzyku przeszedł niemal w szept. Emocje także opadły, pozostawivszy po sobie pustkę. Iwona usiadła i zapatrzyła się tępo w kubek z resztkami herbaty, pozostawiony przez kogoś na stoliku.

– Powiedziałaś, że Korda nie miała powodu – odezwał się znow Zapata, przerywając ciszę. – A kto miał?

– Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia, komu mógł się aż tak narazić. Za to wiem, że jestem odpowiedzialna za jego śmierć. To była moja wina.

## Rozdział 21

### To moja wina!

13–28 sierpnia 2015

– To jak będzie? Przyjdiesz?

Wahała się, niepewna, czy powinna się zgodzić. Nie miała ochoty na kolejną kłótnię, a tak się jakoś dziwnie składało, że każde ich spotkanie kończyło się w ten sposób. Mniejszą lub większą awanturą. Nadal nie umieli ze sobą rozmawiać, a choć Iga, a właściwie Iwona, gdyż od trzynastu lat posługiwała się swoim metrykalnym imieniem, zdawała sobie sprawę, że to właśnie ona swoim niewyparzoną językiem prowokuje scysje, nie robiła nic, by temu zapobiec. Gdzieś głęboko w duszy ciągle tlił się żal do ojca.

Nie zdołała mu wybaczyć stawiania służby nad rodzinę, przekładającego się na nieobecność w domu i na szkolnych uroczystościach, na lekceważenie jej problemów i, co najważniejsze, na smutek i ukradkiem ronione łzy matki. Z uporem pielęgnowała wspomnienia tamtych uczuć zawodu, rozpacz i gniewu, nie zdając sobie sprawy, że właśnie one są źródłem goryczy zatruwającej ich wzajemne kontakty, akceleratorem podsycającym płomień niechęci, od której do nienawiści był tylko jeden krok.

– Przyjść.

Na wyrażenie właściwie wbrew sobie zgody wpłynął przede wszystkim wygląd ojca. Edward Ort wyraźnie się postarzał. Włosy mu posiwiwały, ramiona obwisły, na twarzy zaś, zrytej wokół ust głębokimi bruzdami, malował się wyraz bezradności i klęski. A nie był wcale taki stary, miał zaledwie pięćdziesiąt pięć lat. Pomyślała, że niepotrzebnie zrezygnował ze służby w policji i przeszedł na emeryturę, podejrzewała bowiem, że właśnie dlatego tak bardzo się zmienił przez ostatnie pół roku. Jakby naraz stracił cel w życiu.

– Tylko nie zapomnij, bo mam zamiar przygotować twoje ulubione dania.

Uśmiechnął się do córki i uniośł rękę w stronę jej głowy, lecz na widok gniewnego spojrzenia natychmiast ją opuścił. Iwona rzuciła zdawkowe słowa pożegnania i odeszła szybkim krokiem, zła na niego i zarazem na siebie. *Co by się stało, gdyby pogłaskał cię po włosach? Ubyłoby ci?* – besztła się w myślach.

Zaraz jednak skarciła się za chwilę słabości. Gdyby ojciec mniej czasu spędzał w pracy, poświęcając uwagę żonie i córce, mama nie czułaby się niepotrzebna i nie szukałaby potwierdzenia własnej wartości poprzez zajmowanie się cudzymi dziećmi. A wtedy ojciec Mariusza nie zapragnąłby jej dla siebie tak bardzo, że gdy odmówiła, wpadł w szał i ją zabił. To Edward Ort uruchomił lawinę, która pochłonęła tyle istnień. Mama, Aśka Madera, Adam Wanat, Mariusz... Nawet Darii oberwało się rykoszetem, bo chociaż zawiniła najmniej, to jednak brała udział w tamtej sprawie i mieszkańcy Jaworowa nie pozwalali jej o tym zapomnieć.

Uśmiechnęła się krzywo. Ona także nie zapomniwała, że przedtem podobnie traktowali ją, Iwonę, wtedy jeszcze Igę. Widocznie zawsze musieli mieć kogoś, komu mogliby publicznie okazywać pogardę, dzięki czemu czuli się lepsi, bardziej moralni. Tylko czy ona również tak nie postępowała? Czym się różniła od nich, gdy obwiniła ojca o wszystko, co najgorsze, podczas gdy sama miała na sumieniu czyjaś śmierć?

Czym prędzej odpędziła od siebie tę myśl, a później, zła na siebie za tę chwilę słabości, celowo wspominała wszystkie przewiny Orta. Żeby pamiętać.

Wieczorem zadzwoniła koleżanka z propozycją, by wykorzystały długi weekend na wypad do szczecineckich lasów na tak długo wyczekiwane grzyby. Iwona nie tylko nie odmówiła, ale jeszcze załatwiła sobie urlop, by zostać tam dłużej. Niech ojciec się wypcha ze swoim obiadem!

– Matko boska, po co ci tyle ciuchów? – jęknęła Iwona na widok dwóch ogromnych waliz ciągnionych z wielkim trudem przez drobną, eteryczną blondynkę.

– Nie jestem żadną matką, a już na pewno nie boską – zaprotestowała Wanda. – Lepiej byś mi pomogła zamiast wydziwiać. To, że jedziemy do lasu, nie oznacza, że mam chodzić ubrana jak lumpiara – stwierdziła z godnością znacznie przewyższającą jej mikrą posturę. – Skąd wiesz, czy będą tam warunki do prania?

– Kiedy masz zamiar to wszystko wybrudzić? Przecież to tylko trzy dni, w dodatku niecałe, bo mówiłaś, że koniecznie musisz wracać w niedzielę.

– Nie muszę! Marudziłam tak długo, że w końcu Jacek dał mi urlop – oświadczyła Wanda, a Iwona aż podskoczyła z radości i uściskała przyjaciółkę.

– Mądry gość – pochwaliła znanego jej tylko ze słyszenia mężczyznę.

– Nie tyle mądry, ile słaby psychicznie. Powiedział, że woli przyjmować pacjentów do późnej nocy niż wysłuchiwać mojego jęczenia, bo jeszcze ze dwa dni, a stanie się kandydatem do zawiezienia na Olszówkę.

Wanda pracowała jako internistka w jednej z prywatnych przychodni. W przeciwieństwie do Iwony nie miała większych ambicji i nie zamierzała robić specjalizacji, zwłaszcza że żaden kierunek aż tak jej nie pociągał. Za to ona pociągała szefa przychodni, co bezwstydnie wykorzystywała, dawało się jednak zauważyć, że robi to coraz rzadziej. Wszystkie znaki wskazywały, że wytrwałość niezbyt może przystojnego, za to stałego w uczuciach lekarza zostanie nagrodzona.

Władowały walizy do samochodu i po stoczeniu krótkiej słownej potyczki o to, która ma prowadzić jako pierwsza, Wanda usiadła za kierownicą. Po włączeniu nawigacji umocowała telefon w uchwycie i zerknąwszy w lusterko, włączyła się do ruchu.

Jechały szybko, ale bez szaleństw, by nie wpaść w oko fotoradarom. Minęły już Częstochowę, gdy z tylnego siedzenia doszedł ich dźwięk wygrywanej melodii. Iwona przechyliła się, by schwycić ucha rzuconej tam torebki, po czym wydobyła z bocznej kieszonki szalejącą komórkę. Zakłęła szpetnie, ujrzawszy na ekranie numer ojca.

– Niech to szlag, zaraz zaczniesz się marudzić – mruknęła, dotykając ikony połączenia. – Cześć, tato – odezwała się ze sztucznym entuzjazmem. – Uprzedziłeś mnie, bo właśnie miałam do ciebie dzwonić. Sorry, ale nie będę mogła jutro przyjść, bo koleżanka się rozchorowała i muszę wziąć za nią dyżur.

Odsunęła lekko telefon od ucha, pewna, że zaraz usłyszy narzekanie na swoją niesłowność i pouczenia, że nie powinno się oszukiwać własnego ojca. Nie pierwszy raz pod zmyślnym pretekstem odwoływała spotkanie, a on jakimś tajemniczym sposobem zawsze to wyczuwał, jakby dysponował dodatkowym zmysłem służącym do wychwytywania kłamstw.

Ku zaskoczeniu Iwony ojciec w żaden sposób nie odniósł się do jej słów i poruszył całkiem inny temat. Początkowo słuchała nieuważnie, lecz jedno słowo sprawiło, że nadstawiła ucha. Straciła jednak byt wiele, by móc zrozumieć sens wypowiedzi.

– Możesz powtórzyć, co mówiłeś? – przerwała mu niecierpliwie. – Zasięg mi uciekł i nic nie słyszałam.

– Mówiłem, że miałem dzisiaj bardzo nietypową wizytę. Odwiedziła mnie jakaś młoda dziewczyna i poprosiła o chwilę rozmowy. To było bardzo dziwne.

– Czemu dziwne? Nie jesteś znowu taki stary.

– Przestań się wygłupiać – ofuknął ją ze zniecierpliwieniem. – Powiedziała, że mieszka w Jaworowie i dlatego od razu mnie rozpoznała.

Zatem mimo wszystko się nie przesłyszała, jednak wymienił tę nazwę. Dziewczyna z Jaworowa? I co z tego? Co ją to obchodzi? Niechby przyjechało i dziesięć dziewczyn, ona dawno skończyła z tą przeklętą wioską.

– Co w tym dziwnego? Mieszkałeś tam, byłeś komendantem komisariatu i przez te piętnaście lat wcale tak bardzo się nie zmieniłeś.

– Wątpię, by piętnaście lat temu ta dziewczyna umiała samodzielnie zawiązać sobie buty – burknął. – To młodziutkie dziewczątko, ma co najwyżej dwadzieścia lat.

Iwona szybko wykonała w myślach niezbyt skomplikowane działanie.

– W takim razie w chwili naszej przeprowadzki musiała mieć z pięć. To już nie niemowlę, mogła cię zapamiętać. Czego chciała?

– To właśnie jest najdziwniejsze – oznajmił Ort. – Bo kiedy już potwierdziłem, że ja to ja, od razu spytała o ciebie.

– O mnie?! – wykrzyknęła, nie umiejąc opanować zaskoczenia. – Jak to?

– Normalnie, spytała, gdzie mieszkasz, bo chciałyby się z tobą spotkać. Z dawną koleżanką, tak to określiła. Znasz ją?

Iwona przewróciła oczami. Nie pojmowała, jak ojciec mógł być dobrym policjantem, skoro zadawał tak głupie pytania.

– Wątpię, nie zadawałam się z pięciolatkami. Może gdybyś raczył powiedzieć, jak się nazywa, albo przynajmniej podał jej rysopis...

Zasapał, co zawsze było u niego oznaką zmieszania. Odchrząknął, nim odpowiedział cokolwiek zbyt głośno:

– Ani ładna, ani brzydka, idealnie przeciętna, bez jakichkolwiek widocznych znaków szczególnych. Średniego wzrostu i tuszy. Brązowe włosy, niebieskie oczy, twarz owalna, brwi ciemne, w kształcie łuku.

Westchnęła. Takich dziewczyn były tysiące, a w samym Jaworowie pewnie kilkanaście. Mimo to dałaby sobie głowę uciąć, że nigdy się nie spotkały, a już na pewno, że kiedyś łączyła je jakaś więź.

– Nie powiedziałaś, jak się nazywa – przypomniała sobie nagle. – Zapomniałeś? – spytała, gdy milczał zbyt długo.

– Wcale nie. Tylko że sąsiedzi akurat zaczęli się kłócić przed drzwiami, kiedy się przedstawiała, i ją zagłuszyli. Ale na imię ma Karolina, tak wywnioskowałem ze zdrobnienia...

Wanda właśnie zjechała na parking przed przydrożnym zajazdem, gdzie planowały zjeść posiłek, a później zamienić się miejscami. Iwona wysiadła i z komórką przy uchu przystanąła obok samochodu. Nieuważnie słuchała ojca nadal rozwodzącego się nad tajemniczym gościem, lecz jej zainteresowanie nieznajomą już opadło, a zbyt długo wałkowany temat zaczął nudzić. *Dziewczyna pewnie zrobiła ojcu dowcip, możliwe, że się z kimś założyła, a tata dał się wkręcić jak małe dziecko* – skonkludowała w myślach, głośno zaś powiedziała:

– Mam nadzieję, że nie podałeś jej mojego adresu.

– Nie, no co ty? Bez twojej zgody? Poza tym uznałem to za niepotrzebne, bo przecież się spotkacie...

Iwona z trudem zwalczyła przemożną ochotę wyrznięcia telefonem o asfalt. Ojciec znowu próbował organizować jej życie, tak jak wtedy, gdy bez jej wiedzy zapraszał do domu młodych policjantów, żywiąc bezzasadną nadzieję, że któryś z nich zawróci córce w głowie, a to odwiedzie ją od pomysłu studiowania medycyny na wrocławskiej akademii.

Nadal zresztą uzurpował sobie prawo podejmowania za nią decyzji, czego przykładem było umówienie córki z nieznajomą.

– Nie mam zamiaru się z nią spotykać – przerwała mu kategoryczną odmową.

– Iga, gdzie ty właściwie jesteś? – zainteresował się nagle. – W szpitalu? Przecież tam nie ma takiego ruchu na drodze.

– Chodziło mi o dyżur w przyszpitalnej przychodni. Muszę już kończyć, mam wizytę domową – przemyciła sprytne wytłumaczenie odgłosów przejeżdżających samochodów.

– Czekaj! O której przyjdiesz?

Iwonę ogarnęła wściekłość, że nic się nie zmieniło, że w dalszym ciągu puszczał jej słowa mimo uszu.

– Mówiłam już, że nie przyjdę – wysyczała przez zęby. – Mam jutro dyżur, dopiero co o tym rozmawialiśmy.

– To załatw sobie zastępstwo – polecił nieznoszącym sprzeciwu tonem, jakby nadal miała naście lat. – Ona też przyjdzie, ta twoja koleżanka.

Kolejne potwierdzenie, że w ogóle jej nie słuchał. Miała ochotę się rozplakać, choć przecież już dawno powinna była przywyknąć.

– To nie jest żadna moja koleżanka! Ani myślę zmieniać planów, bo jakaś dziewczucha coś sobie ubzdurzyła!

– Ależ córeczko, nie możesz tak mówić. Ona bardzo na to nalegała, bo widzisz... – Urwał, a gdy podjął na nowo, porzucił ów sztuczny, napsuszony sposób mówienia, którego używał, gdy zwracał córce uwagę. I którego nienawidziła z całego serca. – Ona ma jakieś informacje o mamie. Powiedziała, że Wanat wcale Basi nie zabił i że opowie o wszystkim, kiedy też będziesz przy tym obecna. Iga, musisz przyjść!

– Nie mów do mnie Iga! Iga umarła w tamtej jaskini! – wrzasnęła tak głośno, że stojący przy sąsiednim samochodzie mężczyźni zaczęli jej się przyglądać. Pokazała im środkowy palec i ostentacyjnie odwróciła się tyłem. – Mamę zabił Wanat, a ty dobrze o tym wiesz.

– Iwonko, proszę cię, to dla mnie ważne...

– Mam w dupie, że to dla ciebie ważne! Mam w dupie tę dziewczynę, jej wyssane z palca informacje i ciebie też mam w dupie. Możesz sobie z nią rozmawiać do upojenia, a nawet się ożenić i spłodzić tuzin dzieci. Mnie to nie obchodzi. Już nie – zakończyła głośno i wytarła wierzchem dłoni mokre od łez policzki.

Przytrzymała przycisk z boku telefonu, potwierdziła zamiar wyłączenia, a gdy ekran pociemniał, podała komórkę przyjaciółce. Doceniła, że Wanda nie zadała żadnego pytania, choć widać było, że zżera ją ciekawość.

– Kiedyś ci wszystko opowiem – obiecała Iwona. – Teraz nie mogę, za bardzo mnie wkurwił. Schowaj mój telefon tak, żebym go nie znalazła, i oddaj dopiero po powrocie.

Dobrze wiedziała, że w pierwszym odruchu ojciec się wścieknie, ale już po kilku minutach zacznie ją bombardować telefonami. Zawsze tak było. A Iwona zawsze w końcu ulegała, gdyż wyrzuty sumienia nie pozwalały jej wytrwać przy decyzji o całkowitym zerwaniu kontaktów. Dzwoniła do niego z przeprosinami nawet wówczas, gdy wina leżała ewidentnie po jego stronie, tłumacząc sobie, że to przecież ojciec. Ale teraz już koniec!

Tym razem dotrzymała słowa, choć wielokrotnie miała ochotę przeszukać walizkę Wandy, by odnaleźć komórkę. Oprócz wyrzutów sumienia dręczyła ją też ciekawość, co wynikło ze spotkania z tajemniczą nieznaną. Czy okazała się oszustką? A może faktycznie wiedziała o czymś, co przegapili prowadzący śledztwo policjanci? *Dowiem się wszystkiego po powrocie. Tych kilka dni mnie nie zbawi* – powtarzała w myślach, gdy potrzeba odzyskania telefonu stawała się zbyt dojmująca.

W swoim mieszkaniu najpierw wypakowała walizkę, by wrzucić do pralki brudną odzież. Ułożyła na półkach kosmetyki i przybory toaletowe, zaparzyła herbatę i dopiero wtedy włączyła komórkę. Kilka minut później ze zdumieniem wpatrywała się w historię połączeń. Ojciec, owszem, dzwonił do niej sześć razy, ale tylko w dniu ich ostatniej rozmowy, w dodatku jedynie do godziny szesnastej. Później próby się skończyły.

Czyżby Edward Ort wreszcie zrozumiał, że więzy krwi nie zawsze muszą oznaczać miłość czy chociażby przywiązanie? Nie mogąc w to uwierzyć, Iwona sprawdziła pocztę głosową i wiadomości, choć znała niechęć ojca do tych „idiotycznych wynalazków”, jak nazywał wszystkie dodatkowe funkcje swojej stareńkiej noki. „Jak sama nazwa wskazuje, telefon służy do telefonowania” – powtarzał z uporem.

Zgodnie z przewidywaniami nie znalazła żadnego śladu po próbach skontaktowania się z nią, wróciła więc do rejestru połączeń, gdzie wcześniej zauważyła powtarzający się kilka razy nieznaną numer telefonu. Pierwszy raz pojawił się tam pięć dni temu i od tamtej pory jego właściciel usiłował dodzwonić się do niej z zadziwiającą regularnością. Telemarketer? Wątpliwe, oni na ogół dzwonią tylko raz dziennie. Więc kto?

Dopiła herbatę i przeszła do kuchni, by przygotować jakiś posiłek, ale ani na chwilę nie przestawała o tym myśleć. W końcu doszła do wniosku, że musi oddzwonić na ów numer, inaczej nigdy nie wyrzuci go z głowy. Odłożyła konserwę z na wpeł otwartym wieczkiem, wróciła do pokoju i wzięła do ręki komórkę.

Kilka minut później zawałił jej się świat.

## 27 września 2020

– Wyłączyłam telefon i jak idiotka zbierałam jakieś pieprzone grzyby, kiedy on tam leżał martwy. Tyle dni w upale... Nie pozwolono mi go nawet zobaczyć, choć byłam jego jedyną krewną, w dodatku lekarzem – mówiła Iwona z płaczem.

Sięgnęła po paczkę chusteczek, żeby wytrzeć łyzy uparcie płynące po policzkach, i potrafiła przy tym kubek. Złapała go w ostatniej chwili, co, paradoksalnie, musiało ją uspokoić, gdyż słone krople nagle przestały przesłaniać wzrok.



Diego spoglądał na nią ze współczuciem. Czuł się winny, że swoimi oskarżeniami doprowadził ją do takiego stanu. Jak mógł być do tego stopnia głupi? Przecież osobiście sprawdzał jej alibi, a wynik tych ustaleń stwierdzał niezbicie, że nie mogła zabić ani Pokrzywy, ani Ślicznego. Dlaczego więc zaczął naraz w to wątpić?

Usiłował zdefiniować własne motywy i po chwili zrozumiał, że kierował nim strach. Bał się kielkującego w nim uczucia, pewien, że czeka go wyłącznie rozczarowanie, próbował zatem zdławić je w zarodku. Stąd ten bezzasadny atak oparty nawet nie na domysłach, lecz bardziej na wymysłach.

*Zapata, jesteś kompletnym idiotą* – zwyzywał się w myślach, głośno zaś powiedział:

– Lepiej, że zapamiętałaś go takiego, jakim był za życia. Przepraszam. Niepotrzebnie mówiłem o jego obrażeniach.

Odwzajemniła spojrzenie, dzięki czemu mógł zobaczyć w jej oczach bezbrzeżny smutek.

– Moim zdaniem potrzebnie, bo dzięki temu wiem, że ojca torturowano. Domyślam się, że policjanci celowo ukryli to przede mną i że zrobili tak w dobrej wierze, ale chronienie mnie przed prawdą było błędem. Bo to moja wina, że został zamordowany. Gdybym wtedy poszła na ten cholerny obiad, ojciec mógłby nadal żyć! Ale nie, księżniczka wołała się obrazić i wyjechać, bo tatuś za rzadko bywał w domu, kiedy była dzieckiem.

– Nie mogłabyś temu zapobiec, zrobiłabyś zabójcy tylko prezent, bo jestem całkowicie pewny, że właśnie ty byłaś celem.

Machając gwałtownie rękami, znowu potrąciła nieszczęsny kubek. I tym razem złapała go w samą porę, po czym, by dłużej nie kusić losu, odstawiła na regał.

– O tym właśnie mówię. Ta dziewczyna chciała poznać mój adres, a kiedy go nie dostała, najpierw sprzedała ojcu bajkę o tym, że ma nowe informacje w sprawie śmierci mamy, a potem nalegała, żebym była przy tym obecna, kiedy będzie opowiadać. Dlatego jestem pewna, że gdybym wtedy go odwiedziła, ojcu nic by się nie stało.

Komisarz niezbyt uważnie słuchał jej wywodów. Analizował w myślach wszystkie dane, od szczątkowych informacji zebranych z niemałym trudem przez Węgrzyna, poprzez to, co w gniewie wykrzyczała Iwona, aż po ustalenia z prowadzonych obecnie spraw. Tak jakby nie mógł się pozbyć przeświadczenia, że wszystko to ma wspólny mianownik.

Nagle uświadomił sobie panującą od kilku minut ciszę i pojął, że Iwona czeka na jego reakcję. *O czym ona mówiła?* – zastanawiał się gorączkowo. Nie mógł przecież się przyznać, że myślał o czym innym. *O ojcu? Chyba tak.* Skupił się, usiłując przywołać słowa Iwony, i wtem pamięć mu je podsunęła. Stało się to tak nagle, że nim zdążył pomyśleć, jak ona odbierze jego tak sformułowane pytanie, odezwał się z wyraźnym zdziwieniem:

– Naprawdę tak myślisz?

W jej oczach ponownie rozgorzała wściekłość.

– Tak, naprawdę! Za to ty oczywiście mi nie wierzysz, bo to nie pasuje do twojej hipotezy. Fakty przeczą założeniom? To trzeba zmienić fakty.

Zapata otworzył usta, lecz zamknął je, nie wypowiedziawszy żadnego słowa na swoją obronę. Po tym, co zrobił Iwonie, miała prawo myśleć o nim jak najgorzej. Sam jest sobie winien. Przypomniał sobie zasłyszane gdzieś słowa i pomyślał, że wręcz idealnie oddają jego sytuację: „Nigdy nie jest tak źle, żebyś nie mógł tego na własne życzenie pogorszyć”. Westchnął więc tylko, popatrzył na learkę siedzącą z zaciętą miną i poprosił:

– Wyłumacz, dlaczego uważasz, że chodziło jej o ciebie.

– Po co? Przecież ty wiesz lepiej, a ja na pewno skłamię. – Łypnęła gniewnie, lecz nagle skinęła głową. – W porządku. Odpowiem, żeby potem nie było, że coś zataiłam. Choć nie rozumiem, po jaką cholere, wszystko powiedziałam policjantowi, który mnie wtedy przesłuchiwał. Nie możesz sobie przeczytać?

Nie miał siły tłumaczyć, że tylko na filmach policjant nie ma najmniejszych problemów z dostępem do starych akt. Najczęściej schodzi do piwnicy i wyszukuje potrzebne dokumenty. W prawdziwym życiu jest to już takie proste, ale z doświadczenia wiedział, że ludzie chętniej dają wiarę telewizyjnemu obrazowi. Kilkakrotnie wdał się w podobną dyskusję i za każdym razem oponenti twierdzili, że komisarz ich wkłęca.

– Musiałbym pojechać po tamte akta – odpowiedział ogłędnie, nie dodając, że archiwum znajduje się w Katowicach.

Iwona nie drążyła dłużej tematu dokumentów. Popatrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, jakby szukała odpowiedzi w sferach dostrzegalnych tylko dla niej.

– Musiało chodzić o mnie, inaczej ta dziewczyna nie chciałaby poznać mojego adresu i nie domagałaby się spotkania ze mną. Tylko że ja nie przyszedłam, więc torturowała ojca, żeby zdradził, gdzie mieszkam, i robiła to tak długo, że jego serce nie wytrzymało. A gdybym przyszła, to by się nie zdarzyło, nie musiałyby go męczyć. Tak że sam widzisz, że to moja wina.

Zmełł w ustach soczyste przekleństwo. A jednak się nie pomylił, ona rzeczywiście tak myślała. Co za idiotka! Ale czy na pewno? Ludzie często obwiniają się o śmierć bliskich, i to nawet wtedy, gdy nie dzielili ich żadne niesnaski, a nieboszczyk zmarł śmiercią naturalną. Nic zatem dziwnego, że Iwonę dręczyły wyrzuty sumienia, podpowiadając absurdalne wyjaśnienie. Zwłaszcza jeśli przez tyle lat nie przepracowała tamtej traumy.

– Brednie! – rzucił ostro. Zachnęła się gniewnie, lecz w oczach na moment rozbłysła ciekawość, co nie umknęło uwadze Diega. – Odrzuć na bok emocje i pomyśl logicznie. Twój ojciec tę dziewczynę widział, rozmawiał z nią co najmniej dwukrotnie. Naprawdę myślisz, że gdyby cię zabili, pozwoliliby mu żyć?

Spojrzała na niego zdumiona, chyba rzeczywiście dotychczas się nad tym nie zastanawiała. Wolno skinęła głową.

– Masz rację, chyba nie. Muszę to przemyśleć... – Zamilkła, lecz zaraz ponownie się odezwała: – Czemu liczba mnoga? Ze słów ojca wynikało, że była sama.

– Tak mi się powiedziało, nie wiem czemu.

Nie powiedział jej prawdy, bo gdyby się przed kimś wygadała, mogłoby to spowodować kłopoty na czynnego policjanta prowadzącego tamto śledztwo. Węgrzynowi udało się do niego dotrzeć, kiedy z właściwą sobie zajadłością zaczął drążyć temat, a gdy tylko aspirant usłyszał o powiązaniach z niewykrytą sprawą, przyznał się, że skopiował dla siebie najważniejsze dokumenty w nadziei, że kiedyś wreszcie trafi na jakiś ślad, później zaś przesłał je sierżantowi pocztą elektroniczną. Dzięki temu Zapata nie tylko podejrzewał, ale nawet miał pewność, że zabójcą był mężczyzna, a kobieta pełniła w tym duecie funkcję wywiadowcy.

Na szczęście Iwona nie usiłowała drążyć głębiej. Przyjęła wyjaśnienie do wiadomości, ale widział, że myślami błądzi gdzieś daleko. Wiedział, że sama musi się uporać z tym, co zasiał w jej umyśle, toteż pożegnał ją i wyszedł przed budynek, by w spokoju zastanowić się nad najnowszą hipotezą. Czy w ogóle ma jakiś sens?

– Cześć, Diego! – usłyszał tuż za sobą.

Obejrzał się i ujrzał Dionizę, trzymającą w prawej ręce papierosa. Lewą gorączkowo przeszukiwała kieszenie. Odwzajemniwszy powitanie, podał jej ognia, spoglądając radośnie, jak chorą ręką podnosi papierosa do ust.

– Widzę, że rehabilitacja przyniosła efekty. W porównaniu z tym, co było, postęp jest kolosalny – pochwalił szczerze.

Wyszczrzyła się w uśmiechu, lecz zaraz spochmurniała.

– Przydybałam wczoraj Baumgardta. To mój lekarz prowadzący – wyjaśniła. – Byłam pewna, że mnie wypisze, bo jestem tu już trzy tygodnie, no i sama widzę wielki postęp. Jeszcze trochę, a ręka wróci do dawnej sprawności. A ten baran powiedział, że nie ma mowy, że muszę zostać, bo chce mnie wypisać dopiero wtedy, jak odzyskam w niej całkowitą władzę. Czyli jeszcze trzy tygodnie. Ja pier... niczę! Chyba nie wytrzymam.

Słumił rozbawienie i z poważną miną zapytał, co lekarz zamierza zrobić, jeśli kolejne trzy tygodnie nie wystarczą.

– Będzie cię tu trzymać po wieczność?

– Nie wkurwiał mnie, bo ci coś zrobię – ostrzegła i z ponurym grymasem wyjaśniła: – Powiedział, że w takim przypadku wystąpi z wnioskiem do Enefzetu o przedłużenie rehabilitacji o następne sześć tygodni, a oni na pewno wyrażą zgodę, bo dobrze rokuję. Chyba cię zabije! – warknęła, gdy Diego nie wytrzymał i ryknął śmiechem.

– Sorry – wysapał po pewnym czasie i przetarł zażawione oczy. – Ale gdybyś mogła zobaczyć swoją minę... Czemu to taka krzywda, że musisz zostać?

– Bo po pierwsze, nie wiem, kogo mi dadzą do pokoju, kiedy Violka wyjdzie. Jeżeli kogoś takiego jak ta pani Władzia z trzysta jeden, to poleje się krew. Ta baba w ogóle się nie myje, a kiedy zwracają jej

uwagę, udaje, że niedosłyszysz. Jej współlokatorki całymi dniami przesiadują w hallu na końcu korytarza, bo w pokoju nie da się wytrzymać, tak wali szczykami.

– Jak cię znam, znalazłabyś sposób nawet na takiego skunksa.

– A po drugie – Diona pominęła milczeniem uwagę komisarza – umrę tutaj z nudów, zwłaszcza teraz, kiedy skończyłeś ze śledztwem. Inni...

– O czym ty mówisz? – Zapata nie pozwolił jej dokończyć. – Przecież wcale nie zamknąłem śledztwa, w dodatku...

Teraz ona mu przerwała.

– Nie powiedziałam, że zamknąłeś, tylko... Chcesz powiedzieć, że o niczym nie wiesz?

Mina policjanta wystarczyła jej za odpowiedź.

– Dzwoniłam kilka razy, żeby cię uprzedzić, ale nie odbierałeś – wytknęła.

– Komórka mi się rozładowała – usprawiedliwił się.

Nie skłamał. Tak często i długo konferowali z Węgierskim, w dodatku pobrał tyle zdjęć, że ekran telefonu w końcu pociemniał i zgasł.

Diona westchnęła i skierowała się w stronę ławki, a Diego podążył za nią. Coś mu mówiło, że to będzie długa rozmowa.

## Rozdział 22

### Przewiązka

28 września 2020

Diona siedziała na krześle i z zapalem machała ręką przymocowaną do podwieszki za pomocą trzech pasów stabilizacyjnych, jednocześnie zaś wspominała wczorajszą rozmowę z Diegiem. Komisarz zaimponował jej opanowaniem, gdy na wieść, że prokurator Niecko zamierza odsunąć go od śledztwa, ograniczył się do zwięzłego „a to skurwysyn” i spokojnie spytał o źródło informacji. Wtedy opowiedziała mu, czego była świadkiem.

Na kilka godzin przed spotkaniem Zapaty miała wątpliwe szczęście natknąć się na prokuratora. Nastąpiło to w chwili, gdy ten podszedł do samochodu zaparkowanego w sposób urągający wszelkim przepisom ruchu drogowego – nie dość, że na zakręcie, to jeszcze na środku wąskiej uliczki, przez co całkowicie zablokował przejazd. Poirytowana Dioniza już chciała zwrócić mu uwagę, nie szczędząc przy tym przykrych słów, w tej samej jednak chwili on odezwał się pierwszy. Tyle że nie do niej. Dopiero wtedy zauważyła słuchawki w uszach i pojęła, że prokurator rozmawia przez telefon.

Nieciekawa tego, co mówił, skrzyła więc w bok, lecz naraz przystanęła, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała: „Z nim nigdy się nie dogadam. Co innego pan, dlatego wystąpię o zmianę prowadzącego śledztwo”. Zamilkł, zapewne słuchając, co ma do powiedzenia jego rozmówca, a Diona dziękowała wszystkim dobrym mocom, że ma przy sobie komórkę, co nie zdarzało się zbyt często. Przysiadła na ławce i szybko włączyła dyktafon w przeczuciu, że nagranie może jej się kiedyś przydać, po czym usadowiła się bokiem i wzburzyła włosy. Wyglądała teraz, jakby przy papierosie przeglądała coś w telefonie.

Remańska zapamiętała lekceważącą opinię Niecka o kobietach i chętnie utarłaby mu nosa. Teraz zwietrzyła sposobność, gdyż jego słowa i pełen złośliwej satysfakcji ton świadczyły o niezbyt czystych zamiarach.

Uśmiechnęła się ironicznie, gdy przez zasłonę z włosów dojrzała, że prokurator obojętnie przesunął po niej wzrokiem. Prawdopodobnie w ogóle jej nie zauważył, a jeśli nawet, wziął ją zapewne za jedną z pacjentek, w dodatku zaliczających się do grona kobiet trwale zespawanych z telefonem, podjął bowiem zupełnie otwarcie: „Mówiłem już, że komisarz Zapata się do tego nie nadaje, za bardzo trzyma się przepisów. To jak będzie, panie Jarku? Mam zasugerować, że śledztwo w sprawie zabójstwa w klonowickim szpitalu powinien przejąć aspirant Bobczyński?”.

Usłyszawszy nazwisko Diega, Diona z wrazenia upuściła komórkę. Czym prędzej ją podniosła i sprawdziła, czy funkcja nagrywania nadal jest aktywna, po czym odetchnęła z ulgą na widok zmieniających się cyfr oznaczających czas nagrywania. Wszystko było w porządku.

Nieznany Dionie aspirant chyba zadawał pytania, gdyż następne słowa Niecka przybrały formę odpowiedzi: „Mam zamiar połączyć je w jedną, a pan wykaże, że są ze sobą powiązane. Co?... Bobczyński, niech pan nie będzie idiotą! W sprawę zamieszany jest Ramos, a wiadomo, że gangsterzy ciągle kogoś zabijają. Święty nie jest, niech sobie posiedzi ze dwadzieścia...”.

Prokurator, słuchając, otworzył drzwi samochodu, a Diona miała ochotę zakląć. Jeśli wsiądzie, nic więcej się nie nagra. Na szczęście aspirant mówił krótko i Niecko znów się odezwał, cofnął też nogę, która wcześniej zdążyła już zniknąć we wnętrzu pojazdu. „Gówno mnie obchodzi prawdziwy sprawca. Ta sprawa utoruje mi drogę, wreszcie zdobędę awans, panu też się to opłaci, zyska pan na stopniu i grupie. To jak, panie Jarku? Decyduje się pan?... Doskonale, w takim razie porozmawiam z inspektorem Skalskim i moim szefem... Tak, zadzwonię do pana, ale to będzie tylko formalność, może pan już dzisiaj oblać awans...”

Mówił coś jeszcze, lecz nagrał się tylko szum zapuszczanego silnika, zakłócony skrzeczeniem sroki. Niecko odjechał, a Diona wyłączyła dyktafon. Następnie sprawdziła jakość nagrania, po czym dotknęła ikony telefonu. Musiała koniecznie uprzedzić Zapatę.

Dotyk czyjejs zimnej dłoni tak ją zaskoczył, że omal nie wrzasnęła. Do tego stopnia utonęła we wspomnieniach, że zapomniała, gdzie się znajduje. Ciemnowłosa rehabilitantka z uśmiechem przypięła obciążnik i Dioniza mogła zacząć następne, dużo trudniejsze ćwiczenie. Teraz machała ręką wolniej, jednak zdecydowanie szybciej niż tydzień temu, kiedy doktor Baumgardt postanowił włączyć jej dodatkowo podwieszkę z obciążeniem.

Po kilku wymachach, gdy Diona złapała już rytm, jej myśli znów poszybowały w stronę Zapaty, który postanowił zaatakować pierwszy i zaraz rano pojechać do komendy miejskiej w Bielsku-Białej. Po krótkiej naradzie najpierw z Ogińskim, a potem z podinspektorem Gredtkem podpowiedziała komisarzowi, by zaczął od rozmowy z naczelnikiem wydziału kryminalnego, którego Gredtke znał jeszcze z czasów, gdy sam szefował kryminalnym.

Dochodziło już południe, a Diego nie dał znaku, nie miała więc pojęcia, czy jego misja się powiodła. Nie mogła nawet do niego zadzwonić, gdyż zabrał jej telefon, by przedstawić dowód perfidnej gry prokuratora. Żeby zająć myśli czym innym, zaczęła analizować dane dotyczące zabójstw w szpitalu. Nim Zapata się pożegnał, opowiedział Dionie o najnowszych ustaleniach, nadmienił także, iż stworzył nową hipotezę, nie ma jednak pewności, czy znów nie wyjdzie na durnia, jeśli podąży tą drogą. Poprosił, by porzuciła wszystkie dotychczasowe założenia i przyjrzała się danym z otwartym umysłem, a jeżeli wpadnie na ten sam pomysł co on, będzie to znaczyło, że jest wielce prawdopodobny.

Początkowo uznała za całkowicie nonsensowne to, że obecne wydarzenia wiążą się z jakąś historią sprzed dwudziestu lat. Co z tego, że doktor Kenig mieszkała wtedy w sąsiedniej wiosce? Nie miała ochoty wbijać wzroku w ekran laptopa, by przejrzeć niezbyt czytelne niekiedy zdjęcia dokumentów, w końcu jednak uległa, pokonana argumentem Zapaty, że przecież narzekała na nudę.

Mimo pozornej zgody w dalszym ciągu miała spore wątpliwości. Z tego względu zaczęła od dokumentów znanych już niemal na pamięć. Na razie czytała bez analizowania; była zbyt zmęczona, by skupić się na ich treści. Prócz tego nie chciała się zasugerować wyrwanym z kontekstu fragmentem, najpierw musiała ujrzeć kompletny obraz.

Teraz, po nocy spędzonej na opędzaniu się od zwidów ściśle związanych z przeglądaniem dokumentami, mogła powiedzieć, że poznała go dokładnie, wiedziała też, jakie popełnili błędy. Założyli, że zabójstw dokonał jeden człowiek, tymczasem analiza całości jasno wskazywała na dwóch, a nawet trzech sprawców. Kim oni są?

Żaden obcy nie mógłby się dostać w nocy do budynku z uwagi na zamykane około dwudziestej drzwi. W toaletach nie mógłby się schować, te były bezustannie okupowane przez pacjentów, a po osiemnastej dokładnie sprzątane przez salowe, poza tym najpierw musiałyby jakoś się do tej toalety dostać, a obca twarz zaraz wzbudziłaby zainteresowanie rehabilitantów. Sprawcą musiał być zatem ktoś stale przebywający w szpitalu. Ktoś należący do personelu lub pacjent, jak zresztą przypuszczali już wcześniej.

Wtedy jednak nie wiedziała o możliwości przedostania się przewiązką. Poznała tę drogę całkiem przypadkiem, gdy trzy dni temu późnym wieczorem zauważyła Anitę przemykającą jakoś tak chyłkiem w stronę schodów. Może nie zwróciłaby na nią uwagi, gdyby nie fakt, że Anita miała na sobie gruby polar.

– Cześć. Idziesz na dymka? – Spojrzała z ciekawością. – Też miałam ochotę, ale drzwi chyba już są zamknięte.

Tamta potrząsnęła rudą czupryną w geście przeczenia.

– E tam, mam gdzieś te całe drzwi. Weź jakąś kapotę i chodź ze mną. Samej nudno. – Zauważyła zdziwioną minę Remańskiej i wyjaśniła z lekkim zniecierpliwieniem: – O tej porze wychodzi się przez przewiązkę.

Zamiast ruszyć się z miejsca, Diona patrzyła na nią z coraz większym zdziwieniem.

– Jak to? Przecież ją zamykają...

Anita tylko przewróciła oczami i Dioniza wreszcie się ocknęła. Zawróciła do pokoju po bluzę, po czym zeszyły na pierwsze piętro i skierowały się w stronę łącznika. Ten rzeczywiście okazał się otwarty.

– Pielęgniarki też wychodzą na papierosa – tłumaczyła Anita, gdy maszerowały przeszklonym przejściem prowadzącym do sąsiedniego budynku. – Czasem potrzebują czegoś z neurologii lub

odwrotnie, a nie będą przecież za każdym razem szukać klucza. Zamknięte jest tylko wtedy, kiedy dyżur ma ordynatorka.

Diona pominęła milczeniem nie całkiem jasne sformułowanie „odwrotnie”. Uznała tę kwestię za nieistotną, daleko bardziej interesowało ją, w jaki sposób wydobytą się na zewnątrz.

– Neurologia nie zamyka drzwi na noc?

– Pewnie tak. – Anita wzruszyła ramionami. – Nie mam pojęcia.

Całkiem już zdezorientowana Dioniza nie zapytała o nic więcej, założywszy, że wkrótce dowie się wszystkiego. Miała rację, gdy tylko bowiem doszły do końca łącznika, Anita nie zaszczyciła nawet jednym spojrzeniem drzwi wiodących na oddział neurologii, tylko skrzyła w bok, gdzie znajdowała się winda.

– Boszsz, ale jestem głupia! – jęknęła Remańska, gdy wyszły z windy wprost na chodnik przed budynkiem. – Tyle razy na nią patrzyłam, a nie przyszło mi do głowy, że ta winda znajduje się na korytarzu i można się tędy wydostać bez wchodzenia na oddział. Tyle czasu zmarnowałam na kombinowanie, a tu taki raj dla palaczy.

– Bo to jest winda do nieba, tyle że w dół – zaśmiała się Anita i zapaliła papierosa, a Diona zaprzestała bezsensownych wyrzekań i poszła w jej ślady.

\*

*A dlaczego nie w górę?* – pomyślała teraz, zła na siebie za to przeoczenie. Wtedy co prawda założyła, że Zapata został poinformowany o dodatkowej możliwości przemknięcia na teren szpitala, ale powinna była przynajmniej zapytać. Coraz bardziej utwierdzała się bowiem w przekonaniu, że nie miał o niej pojęcia, w przeciwnym razie coś by wspomniał.

Rozważania przerwała jej ta sama rehabilitantka. Uwolniła rękę Diony z podwieszki i poleciła przejść do stanowiska z rowerem ręcznym. Gdy ustawiała timer, Remańska z lekkim rozbawieniem spoglądała na jej ciemne włosy, w których metalicznym blaskiem migotały niebieskie pasemka. Raziły sztucznością do tego stopnia, że Dioniza się skrzywiła. Czy ta Karina nie widzi, że wygląda głupio i nienaturalnie? Zaczęła analizować wygląd wszystkich kobiet z „klubu niebieskich” i doszła do wniosku, że taki design pasuje tylko Krystynie Stredze i Iwone Kenig, inne zaś prezentowały się niezbyt ciekawie. „Rzucają się do oczu zamiast w oczy” posłużyła się powiedzeniem babci i wróciła do poprzedniego tematu.

Zaczęła od listy ofiar. Iga Pokrzywa, Idalia Orłowska, Irena Korda, Filip Śliczny. Ten ostatni co prawda powinien być wymieniony jako trzeci, ale intuicja podpowiadała Dionie, że jego zabójstwo nie ma związku z pozostałymi. Po pierwsze, Śliczny był mężczyzną, po drugie, zginął w innym miejscu, i wreszcie po trzecie, do zadania mu śmierci nie wykorzystano żadnego z urządzeń rehabilitacyjnych, tylko go zastrzelono.

*Ciekawe, czy Diego sprawdził braci Jarczyków. Muszę go o to zapytać* – zanotowała w myślach i skrzywiła się na wspomnienie bielskich przedsiębiorców. Pamiętała ich dobrze z czasów, gdy służyła w policji. Już wtedy odnosiła wrażenie, że ich firma bardziej przypomina zorganizowaną grupę przestępczą niż legalnie działające przedsiębiorstwo. Niestety nie znaleziono na to żadnych dowodów, a bracia śmiali się policjantom w nos nawet wówczas, gdy ktoś zastrzelił wywiadowcę mającego za zadanie śledzić ich kroki.

W trakcie najbardziej zniechęconych, lecz dających najlepsze efekty ćwiczeń izometrycznych przebiegła myślą dane dotyczące trzech kobiet, których imiona zaczynały się literą „I”, jednak i tutaj nie odkryła nic mogącego dać jakieś zaczepienie, oprócz może słowa „zapłata”, wyciętego nożem na piersiach Orłowskiej. To znowu skierowało jej uwagę na Jarczyków, a wtedy wykrystalizował się całkiem nowy pomysł.

– Muszę to przemyśleć – mruknęła pod nosem.

Pacjentka leżąca na sąsiedniej kozetce postukała się znacząco w czoło. Diona chciała to zlekceważyć, gdy rozpoznała w machającej w ślimaczym tempie kobiecie jedną ze współlokaterek Igi Pokrzywy. Wstąpił w nią diabeł.

– Pani, zdaje się, myśli, że wyzdrowieje od samego pobytu w szpitalu, ale zapewniam, że to tak nie działa. Poza tym takie olewanie ćwiczeń nie jest zbyt bezpieczne.

Zignorowała gniewne prychnięcie i pochyliwszy się nad leżącą, wyszeptwała kilka słów. Kobieta zbladła, rozejrzała się podejrzliwie po sali, a w następnej chwili, ku ogromnemu zdumieniu fizjoterapeutów, zaczęła szybko machać nogami.

– Paczaj, Nazar, jakie cudowne ozdrowienie – odezwała się Karina Wahlewicz. – Jeszcze wczoraj mówiła do Kenigowej, że to ćwiczenie jest zbyt forsowne i dlatego tak wolno przebiera nogami, a teraz jedzie z tym koksem jak wyczynowiec.

Kołojenko skinął głową i podszedł do Remańskiej, kierującej się w stronę wyjścia.

– Co takiego ty jej skazała, że... – Urwał, bo zabrakło mu polskich słów.

– Że dostała speeda do dupy? – dokończyła za niego. Zerknęła na kobietę, nadal machając nogami w szalonym tempie, i roześmiała się serdecznie. Potem zrobiła niewinną minę. – Nic takiego. Tylko ostrzegłam, że na jej miejscu bardziej bym się starała, bo ten szalony zabójca eliminuje wszystkich, którzy nie przykładają się do ćwiczeń. Wydaje mi się, że ona jednak w ogóle nie zna się na żartach – zakończyła z szatańskim błyskiem w oku.

Pożegnała się z Nazarem i przeszła do sali fizykoterapii, gdzie natrafiła na awanturę. Dwie pacjentki wyklócały się zażarcie o to, która z nich była pierwsza w kolejce do pola magnetycznego, a rehabilitant spoglądał na to bezradnie, nie wiedząc, jak rozsądzić spór. Diony w dalszym ciągu nie opuścił przekorny nastrój, przy czym sama także czekała na ten rodzaj terapii, toteż natychmiast podpowiedziała mu szeptem:

– Panie Tomku, niech najpierw wejdzie ta grubsza.

Jasielski bez zastanowienia powtórzył głośno jej słowa. Kobiety zamilkły, jakby ktoś przekreślił potencjometr na zero, rozsiadły się wygodniej i w kompletnej ciszy spoglądały wyczekująco jedna na drugą. Korzystając z okazji, Dioniza szybko przeszła do boksu i zanim się zorientowały, już leżała pod obręczą pola, a fizjoterapeuta ustawiał właściwe parametry.

Przez następne dwadzieścia minut rozbijała na czynniki pierwsze informacje zdobyte przez sierżanta Węgierskiego i uzupełnione wyznaniem Iwony Kenig. Dopiero rano zdążyła się zapoznać z fotografiami, które Diego przesłał na adres jej poczty wraz z notatką będącą zapisem rozmów, i na ich analizę nie wystarczyło już czasu. Jedno wszakże od razu rzucało się w oczy – imię Iga, którym przed dwudziestu laty posługiwała się doktor Kenig. Dlatego teraz Dioniza postanowiła przyjrzeć się sprawie bliżej.

– Miał rację, skubaniec! – wykrzyknęła w chwili, gdy wspomniała opis obrażeń odniesionych przez Edwarda Orta.

Na szczęście szum urządzeń zagłuszył jej słowa, inaczej pewnie do kabiny od razu wpadłby Tomasz Jasielski z pytaniem, co się stało. Mogła więc zastanowić się w spokoju nad kwestią zemsty na Iwonie Kenig. Początkowo nic nie chciało się układać, ale gdy przyjęła, że potencjalny mściciel zdobył jedynie szczątkowe informacje o dalszych losach Igi Ort, wszystko nagle wskoczyło na swoje miejsce.

Jeśli na przykład wiedział jedynie, iż Iga przebywa obecnie w szpitalu w Klonowicach, lecz nie miał pojęcia, w jakim charakterze? Jeśli wiedział, że posługuje się teraz innym imieniem i nazwiskiem, ale nie zdołał ich poznać? Wtedy mógł przyjąć, iż jest pacjentką, a następnie typować spośród kobiet będących w tym samym wieku. Tym samym wybór Igi Pokrzywy stawał się oczywisty – zabójcę zmyliło imię. Później musiał się zorientować w omyłce i wybrał tajemniczą, nie lubiącą mówić o sobie Idalię Orłowską.

Tu coś zgrzytnęło w dotychczas pracujących bezawaryjnie trybikach i Dioniza przerwała tok myśli, by zlokalizować usterkę. Co mogło nie pasować? Chyba tylko to, że Orłowska również okazała się chybnym celem, skoro wkrótce potem sprawca zabił Irenę Kordę... Nie, w dalszym ciągu coś tu nie gra.

Przeciągły pisk oznaczający finał zabiegu zabrzmiał tak niespodziewanie, że Remańska przez kilka sekund nie wiedziała, co się dzieje. Potem pokiwała głową z ubolewaniem nad własną głupotą i przesunawszy obręcz nad stopy, wstała i wyszła z kabiny. *Na dziś koniec* – pomyślała, wyjątkowo z radością. Sprawdziła, czy ma przy sobie papierosy i zapalniczkę, minęła sporą grupkę pacjentek oczekujących na windę i skierowała się na klatkę schodową, rozmyślając o lenistwie niestarych jeszcze i w większości całkiem sprawnych ruchowo kobiet, zachowujących się tak, jakby pokonanie jednej kondygnacji schodów miało je zabić.

Zanim doszła do oddalonej od wejścia ławki, pożyczyła od jednej ze spacerowniczek telefon i zadzwoniła do Zapaty. Ucieszyła się, usłyszawszy, że właśnie do niej jedzie i za kilka minut powinien być na miejscu. Tyle mu miała do powiedzenia! Celowo odrzuciła na bok przeświadczenie, że coś jest nie tak z ofiarami zabójstwa. Wytężanie umysłu na nic się nie zda; w takich przypadkach lepiej zająć myśl innym tematem, pozwolić podświadomości na działanie we własnym rytmie.

Nadal pozostała przy wersji zemsty na Iwonie Ort, tym razem jednak zajęła się nie ofiarami, ale potencjalnym sprawcą. Czy mogła to być Daria Bugała? Raczej nie. Nie wiedzieli co prawda, jak brzmiała

sentencja wyroku, ale jak słusznie zauważył Diego, kara z pewnością nie była aż tak dotkliwa, by w ramach odwetu zabić. Poza tym Daria wyjechała z Polski. Mogła oczywiście niepostrzeżenie wrócić albo scedować rolę mściciela na kogoś z bliskich, ale wtenczas ofiarą nie padłaby jej przyrodnia siostra.

Rodzina Joanny Madery? To już prędzej, choć według słów starszego aspiranta Aleksandra Kachla nikt się specjalnie nie przejął jej śmiercią. Dziewczynę właściwie wychowywała babka, gdyż ojciec gdzieś w Polsce miał od dawna nową rodzinę. Przyjął prawdopodobnie, że rozwód obejmuje także córkę, i dlatego od dawna obowiązki rodzicielskie ograniczał do płacenia alimentów i SMS-a ze zdawkowymi życzeniami w dniu urodzin. Kiedy zaś córka uzyskała pełnoletność, to także ustało.

Matka Joanny również zawarła drugie małżeństwo, a po roku, gdy na świat przyszło dziecko, sprawiająca problemy wychowawcze pasierbica stała się solą w oku ojczyma. Tak długo podjudzał żonę, aż ta podrzuciła córkę własnej matce, choć można było przewidzieć, że starsza, schorowana kobieta nie poradzi sobie z nieuznającą żadnych autorytetów, prowadzącą się z najgorszym elementem dziewczyną. Niemniej babka była jedyną osobą, która uroniła łzę na pogrzebie Joanny, później zaś aż do śmierci dbała o jej grób, teraz porośnięty chwastami, z wyblakłymi literami na metalowej tabliczce. Zapomniany tak jak ona.

Pozostała zatem tylko jedna rodzina. Chcąc najpierw ostatecznie wyeliminować najmniej podejrzanych, Diona celowo przełożyła Wanatów na koniec. Zaciągnęła się papierosowym dymem i przymknęła powieki, usiłując wejść w głowę zabójcy, myśleć tak jak on i czuć to, co on. Minęło dość dużo czasu, gdy wydobyła się z powrotem na powierzchnię z odętów nienawiści, szaleństwa i żądzy zemsty. Czuliła się tak, jakby wpadła do kloacznego dołu i miała nieprzepatą ochotę zmyć z siebie cały ten brud, pomimo to była zadowolona. Już wiedziała, kto zabijał, pozostało tylko to udowodnić. I wyjaśnić...

– Cześć. – Znajomy męski głos przerwał te rozważania.

Obejrzała się i ze zdziwieniem skonstatowała, że Zapata ma na sobie mundur. Dotychczas zawsze widywała go w cywilu. Chciała zapytać o powody, lecz on odezwał się pierwszy.

– Tak myślałem, że właśnie tutaj cię znajdę. Pod tym względem jesteście podobni.

– To prawda. Oboje wolimy zastanawiać się w samotności nad sensem wszechświata. – Diona uśmiechnęła się lekko, gdy prychnął ubawiony jej patetycznym tonem. – Przeglądnełam wszystkie materiały i chyba wiem, kto zabił. A ty? Masz jakieś typy?

Bez słowa podał jej złożoną chyba w ośmioro kartkę papieru. Zaczęła ją rozprostowywać, ale komisarz przytrzymał jej rękę.

– Najpierw odpowiedz, a potem porównamy.

Diona powściągnęła ciekawość, jakkolwiek nie przyszło jej to łatwo. Cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną.

– Okej, niech ci będzie – odpowiedziała spokojnie, choć najchętniej wydusiłaby z niego tę informację.

– Poszłam drogą eliminacji, żeby pojąć, kto miał najlepsze powody, żeby się zemścić na Iwonie Kenig.

Policjant z aprobatą kiwnął głową.

– Zrobiłem to samo. Kogo wywaliłaś z listy?

– Darię Bugalę, bo nie miała za co. I rodzinę Joanny Madery, bo nie miał kto. Chyba że jakiś zropaczony absztyfikant.

Mimo że chcąc jak najszybciej dojść do meritum, posługiwała się skrótami myślowymi, Zapata nie miał najmniejszych trudności ze zrozumieniem dosyć niejasnej wypowiedzi. Ponownie skinął głową.

– Jak na razie idziemy tym samym torem. Absztyfikanta ponoć nie było, więc możemy sobie Joannę odpuścić. Swoją drogą bardzo poręczne słowo, ten absztyfikant. Szkoda, że poszło w zapomnienie.

– Tak jak wiele innych – westchnęła Dioniza z żalem. – Wracając do sprawy, najwięcej powodów, by nienawidzić Igi Ort, mieli Wanatowie. Gdyby nie jej zeznania, Mariusz nie trafiłby do więzienia.

– Nie tylko Igi – sprzeciwił się Diego. – Edward Ort od początku podejrzewał Adama Wanata o uprowadzenie Barbary i to głównie z tego powodu Adam dostał trzy miechy aresztu, co było bezpośrednią przyczyną uwięzienia Igi. Dlatego uważam, że Edward od początku znajdował się na liście osób do ukarania.

– Tak, to możliwe. Nie sięgnęłam aż tak głęboko – przyznała Diona. – Musiałam dojść, kto z Wanatów mógł to zrobić, i początkowo wyszło mi, że nikt. Bo z dalszą rodziną nie utrzymywali kontaktów, a z najbliższej zostały tylko dzieci.

Zapata rzucił jej zaciekawione spojrzenie.



– Kasia i Łukasz, bliźnięta. Mieli siedem lat.

– No właśnie! – warknęła ze złością. – To ten twój sierżant jest winny. Za każdym razem, kiedy o nich wspominał w komentarzach do dokumentów, określał ich słowem „dzieci” i przez to zakodowały mi się w głowie takie biedne, odebrane ojcu sierotki. A oni przecież od dawna są dorośli, mają teraz po dwadzieścia siedem lat! – Wzięła głęboki wdech i powiedziała już spokojnie: – Uważam, że to oni pięć lat temu zabili Edwarda Orta, a teraz...

– Cztery kolejne osoby – wszedł jej w słowo. – Rozwiń kartkę.

Wykonała polecenie, rzuciła okiem na słowa „Katarzyna i Łukasz Wanatowie” i oddała ją z lakonicznym stwierdzeniem:

– Tylko dwie.

Spojrzał na nią z niezbyt mądrą miną.

– Co dwie?

– Osoby. Tutaj zabili tylko Ięgę Pokrzywę i Irenę Korde. Idalia Orłowska nie pasuje, ją zabił ktoś inny. Myślę, że ten sam sprawca, który zastrzelił Filipa Ślicznego. Powinieneś jeszcze raz sprawdzić Jarczyków.

Komisarz przez kilkadziesiąt sekund trwał w zadumie.

– Nie – powiedział po powrocie do rzeczywistości. – Pomijając fakt, że mają alibi, obaj Jarczykowie są za słabi na takie coś. Zastrzelić Ślicznego może daliby radę, bo to czysta robota, ale zabójstwo Orłowskiej to całkiem inna bajka.

– Nie powiedziałam, że o...

– Zostawmy to na razie, teraz ważniejsze są bliźnięta – przerwał jej niecierpliwie. – Wiem już, że po rocznym pobycie w domu dziecka zostali rozdzieleni i każde z nich adoptował ktoś inny. Niestety to wszystko, do niczego więcej nie udało nam się dotrzeć. Zniknęli z systemu, więc wniosek jest oczywisty: musieli zostać przysposobieni, a ja nie mam szans dotrzeć do dokumentów.

Bezradnie rozłożył ręce i popadł w ponure milczenie. Dioniza nie dziwiła się jego przygnębieniu; zgodę na odtajnienie dokumentów mógł wydać jedynie sąd rodzinny i robił to wyłącznie w wyjątkowych wypadkach. Niepoparte żadnymi dowodami podejrzenie z pewnością się do nich nie zaliczało.

Jak zwykle w takich sytuacjach napotkanie przeszkody na drodze do celu bynajmniej Remańskiej nie zniechęciło, wzmogło natomiast wolę walki. Jej piwne oczy rozjaśnił nagły blask, przydając im bursztynowej barwy, wargi zacisnęły się w grymasie zaciętości. Mieliby się teraz poddać? Nie ma takiej opcji!

– Słuchaj, Diego! – Szarpnęła towarzysza za ramię, zmuszając, by na nią spojrzał. – Zamiast siedzieć jak Skrzetuski na ruinach Rozłogów, lepiej się zastanów, kogo z fizjoterapeutów powinniśmy wziąć pod uwagę. No?! Powiedz coś, bo stracę cierpliwość!

Z trudem odpędził ujrzany oczami wyobraźni widok spalonego szlacheckiego dworku i siedzącego na kupie osmolonych desek rycerza. Potrząsnął głową i popatrzył przytomniej na poirytowaną kobietę, nieprzystającą tarmosić jego ramienia. Był zmęczony i zniechęcony, toteż jej nadaktywność zaczęła go irytować. Popatrzył na nią nieprzychylnie i odburknął coś tak cicho, że musiała poprosić o powtórzenie.

– Pytałem, czemu akurat fizjoterapeuci.

Diona uniosła oczy, wznosząc modły o cierpliwość.

– Jednym z bliźniąt jest mężczyzna, widziałeś jakiegoś faceta wśród pielęgniarek albo salowych? Z kolei w gronie lekarzy jest ich dwóch, ale żaden z nich nie spełnia kryterium wiekowego. Baumgardt ma ponad czterdzieści, a ten drugi, nie pamiętam nazwiska, chyba przekroczył już wiek emerytalny. Zresztą pojawia się tylko raz w tygodniu, przez co długo nie miałam pojęcia, że też tu pracuje.

– Okej – zgodził się, lecz była to zgoda jedynie pozorna, gdyż zaraz wysunął kolejne obiekcje: – Tylko że mógł to być któryś z pacjentów.

– Wśród pacjentów płci męskiej jest tylko dwóch przed trzydziestką, jeden po operacji kolana i chodzi o kulach, a drugi ciągle jeszcze jeździ na wózku. Przyznasz chyba, że dość ciężko byłoby im dostać się za wirówkę, żeby utopić Pokrzywę.

– A ktoś z zewnątrz? – nie ustępował Zapata.

Tym razem Diona nie wysunęła kontrargumentów.

– Nad tym musimy podyskutować – powiedziała cicho. – Chodzi o tę pieprzoną przewiązkę. Wiedziałaś, że można tamtędy przedostać się w nocy na oddział?

Zaskoczona mina komisarza wystarczyła za odpowiedź, wobec czego przekazała mu wszystko, co usłyszała od Anity, później zaś uzupełniła o własne spostrzeżenia. Zaimponował jej, gdy przyjął te rewelacje ze stoickim spokojem, jednak chwilę później jego pełne tłumionej wściekłości słowa uświadomiły Remańskiej, że zachowanie zimnej krwi zawdzięczał nie brakowi emocji, tylko ogromnej samokontroli.

– W takim razie nasze założenie, że oboje najmłodszy Wanatowie należą do personelu, możemy o kant dupy rozbić – wycedził przez zęby. – Nie patrz tak! Też byłem zdania, że to rehabilitanci, pamiętam dobrze, co mówiła Iwona podczas oględzin. A o innym personelu, pacjentach i ludziach z zewnątrz wspominałem wyłącznie po to, żeby niczego nie przeoczyć. No i kurwa, wykrakałem! Ciekawe, co jeszcze przede mną ukrywają?!

Uniósł dłoń zwiniętą w pięść. Dioniza aż się skrzywiła na myśl o czekającym go bólu, lecz opadająca szybko ręka wyhamowała tuż przed zderzeniem z ławką i tylko delikatnie musnęła wypłowiałe od słońca drewno.

Naraz Remańska przypomniała sobie o innej sprawie.

– Wiesz, Diego, każdy coś ukrywa. Ty też. – Popatrzyła wyjątkowo nieprzychylnie. – Nie chcesz mówić, to nie mów, ale telefon mógłbyś mi oddać.

Przez kilkadziesiąt sekund spoglądał na nią doskonale bezmyślnym wzrokiem, wreszcie klepnął się w czoło.

– Na śmierć zapomniałem. Sorry. – Wyjął z kieszeni komórkę i podał Dionie z szerokim uśmiechem. – Oddaję, choć właściwie powinienem powiesić ją na ścianie jako relikwię, bo dzięki niej w bielskiej policji będzie o jednego buca mniej.

– To znaczy? – spytała z wyraźną rezerwą, lecz jej mina stała się odrobinę mniej nieprzejednana.

– To znaczy, że Bobczyńskiego w trybie natychmiastowym przeniesiono do prewencji w Bytomiu, a Niećko ma postępowanie dyscyplinarne. Podobno już wcześniej były na niego skargi, więc też go przeniesiono. Do Suwałk – dorzucił ze złośliwą uciechą. – W każdym razie zdecydowano, że sprawy zabójstw należy połączyć. Mam prowadzić śledztwo razem z nadkomisarzem Wojnarem z kryminalnej, a nadzór powierzono Grzeli. – Zapata uśmiechnął się szeroko i ujął dłoń Dionizy mimo jej oporu. – Przyjechałem prosto z posiedzenia u komendanta, stąd to przebranie. – Wskazał na nieco przyciasny w ramionach uniform. – Naczelnik kazał, powiedział, że tak będzie lepiej, bo po cywilkach nie da się rozpoznać szarży... Przepraszam, że od razu nie powiedziałem. Wszystko przez te cholerne bliźnięta, za bardzo byłem ciekawy, czy ty też je wytypowałaś.

Odwzajemniła uścisk. Kryzys został zażegnany.

## Rozdział 23

### Mściciele

28 września 2020

Pora obiadu nadeszła i wkrótce minęła, lecz Dioniza jakby tego nie zauważyła. Siedziała na ławce obok pogrążonego w myślach policjanta i tak samo jak on rozważała sytuację. Po dość długim czasie doszła do wniosku, że informacja o otwartej w nocy przewiązce wprawdzie mogła, ale wcale nie musiała wpłynąć na dotychczasowe ustalenia.

– Moim zdaniem powinniśmy trzymać się dawnej linii śledztwa, bo wcale nie mamy pewności, że zabójca wszedł na oddział tym cholernym łącznikiem – odezwał się naraz Zapata, potwierdzając tym samym jej tok rozumowania. – Facetów jest mniej, więc może zacznijmy od nich. Kurwa mać, ale ze mnie kretyn!

Niespodziewany okrzyk zaskoczył Dionę tak bardzo, że upuściła papierosa. Podniosła go szybko i spojrzała z wyrzutem.

– Diego, do jasnej cholery! Czego się wydzierasz? Na drugi raz mógłbyś mnie jakoś uprzedzić, bo o mało na zawał nie zesłałam.

– Sorry. Właśnie sobie uświadomiłem, że nie zabrałem żadnych papierów. Nie mam jak sprawdzić, ile kto ma lat, bo z powodu tych pierdolonych maseczek widziałem tylko oczy i kawałek gęby. To za mało, żeby ustalić wiek.

Miała tak zawiedziona minę, że powstrzymała się od złośliwych uwag o starczej demencji. Zamiast tego stwierdziła pogodnie:

– Nie ma co rozdzierać szat. Mężczyzn jest tylko czterech. Co prawda nie znam dat ich urodzin, ale na sali ćwiczeń mało kto zakłada maskę, więc mniej więcej orientuję się w ich wieku. Hmm... – Przywołując w pamięci twarze rehabilitantów, stuknęła w czoło paznokciem częściowo pokrytym hybrydą. Reszta niedawno odpadła, lecz Diona ani myślała się tym przejmować, skoro i tak nie mogła temu zaradzić. – Nazar Kołojenka jest...

– Ukraińcem – wszedł jej w słowo Zapata. – Czyli to nie on.

– Za stary – dokończyła z rozpędu. – Tomek Jasielski też. Niedawno obchodził trzydziestkę i z tej okazji częstował wszystkich czekoladkami. Małagą i kasztankami – dodała w rozmarzeniu i głośno przełknęła ślinę.

Ten odgłos przypomniał komisarzowi o upływie czasu.

– Kurde, Diona, zapomniałem, że masz porę obiadu.

– Nie przejmuj się moim obiadem. Niedługo przyjedzie Szymon z ruskimi pierogami, bo Ratio zapowiedział, że dzisiaj zrobi. Mówię ci, niebo w gębie! – Bezwiednie oblizała wargi i podjęła: – Mógłby to być Filip Śliczny, ale już nie żyje, więc został tylko Lucjan Chałka. Zajmuje się obsługą platform do ćwiczeń ruchu i równowagi, ma też nadzór nad bieżniami i rowerami nożnymi, dlatego nie miałam z nim do czynienia. Ale nieraz widywałam go bez maseczki, stąd wiem, że wiekowo by pasował. Kojarzysz go? Ciemnoblond włosy, piwne oczy, średni wzrost, twarz doskonale przeciętna, przez co trudna do opisania.

Uradowany komisarz podziękował jej uśmiechem.

– Chyba wiem, o kim mowa. Jak to dobrze, że poprosiłem cię o pomoc. Zajmę się Chałką po powrocie do firmy, porównam jego datę urodzenia z datą urodzin bliźniąt. Mam nadzieję, że się nie mylimy.

Zerknął na Remańską i zamarł, ujrawszy jej pełną napięcia minę. Oczekiwał w duchu kolejnego rozczarowania, lecz tym razem alarm okazał się fałszywy.

– Zapomniałam o najważniejszym – powiedziała niby spokojnie, ale w jej oczach znów pojawiły się bursztynowe błyski świadczące o ekscytacji. – Chałka jest odpowiedzialny także za obsługę hura.

Zapata z trudem zachował spokój i choć wszystko w nim domagało się natychmiastowego zatrzymania Lucjana Chałki, zmusił się do pozostania na miejscu. Wolał nie kusić losu przedwczesnym otrąbieniem zwycięstwa.

– Teoretycznie sprawa jest jasna, ale chcę najpierw sprawdzić te daty, żeby mieć pewność. Ten cholerny łącznik...

Nie musiał wyjaśniać nic więcej, Diona doskonale wiedziała, co miał na myśli. Skinęła głową i zaczęła się zastanawiać, która z rehabilitantek mogła być Katarzyną Wanat. Okazało się, że Diego również rozważał tę kwestię, nagle bowiem powiedział:

– Kachel nigdy tych dzieciaków nie widział, dlatego nie ma pojęcia, czy były do siebie podobne. Mówiłaś, że Chałka jest ciemnym blondynem z piwnymi oczami, a z tego, co Kachel mówił, Mariusz Wanat też miał ciemnoblond włosy i piwne oczy. Był podobny do ojca, możemy więc chyba założyć, że Katarzyna...

– Niekoniecznie. – Dioniza weszła mu w słowo. – Znam czworo rodzeństwa, gdzie troje mogłoby z urody uchodzić za Cyganów, a brat bliźniak jednego z nich jest jasnym blondynem z niebieskimi oczami, bo jako jedyny odziedziczył wygląd po matce.

– Gdzie poprawność polityczna? – spytał surowo. – Romowie, nie Cyganie.

Już chciała dosadnie określić, gdzie ma wzmiankowaną poprawność, gdy zauważyła kpiącą minę policjanta. Wolno wypuściła powietrze z płuc i przykneła powieki, by nic jej nie rozpraszało. Zabieg okazał się skuteczny. Pamięć podsunęła obraz twarzy fizjoterapeutek, Dioniza zaś poświęciła kilka minut na rozważania, niestety bez większego efektu.

– Sama nie wiem – wyznała z niezwykłą dla niej bezradnością. – Właściwie mogę wyeliminować jedynie Annę Ziębińską, bo zwyczajnie jest za stara. Marzena Florczak chyba też, ale tu nie mam pewności, równie dobrze może poważnie wyglądać.

– Za to ja mam. To nie ona.

Komisarz tę akurat fizjoterapeutkę zapamiętał bardzo dobrze ze względu na konserwatywną opinię o roli kobiety w społeczeństwie, wygłoszoną z fanatyczną wręcz zaciekłością. Zdziwiło go wówczas, że trzydziestoletnia zaledwie kobieta może mówić takie brednie.

Dioniza wysłuchała relacji ze spotkania z Florczak i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Dzięki słowom Diega sama także wróciła pamięcią do dnia, kiedy zginęła Iga Pokrzywa, a to pomogło pozbyć się wątpliwości.

– Pozostały Judyta Niezgoda i Karina Wahlewicz, ale moim zdaniem Niezgoda jest niewinna. Na widok zwłok popadła w jakiś stupor i musiałam się na nią wydrzeć, żeby skłonić ją do działania. W dodatku zbladła tak bardzo, że była aż popielata, a tego nie da się udawać.

– Zatem Karina Wahlewicz. Karina... – powtórzył Zapata w zadumie. – To może się zgadzać. Nie wiesz przypadkiem, jak się do niej zwracają? Pełnym imieniem?

– Mówią do niej Kari.

Przyjął odpowiedź z miną kota, który dostał się do garnka z pieczenią. Diona natychmiast zażądała wytlumaczenia powodów zaskakujących pytań i jeszcze bardziej zaskakującej reakcji. Zapata powtórzył więc opowieść doktor Kenig o rozmowie z ojcem, kładąc przy tym nacisk na słowa Edwarda Orta odnoszące się do nieznanym dziewczyny tak bardzo interesującej się Igą Ort.

– Kari jako zdrobnienie od Karoliny? Mógł tak pomyśleć, tym bardziej że Karina nie jest zbyt popularnym imieniem – zgodziła się Remańska. – Myślę, że to Wahlewicz, ale co z tego? Przecież nie pierwszy raz rozważamy, kto z nich jest zabójcą.

Komisarz wykrzywił wargi w ponurym, pełnym zniechęcenia grymasie. Dioniza miała rację. W przypadku zabójstw dokonanych w szpitalnym budynku technicy zebrali co prawda sporo śladów, ale te nie na wiele się zdają, jeśli sprawcą jest któryś z fizjoterapeutów. Wszak sale ćwiczeń były ich miejscem pracy.

Na drzwiach do sali, gdzie znaleziono zwłoki Idalii Orłowskiej, ujawniono ładnie utrwalone linie papilarne wszystkich palców lewej dłoni, prawdopodobnie męskiej, ale nie mieli ich jak dopasować. W AFIS-ie nie figurowały, nie należały też do nikogo ze szpitala, Zapata założył więc, że zostawił je ktoś obcy. Zabójca czy przypadkowy przechodzień, na przykład ktoś z odwiedzających? Tego niestety nie wiedział.

Nie miał również nadal pojęcia, do kogo należały ślady traseologiczne ujawnione w starym drewnianym domku. Badania zamka wykazały za to niezbicie, że nosi on ewidentne ślady manipulowania wytrychem. To wyjaśniało, w jaki sposób otwarto okno, nie wybijając przy tym szyby, niestety w żaden sposób nie dopomogło w zidentyfikowaniu sprawcy.

Lepiej natomiast się powiodło z odciskami lewego kciuka i palca wskazującego odkrytymi na klamce drzwi wejściowych. Stuprocentowa zgodność świadczyła, że pozostawił je ten sam człowiek, który wsparł się dłonią o skrzydło drzwi sali ćwiczeń. Mógł przedostać się do szpitalnego budynku, przechodząc łącznikiem, i zabić Orłowską. W porządku. Tylko dlaczego miałby później zadawać sobie tyle trudu, żeby pozbyć się rehabilitanta? Czym Śliczny mu zagrażał? Nie szantażem, gdyż w czasie zabójstwa już nie żył.

Zapata zagryzł wargi, by nie wybuchnąć stekiem przekleństw, i porzucił pytania, na które nie znał jeszcze odpowiedzi. Wrócił natomiast myślą do fizjoterapeutów. Każdy z nich dysponował alibi na czas przynajmniej jednego z czterech zabójstw, jeśli jednak wyłączyć śmierć Ślicznego, zostaną tylko trzy. Gdyby zaś wziąć pod uwagę sugestie Remańskiej i przyjąć, że zgon Orłowskiej również nie wiąże się z tamtymi...

– Muszę rozpisać sobie tabelkę, kto gdzie był – mruknął cicho, bardziej do siebie.

Diona jednak usłyszała i zapaliła się do tego pomysłu.

– Ja to mogę zrobić, tylko prześlij mi skany ich zeznań. Ty w tym czasie zajmij się psem, inaczej szef powiesi cię obok niego. I sprawdź jeszcze raz braci Jarczyków, bo zwłaszcza ten młodszy mi się nie widzi, moim zdaniem to psychopata. – Zauważyła niezbyt zachwyconą minę Diega, szybko więc dodała: – Nie mówię, że zabił Orłowską osobiście, mógł to komuś zlecić. Nie brałeś pod uwagę takiej możliwości?

Podkscytowana, chwyciła komisarza za ramię i pochyliła się, chcąc zajrzeć mu w oczy. Aż podskoczyła, gdy tuż obok rozległ się dobrze znany męski głos.

– Masz zamiar wymienić mnie na inny model? Ale przynajmniej pozostałaś wierna resortowi. Zawsze to jakaś ulga.

Jakkolwiek do pochłoniętego planowaniem następnego kroku komisarza nie dotarł sens wypowiedzi, to jednak nieprzyjemny ton zdołał wyrwać go z zamyślenia. Na widok wysokiego mężczyzny o spoglądających taksująco czarnych oczach i ponurej minie Zapata wstał i zasłonił sobą Dionizę. Automatycznie przyjął bojową postawę, po czym powiedział, nie zważając na dystynkcje nadkomisarza na pagonach nieznanego:

– Nie wiem, o co ci chodzi, i mam to w dupie, ale nie pozwolę, żebyś się na niej wyżywał. To jest szpital i nie masz tutaj żadnej władzy, choćbyś był generalnym inspektorem. Przyswajasz czy mam ci to ręcznie wytłumaczyć?

Spodziewał się, jeśli nie pogróżek, to co najmniej słów oburzenia, tymczasem w oczach nieznanego rozbliły się wesole iskierki, a kąciki warg wyraźnie zadrgały, unosząc się w zapowiedzi uśmiechu.

– Widzę, że Dionka ma tutaj niezłą ochronę. – W jego głosie brzmiało uznanie. Wyciągnął rękę. – Szymon Ogiński.

Komisarz domyślił się, że ma przed sobą znanego mu ze słyszenia narzeczonego Remańskiej. Chcąc zyskać pewność, przesunął się lekko, by móc zerknąć na Dionizę, i poczuł się głupio, gdy ujrzał, że kobieta, której chciał bronić przed agresorem, zaśmiewa się do rozpuku. Z niezbyt pewną miną przyjął podaną mu dłoń.

– Jakub Zapata. Przepraszam, panie nadkomisarzu...

Ogiński nie pozwolił mu dokończyć.

– Sam powiedziałeś, że na terenie szpitala szarże się nie liczą. Po prostu Szymon. – Postawił obok ławki wypchaną torbę, usiadł obok Diony i mocno ją przytulił. – Cześć. Jak ręka? Pokaż, chcę sprawdzić, czy faktycznie zrobiłaś takie postępy, czy tylko się przechwalasz.

– A ty co? Kontroler jakości? – prychnęła, wyplątując się z opasujących ją ramion. – Lepiej daj te pierogi od Ratia, bo za chwilę padnę z głodu.

Nie czekając na reakcję, przykucnęła i wydobyla z torby spory rondel, dla zachowania ciepła owinięty grubym frotowym ręcznikiem. Błyskawicznie pozbyła się otuliny, podniosła pokrywkę i ledwie wciągnęła w nozdrza apetyczny aromat, a już, nie zważając na brak sztuczków, sięgnęła po obficie wypełniony farszem pieróg. Pożarła go w dwóch kęsach i wzięła w palce następny, podczas gdy mężczyźni wymieniali rozbawione spojrzenia. Gdy wladowała do ust trzeci, Zapata nie wytrzymał i poprosił z nie do końca udawaną żalością:

– Mogłabyś dać chociaż jednego? Albo dwa? Albo dwadzieścia?

Wstała z kucek i z garnkiem w objęciach podeszła do ławki, by zająć swoje dawne miejsce pomiędzy nim a Szymonem.

– Przesuń się, Diego – nakazała, a gdy wykonał polecenie, postawiła rondel i zrobiła zapraszający gest. Nie musiała go powtarzać.

– Diego? – odezwał się naraz Ogiński. – No tak, przecież masz na imię Jakub, a nazwisko chyba hiszpańskie. Nieważne – dodał, zauważywszy, że Zapata usiłuje bezskutecznie wydobyć odpowiedź z ust wypełnionych pierogową masą. – Słyszałem o tobie. Ostatnio nawet całkiem sporo.

Ton głosu sugerował, że były to pozytywne opinie, a jednak w czarnych oczach pojawiły się iskierki gniewu. Komisarza zaskoczyło, że były skierowane w stronę spokojnie pożywającej się Dionizy. Podnosiła właśnie do ust kolejny pieróg, gdy Ogiński przytrzymał jej rękę.

– Czekam na wyjaśnienia.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – odpowiedziała z miną skrzywdzonej niewinności. – Jesteś zazdrosny o Diega? Przecież nic się nie działo, tylko rozmawialiśmy, a ty robisz dramę, jakbyś nas w łóżku przyłapał.

– Przestań się wygłupiać – rzucił ostro. – Dobrze wiesz, że ufam ci we wszystkim. Ufałem – poprawił się, a w jego głosie zabrzmiała gorycz. – Powinienem chyba się zastanowić, w czym jeszcze mnie oszukiwałaś.

Diona poderwała się z ławki tak gwałtownie, że gdyby nie szybki refleks Zapaty, garnek z pierogami wyśladowałby na trawniku.

– Nie oszukiwałam cię! Nie traktuj mnie jak jakiejś kurwy! – wrzasnęła, piorunując narzeczonego wzrokiem. Naraz jakby oklapła, jej ramiona obwisły, oczy utraciły bursztynowy blask, jakby zgasło w nich życie. – Zapomniałam, że lubisz mnie oskarżać bez dowodów winy. Już raz to przerabialiśmy i jak dla mnie wystarczy, nie mam ochotę na powtórkę.

Odwróciła się, by odejść, a wtedy Diego zobaczył w jej oczach łzy. Nie pojmował nic z rozgrywającej się przed nim sceny, ale wiedział jedno – słowa Ogińskiego musiały głęboko zranić tę twardą, niepoddającą się łatwo kobietę.

– Jestem pewien...

– Zamknij się! – ryknął Szymon, łapiąc jednocześnie Dionę za rękę. Nie mógł pozwolić, by odeszła. Pociągnął ją na swoje kolana i wtedy także zauważył łzy. Przeraził się, wszak Dioniza nigdy nie płakała. Przytulił ją mocniej. – Przepraszam. Wiem, że nigdy byś mnie nie zdradziła, ale nie to miałem na myśli.

– Tylko co? – warknęła.

Miało to zabrzmieć groźnie, ale głośne pociągnięcie nosem zepsuło cały efekt.

– Obiecałaś, że nie będziesz się narażać – wytknął bez gniewu, a jedynie z żalem. – Że przez najbliższy rok będziesz brać tylko te sprawy, które nie niosą ze sobą zagrożenia. Tak było? W takim razie wytłumacz mi, jak ma się do tego fakt, że zastałem cię w towarzystwie gliniarza prowadzącego śledztwo w sprawie czterech zabójstw?

– Zapewniam cię... – zaczął znów Zapata i ponownie nie dane mu było dokończyć zdania.

Jedyna różnica polegała na tym, że tym razem przerwała mu Remańska.

– Zamknij się!

Użyła dokładnie tych słów, co przedtem jej narzeczony, i Diego doszedł do wniosku, że wtrącanie się nie ma najmniejszego sensu. Lepiej siedzieć cicho i obserwować, co z tego wyniknie. Intuicja podpowiadała, że będzie się świetnie bawić.

– O tych zabójstwach też nie wspominałaś nawet słowem – podjął Ogiński. – I jeszcze twierdziłaś, że jedna z tych kobiet zmarła na zawał.

– O, przepraszam bardzo – zaprotestowała żywo. – Powiedziałam tylko, że pacjentka nie żyje. To ty uznałeś, że zmarła na zawał, a ja nie zaprotestowałam, bo mogło tak być. Nie znam się na tym, przecież nie jestem lekarzem.

Zapata stłumił śmiech. Była niezła, a nawet więcej, była tak dobra, że aż współczuł Szymonowi. Bo Diona naprawdę nie skłamała. Wtedy jeszcze nie czytała opinii sądowo-medycznej, i choć to właśnie ona pierwsza odkryła ślady świadczące o celowym utopieniu Pokrzywy, teoretycznie mogła przyjąć, że kobieta ze strachu zesłała na zawał.

Ogiński nie dał się przechytrzyć.

– Nie rób ze mnie idioty! – warknął, a jego oczy znów błysnęły gniewem.

– Nie muszę – odpowiedziała słodko, zsuwając się z jego kolan. – Wracam na oddział. Sorry, Szymon, ale jestem skonana.

– A ja z *Gwiezdnych wojen!*

Dioniza tak się na niego zapatrzyła, że zapomniała zamknąć usta. Nie wiadomo, jak długo stałaby obok ławki niczym posąg zdziwionej kobiety, gdyby nie Zapata, a raczej wydobywające się z jego gardła gđkanie, będące efektem tłumienia ataku śmiechu. Wtedy także się roześmiała. Wróciła na swoje miejsce i wtuliła się miętko w pierś Ogińskiego.

– Nie wściekaj się, przecież nie złamałam słowa. To fakt, że celowo zataiłam informację o zabójstwach, ale zrobiłam to właśnie po to, żebyś się nie złościł. Bo naprawdę nie masz powodu. Nie obiecywałam, że nie będę się zajmować takimi sprawami, tylko że nie będę się narażać. Tak było? Przypomnij sobie.

– Tak było – przyznał niechętnie, po czym zaraz dodał: – Tylko że nie widzę różnicy...

– Za to ja widzę! – wrzasnęła, poirytowana jego uporem. – W Bystrzycy wszyscy wiedzieli, czym się zajmuję, a tutaj jest całkiem inaczej. Nikogo nie śledzę i nie przesłuchuję, tylko czasem rozmawiam z Diegiem, analizuję dane i przekazuję mu swoje spostrzeżenia. Nie uważasz, że to dość istotna różnica?

Miała rację, mimo to Ogiński nie rezygnował.

– Przecież wszyscy widzą, że z nim rozmawiasz, i na pewno się domyślają o czym.

– Sorry, Szymon, ale gadasz jak potłuczony. – Zdenerwowała się w końcu ciągłym wałkowaniem tego tematu. – Z tobą też mnie widzą, a jakoś się tym nie przejmujesz, choć zawsze przychodzisz w mundurze, więc nawet z daleka widać, że jesteś policjantem. I nie próbuj się usprawiedliwiać, że ty nie prowadzisz tego śledztwa, bo tego nikt nie może wiedzieć. – Naraz parsknęła śmiechem. – Po twoich ostatnich odwiedzinach jeden facet mnie zapytał, czy ja tylko policjantów lubię. Pewnie uważają mnie tu za kurewkę leącą na gliniarzy i młodziaków, bo w końcu z Ratiem też mnie często widują.

Ubawiła ich tym stwierdzeniem i konflikt został zażegnany. Diona wraz z Diegiem ponownie dobrali się do garnka z pierogami, a kiedy palce natrafiały już tylko na dno rondła, komisarz westchnął z żalem, po czym zapytał:

– Ten Ratio... Nie mógłbym go adoptować?

## 29 września 2020

Ponowne przyjrzenie się alibi podanym przez podejrzanych przyniosło całkiem niezłe efekty. W czasie zgonu Igi Pokrzywy Judyta Niezgoda przebywała podobno w biurze i uzupełniała dokumentację, nie było jednak nikogo mogącego to potwierdzić, zatem Diona nie mogła jej całkiem wykluczyć, tym bardziej że ślady po paznokciach pozostawione na szyi i barkach denatki z pewnością należały do kobiety.

Niezgody nie eliminował również fakt, że właśnie ona znalazła zwłoki, bardziej byłoby podejrzane, gdyby ten fakt zataiła. Miała przecież wtedy dyżur w dziale hydroterapii i do jej obowiązków należało zadbanie o bezpieczeństwo pacjentów podczas wchodzenia czy wychodzenia z wanien, jak również sprawdzanie w trakcie zabiegów, czy wszystko jest w porządku. Mimo to Remańska nie była przekonana o jej winie; zbyt dobrze pamiętała zachowanie dziewczyny, jej reakcję na wiadomość o śmierci pacjentki.

– Od razu byłam pewna, że to nie ona, i nadal tak myślę – mruknęła do siebie i zajęła się drugą z podejrzanych.

Pamiętała, że Karina Wahlewicz miała bardzo mocne alibi, bo potwierdzone przez dwie osoby, zapomniała natomiast ich nazwisk. Teraz z ekscytacją spoglądała na zeznanie rehabilitantki. Wynikało z niego, że Lucjan Chałka i Karina wzajemnie za siebie poręczyli. Krystyna Strega dołączyła do nich później, toteż nie mogła wiedzieć, jak długo przebywali poza budynkiem i czy rzeczywiście wyszli na papierosa razem.

Drżącymi z emocji dłońmi przerzucała kartki, by znaleźć wśród nich następne zeznania Wahlewicz i Chałki. Wreszcie znalazła. Gdy zapoznawała się z nimi tuż po zabójstwach Orłowskiej i Kordy, nie wzbudziły jej podejrzeń, dlatego wkrótce zatarły się w jej pamięci, ale wtedy nie wiedziała tyle, co obecnie.

Wynikało z nich, że za każdym razem tych dwoje dawało sobie nawzajem alibi. W dniu, kiedy zginęła Ostrowska, Chałka miał wolne, Wahlewicz zaś zeznała, że spędziła z nim noc, a gdy rano wychodziła

z domu, on jeszcze spał. Lucjan potwierdził te słowa, a Diego nie miał powodów, by je kwestionować. Identyczna sytuacja miała miejsce w noc śmierci Ireny Kordy, z tą tylko różnicą, że tym razem Karina spała u Chałki. Właściwie „spała” to taki eufemizm, bo właśnie wtedy się zaręczyli.

Natomiast na czas zgonu Filipa Ślicznego ich alibi przedstawiało się całkiem inaczej i Diona musiała przyznać, że jest wiarygodne. Bawili się na weselu kolegi Lucjana, co zostało uwiecznione na filmie, na prośbę policji udostępnionym przez kamerzystę. Przesuwające się w prawym dolnym rogu cyfry oznaczające czas nagrania nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że w newralgicznym przedziale czasowym oboje szaleli na parkiecie bądź delektowali się smakołykami serwowanymi przez wyfraczonych kelnerów.

– Na pewno nie zabili Ślicznego – stwierdziła Dioniza po zrelacjonowaniu Zapacie wyników analizy zeznań.

– Za to jest wielce prawdopodobne, że zabili Orłowską, bo inaczej nie mieliby powodu kłamać, że spędzili razem tamtą noc – zdenerwował się komisarz. – Kurwa mać! A już dałem się przekonać, że zrobił to ktoś inny.

– Może faktycznie byli razem. W końcu nie mamy potwierdzenia, że to młodzi Wanatowie, a nawet, że w ogóle są rodzeństwem.

Zapata znów zaklął. Już dawno powinien był to sprawdzić, ale zwyczajnie nie miał czasu. Gdyby nie idiotyczna polityka przełożonych, byłoby inaczej. Z wściekłością pomyślał o ludziach znajdujących się na najwyższym szczeblu policyjnej hierarchii, żądających coraz lepszych wyników przy minimalnym nakładzie środków. Miało być szybciej, lepiej i więcej, ale przede wszystkim taniej.

Znowu poczuł ochotę, by rzucić to wszystko w diabły, ale jak zawsze zaraz przyszła refleksja, że jeśli wszyscy doświadczeni policjanci tak właśnie by postąpili, w szeregach pozostałoby sami młodzi bez doświadczenia, a także ci, którym w większości nie zależało na niczym więcej niż tylko comiesięcznym wpływie odpowiedniej kwoty na konto bankowe.

Jeśli młodzi, zapatrzeni w starszych kolegów, przejęliby te standardy, policja cofnęłaby się do lat pięćdziesiątych, kiedy słowo milicjanta było prawem. Nie mógł do tego dopuścić, dlatego i tym razem odpędził kuszącą myśl.

– Zajmę się tym w pierwszej kolejności – obiecał. – Dzięki, Diona.

Już po pięciu minutach przekonał się, że nie jest w stanie dotrzymać słowa. Nadkomisarz Dziegieliński nie pozostawił mu żadnego pola manewru, toteż Diego poprosił Kachla i Węgierskiego o pomoc w odkryciu przeszłości dwojga podejrzanych, sam zaś udał się na rozmowę z wójtem. Nastawiony na wysłuchanie pretensji, nieco się zdziwił, gdy władarz powitał go przyjaznym, choć nieco nerwowym uśmiechem.

– Chciałem zrobić tę listę wrogów, tak jak mi pan kazał – bezzwłocznie przeszedł do sedna – ale nie mogę znaleźć nikogo, kto aż tak by mnie nienawidził. Jestem wójtem dopiero od dwóch lat. Nie twierdzę, że moje decyzje wszystkim przypadły do gustu, jednak co innego narzekać, a co innego takie coś...

– To prawda – przyznał komisarz. Sam już dawno doszedł do tego samego wniosku. – Miałem na myśli wcześniejsze lata. Gdzie pan przedtem pracował?

– W opiece społecznej. Ale nie sądzę...

Urwał, zaskoczony podekscytowaną miną Zapaty, który natychmiast wszedł mu w słowo.

– Tutaj? W Klonowicach?

– Tutaj też, ale to było dawno, ze dwadzieścia lat temu.

– Czy pamięta pan sprawę Wanatów? Siedmioletnie bliźnięta. Ojciec był niewydolny wychowawczo, dlatego odebrano mu dzieci.

Diego aż wstrzymał oddech w oczekiwaniu na odpowiedź. Na widok potakującego skinienia wolno wypuścił powietrze z płuc i poprosił:

– Niech pan o tym opowie.

\*

– Daty urodzin się zgadzają – poinformował Zapate sierżant Węgierski, gdy tylko Diego przekroczył próg komisariatu. – W obu przypadkach.



– Tak podejrzewałem. Mógłbyś mi znaleźć coś o Monice Synowiec? Do dwa tysiące piątego była szefową GOPS-u w Klonowicach. Chciałbym wiedzieć, co się z nią działo później. To w tej chwili najpilniejsze – dorzucił, gdyż sierżant nadal spoglądał na niego wyczekująco. – Tamto załatwisz później.

Po tym, co usłyszał od wójta, komisarz poważnie obawiał się o życie Synowiec, gdyż to właśnie ona w porozumieniu z Kupkowskim spowodowała umieszczenie bliźniąt w domu dziecka. Oboje uważali, że to lepsze wyjście od pozostawienia ich pod opieką wiecznie pijanego ojca. Wnioskowali również o odebranie mu starszego syna, który tak się zaniedbał w nauce, że musiał powtarzać klasę, ale tutaj sąd rodzinny uznał, że nie ma sensu ingerować w życie chłopaka, który wkrótce uzyska pełnoletność.

Synowiec i Kupkowski działali w dobrej wierze, młodzi Wanatowie chyba jednak uważali inaczej. Bo Zapata był gotów postawić swoją roczną pensję, że to właśnie oni zabili psa. Wójt nie przebywał wtedy w domu, podobnie jak jego żona, która tydzień wcześniej wyjechała do sanatorium. A gdyby było inaczej? Czy wówczas tylko pies by zginął? Komisarz mocno w to wątpił, dlatego namówił Kupkowskiego, by ten zamieszkał w hotelu i nie pokazywał się w domu. Niestety było to jedynie doraźne rozwiązanie i nie mogło trwać wiecznie, musiał więc jak najszybciej dorwać sprawców.

Do pogrążonego w myślach Diega nie od razu dotarł sens słów Węgierskiego:

– Kiedy ja już to załatwiłem. Nie chcesz posłuchać, czego się dowiedziałem?

## Rozdział 24

### Zapłata

30 września 2020

Diona z wypiekami na policzkach słuchała opowieści Diega.

Sierżant Węgierski, któremu przypadło w udziale dotarcie do przeszłości Lucjana Chałki, postanowił sprawdzić najpierw media społecznościowe. Nie chciało mu się wierzyć, że młody człowiek nigdy nie odczuł pokusy, by zaistnieć w sieci, pochwalić się sukcesami w nauce czy pracy. Był to strzał w dziesiątkę, Chałka bowiem miał konto na Facebooku, w dodatku pod swoim imieniem i nazwiskiem. Założył je osiem lat temu, a więc stosunkowo późno, miał wtedy już dziewiętnaście lat. Nie publikował dużo postów, w większości były to nowinki z zakresu fizjoterapii, toteż sierżant mógł w krótkim czasie przejrzeć wszystkie.

Na interesującą go informację Węgierski natrafił dopiero w komentarzu pod pierwszym zdjęciem profilowym. „Cześć, Laki” – napisała dziewczyna publikująca jako Juli Taka. „Pamiętasz mnie? Chodziliśmy razem do klasy”. To już było coś, bo chociaż Lucjan odpowiedział krótko: „Musiałś mnie z kimś pomylić”, sierżant bardziej ufał spostrzegawczości nieznanej Juli niż zaprzeczeniom Chałki. Napisał więc do niej i poprosił o pilny kontakt w sprawie Lakięgo.

Juli Taka naprawdę nazywała się Julita Kanik i rzeczywiście chodziła do ogólniaka z Lucjanem Chałką. Według niej Laki, bo tak go nazywała, był chłopakiem nieco dziwnym. Trzymał się na uboczu, nie uczestniczył w życiu towarzyskim, a po szkole wracał prosto do domu.

– To znaczy dokąd? – przerwała komisarzowi Dioniza. – Wiadomo, gdzie wtedy mieszkał?

– W Grojcu koło Oświęcimia. Węgrzyn zaraz się porozumiał z tamtejszą policją i wyobraź sobie, kiedy Lucjan miał siedemnaście lat, jego przybrani rodzice zginęli we własnym łóżku. Ktoś włamał się w nocy do domu, ukradł pieniądze i biżuterię, a właściciele zadźgał sekatorem. Sprawcy do dziś nie znaleziono, mimo że na miejscu zbrodni ujawniono krew nienależącą do ofiar. Prawdopodobnie skaleczył się przy zabijaniu, biedaczysko.

Diona siedziała w milczeniu, przez jej głowę przebiegały tysiące pytań, wywołując nieopisany chaos. Wreszcie wzięła się garść i zadała najważniejsze:

– Nie podejrzewali Lucjana?

– Oczywiście, że tak. Ale chłopak był z całą klasą na wycieczce szkolnej. Nad morzem, więc musiałby się chyba teleportować.

Uniosła brwi i powiedziała w zadumie:

– Ciekawe, co wtedy porabiała jego siostra...?

Na to pytanie Diego nie znał odpowiedzi, wiedział natomiast co nieco o jej losach. Zawdzięczał to starszemu aspirantowi Kachłowi, który co prawda nie znalazł Kariny Wahlewicz na Facebooku, ale sprawdził jej nazwisko w systemie PESEL. Było na tyle oryginalne, że mógł śmiało założyć, iż nie występuje zbyt często. Nie pomylił się, wyskoczyło bowiem zaledwie kilkanaście osób, w tym jedna Hermina, a takie właśnie imię nosiła przybrana matka Kariny. Dzięki temu ustalił, że mieszka, a raczej mieszkała, w miejscowości Wiśniczki koło Kędzierzyna-Koźła. Zmartwił się nieco, że kobieta od dziesięciu lat nie żyje...

– Co takiego?! – wykrzyknęła Remańska i poderwała się z ławki, zaraz jednak usiadła z powrotem. – Sorry, to przez tę sprawę zaczynam się doszukiwać tego, czego nie ma.

– Akurat w tym przypadku masz rację, bo Hermina i Joachim Wahlewiczowie nie zmarli śmiercią naturalną. Mężczyźnie wbito w gardło nóż kuchenny, natomiast kobietę... – Policjant tylko potrząsnął głową i zapalił papierosa.

– Co kobietę? – ponagliła go, nie mogąc się doczekać końca.

– Kobiętę torturowano – odpowiedział z wyraźną niechęcią. Nadal patrzyła wyczekująco. – Po cholere ci ta wiedza? – rzucił ze złością. – Dobra, poddam się, tylko nie miej do mnie pretensji z powodu nocnych koszmarów. Sprawca obciął jej piersi i wargi sromowe, i wepchnął do ust zamiast knebla. Potem włożył butelki po wódce do pochwy i odbytu. To wszystko. Policjanci z Kędzierzyna-Koźla podejrzewają, że siedział i patrzył, jak umiera, bo w popielniczce były niedopałki, a Wahlewiczowie nie palili.

Remańska znowu pogrzyżała się w myślach. Musiała jakoś poukładać w głowie najświeższe informacje.

– Nie uwierz, że to przypadek. Policja nie powiązała ze sobą tych spraw?

Zapata tylko się skrzywił.

– Niby jak? – spytał po chwili. – Inne województwo, inny *modus operandi*, rodzin też nic nie łączyło oprócz dzieci, ale o tym nikt nie miał pojęcia.

– Co wtedy robiła Karina? Bo domyślam się, że w domu jej nie było.

– Pojechała na szkolną wycieczkę do Zakopanego – odpowiedział z ironicznym błyskiem w oku. – Doskonałe alibi, prawda? Niestety nie wiemy, gdzie wtedy był jej brat, bo oficjalnie Karina nie ma żadnego brata.

Remańska znowu wstała z ławki i zaczęła maszerować wzdłuż niej tam i z powrotem, a policjant bezwiednie wodził za nią spojrzeniem. Przy czwartym nawrocie miał dosyć.

– Diona!... – zaczął, lecz akurat wtedy także się odezwała i zagłuszyła jego słowa.

– Jasna dupa! Wiesz, Diego, że mogłoby im się udać?

– Udałoby się, gdyby się nie rozbestwili. Ale kiedy zabójstwa Orta i Synowiec też uszły im na sucho, poczuli się niepokonani, a to zawsze się mści.

Dopiero na widok zdziwionej miny Dionizy Zapata uświadomił sobie, że nie zdążył opowiedzieć o rozmowie z Kupkowskim i najnowszych ustaleniach. Powtórzył więc słowa wójta, po czym przeszedł do zleconych Węgierskiemu poszukiwań Moniki Synowiec. Odnalezienie jej śladów okazało się dziecinnie łatwe, wystarczyło zadzwonić do klonowickiego GOPS-u, by uzyskać informację, że Synowiec niespełna pięć lat temu przeszła na emeryturę i przeprowadziła się do Ząbkowic Śląskich, skąd pochodziła.

Początkowo utrzymywała z dawnymi koleżankami kontakt telefoniczny, lecz ten urwał się po mniej więcej czterech miesiącach. Najpierw nie odbierała telefonu, potem chyba wypowiedziała umowę, jak wywnioskowały z komunikatu słyszanego przy próbach połączenia. Wtedy doszły do wniosku, że Monika nie życzy sobie dalszych kontaktów, i zrezygnowały. Nie miały pojęcia, że Synowiec już wtedy nie żyła.

– Zastanawiam się, w jaki sposób poznali jej nowy adres – odezwała się Dioniza, gdy policjant umilkł.

– Chyba wiem. To tylko domniemanie – zastrzegł. – Ale wszystko się układa w logiczny ciąg. Kobiety z GOPS-u twierdzą, że Synowiec przyjaźniła się z Ortami i cały czas utrzymywała kontakt z Edwardem. Jeśli to prawda, a nie mam powodu wątpić, na pewno podała mu nowy adres. Została uduszona trzy miesiące po zabójstwie Orta, a jego przed śmiercią torturowano. Byłem pewien, że zabójca chciał z niego wydobyć adres córki, ale może nie tylko?

– To chyba jedyne możliwe wytłumaczenie – oceniła po krótkim namyśle. – Męczyli go tak długo, że w końcu go podał. Albo zrobił to z własnej inicjatywy, żeby odwrócić uwagę od Igi. Pewnie nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę.

– Ta kwestia jest teraz najmniej istotna, ważniejsze jest, jak to rozegrać – zasepił się komisarz. – Nie mogę ich zmusić do oddania próbek DNA, dopóki nie będą mieli statusu podejrzanych, a nie znam Grzeli na tyle...

Przerwał mu głośny śmiech Dionizy. Popatrzył na nią z wyrzutem, nie wyglądało jednak, by specjalnie się tym przejęła.

– Chyba faktycznie go nie znasz, inaczej nie miałbyś żadnych wątpliwości – wykrztusiła wreszcie. – Cyborg jest bardzo praworządny, ale jeśli nie widzi innego wyjścia, nie przebiera w środkach. Tylko nie wiem, czy zmieścisz się w czasie. Jak długo teraz się czeka na wyniki?

– Minimum trzy tygodnie, jak się ma szczęście. Kurwa mać, o tym nie pomyślałem.

Wciekły na niesprzyjający mu los Zapata odchylił głowę do tyłu i przymknął powieki. Miał dość tego idącego jak po grudzie śledztwa i przepisów chroniących bardziej praw przestępców niż bezpieczeństwa obywateli.

– A może by tak... – doszedł go ściszony do niemal szeptu głos Remańskiej.

Początkowo zareagował dość apatycznie, wkrótce jednak inercja zmieniła się w zainteresowanie, a na końcu w zapał. Znowu roznosiła go chęć działania. Wstał z ławki i popatrzył w stronę parking, gdzie

nadal stała turkusowa vitara należąca do doktor Kenig.

– Muszę pogadać z Iwoną. Na razie.

Diona odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął za drzwiami szpitala. Wtedy sięgnęła po papierosa. Wypuszczając z ust zgrabne kółka dymu, wróciła myślami do pytania, którego nie zdążyła zadać Zapacie i na które ciągle jeszcze nie znalazła zadowalającej odpowiedzi.

– Dlaczego zabili tych wszystkich ludzi? – powiedziała cicho, nie chcąc spłoszyć puchatego stworzonka hasającego na pobliskiej gałęzi.

Wiewiórka zastrzygła szpiczastymi uszkami, lecz nie udzieliła żadnej odpowiedzi.

## 5 października 2020

Violka wpadła do pokoju, o ile można tak powiedzieć o kimś poruszającym się o kuli. Odrzuciła ją beztrudno na łóżko i sama także na nie klapnęła z takim rozmachem, że mimo blokady podjechało odrobinę do tyłu i uderzyło w ścianę. Violetta nie zwróciła na to uwagi. Jej pierś poruszała się w przyspieszonym oddechu, oczy błyszczały podnieceniem.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona Dioniza.

– Nic takiego – wydyszała koleżanka. Odkaslnęła, wzięła kilka głębokich wdechów i już w miarę normalnym głosem wyjaśniła: – Chyba przesadziłam z tempem wchodzenia po schodach. Ale chciałam jak najszybciej się pochwalić, dlatego pędziłam jak szalona. – Popatrzyła na Dionę z szerokim, pełnym szczęścia uśmiechem. – Leśniakowa przyszła dzisiaj na salę i obserwowała, jak ćwiczę, a potem powiedziała do Jasielskiego, że od jutra mam zacząć naukę chodzenie bez kuli. Nie masz pojęcia, jak się cieszę!

Szczerze uradowana Dioniza podbiegła do Violetty i mocno ją uściskała.

– Gratuluję! Masz jeszcze dzisiaj jakieś zajęcia? Bo trzeba koniecznie to oblać. Kawą, ty wariatko! – sprecyzowała na widok popłochu na twarzy współlokatorki.

Sama zdążyła już odbyć wszystkie przypadające na ten dzień zabiegi, choć dochodziła dopiero jedenasta. Ćwiczenia, które na początku pobytu sprawiały jej tyle kłopotu, że zdawały się niewykonalne, teraz zaliczała w kilka minut, dlatego w ogóle się nie przejmowała zapowiedzianym na jutro kompleksowym badaniem, choć od niego doktor Baumgardt uzależnił termin wypisu. Wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Zabrała się do przygotowywania kawy, słuchając jednym uchem paplaniny rozwalonej na łóżku Violki. W pewnej chwili dotarło do niej pytanie:

– Dionka, widziałaś tych nowych?

– Widziałam – odparła dość obojętnie. Właśnie użyła chorej ręki do wydobycia kawy ze słoika i całą uwagę poświęciła tej czynności. Uradowana sukcesem, ponownie zanurzyła łyżeczkę w czeluściach pojemnika. – Czemu pytasz? Coś z nimi nie tak?

– To z tobą jest coś nie tak! Takie ciacha na oddziale, a ciebie bardziej interesuje, czy nie rozsypiesz kawy na stół.

W głosie Violetty było tyle oburzenia, że Remańska aż parsknęła śmiechem.

– Nie zapominaj, że mam narzeczonego. – Przybrała ton statecznej matrony. – Co nie znaczy, że od tego oslepiam. Na przykład ten blondyn... – Zrobiła rozanieloną minę. – Podobno ma problemy z barkiem, więc coś już nas łączy. Może powinnam zaproponować mu masaż? Tyle ich zaliczyłam, że trochę się na tym znam.

– Niezły jest – przyznała Violka. – Ale ten wyższy bardziej mi się podoba. Widziałaś, jakie ma muskuły? Taki, jakby przytulił, to kobieta by wiedziała, że jest w objęciach faceta, a nie, że ją pajączyzna oblaźła.

Na tę konkluzję Dioniza znowu zareagowała atakiem wesołości, wzmaganą jeszcze widokiem rozmarzenia na twarzy koleżanki. Potem z powątpiewaniem pokręciła głową.

– Za drobna jesteś dla niego, mógłby cię zgnieść w tym uścisku. Poza tym słyszałam, że ma dyskopatię, nie wiadomo, czy podola.

– E tam, kto nie ryzykuje... A ten trzeci też niczego sobie, z łóżka bym go nie wygoniła. Niby z wyglądu taki niepozorny, ale widać, że wysportowany, raczej by nie odpadł po pięciu minutach. Mógłby

potrenować palce na mnie zamiast chodzić na ćwiczenia manualne. – Zmrużyła filuternie oko. – Tylko niepotrzebnie ta nowa ciągle się przy nich kręci, a oni patrzą na nią jak w święty obraz, choć wcale nie jest taka ładna. Chce mieć ich wszystkich czy jak?

– Wszystkich naraz czy według grafiku? – spytała Diona z takim zainteresowaniem, jakby brała paplaninę koleżanki na poważnie.

– Cholera ją wie. Zgrabna z niej laska i wysportowana, to może trzem poradzi. Chyba zrezygnuję, bo widocznie nie mam szans.

\*

Nowi pacjenci wywołali zainteresowanie nie tylko u Violetty. Rzeczywiście było na kim zawiesić oko i pewnie dlatego pacjentki ruszały się tego dnia zadziwiająco powoli. Nowa imieniem Ludmiła, tak skrytykowana przez Violetkę, przyglądała się temu z ironicznym grymasem, wykonując jednocześnie ćwiczenie izometryczne pod nadzorem Kariny Wahlewicz, którą przydzielono jej jako opiekunkę. Nie zauważyła, że w sali pojawiła się doktor Kenig, i drgnęła gwałtownie, ujrawszy ją niespodziewanie nad sobą.

– Doktor Baumgardt poprosił mnie, żebym obejrzała pani kolano.

Ludmiła zerknęła na nią z umiarkowaną ciekawością i nagle szeroko otworzyła oczy.

– Iga?! Co ty tu robisz?

Na dźwięk imienia rehabilitantka zeszywniała, lekarka natomiast skrzywiła się lekko. Zmarszczyła brwi i dość długo przyglądała się leżące.

– Ty jesteś... – Urwała, zaraz jednak podjęła z niepewnym uśmiechem: – Ludka? To naprawdę ty? Ta mała Ludmiłka, która ciągle za mną łąziła? Musiałam przed tobą uciekać.

– Nudziłam się, a ty zawsze znajdowałeś czas, żeby ze mną pogadać. Byłam głupią gówniarą. – Ludmiła opuściła wzrok, jakby zawstydzona się dawnej namolności. Naraz zawołała ze zdumieniem podbarwionym podejrzliwością: – Dlaczego Iwona Kenig? Przecież masz na imię Iga! A na nazwisko... nie pamiętam, ale na pewno nie...

– Ort – odpowiedziała lekarka i dodała z lekką kpina: – Wiesz, czasem tak się dzieje, że kobieta zmienia nazwisko, kiedy wyjdzie za mąż. Za to imię jest moje od urodzenia. Nie podobało się babci, a że na drugie mam Gabriela, zaczęła nazywać mnie Iga. I tak już zostało. Ale pora wracać do obowiązków, pacjenci czekają. Pokaż, Ludka, tę nogę.

Ludmiła posłusznie podciągnęła nogawkę spodni. Lekarka dokładnie obmacała kolano, kazała pacjentce zgiąć kilkakrotnie nogę, a na koniec wstać i przejść kawałek.

– Wystarczy, możesz wrócić do ćwiczeń.

– I jak, trzeba amputować?

Iwona zanotowała coś w karcie pacjenta i spojrzała z powagą na dziewczynę, zdającą się traktować badanie jak żart.

– Wykorzystaj każdą chwilę, bo rehabilitacja naprawdę jest ci potrzebna. Masz ograniczoną ruchomość stawu kolanowego, który w dodatku ma skłonności do przeprostu. Pani Karino – zwróciła się do fizjoterapeutki, która na czas badania usunęła się pod okno.

Nikt nie odpowiedział i zaskoczona lekarka rozejrzała się wokół, lecz Kariny w sali nie było.

\*

Zdenerwowana dziewczyna weszła do damskiej toalety i starannie przekreśliła zasuwkę. Wyciągnęła spod fartucha telefon i wyszukała właściwy numer, lecz nie od razu nacisnęła zieloną słuchawkę. Najpierw zerknęła podejrzliwie na drzwi, potem przeszła do drugiej części pomieszczenia, gdzie znajdowały się umywalka i prysznic. Zamknęła się tam starannie, zaciągnęła zasłonkę i przysiadłszy na brzegu brodzika, połączyła się z wybranym numerem.

– Laki, stało się coś strasznego – zaczęła. – Ona ciągle żyje! Ta kurwa żyje, słyszysz?! Musimy zaraz...

Nie pozwolili jej dokończyć.

– Pojechało cię?! Była umowa, że nie rozmawiamy o tym przez telefon, ty durna idiotko. Chcesz skończyć w pierdłu?!

Te kilka chwil, kiedy Lucjan się pieklił, wystarczyło Karinie na opanowanie emocji. Teraz znowu była zimną, niewzruszoną Kitek.

– Nie drzyj się. Jestem w damskim kiblu w kabinie prysznicowej, a wszystkie baby tłoczą się na sali i sikają w gacie na widok tych nowych pacjentów, których przyjęto wczoraj. Nie ma obaw, że ktoś mnie podsłucha.

Tłumaczenie najwyraźniej trafiło Lakiemu do przekonania, bo zaprzestał wymówek, wrócił natomiast do jej pierwszych słów.

– Kitek, co ty mówiłaś? Że Iga żyje? Skąd wiesz?

Zrelacjonowała mu rozmowę Iwony Kenig z nowo przyjętą pacjentką, na koniec zaś oświadczyła z gniewem:

– Ten Hankus przez cały czas ze mną pogrywał, żeby go chuj strzelił. Tyle kasy poszło się paść! Fajnego detektywa znalazłeś, nie ma co.

– Miej pretensje do siebie – warknął w odpowiedzi. – Nie moja wina, że dałaś się oszukać jak ostatnia najwa. Ale z drugiej strony, nie będzie byle gnój bezkarnie oszukiwać mojej siostry. Zajmę się nim, ale najpierw Iga. Mam dla niej specjalne atrakcje.

– O nie! – zaprotestowała Kitek. – Zajmiemy się nią wspólnie. Mam plan, ale musimy to zrobić jutro w nocy. Ona będzie miała dyżur, a pojutrze idzie na urlop, więc to jedyny możliwy termin. Zdążysz wrócić do północy?

Laki zapewnił, że gotów jest pobić na drodze wszelkie rekordy prędkości, byle tylko móc uczestniczyć w tym spektaklu.

– Mogą mi nawet odebrać prawko, mam to w dupie. I tak niedługo nie będzie mi potrzebne, za dwie godziny będę miał w rękach nowe. Jaki to plan?

Kitek z nieskrywaną dumą przedstawiła atrakcje przewidziane dla Igi Ort. Liczyła na pochwałę, brat jednak milczał i to ją zaniepokoiło.

– Jak myślisz, damy radę? Może trochę przegięłam, ale nie musimy...

– Ten plan jest po prostu genialny! – Laki nie posiadał się z zachwytu. – Aż mi mowę odjęło. My nie damy rady? A kto w wieku sześciu lat załatwił sprawę tej wrednej baby? Kitek, my jesteśmy niepokonani!

## 6 października 2020

Uśpiony szpital pogrążony był w ciemnościach. Jeszcze przed chwilą dwa okna od czasu do czasu rozświetlały się poświatą, najwyraźniej jednak nawet najwytrwalszych maniaków telewizyjnych w końcu dopadła senność, gdyż i one wkrótce przygasły.

Dwie postacie w ciemnoszarych ubraniach wychyły z nocnej czerni i wsiadły do windy. Opuściły ją na pierwszym piętrze i przemknęły przewiązką obok sal rehabilitacyjnych, by dostać się na klatkę schodową, a stamtąd na drugie piętro. Wszędzie panowała cisza, tylko z pokoju pielęgniarek przez szeroko otwarte drzwi dobiegało irytująco regularne brzęczenie świetlóвки, zagłuszane prowadzoną półgłosem rozmową.

Idąca przodem niższa z postaci błyskawicznie zawróciła, a za nią podążyła wyższa. Na schodach przystanąła.

– To po jaką cholere tam leżliśmy? – zdenerwował się Lucjan. – Znowu coś pokręciłaś? Zawsze musisz wszystko spięprzyć?

Nie poznawała go. Zawsze był taki rozczulająco niezdecydowany, taki niezaradny, a przy tym posłuszny jej rozkazom, jakby uważał, że te dwie godziny starszeństwa dawały jej prawo mu przewodzić. Kiedy właściwie zaczął się zmieniać? Pierwsze oznaki zauważyła w połowie września, ale zmiany następowały tak niepostrzeżenie, że mogła je przeoczyć.

– Dzisiaj na zmianie miała być ta nowa. Wiesz, ta drobna blondyna. I Zuza Drohomirska, a ona zawsze zamyka drzwi – tłumaczyła ledwie słyszalnym szeptem. – Skąd mogłam wiedzieć, że Zuza zamieni się ze Stregą?

– Lepiej już chodźmy, bo nam czasu zabraknie – rzucił krótko.

Ruszył w dół jako pierwszy. Gdy mijał siostrę, dotknął lekko jej policzka, co w ich nieznanym innym ludziom szyfrze oznaczało „przepraszam”. *Wydawało mi się* – rozmyślała, podążając za nim. Zachowywał

się nietypowo, fakt, ale wszystko przez to ciągle oczekiwanie, by zemsta się dopełniła. Teraz wreszcie będą mogli odpocząć, porzucą zniechęcone imiona, będą sobą. *Zaopiekuję się nim i znowu wszystko będzie dobrze jak kiedyś, gdy byliśmy małymi dziećmi. Kiedy mama jeszcze żyła.*

Bezszelestnie przeszli długim korytarzem na kolejną klatkę schodową, a z niej na drugie piętro i przystanęli pod drzwiami z napisem „Lekarze”. Spojrzeli po sobie; w oczach obojga płonął identyczny blask. Lucjan przykucnął i przytknął oko do dziurki od klucza, Karina w tym czasie zerknęła na zegarek. Nie odnotowała opóźnienia, co bardzo ją ucieszyło. Nie byłaby zadowolona, gdyby z braku czasu musieli zrezygnować z części planu. Przeniosła wzrok na brata, który właśnie się wyprostował.

– W porządku – szepnęła. – Chyba śpi, bo jest całkiem ciemno.

– Wchodzimy – zdecydowała Kitek i nacisnęła klamkę.

Cicho wsunęli się do pokoju i przystanęli w progu, by w delikatnej poświacie płynącej od ulicznej latarni móc się rozeznac w topografii pomieszczenia. Było nieduże, w dodatku zagracone regałami dostawionymi prostopadłe do ściany, przez co pokój kojarzył się z biblioteką. Przy przeciwległej ścianie stały dwa fotele, przed nimi niski stolik, dalej zaś ustawiono kanapę, na której spoczywał ktoś przykryty kocem. Przez uchylone okno ciągnęło jesiennym chłodem, ciężkie story zafalowały lekko, poruszone powiewem wiatru. Karinie przez moment wydawało się, że ktoś się za nimi czai, lecz gdy następny podmuch owionął rozgrzane emocjami policzki, omal nie parsknęła histerycznym śmiechem.

*Wariatka* – skonstatowała w myślach, ganiąc się za przyływ paniki. *Zaczyna mi odwalać, muszę chyba też zacząć brać jakieś pigułki.*

Ścisnęła Lakiego za ramię. Na ten znak ruszyli ku leżącej na boku lekarce. Ręce miała ukryte pod kocem, twarz – białą plamę na tle ciemnego obicia kanapy – częściowo zasłaniały włosy.

– Zapal lampę – polecił Karinie. – Chcę, żeby nas widziała, kiedy będzie umierać.

– Zwariowałeś?! Ktoś może zobaczyć. Nie taki był plan.

– Zmieniłem go. – W głosie Lucjana wibrowało szaleństwo. – To żadna zemsta, kiedy ona nie będzie wiedziała, kto jej to robi. Musi nas widzieć w każdej minucie cierpienia. A zapewniam cię, Igo, że tych minut będzie bardzo dużo. Mam nadzieję, że nie umrzesz tak szybko jak te trzy biedaczki, które nam podstawiłaś. No, Kitek, na co czekasz? Zapal!

Nie czekając na reakcję siostry, podbiegł do leżącej i ugodził ją nożem, potem drugi raz. Wtedy ona także zrobiła użytek ze swojego. Nagle Laki uświadomił sobie, że w pokoju nadal panuje półmrok, przez co nie widzą twarzy zniechęconej kobiety.

– Miałś zapalić lampę! – sarknęła gniewnie. – Rusz się, do cholery!

– Nie trzeba, ja to zrobię – powiedział ktoś od drzwi. Zaraz potem oślepiło ich światło.

## Równocześnie

Iwona Kenig siedziała w ciemnościach rozproszonych nikłym światłem latarni zakradającym się przez niedokładnie zaciągnięte zasłony. Jeden z towarzyszących jej mężczyzn chciał zlikwidować szparę, nie zgodziła się jednak. Chciała widzieć, co się będzie działo, mieć bodaj minimalną kontrolę nad wydarzeniami. Ucieszyła się, gdy wyjął klucz z zamka, bo chociaż nie zdradził powodów, ona od razu dojrzała płynące z tego korzyści. Wąska smużka światła stanowiła swoisty system wczesnego ostrzegania – gdy zniknie, będzie to znak, że ktoś stanął przed drzwiami, i wtedy będzie mogła przygotować się psychicznie na ewentualny atak.

Ewentualny, bo Iwona nadal nie wierzyła, że właśnie ona jest celem zabójcy, który uderzył już trzy razy, lecz zawsze niecelnie. Zemsta po tylu latach? Takie rzeczy to tylko w filmach, tłumaczyła nadkomisarzowi z komendy miejskiej, on jednak tylko się uśmiechnął i przedstawił strategię działania, jak się okazało, już zaaprobowaną przez dyrektora szpitala i ordynatorkę. Wobec powyższego Iwona przystała na współpracę, choć początkowo upierała się, że nie będzie jej zastępować żadna policjantka.

Absolutnie nie mogła się zgodzić, żeby ktoś ryzykował dla niej życie. Oświadczyła kategorycznie, że jeśli policjanci uprą się zrobić po swojemu, ona odmawia udziału w przygotowaniach do akcji. Do tego akurat była im niezbędna, więc niechętnie, bo niechętnie, nadkomisarz Wojnar w końcu zgodził się na negocjacje, a wówczas wypracowano satysfakcjonujący obie strony kompromis.

Zdziwiła się, że wszystko poszło wyjątkowo sprawnie. Policjanci bez problemów wtopili się w grono pacjentów, zachowywali się przy tym tak naturalnie, że nikt nie nabrał żadnych podejrzeń. Podobnie jak w przypadku drobnej blondynki udającej pielęgniarkę. Sympatyczna sierżant była wykwalifikowanym ratownikiem medycznym, co nie zawsze idzie w parze z umiejętnościami praktycznymi. W tym przypadku jednak sprawa wyglądała inaczej. Policjantka nie tylko dysponowała ogromną wiedzą fachową, ale także umiała ją zastosować i Iwona szczerze żałowała, że dziewczyna nie zostanie dłużej.

Omówiła wcześniej z Wojnarem, jaki warunek musi być spełniony, by mogła przeprowadzić przypadającą na nią część planu, dlatego podczas rozmowy z Ludmiłą nie odczuwała żadnej tremy. Widziała kątem oka, że Karina Wahlewicz przysłuchuje się im z uwagą, wszystko zatem było w porządku. Iwona nie spodziewała się jednak, że sprawa nabierze takiego tempa, i dopiero po pewnym czasie dotarło do niej, że stało się tak z powodu jej rychłego urlopu, na który nota bene wcale się nie wybierała.

Nie miała pojęcia, skąd policjanci wiedzieli, że atak ma nastąpić około północy, niemniej od piętnastu minut siedziała ukryta za regałem, a funkcjonariusze, jeszcze niedawno dyskutujący o czymś zawzięcie, nagle gdzieś zniknęli. Czuła się samotna, bezbronna i opuszczona i pożałowała, że uparła się obserwować przebieg akcji. A może nie jest jeszcze za późno? Uniosła się na łokciu, by wstać, gdy smuga światła z dziurki od klucza nagle znikła. Iwona czym prędzej opadła z powrotem na krzesło. Klamka zapadła.

Zobaczyła dwie sylwetki wsuwające się bezszelestnie do pokoju i usłyszała szmer prowadzonej szeptem rozmowy. Nie rozróżniła słów, jednakże gwałtowna gestykulacja sugerowała kłótnię. Nagle wyższy z intruzów skoczył do przodu, w bladej poświacie załśnił w jego dłoni podłużny przedmiot.

– Laki, poczekaj!

Stłumiony okrzyk niższego intruza na nic się nie zdał; tamten zdążył już dopaść leżącej na kanapie postaci i z rozpędu wbił w nią nóż aż po rękojeść, po czym wyszarpnął go i uderzył jeszcze raz. W tym czasie drugi zdążył już się zbliżyć do kanapy i teraz robili to na zmianę, ani na chwilę nie przestając pomstować na Igę Ort.

Początkowo Iwona chłonęła oczami ten spektakl w dziwnym odrętwieniu. Panika ogarnęła ją dopiero wtedy, gdy usłyszała słowa napastników. Skąd w nich tyle nienawiści? I gdzie, do diabła, podziali się policjanci?! Ze strachu dudniło jej w uszach w rytm bicia serca, w myślach zęgnęła już przyjaciół i współpracowników, lecz oto rozbłysło światło, a spomiędzy regałów wyskoczyli uzbrojeni funkcjonariusze. A więc jednak nie zostawili jej samej, stali tam cały czas, wtopieni w mrok, niewidzialni dla ludzkich oczu.

Sprawnie zakuli napastników, a wtedy rozległ się dobrze znany Iwonie głos komisarza Zapaty:

– Karino Wahlewicz, jesteś zatrzymana pod zarzutem zabójstwa Igi Pokrzywy oraz usiłowania zabójstwa Iwony Kenig. Resztę zarzutów przedstawi prokurator.

Podobnych słów użył nadkomisarz Wojnar, zwracając się do Łukasza Chałki. Jediną różnicą było, że zamiast Igi Pokrzywy wymienił nazwiska Idalii Orłowskiej i Ireny Kordy. W następnej chwili ubrana w policyjny mundur Ludmiła szarpnęła pocięty nożem koc i wtedy oczom zabójców ukazał się manekin, ucharakteryzowany tak doskonale, że do złudzenia przypominał Iwonę Kenig. Na ten widok Chałce puściły nerwy.

– To kukła! Kitek, zobacz, to tylko pierdolona kukła! Znowu nas oszukali! – wrzeszczał, a po twarzy spływały mu łzy bezsilnej wściekłości.

## 7 października 2020

W szpitalu od rana wrzało. Nie wiadomo jak i skąd do publicznej wiadomości przedostała się informacja o przeprowadzonej w nocy akcji policyjnej, a że nikt nie znał szczegółów, domysłem i spekulacjom nie było końca. Dioniza nie brała udziału w tym szaleństwie. Nie zamierzała poświęcać czasu na wysłuchiwanie plotek niezawierających najczęściej ani odrobiny prawdy. Zyskała sobie przez to opinię wyalienowanej snobki gardzącej innymi ludźmi, z czym godziła się bez sprzeciwów. Nigdy jej nie zależało na tak zwanej opinii publicznej, która tak naprawdę nie była niczym innym, jak tylko krytyczną oceną myślących i postępujących inaczej, niż opiniotwórcy uważali za słuszne. A że mówili najwięcej i najgłośniej, ich słowa przyjmowano za dogmat.



Zresztą była jeszcze Violka, na bieżąco racząca Remańską aktualnie obowiązującą wersją wydarzeń, i raczej nie zachodziła obawa, że którąś pominie. Zbliżało się dopiero południe, a Diona zdążyła poznać już trzy, w dodatku podekscytowanie przebijające z wyglądu i zachowania Violetty wskazywało, że lada moment usłyszy czwartą. Istotnie, koleżanka zdążyła zaledwie zamknąć drzwi, a już otworzyła usta, by jak najszybciej podzielić się sensacyjną wiadomością.

– Nie uwierzysz, czego się dowiedziałam! – wykrzyknęła i zrobiła efektowną pauzę. Nie doczekawszy się żadnego pytania, spojrzała z wyrzutem na Dionę i podjęła już spokojnie: – Wyobraź sobie, że ci nowi zniknęli! Wszyscy trzej. Policja ich zabrała, bo zgwałcili Ludmiłę. Wiesz, tę, co za wszelką cenę chciała im wskoczyć do łóżka. A potem ją zabili, żeby się nie wydało.

Poirytowana Dioniza odłożyła książkę. Akurat czytała najbardziej frapujący fragment i ostatnie, czego pragnęła, to wysłuchiwanie bredni.

– Czy ty słyszysz to, co mówisz?! Sensu w tym za grosz.

– A ty już najwięcej się na tym znasz – odgryzła się Violetta. – Myślisz, że jak śpisz z gliniarzem, to wiesz wszystko? Ta wiedza spływa w ciebie razem z plemnikami?

Rozśmieszona Remańska poczuła, że złość ją opuszcza, jak zwykle podczas kłótni z Violetką. Koleżanka może się nie zaliczała do najostrzejszych cążków w przyborniku, miała jednak w sobie coś takiego, że nie sposób było długo się na nią gniewać.

– Powiedziałam, że ta wersja wydarzeń nie ma sensu, bo pomyśl sama. Jeżeli Ludmiła im się pchała do łóżka, to po jaką cholere mieli ją gwałcić? I jeszcze zabijać? Za zgwałcenie kara jest dużo niższa, dlatego zabójstwo jest nieopłacalne. Się nie kalkuluje – zakończyła z miną księgowej obliczającej zyski i straty przedsięwzięcia.

Violka parsknęła śmiechem, w którym brzmiały jednak nutki zawodu.

– Uważasz, że dziewczyny zrobiły mnie w bambuko?

– Uważam, że same nie mają pojęcia, co tak naprawdę się stało, a wymyślają te kocopoły, bo choć przez chwilę chcą się poczuć ważne. – Dioniza wsunęła stopy w adidasy i sięgnęła po polar. – Wychodzę na fajkę. Idziesz ze mną? Spacer dobrze nam zrobi, a tu możemy tylko zgłupieć.

## Rozdział 25

### Cała prawda o Wanatach

8 października 2020

Następnego dnia Diona nie zaproponowała koleżance wspólnego wyjścia. Umówiła się z Diegiem, że zadzwoni do niej po dwunastej, a nie zamierzała rozmawiać przy Violetcie. Poza tym chciała usiąść na swojej ulubionej ławce z dala od ludzi i w spokoju delektować się samotnością, tym jakże deficytowym towarem w szpitalnym zgiełku.

Zapata rzeczywiście wkrótce potem zadzwonił.

– Muszę ci powiedzieć, że nie mam nic do powiedzenia – oznajmił, czym od razu ją rozśmieszył. – Grzela chce być obecny przy przesłuchaniach, a będzie miał czas dopiero po południu. Sam jestem ciekaw, co z tego wyjdzie. Liczę, że Karina posypie się pierwsza.

Diona przywołała w myślach twarze rodzeństwa i pokręciła głową. Na szczęście uświadomiła sobie, że ów wymowny gest niezbyt się sprawdza w rozmowach telefonicznych, stłumiła więc chichot i zwerbalizowała wypowiedź:

– Nie sądzę. Ona sprawia wrażenie nieśmiałej, wycofanej dziewczynki, bo chce, by ją tak postrzegano, a w rzeczywistości jest dużo twardsza od brata. Wiem, co mówię, nie zapominaj, że od miesiąca widuję ich niemal codziennie.

– Jesteś tego pewna? Dobrze wiedzieć, to może mi pomóc. Dzięki, Dionka, dam jutro znać, co z tego wyszło.

\*

Już w pierwszych minutach przesłuchania Zapata doszedł do wniosku, że Remańska miała rację. Lucjan Chałka wcale nie był takim twardzielem, za jakiego pragnął uchodzić, o czym świadczył szereg całkowicie zbędnych ruchów. Jak nie przesuwał z miejsca na miejsce stojącego przed nim plastikowego kubeczka, to obskubywał skórę paznokcia albo bębnił palcami po stole, nieustannie też zerkał to na Diega, to na Grzelę.

Czekali jeszcze na Jacka Wojnara. Komisarz początkowo zżymał się w duchu na niepunktualność nadkomisarza, widząc jednak podenerwowanie zatrzymanego, stwierdził, że nie ma tego złego. Im dłużej Chałka będzie czekać, tym mocniej skruszeje.

Wojnar pojawił się pół godziny po czasie, przeprosił za spóźnienie bez podania przyczyny i zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami rozpoczął przesłuchanie. Po wpisaniu do protokołu danych personalnych ustąpił pola Grzeli, który zapytał o powody ataku na Iwonę Kenig. Chałka wzruszył ramionami.

– Bo to wredna suka. Ciągłe się nas czepiała, skarżyła na nas u dyrektora, a on jej wierzył, bo pewnie mu daje. Uznałem, że trzeba z tym skończyć.

Po surowej twarzy prokuratora przemknął cień uśmiechu.

– Mam w to uwierzyć, chociaż mi nie dajesz? Musisz wymyślić coś innego. Chyba wiem, jak odświeżyć ci pamięć.

Sięgnął w stronę leżącego na stole laptopa, lecz Zapata przytrzymał go za rękę. Nie chciał, by Grzela zbyt wcześnie wystrzelał całą amunicję. Nagranie przyda się do dobicia przeciwnika, zadania mu ostatecznego ciosu.

– W takim razie powiedz, dlaczego zabiłeś Wahlewiczów.

W oczach Chałki pojawił się strach, lecz zaraz zniknął pod opuszczonymi powiekami. Lucjan zamrugał, po czym lekko się uśmiechnął.

– Czemu miałbym zabijać rodziców Kariny? Nawet ich nie znałem.

– Właśnie dlatego, że ich nie znałeś – odpowiedział uprzejmie Zapata. – A ona nie znała twoich, dlatego mieliście pewność, że zabójstwa ujdą wam na sucho. To się chyba nazywa wymiana barterowa, prawda, panie prokuratorze?

– Jaka wymiana, zwariował pan?! Niech pan sobie poczyta dokumenty z tamtych śledztw, to sam pan zobaczy, że miałem alibi.

– Na czas zgonu swoich rodziców owszem, ale wątpię, czy na czas zgonu Wahlewiczów.

– Panie komisarzu. – Chałka zdobył się na spokojny, wyważony ton. – Nie mogłem zabić rodziców Kariny, bo wtedy jej także jeszcze nie znałem. Pierwszy raz spotkaliśmy się dopiero na studiach. Zaiskrzyło między nami, zaczęliśmy się spotykać i któregoś dnia odkryliśmy, że mamy za sobą podobne przejścia.

Lucjan umilkł i zerknął spod oka na komisarza, ten jednak w żaden sposób nie odniósł się do jego słów, tylko kontynuował zaczęłą myśl.

– Niestety byłeś nieostrożny. Wczoraj pobrano od ciebie wymaz do badania profilu DNA. Na wynik trzeba będzie niestety poczekać, bo młyny boże mielą powoli. Ale za to skutecznie. Jestem pewien, że twój profil okaże się zgodny z profilem DNA pobranym z niedopałków pozostawionych przez sprawcę w rodzinnym domu Kariny.

Lucjan spocił się ze strachu. Grube krople spłynęły z czoła i zatrzymały się na brwiach. Wytrzeł je zmiętą chusteczką higieniczną i podjął próbę ratowania swojej skóry.

– To nie jest żaden dowód, pewnie rodzice Kari nie wysypali popielniczki po mojej wizycie.

– Za to ty znowu wysypałeś się na kłamstwie. Przed chwilą powiedziałeś, że poznaliście się dopiero na studiach, jakim więc cudem mogłeś ją wtedy odwiedzić? – wytknął Zapata.

Lucjan milczał i tylko jego oczy błędziły niespokojnie, jakby w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby mu wydostać się z matni.

– Ja... – zaczął i urwał, nie wiedząc, co powiedzieć. Spróbował ponownie. – To nie mogły być moje niedopałki, bo ja wcale nie palę!

W odpowiedzi komisarz odczytał stosowny fragment zeznań Chałki, ewidentnie zaprzeczający jego zapewnieniu, po czym poruszył następną kwestię:

– Powiedziałeś, że ty i Karina zbliżyliście się do siebie na studiach, z kolei wcześniej oboje zeznaliście, że jesteście zaręczeni. To dziwne.

– Nie rozumiem, co w tym dziwnego. Chcemy wziąć ślub, więc to chyba normalne, że się z nią zaręczyłem – burknął Lucjan.

– W naszym kraju nikt legalnie nie udzielił wam ślubu, a za kazirodcze stosunki grozi do pięciu lat – poinformował go policjant nie bez satysfakcji. – To jak będzie? Nadal chcesz się upierać, że ty i Karina jesteście parą?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Nic nie wiem o żadnym kazirodztwie. To jakieś brednie – bronił się Chałka.

– W tym punkcie muszę się z tobą zgodzić – uśmiechnął się Zapata. – To taka sama prawda jak twierdzenie, że nie jesteście rodzeństwem. Katarzyna i Łukasz Wanatowie, tak się nazywaliście. Nigdy nie słyszałeś, że kłamstwo ma krótkie nogi?

Lucjan zacisnął wargi w wąską kreskę. Przeczuwali, że zapędzony w kozi róg zechce skorzystać z prawa do odmowy zeznań, a nadal wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi, które bardzo chcieli poznać. Jak chociażby, kiedy i w jaki sposób doszło do spotkania bliźniąt, dlaczego zabili w szpitalu trzy kobiety i mężczyznę, a przede wszystkim, z jakiego powodu przez tyle lat polowali na Igę Ort. Musieli się tego dowiedzieć.

Trzech mężczyzn siedzących naprzeciwko zatrzymanego spojrzęło po sobie w bezgłośniejszym porozumieniu. Grzela nieznacznie skinął głową, dając tym samym policjantom przyzwolenie na posunięcie zaproponowane przed przesłuchaniem przez Zapatę.

Nadkomisarz Wojnar przestawił laptop z otwartym protokołem, dziękując w duchu, że akurat dzisiaj zepsuł mu się samochód. Dzięki spóźnieniu błąd będzie bardziej wiarygodny. Spoglądał nad ekranem na zatrzymanego z namysłem i zadumą.

– Słuchaj, Lucjan – odezwał się przyjaźnie. – Pewnie uważasz, że potraktowaliśmy cię zbyt ostro, ale mam nadzieję, że to zrozumiesz. Musieliśmy sprawdzić, czy nas nie okłamała.

Chałka nie sprawiał wrażenia kogoś, kto cokolwiek rozumie. Wyglądał na oszołomionego.

– Kto was nie okłamał? O kim pan mówi?

– O twojej siostrze – odpowiedział Wojnar i uniósł dłoń, powstrzymując protest Lucjana. – Nie musisz już kłamać, Kasia Wanat, lub jak obecnie się nazywa, Karina Wahlewicz, powiedziała mi wszystko. Dlatego się spóźniłem, bo trochę tego było.

Zaśmiała się przyjaźnie, co wyraźnie ośmieliło zatrzymanego.

– Co takiego powiedziała? – spytał.

Tym razem jednak nie zaprzeczył bliskiemu pokrewieństwu z rzekomą narzeczoną, tak jak nie wypierał się dawnego nazwiska, co nadkomisarz skrupulatnie zanotował, Zapata zaś wymienił z Grzelą znaczące spojrzenie.

– Że to wszystko stało się z jej winy. Najpierw cię odnalazła, a kiedy postanowiła zabić swoich adopcyjnych rodziców, specjalnie podłożyła twoje pety, żeby wprowadzić policję w błąd. Pewnie o tym nie wiesz, ale Karina zabiła też twoich przybranych rodziców.

– To kłamstwo! – Lucjan poderwał się z krzesła. – Nie ona mnie odnalazła, tylko wpadliśmy przypadkiem na siebie na ogólnopolskiej olimpiadzie biologicznej. Chciałem później ją odwiedzić, ale napisała, że rodzice się nie zgodzili. Moi też nie chcieli, żebyśmy utrzymywali ze sobą kontakt, kontrolowali moją komórkę, więc jedyne, co nam zostało, to pisanie mejli. Dlatego spotkaliśmy się dopiero rok później, kiedy przyjechała z wycieczką szkolną na zwiedzanie obozu w Oświęcimiu. Wtedy się dowiedziałem, co oni jej robili, więc ich zabiłem. Należało się skurwysynom – powiedział z zaciętością, po czym, unikając patrzeń na policjantów, dorzucił: – Wcześniej potrenowałem na moich, bo wcale nie byli lepsi. Gnoje, ludzkie śmieci! To już lepsza była ta baba, która chciała się nas pozbyć i buntowała tatę przeciwko nam. Ją też zabiłem, a potem jej męża i tę wariatkę, przez którą wyładowaliśmy w piekło.

Naraz jakby oprzytomniał. Wyraźnie spłoszony, toczył wkoło wzrokiem, jednocześnie zaś sięgnął po butelkę mineralnej i usiłował napełnić kubeczek, lecz dłonie tak mu się trzęsły, że nie trafił i woda spłynęła na stół. Odsunął kubek i pił łapczywie wprost z butelki, głośno przełykając. Gdy skończył, zaciśnięte w wąską kreskę usta powiedziały im, że Chałka odzyskał panowanie nad sobą i więcej z niego nie wydobędą. Na razie.

Wszyscy troje przeszli do sąsiedniego pokoju, dokąd doprowadzono Karinę Wahlewicz. Po drodze uzgodnili, że nie będą tracić czasu na wysłuchiwanie kłamstw, którymi dziewczyna niewątpliwie zechce ich uraczyć. Taktyka wymyślona przez Zapatę w przypadku Chałki sprawdziła się w stu procentach, toteż założyli, że uzyskają podobne efekty przy przesłuchaniu Wahlewicz. Wszystko bowiem wskazywało na łączącą bliźnięta silną więź emocjonalną, musieli zatem spróbować. Skoro Lucjan gotów był wziąć na siebie winę za wszystkie zbrodnie, byle tylko ochronić siostrę, istniała szansa, że ona postąpi podobnie.

Tak też się stało. Po wysłuchaniu stosownego fragmentu zeznań brata Karina wpadła w szał. Wyklinała najpierw policjantów, potem zły los, by w końcu przejść do adopcyjnych rodziców i piekła, jakie jej zgotowali.

Wyszłochiwała przerywaną gęsto przekleństwami opowieść o tym, jak z jej ciała uczynili sobie sposób na dostatnie życie, o sprowadzanych przez ojca wysoko postawionych kolegach, dla których spędzenie nocy z drobniotką, niemającą jeszcze atrybutów kobiecości dziewczynką było jak wejście do raj. Jedni traktowali ją jak księżniczkę, inni z kolei niczym uliczną kurwę, nie miało to jednak większego znaczenia. I tak nie mogła odmienić swojego losu, Wahlewicz był zbyt mocno ustosunkowany, by jej skargi na coś się zdały.

Najgorsze stało się wkrótce po tym, gdy przypadkiem spotkała niewidzianego od blisko dziesięciu lat brata. Po powrocie z olimpiady zobaczyła w domu nieznanego mężczyznę, jak się okazało, nowego klienta. Matka była wniebowzięta, gdyż od dłuższego czasu interesy nie szły dobrze – córka wyglądała już zbyt poważnie i amatorzy małych dziewczynek czy później lolitek jeden po drugim wycofywali się z układu.

Dziewczyna nie próbowała się sprzeciwić, wiedziała, że protesty nie zdadzą się na nic. Poszła do pokoju z nieznanym, nie przypuszczając nawet, że właśnie zaczął się najgorszy koszmar w jej życiu. Mężczyzna kazał Karinie zdjąć ubranie, położyć się i zamknąć oczy, a kiedy wykonała polecenie, przywiązał ją do łóżka i zgwałcił butelką. Najstraszniejsze zaś było, że mimo jej krzyków i błagań o pomoc rodzice nie zareagowali, choć musieli je słyszeć.

Po tygodniu zmagają z bólem tak ogromnym, że przenikał każdą komórką ciała, poczuła się lepiej. Wstała z łóżka, by zrobić sobie herbatę, i wtedy usłyszała kłótnię. Ojciec sprzeciwiał się czemuś, twierdził, że to zbyt niebezpieczne, nazwał też kogoś szalonym dewiantem, matka jednak obstawała przy swoim. Z jej słów Karina zrozumiała, że chodzi o duże pieniądze, z których ojciec chciał zrezygnować w imię głupich skrupułów. Pomyślała, że odmówił wzięcia łąpówki, i wróciła do swojej czynności.

Trzy dni później tamten mężczyzna znów się pojawił. Na jego widok ojciec demonstracyjnie odwrócił się plecami i wyszedł, a ona dopiero teraz zrozumiała, o co rodzice się kłócili. Wrócił dopiero po kilku godzinach, dla niej będących jednym wielkim pasmem gwałtów. Stanął jak wryty na widok krwawych plam kontrastujących z białą prześcieradła, potem ukląkł przy łóżku, by podnieść leżącą bezwładnie Karinę. Wykrzesła z siebie tyle siły, by odepchnąć jego ręce, a później, gdy doszła do wniosku, że tylko śmierć może ją wyzwolić, zdecydowała, że jego także powinna zabić. Żałosne próby przeciwstawienia się żonie to za mało, skoro wiedział, do czego tamten jest zdolny, a jednak nic nie zrobił, by ratować córkę.

Po tym wyznaniu dziewczyna się uspokoiła, jakby zrzuciła z duszy ogromny ciężar. Zimnym, opanowanym głosem oświadczyła, że brat kłamie, bo to ona zabiła tych wszystkich ludzi. Łaki jest niewinny i powinni go wypuścić.

– Dobrze – zgodził się Wojnar. – Ale najpierw musimy wiedzieć, co takiego zrobiła Iga Ort, że przez tyle lat nie zdołałście jej wybaczyć.

W oczach Kariny pojawiły się złe błyski.

– Wybaczyć jej?! Nigdy! To wszystko stało się przez nią. Gdyby nie powiedziała, że to Mariusz zamknął ją w jaskini, nie poszedłby do więzienia i zabrałby nas z domu dziecka. Albo tata, ale jego też wsadziliście do więzienia, bo przecież właśnie przez Igę znaleźliście zwłoki tej kretynki. To jej wina!

– Jakiej kretynki? – spytał Zapata, choć dobrze znał odpowiedź.

– Tej niby-psycholożki, Barbary Ortowej. Tata niepotrzebnie się przyznał, wcale nie musiał nas...

Wahlewicz urwała i zapatrzyła się w ścianę niewidzącym wzrokiem. Zapata dokończył więc za nią:

– Nie musiał was osłaniać, bo to wy zabiliście Barbarę Ort.

Nie zaprzeczyła.

– Dlaczego? Ze strachu, że odbierze wam ojca? Z zazdrości o niego?

– Jaka zazdrość? Zwariował pan?! Ta wredna suka twierdziła, że Łukasz jest niebezpieczny, że trzeba go leczyć. Idiotka! – Prychnęła pogardliwie. – Tylko dlatego, że zabił kilka zwierzaków i spuścił wpierdół koleżde, miałyby wylądować w psychiatryku? *No way!*

Jacek Wojnar wyjął z opastej teczki jakiś dokument, odszukał stosowny fragment i przeczytał głośno: „Łącznie zadano denatce czterdzieści trzy uderzenia ostrym narzędziem, w tym dwadzieścia cztery przyżyciowe. Jedenaście z nich mogło okazać się śmiertelne. Zgon nastąpił z powodu przecięcia tętnicy udowej”.

Karina milczała.

– Trochę was poniosło – ocenił Zapata. – Nawet nie zauważyliście, że się wykrawawiła, i dziabnęliście ja jeszcze dziewiętnaście razy. Usprawiedliwia was brak wprawy, w końcu zabicie kilku zwierząt to żadna praktyka.

Powiedział to tak lekkim tonem, że Grzela spojrzął na niego z dezaprobatą. Za to Wahlewicz uśmiechnęła się kąpiąco.

– Podpuszcza mnie pan, żeby obciążyla Łukasza. Tylko że wtedy mieliśmy sześć lat, więc teraz policja może nam naskoczyć. A pozostałych zabiłam sama, brat nie miał z tym nic wspólnego. Nie może pan oskarżyć dwóch osób o tę samą zbrodnię.

– Oskarża prokurator, nie policjant, pani prawniczko z Facebooka. – Zapata także się uśmiechnął. – Nie mogłaś zabić swoich przybranych rodziców, bo byłaś wtedy w Zakopanem. Tak zeznałaś, a twoje alibi okazało się nie do obalenia. Tak że daruj sobie kłamstwa, i tak nie wybronisz brata.

Uparcie trwała przy swoim nawet wtedy, gdy opowiedział jej o niedopałkach ujawnionych w domu Wahlewiczów. Zauważywszy, że straciła wiele z pewnością siebie, dobił ją nagraniem. Gdy usłyszała płynący z głośników laptopa własny głos, znowu wpadła w szal.

– Skurwysyny jebane! Przysięgaliście, że Pegasus to mit, a teraz co się okazało? Oszuści, żeby was szlag trafił!

Mężczyźni najpierw w zdumieniu spojrzeli po sobie, potem ryknęli śmiechem, tak ubawiła ich myśl, że mieliby podsłuchiwać kogokolwiek za pomocą Pegasusa, który był dla nich mniej więcej tak samo

osiągalny jak awans na generalnego inspektora. Paradoksalnie, ten śmiech pomógł im najbardziej, gdyż Karina opacznie zrozumiała jego powody.

– Teraz rozumiem. Od dawna mieliście nas na podsłuchu – powiedziała z goryczą, zapominając, jak skrupulatnie ona i brat przestrzegali zasady, by o swoich planach nie rozmawiać przez telefon. – Wiecie już wszystko, to po cholere mam to powtarzać.

– Bo takie mamy procedury. Pieprzona biurokracja – burknął niechętnie Zapata, a Wojnar uzupełnił:

– Przyznanie się do winy zawsze robi na sędziach dobre wrażenie. Im mniej ci zasądzą, tym szybciej wyjdiesz – stwierdził tonem odkrywcy – a po odsiedzeniu połowy możesz się starać o warunek. Ile może dostać? – zwrócił się do Grzeli. – Piętnaście? Może nawet mniej... Za osiem lat będziesz miała trzydzieści pięć, to mniej, niż ja mam teraz, a do grobu jeszcze się nie wybieram.

Słowa nadkomisarza chyba ją przekonały, choć prokurator wcale ich nie potwierdził. Karina jednak przeoczyła ten fakt. Skinęła głową i wreszcie wyznała prawdę.

## 9 października 2020

– Właściwie jego zeznanie nie jest mi już potrzebne. Wahlewicz dokładnie opisała przebieg wydarzeń, mamy dowody w postaci nagrań z podsłuchu i z ich rozmowy, kiedy wzięli „Iwonę Kenig”. Miał pan genialny pomysł, żeby położyć tam dyktafon. Mamy też ślady biologiczne, które na pewno są zgodne. Tym razem bliźnięta się nie wywiną – mówił Paweł Grzela.

Rano zadzwonił do nadkomisarza Wojnara, by go poinformować, że nie będzie uczestniczył w ponownym przesłuchaniu Chałki. Musiał pilnie pojechać do Katowic, przez co grafik zaplanowanych na ten dzień czynności już w pierwszej godzinie stał się nieaktualny.

Jacek Wojnar się skrzywił. Nie lubił takich nagłych zmian, prócz tego uważał, że Chałkę należy przesłuchać choćby tylko z jednego powodu.

– Mam go sobie odpuścić?

Nie zdawał sobie sprawy, że w jego głosie dało się słyszeć oburzenie. Czujne ucho prokuratora natychmiast je wychwyciło i Grzela się uśmiechnął.

– Spokojnie, komisarzu, ja też lubię mieć pozamykane wszystkie wątki. Jest tam gdzieś Diego? – Wojnar milczał. Prokurator zorientował się, w czym rzecz, i szybko się poprawił: – Jakub Zapata? Okej, w takim razie niech pan da na głośne.

Nadkomisarz przełączył telefon na tryb głośnomówiący i trącił w bok Zapatę, pogrążonego w lekturze ściągniętych z archiwum akt dotyczących śledztwa w sprawie zabójstwa Barbary Ort. Wskazał mu komórkę, sam zaś spytał zwięźle:

– Ma pan dla nas jakieś zadanie specjalne?

– Specjalne to nie – odparł ubawiony terminologią Grzela. – Postarajcie się wyciągnąć z Chałki, dlaczego wydał na adopcyjnych rodziców wyrok śmierci. To po pierwsze. Po drugie, warto by było uzyskać jego potwierdzenie przebiegu wydarzeń. Po trzecie, pogadajcie z tym detektywem, z którego usług korzystali. I wreszcie po czwarte, zastanówcie się, kto, do jasnego chuja, mógł zabić Filipa Ślicznego, skoro oni tego nie zrobili. To wszystko, w razie problemów dzwońcie. Cześć.

Rozłączył się, zanim zdążyli odpowiedzieć. Wojnar przestawił komórkę na zwykły tryb i spojrzął na Zapatę.

– Myślałem, że będzie gorzej. Jak to zrobimy?

– Dwa pierwsze punkty chyba razem. A reszta? – zastanowił się Diego. – Hankusem ty się zajmij, a ja wezmę Ślicznego. Chyba że masz inny pomysł, w końcu ty tu rządysz.

Nadkomisarz nie miał. Poleciał doprowadzić Chałkę na przesłuchanie i czekając na jego przybycie, włączył internet, by wyszukać adres biura detektywistycznego.

Piotr Hankus okazał się zaskakująco skory do współpracy. Nie tylko nie bronił się przed rozmową, ale nawet zaproponował, że zaraz przyjedzie do komendy, w dodatku dotrzymał słowa i pojawił się już po dziesięciu minutach.

– Akurat byłem w pobliżu – wyjaśnił z pogodnym uśmiechem. Ten jednak przybladł, gdy detektyw usłyszał, która z jego spraw interesuje policję. Najpierw usiłował kręcić, kiedy jednak postraszono go odpowiedzialnością karną, zdecydował się na szczerość.

Najpierw przyszedł do niego młody mężczyzna nazwiskiem Wanat. Była to wizyta typowo zwiadowcza, gdyż Łukasz Wanat długo wypytywał o wszystko, a najbardziej interesowało go zachowanie poufności oraz koszt usługi. Po zapewnieniu, że biuro gwarantuje całkowitą dyskrecję, a koszty są niższe od opłat pobieranych przez większe agencje, umówił się na podpisanie umowy.

– Byłem pewien, że już go nie zobaczę, ale nie – opowiadał Hankus. – Przyszedł z siostrą. Niby ładna dziewczyna, tylko że taka niepozorna z charakteru, cicha jak myszka, w ogóle się nie odzywała, on z kolei był jakiś taki niewyzbierany. Ucieszyłem się, że zarobię na nich ładny szmal, a wtedy się okazało, że ta Katarzyna w interesach jest ostra jak skalpel. Handryczyła się o każdą złotówkę! Dopiero kiedy poszli, policzyłem na spokojnie i wyszło mi, że ledwie wyjdę na swoje. Dlatego pomyślałem: „a takiego, nie będę się wysilać”.

Spojrzał na Wojnara, jakby szukał u niego potwierdzenia słuszności tej decyzji. Policjant jednak się odezwał, tylko gestem nakazał kontynuowanie opowieści. Hankus podjął niechętnie:

– Ustaliłem, że poszukiwana przez nich Iga Ort mieszkała w Bielsku, zanim słuch o niej zaginął. Pojechałem na Lipnicką, gdzie jej ojciec kupił apartament, i pogadałem z sąsiadami. Dowiedziałem się, że Edward Ort...

– On nas nie interesuje – przerwał mu Zapata niezbyt grzecznie. – Iga Ort – przypomniał.

– Okej, już mówię. Po rozpoczęciu studiów Iga wyprowadziła się z domu i podobno rzadko odwiedzała ojca, a po jego śmierci sprzedała mieszkanie i już się tam nie pokazywała. Dopiero w tym roku na początku września jedna z sąsiadek spotkała ją w Sferze i zaczepiła, żeby się dowiedzieć, co u niej słychać. Pożaliła mi się, że Iga jest taka sama jak jej ojciec, od którego nigdy nic nie mogła wyciągnąć; nie chciał nawet powiedzieć, na jakim kierunku córka studiuje i czy wyszła za mąż. Podobno jej powiedziała, że o sprawy córki ma pytać córkę, bo on się plotami nie zajmuje. Była taka rozża...

– Do brzegu, detektywie – znów napomniał go Zapata i Hankus zaprzestał dygresji.

– W każdym razie Iga powiedziała, że się spieszy, bo jedzie do Klonowic do szpitala. Ponieważ tam jest tylko rehabilitacja, miałem pewność, że jeszcze jej nie wypisali, i zadzwoniłem do pani Kasi. Przyjechali oboje, ja przekazałem informacje, oni zapłacili. Byłem pewien, że to koniec, ale gdzie tam, po kilku dniach ta gówniara przyleciała z awanturą, że w Klonowicach nie ma takiej pacjentki. – Zacisnął dłonie w pięści, lecz pod wpływem kpiących spojrzeń policjantów rozprostował palce. – O tym już wiedziałem, bo w międzyczasie poznałem dziewczynę, która jest tam sekretarką medyczną, i z ciekawości zapytałem o Igę Ort. Za to Ewka mi podpowiedziała, że jeśli Ort ma trzydzieści sześć lat, to pewnie wyszła za mąż i zmieniła nazwisko. Przekazałem to Katarzynie Wanat, a ona zaczęła się upierać, że mam się dowiedzieć, jak Iga się teraz nazywa, i że dobrze za to zapłaci.

– Dowiedział się pan? – spytał żywo Zapata.

– Kiedy rozmawiałem z Ewką, wyciągnąłem z niej nazwiska trzech kobiet, które miały trzydzieści sześć lat, jednak nic więcej nie chciała mi powiedzieć. Uparła się i już – sapnął gniewnie, zaraz jednak się rozpozogodził, wspomniawszy swoje sprytne posunięcie. – Obiecałem, że się tym zajmę, i zaraz następnego dnia podałem jej nazwisko pierwszej kobiety. Miała na imię Iga, dlatego byłem pewny, że to ona. Tylko że ta cholerna Katarzyna mi nie zapłaciła, powiedziała, że dostanę szmal, jeżeli informacja będzie prawdziwa. Ale okazało się...

– Iga Pokrzywa, Idalia Orłowska i Irena Korda – przerwał mu Wojnar. – Takie nazwiska podał pan Katarzynie.

– Skąd pan wie? – zdumiał się Hankus, lecz policjant zignorował pytanie.

– Tyle wysiłku na darmo – uzalił się fałszywie i dorzucił drwiąco: – Na darmo i za darmo.

Podziękował detektywowi i odprowadził go do wyjścia. Po powrocie w kilku haustach wypił zimną kawę i dopiero teraz zauważył ponurą minę Zapaty.

– Coś nie tak?

– Ten gnój wydał zabójcom trzy kobiety, a my go puszczamy wolno?

– Też mi się to nie podoba, ale co możemy zrobić? Prawo jest prawem. On przecież nie wiedział, czemu Wanatowie szukają Igi Ort.

– Bo nie chciał wiedzieć – warknął Zapata. – Ważniejsze było, czy kasa się zgadza. Mam w dupie takie prawo!

– Chcesz wziąć sprawiedliwość w swoje ręce jak Wanatowie? – spytał spokojnie Wojnar, a nie doczekawszy się reakcji, dorzucił: – Może Grzela znajdzie na niego jakiś paragraf? Ale teraz zajmijmy się

lepiej przesłuchaniem, inaczej to na nas znajdzie haka.

\*

Po wysłuchaniu zeznań siostry Lucjan Chałka zaprzestał walki. Nie tylko potwierdził jej słowa, ale jeszcze uzupełnił wypowiedź o pominięte przez nią szczegóły. Takie, jak na przykład powody, dla których wydał wyrok na przybranych rodziców.

– Świry! Pojebani fanatycy! – wypluwał słowa pobielającymi z wściekłości wargami. – W głowach im się popierdoliło od tego ciągłego modlenia się i latania do kościoła. Ona szorowała mi usta mydłem za każde słowo, które uznała za grzeszne, a on mnie lał po gołej dupie za złe zachowanie. Zabraniał mi zdejmować majtki do kąpeli, nawet sikać musiałem przy otwartych drzwiach, żeby mógł widzieć, czy się nieprzyzwoicie nie zabawiam. Na początku było to dla mnie bardziej dziwaczne niż straszne, ale kiedy przyszedł okres dojrzewania... Co rano oglądał dokładnie moje prześcieradło, nie przeoczył żadnej plamki, a wieczorem... To był czas rozrachunku. Stanie pod lodowatym prysznicem, bicie i groźby, że następnym razem mi go utnie. Doprowadził do tego, że bałem się zasnąć. Na szczęście wkrótce te sny się skończyły i wreszcie mogłem odetchnąć, bo nie bił mnie już tak często.

Sięgnął po butelkę i napełnił kubek po brzegi, tym razem nie rozlewając ani kropli. Był lodowato spokojny, tylko twarz miał tak bladą, jakby odpłynęła z niej cała krew.

– Potem poznałem dziewczynę i oszalałem na jej punkcie – podjął po chwili. – Miałem gdzieś, czy ojciec się dowie, chociaż zapowiedział, że mnie wykastruje, jeżeli się okaże, że uprawiałem seks. Wmawiałem sobie, że tylko mnie straszył, ale w sumie nigdy nie miałem okazji się tego dowiedzieć. – Odetchnął głęboko. – To wszystko.

To rzeczywiście było wszystko. Już wiedzieli, dlaczego zdecydował, że rodzice muszą zginąć, tak jak wiedzieli, dlaczego żadna z jego ofiar nie doświadczyła przemocy seksualnej.

– Co teraz? – spytał Zapata, gdy Chałka opuścił pokój.

– Obserwacja psychiatryczna. Coś mi się wydaje, że on nie ma równo pod deklek.

– Ja nie o tym. Wrzucisz jego zeznanie na papier? A ja zajmę się Ślicznym. – Nie czekając na odpowiedź, komisarz zaczął wkładać kurtkę. Naraz zastygł z jedną ręką w rękawie. – Robiliście przy Jarczykach, zanim przejęło ich CBS. Nie zostały wam przypadkiem jakieś zdjęcia?



## Epilog

13 października 2020

Zapata wysiadł z samochodu, wyjął z bagażnika wielką, mocno wypchaną torbę prezentową i skierował się w stronę głównego wejścia. Zauważył zaciekawione spojrzenia spacerujących pacjentów i poczuł się trochę głupio. Wyglądam, jakbym niósł łąpówkę dla lekarza. Potem wzruszył ramionami z udawaną nonszalancją, chociaż myśl o łąpówce przypomniła mu o Iwonie i szansie, którą bezpowrotnie utracił.

Tak się zamyślił, że omal nie wpadł na mężczyznę idącego od strony budynku. Tamten chyba także nie zwracał uwagi na otoczenie i gdyby Diego nie odskoczył w ostatniej chwili, niechybnie doszłoby do zderzenia. Spacerowicz skręcił z uliczki na trawnik i szybkim krokiem ruszył na przełaj w stronę nadpalonej rudery, co przypomniło komisarzowi o ulubionej ławce Dionizy. Zanim wejdzie do szpitala, powinien sprawdzić, czy Diona nie wyszła na papierosa.

Również wszedł na trawnik, wyminął drzewo zasłaniające mu widok, przystanął i spojrzał w tamtym kierunku. Była tam, siedziała odchylona na oparcie i rozmawiała z jakąś kobietą, gestykulując żywo. Pomachała jej, lecz go nie zauważyła, zajęta konwersacją.

Niespodziewanie w Zapacie obudził się mały, skory do figłów chłopiec. Niewiele myśląc, schronił się za szpalerem tui, by idąc wzdłuż nich, dotrzeć do ławki i nastraszyć Dionizę, wyskakując z krzykiem zza krzaków. Zobaczył przed sobą mężczyznę zmierzającego w tym samym kierunku. Tamten wyprzedzał go o dobre dziesięć metrów, mimo to komisarz rozpoznał po ubraniu, że jest to ten sam spacerowicz, z którym omal się nie zderzył.

Teraz jednak obcy nie wydawał mu się już miłośnikiem statecznego dreptania po alejkach. Poruszał się krokiem bardziej przypominającym bieg, a pełna napięcia sylwetka skojarzyła się policjantowi z gotowym do ataku drapieżnikiem i dopiero to pomogło umiejscowić obcego we właściwej szufladce. Zapata zaklął i rzucił się biegiem za mężczyzną, który zdążył już zniknąć za zasłoną zarośli. Po chwili usłyszał krzyki, jeszcze bardziej więc przyspieszył, dobywając po drodze broni.

\*

Diona wyciągnęła przed siebie nogi i wystawiła twarz do słońca będącego ostatnio tak rzadkim zjawiskiem, że grzechem byłoby nie wykorzystać okazji. Siedząca obok niej Oksana od kilku minut opowiadała o tym, jak dobrze jej u Imielskich i jakie Dioniza ma szczęście, mając takich cudownych rodziców. Remańska słuchała piąte przez dziesiąte, co jakiś czas wydając stosowny pomruk, gdy naraz jakieś zdanie przykuło jej uwagę. Zelektryzowana, usiadła prosto.

– Co powiedziałaś?

– Że powinnam wrócić do domu.

– Jak to? – Nie posiadała się ze zdumienia, Oksana bowiem zawsze twierdziła, że nie ma zamiaru wracać do Ukrainy. – Chcesz wyjechać z Polski?

– No szczo ty? – teraz zdziwiła się Ukrainka. – Ja chocz u powernutisja do sebe.

Jak zwykle, gdy była czymś zaaferowana, bezwiednie przeszła na język ojczysty, choć polskim władała już całkiem niezle. *W każdym razie lepiej niż ja ukraińskim* – pomyślała Diona. Tym razem jednak zrozumiała wszystko.

– Zwariowałaś? A co będzie, jeżeli twój mąż cię dorwie? Albo uprowadzi Olhę, żeby się zemścić? Nie możesz ryzykować!

– On już pewnie wyjechał, bo więcej się tu nie pokazał – odpowiedziała Oksana, lecz w jej głosie zabrakło przekonania.

– Mówiłaś, że ma tu dobrą pracę, więc na pewno nie – skontrowała Diona. – Źle ci u moich rodziców? Wiem, że mama jest czasem męcząca...

– Wcale nie! Ale nie chcę ich wykorzystywać, a oni nie chcą wziąć pieniędzy. Ja tak nie mogę...

Nie dokończyła. Uderzenie pięścią w twarz zmiotło ją z ławki i posłało na trawnik. Oszołomiona i na wpół oślepią krwią spływającą z rozbitego łuku brwiowego, wsparła się na łokciu. Nie zdążyła się podnieść, gdy rozwścieczony mężczyzna stanął przy niej na szeroko rozstawionych nogach.

– Jobana blać!

Splunął Oksanie w twarz i wziął zamach w jednoznaczny zamiar wymierzenia jej kopniaka w brzuch. Widok uniesionej nogi odblokował Dionę, trwającą w czymś na kształt paraliżu. Podbiegła i szarpnęła mężczyznę za ramię, pragnąc za wszelką cenę odciągnąć jego uwagę od leżącej.

– Zostaw ją, skurwysynu!

Odwrócił się niespiesznie i spojrzał z pogardą.

– Nie wtruczaj się, suka! – warknął i zamierzył się, by ją odepchnąć.

To wystarczyło. Z najwyższą przyjemnością Diona skorzystała z pretekstu i znów go szarpnęła, tym razem chwytając wyciągniętą rękę. Pociągnęła ją ku sobie, a palce drugiej dłoni wbiła mu w oczodoły. Zawył z bólu i bezwiednie odchylił się w tył, by zmniejszyć nacisk. Wtedy pchnęła go zgiętym łokciem w pierś.

\*

Zapata zdążył akurat na moment, kiedy umięśniony mężczyzna o byczym karku zwał się na ziemię z takim impetem, że aż zadudniło. Dioniza jednak na tym nie poprzestała. Bezbłędnie wcelowała czubkiem buta w odsłonięte krocze, poprawiła dwa razy, po czym zajęła się twarzą, lokując na niej podeszwę adidasa.

Znowu podniosła nogę, wobec czego komisarz uznał za stosowne interweniować. Podbiegł i odciągnął szalejącą pacjentkę od jęczącego, plującego krwią mięśniaka, bardziej teraz przypominającego ofiarę niż napastnika.

– Zostaw. Ma już dość, a potrzebuję go żywego.

Wściekłość w oczach Remańskiej z wolna przygasła. Przeniosła wzrok na przedstawiającego sobą żalony widok mężczyzny i powiedziała tylko:

– O kurde!

Zapata pomógł sobie nogą, by obrócić mężczyznę na plecy, zakuł go w kajdanki i szarpnięciem postawił do pionu, nie zważając na okrzyki bólu.

– Dmytro Hawryluk, jesteś zatrzymany pod zarzutem pobicia...

Zerknął na siedzącą na trawie kobietę, usiłującą zatamować krew podciągniętą koszulką. Zawahała się tylko na moment.

– Nazywam się Oksana Hawryluk. To mój były mąż, niech go piekło pochłonie!

– ...Oksany Hawryluk oraz pod zarzutem zabójstwa Filipa Ślicznego – zakończył komisarz i pociągnął Hawryluka. – Mam w dupie, że boli. Rusz się, bo może zabołec mocniej – ostrzegł groźnie, a przerażony bandzior posłusznie wykonał polecenie.

## 14 października 2020

– Skąd wiedziałeś, że Hawryluk zabił Ślicznego? – spytała Diona, gdy następnego dnia Diego znowu pojawił się w szpitalu.

Policjant posłał jej spojrzenie pełne wdzięczności i podał nieco rozmiękłą torbę, którą wczoraj wrzucił między gęsto rosnące tuje. Jakimś cudem nikt jej nie znalazł.

– Dzięki tobie, bo się upierałaś, że powinienem jeszcze raz się przyjrzeć Jarczykom. Już myślałam, że to strata czasu, kiedy jeden z ich ludzi napomknął o jakimś Ukraińcu. Wcześniej bracia nawet się zająknęli, że taki dla nich pracuje, a to dało mi do myślenia. Pogadałem z cebeesiakami, a że mieli już wszystko dopięte, zrobiliśmy Jarczykom najazd na włości. Ten młodszy to cienias, o mało się nie zesrał w gacie, kiedy usłyszał, że chcemy mu przypasować zabójstwo, i od razu wyśpiewał dane Hawryluka.

Pojechałem pod wskazany adres, niestety gość zdążył zniknąć. Za to zostawił buty, w których chodził po tej ruderze, zebraliśmy też paluchy pasujące do tamtych. Posłaliśmy za nim list gończy, choć byłem pewien, że pitnął na Ukrainę. A tu taka siurpryza. Jednak zemsta nie popłaca – zakończył przemądrzałym tonem.

Roześmieli się oboje. Zapalili. Milczeli, lecz cisza nie była krępująca, dawała za to poczucie wspólnoty. Naraz Diona coś sobie przypomniała.

– Jestem pewna, że Hawryluk nie zabił Ślicznego bez powodu.

Zerknęła na policjanta i zobaczyła w jego oczach iskierki wesołości.

– Oczywiście, że nie. Musisz sama się domyślić, dlaczego to zrobił.

Zagryzła wargi ze złości, że żaden konstruktywny pomysł nie przychodzi jej do głowy. Wtem coś sobie przypomniała.

– Oksana! – wykrzyknęła tak głośno, że podskakujący nieopodal rudzik poderwał się do lotu. – Oksana mówiła, że Dima czegoś od niej chciał, żądał, żeby mu coś załatwiła. Właśnie dlatego jej groził i w końcu napadł, że ośmieliła się mu odmówić.

Zerknęła na Zapatę, lecz ten spoglądał przed siebie z miną sfinksa i jego jedyną reakcją było krótkie: „mów dalej”. Wobec tego podjęła:

– Z Oksaną mu nie wyszło, więc spróbował ze Ślicznym. Ten pewnie się zgodził, ale zażądał zapłaty. Ale ni cholery nie wiem, co by to mogło być. – Zerknęła przymilnie. – Powiedz, nie bądź świnia.

– No dobra, to było tak...

Komisarza ciekawił ten napis „Zapłata” na piersi Orłowskiej, a gdy zapytał o niego Chałkę, opowiedział o podsłuchanej rozmowie. Opis mężczyzny rozmawiającego przez telefon początkowo wydawał się nieistotny, ale po zatrzymaniu Hawryluka Diego doprowadził do okazania. Z szczęściu mężczyzn Chałka wskazał byłego męża Oksany, a skonfrontowany z jego zeznaniem Ukrainiec przyznał się do zaplanowania zabójstwa.

– Biedna pani Ida – westchnęła Diona po wysłuchaniu opowieści o zdumieniu Hawryluka na widok martwej kobiety, zaraz jednak poweselała. – Ależ Dmytro musiał mieć minę, gdy zobaczył, że ktoś go uprzedził.

– Podejrzewam, że podobną jak wtedy, kiedy Śliczny zażądał od niego dziesięciu tysięcy za milczenie.

– Policjant przeczekał okrzyki zdziwienia i wyjaśnił: – Śliczny dorobił dla niego klucz od sali, pokazał drogę przez przewiązkę i dopilnował, żeby nikt nie zamknął drzwi do łącznika. Miał za to dostać tysiąc złotych, a potem Hawryluk obiecał dołożyć mu jeszcze dwieście za zwłokę.

– Dużo – oceniła Dioniza. – Dmytro postanowił zaoszczędzić?

Zapata zaprzeczył ruchem głowy.

– Śliczny był kretynem. Nie pomyślał, że szantażowanie naiwnych koleżanek a próba wymuszenia pieniędzy na kimś takim jak Dmytro to dwie różne ligi.

Remańska z rozmachem palnęła się w czoło.

– Ja też jestem kretynką, że od razu na to nie wpadłam. Filip myślał, że Hawryluk zabił Orłowską, i zażądał pieniędzy za milczenie? Faktycznie: kompletny bezmózg!

– Potrzebował pieniędzy – wyjaśnił komisarz. – Gra na automatach kosztuje, a pożyczki od lichwiarzy trzeba oddawać w terminie, jeżeli nie chce się stracić na urodzie. Tyle pożytku z przeszukania jego pokoju, że wiemy, czemu ciągle był pod kreską.

– Wszystko pięknie – odezwała się Diona po dość długim czasie. – Ale co z Jarczykami? Przecież to na pewno oni zlecili Hawrylukowi zabójstwo Orłowskiej. I co, on sobie posiedzi, a oni będą śmiać się policji w nos?

– Tak czasami bywa, że najbardziej winny nie ponosi żadnej kary i ani ja, ani ty nie mamy na to wpływu. Nic na to nie poradzisz. Tam, gdzie jest dużo pieniędzy i znajomości, bardzo często nie dociera sprawiedliwość.

Diona pokiwała głową ze zrozumieniem.

Naraz komisarz coś sobie przypomniał i spojrzął na towarzyszkę z zaskakującą u niego niepewnością.

– Co to jest najwa?

Parsknęła śmiechem.

– Starzejesz się, Zapata, nie ogarniasz młodzieżowego slangu. Najwa to naiwniak, od angielskiego *naive*.

– Jasne – mruknął, lekko zażenowany. – Muszę lecieć, trzeba ogarnąć papiery.  
Chciał wstać, Diona jednak na to nie pozwoliła.  
– Czekaj. Nie powiedziałaś, co z doktor Kenig. Jak wasze sprawy?  
Wiedział, że wypieranie się fascynacji nie ma sensu, Dioniza była zbyt spostrzegawcza, by mógł to przed nią ukryć.  
– Nie ma naszych spraw – burknął. – Od czasu, kiedy ją oskarżyłem, unika mnie jak zarazy. I wcale jej się nie dziwię, spierdoliłem to koncertowo.  
– Taka praca – westchnęła ze współczuciem. – Próbowaleś jej to wyjaśnić?  
Policjant także westchnął, z tym że on z rezygnacją.  
– Po co? To nic nie da, ona nie chce mieć ze mną nic wspólnego.  
– Ty naprawdę jesteś idiotą – oceniła bezlitośnie. – Skąd ona ma wiedzieć, że ci zależy? Że żałujesz tamtych słów? Ma ci czytać w myślach czy jak?  
– Naprawdę uważasz?...  
– Naprawdę-nasardwę – przedrzeźniała go z gniewnym błyskiem w bursztynowych oczach. – Jak nie sprawdzisz, to się nie dowiesz. Idź już lepiej, bo mnie wkurzasz!  
Odszedł bez słowa. Spoglądała za nim tak długo, że mogła zobaczyć, że podchodzi do turkusowej vitary, do której przed chwilą wsiadła Iwona Kenig. Otworzył drzwi i się schylił, lecz to było wszystko, co zdążyła dojrzeć, gdyż grupa pacjentów zasłoniła jej widok, a gdy po chwili odeszli, przed budynkiem nie było już vitary. Komisarza Zapaty też nie.

## 17 października 2020

*Nienawidzę pożegnań* – rozmyślała Diona, obejmując szlochającą Violkę. Sama wprawdzie miała suche oczy, ale i ją dławilo w gardle. Spędziły z sobą przeciwieście całe sześć tygodni.

– Kurde, jak ja ci zazdroszczę – westchnęła Violetta. – Nie wiem, jak tu wytrzymam bez ciebie. Co będzie, jeżeli przydzielą mi jakąś francję?

Violetcie na wniosek ordynatorki przedłużono pobyt o kolejne sześć tygodni, z czego była bardzo zadowolona, ale jednocześnie martwiła się, że nie zdoła się porozumieć z nową współlokatorką.

Dioniza błysnęła zębami w uśmiechu.

– W razie czego jej powiedz, że były tu już trzy takie jak ona. A teraz ich nie ma, bo je przeniesiono na cmentarz.

Wysunęła się z objęć Violki i wyjrzała na korytarz.

– Kurde, gdzie ten Ratio? Czołga się z tego parkingu czy jak? Idę na zwiady.

Zbiegła schodami na pierwsze piętro i właśnie miała skrócić, gdy kątem oka zobaczyła Medarda. Poszła w jego stronę, lecz wyminęła bez słowa i przycupnęła na krześle przed gabinetem fizykoterapii, skąd miała doskonały widok na cały korytarz.

Ratio stał z Krystyną obok dyżurki pielęgniarek, tak zapatrzony w dziewczynę, że nie zwróciłby uwagi, gdyby nawet tuż obok przemaszerowało stado bawołów. Ona patrzyła na niego z identycznym wyrazem twarzy i Dionizie przyszło na myśl pytanie, czy wszyscy zakochani mają takie idiotyczne miny. Zachichotała cicho, potem wolno ruszyła ku schodom. *Niech sobie ma* – pomyślała z czułością o chłopaku, którego traktowała jak młodszego brata. *Nic się nie stanie, jeśli trochę poczekam. Szymona i tak jeszcze nie ma w domu, a Ratio zastużył sobie na szczęście.*

Usiadła na ławce przed wejściem i paląc papierosa, dokonywała obrachunku. Po stronie strat zapisała odejście z policji i rozwód, choć ten ostatni należało zaliczyć także do zysków, tak jak dom w Strzygomiu, agencję detektywistyczną, stałą pracę, Ratia i przede wszystkim Szymona.

Diona przymknęła powieki. Ona także czuła się szczęśliwa.

KONIEC

# MAM KRYMINALNY CHARAKTER

Jeśli masz go i ty, koniecznie sięgnij po nasze  
kryminały i thrillery.



[www.wydajenamsie.pl](http://www.wydajenamsie.pl)



**że spodobała Ci  
się ta KSIĄŻKA**

po więcej zajrzyj do księgarni

[www.wydajenamsie.pl](http://www.wydajenamsie.pl)